



miesięcznik polityczny

WARSZAWA - KRAKÓW

**ZMIERZCH KOMUNIZMU
WYBIĆ SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ
EUROPA PRZYSZŁOŚCI
W WOLNEJ POLSCE**



**Opracowanie i wstęp Józefa Darskiego
WYBÓR Z PIERWSZYCH 28 NUMERÓW**

«NIEPODLEGŁOŚĆ»
Wybór z pierwszych 28 numerów
Opracował Józef Darski

ISBN 0 902352 52 0

Copyright © in Poland: «Niepodległość»
Copyright © outside Poland: IPA (Sweden)
This edition first published in Polish
October 1985

Pierwsze wydanie polskie niniejszego wyboru
październik 1985
Oprawa graficzna J. C. i G. S.

ALL RIGHTS RESERVED
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

POLONIA

POLONIA BOOK FUND LTD
8 QUEEN ANNE'S GARDENS, LONDON W4 1TU
UNITED KINGDOM

Printed and bound by Caldera House Ltd
23 Coleridge Street, Hove, Sussex BN3 5AB
United Kingdom

Słowo wstępne

Pismo „Niepodległość” powstało w styczniu 1982 roku i postawiło sobie za zadanie polityzację opozycji. Uważaliśmy bowiem i nadal jesteśmy zdania, iż opozycja społeczna już nie wystarcza, jeśli mamy skutecznie zwalczać komunizm. Świadomi zbliżających się wstrząsów, wywołanych degeneracją i upadkiem komunizmu, musimy przygotować się organizacyjnie i politycznie na nadchodzące zmiany. A to *oznacza* m.in. tworzenie grup w pełni zdających sobie sprawę ze swych celów politycznych, gdyż rozbudzone pod tym względem społeczeństwo potrzebuje wielości myśli i organizacji.

Wydawanie pisma politycznego nie było celem samym w sobie, lecz miało pomóc również nam w skryształizowaniu się naszej wizji WOLNEJ POLSKI i wiodącej doń drogi oraz w przedstawieniu naszym potencjalnym zwolennikom spójnego programu. Następnym etapem było powołanie w dniu 11 listopada 1984 roku Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość”. Na mapie politycznej „Niepodległość” plasuje się na demokratycznej prawicy, ponieważ jesteśmy zwolennikami wartości neokonserwatywnych w znaczeniu amerykańskim. Jednocześnie nasze ugrupowanie należy do obozu niepodległościowego, gdyż odzyskanie niezawisłości jest naszym celem strategicznym.

Podkreśliśmy jeszcze raz — przywrócenie pojęć ze słownika politycznego i utworzenie niezależnych ugrupowań politycznych nie obali komunizmu. Jednak w momencie, gdy ten ostatni upadnie, istnienie elit politycznych i w miarę wysoka świadomość polityczna społeczeństwa mieć będzie znaczenie zasadnicze. Na dziś natomiast uchroni nas przed manipulacjami komunistycznej socjotechniki.

Ci, którzy w programie politycznym chcieliby widzieć receptę na odzyskanie niepodległości, wyśmiewają zaś lub krytykują budowanie przez nas projektów kształtu niepodległej Polski, popełniają błąd, o którym mówił w wywiadzie dla „Powściągliwości i Pracy” (nr 4/1983), pisma wydawanego nakładem oo. Michaelitów, docent Jerzy Łojek, omawiając XIX-wieczne programy niepodległościowe:

„... formułowanie programów było piętą achillesową polskiej myśli niepodległościowej, polskie programy cierpiały na nieumiejętność sformułowania

konkretów (...) .Dlatego polskie plany polityczne były przeważnie planami walki, a nie zajmowały się sytuacją Polski po ewentualnym zwycięstwie." („N” nr 28).

Za podstawę obecnego został przyjęty *Wybór* wydany w kraju w styczniu 1984 roku, na który złożyły się artykuły zaczerpnięte z pierwszych 20 numerów „Niepodległości”. Został on teraz uzupełniony materiałami z numerów 21-27 oraz nową, pełną wersją programu, opublikowaną w numerze 28. Jedyne artykuł „Liberalizm - polityczna myśl wolności” pochodzi z 31/32 numeru pisma. Powodem jego zamieszczenia była chęć w miarę całościowego przedstawienia naszych poglądów w tej kwestii.

Począwszy od numeru 28 „Niepodległość” ukazuje się jednocześnie w Polsce — w podziemiu — i na Zachodzie, gdzie przedruków dokonuje Independent Polish Agency — IPA w Lund.

Artykuły zamieszczone w niniejszym *Wyborze* zostały ułożone tematycznie. Dokonano w nich skrótów (często znacznych), eliminując liczne powtórzenia lub fragmenty nieistotne w danym rozdziale. Poprawiono także błędy — zarówno redakcji jak też maszynistek: pomyłki, przekręcenia i opuszczenia — oraz wprowadzono poprawki stylistyczne, nie zmieniono natomiast treści pod względem merytorycznym. Ujednolicono też system pseudonimów tak, aby wszystkie artykuły jednego autora nosiły ten sam podpis.

Prezentowana książka jest przede wszystkim dyskusją z opozycją. Kwestię tę wyjaśnia sama redakcja:

„Krytykę, polemiki — czasem złośliwe — znacznie częściej kierujemy przeciw Podziemiu (jego taktyce i strategii) niż przeciw komunistom.

Choć na pierwszy rzut oka taka linia pisma dezorientuje niektórych naszych Czytelników (Kto za tym stoi? Kto to wydaje?), budząc zdziwienie i oburzenie (Komu to służy? Po co to komu?), nam wydaje się logiczna. Z komunistami naprawdę nie mamy o czym dyskutować. Porozumienie z nimi uważamy za niecelowe. Po prostu — w środku Europy, pod koniec XX wieku, trzydziestokil-kumilionowy naród, z tysiącletnią historią, chrześcijańską kulturą, demokratyczno-liberalnymi tradycjami i odwiecznymi marzeniami o wolności, nie porozumiewa się z władzą. Ma pełne prawo władzę wybrać i zmienić, jeśli nie spełni jego oczekiwań.

Polemikę z założeniami filozoficznymi, politycznymi, społecznymi i gospodarczymi realnego socjalizmu uważamy za bezsensowną. Co to jest socjalizm, zwłaszcza realny, każdy widzi, zaś zwolennicy czerwonych stanowią tak nikły margines w społeczeństwie, że po prostu... nie warto.

Nie zamierzamy także reformować komunizmu (Radio WE, Głos Ameryki, St.Bratkowski, intelektualiści pisujący listy i memoriały, legion publicystów podziemia — zrobili to za nas). Według

nas jest on niereformowalny, ponieważ czerwonych interesuje tylko władza, władza za wszelką cenę, nawet za cenę ruiny moralnej i materialnej kraju, a nie reforma gospodarcza i polityczna, która by im część tej władzy odebrała.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja po naszej stronie barykady. Za nieumiejętność wyzwolenia się z przyzwyczajień i metod z minionego (solidarnościowego) okresu, za stawianie nierelistycznych celów, za dobieranie nieprzydatnych do ich realizacji metod zapłaci całe społeczeństwo. My wszyscy - i ci, którzy popierali, i ci, którzy przestrzegali, czym się to skończy.

Jeżeli jeszcze zwrócimy uwagę na najważniejsze: na niezrealizowanie koncepcji upolitycznienia podziemia komunistów wpływ mieli niemal zerowy, a przywódcy (TKK, RKW „M”) i publicyści z ośrodków opiniotwórczych („TM”, „KOS”) znaczny - to ton naszej publicystyki staje się tym bardziej zrozumiały. Jeżeli więc wyrażamy się krytycznie o działalności „S” po 13 grudnia, a jak się coraz częściej przekonujemy, nie jesteśmy sami - to po to, aby służyć jedynie według nas sensownej sprawie — odzyskaniu pełnej niezawisłości państwowej. Dlatego też, z zasadniczych powodów, a nie z osobistych sympatii lub antypatii, musimy trwać w politycznej opozycji wobec ugrupowań, które za strategiczny cel swojej działalności obrały szukanie porozumienia z komunistami. Jesteśmy zatem przeciwni pozorowanej jedności, wychodząc z historycznie sprawdzonego założenia o pluralizmie poglądów społeczeństwa demokratycznego i zmierzającego do demokracji. Jesteśmy przekonani, że tylko przez ostre dyskusje mogą wyłonić się programy (nie program) społeczno-polityczne odpowiadające zróżnicowanym postawom i poglądom Polaków. (...)

„Solidarność” w swoim kształcie ideowym i organizacyjnym z lat 1980-81 to przeszłość, która się już w Polsce nie powtórzy. Kładliśmy nacisk na to stwierdzenie nie dlatego, żeby wprawić w stan zakłopotania i irytacji jej największych wielbicieli („N” prowadzi rozbijacką robotę), ale dlatego, że zdawaliśmy sobie sprawę, że sentymentami, nawet najtrwalszymi, nie można budować rzeczywistego życia politycznego narodu. Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby owa organizacja zdobyła się wreszcie na uświadomienie sobie, że działania pozorowane nie doprowadzą do wolności i niepodległości Polski. Dopóki to się nie stanie, pozostaniemy w opozycji politycznej, niezależnie od opinii, które będą o nas wyrażane.

TKK, podziemne kierownictwo „S”, jakby nie zdawało sobie sprawy z zużywania się kapitału emocji i ze zmęczenia społeczeństwa, powielalo i powiela nadal wyłącznie symbole, może piękne i szlachetne, ale tylko symbole. My jesteśmy nie za symboliką, ale za wypełnieniem pustki politycznej, jaka powstała w rozpolitykowanym społeczeństwie. Naszym celem jest powstanie niepodległego państwa polskiego; zdajemy sobie sprawę, że nie

osiągniemy tego nigdy, jeżeli nie będziemy w stanie wyłonić z siebie politycznej reprezentacji narodu. Następnym etapem jest wywalczenie wolności tego państwa. Żaden naród nie może być prawdziwie wolny, jeżeli nie będzie w stanie wyłonić takiej grupy, która stałaby się

autentyczną narodową reprezentacją polityczną.

I dalej:

„Upolitycznienie podziemnej „Solidarności” okazało się niemożliwe. Dąsanie się na rzeczywistość, że jest taka jaka jest, byłoby śmieszne i politycznie jałowe. Świadome swych celów i metod ich osiągnięcia podziemie polityczne musimy budować, pomimo stanowiska oficjalnej „S”. Wspólnie z innymi istniejącymi w podziemiu grupami, o choćby częściowej samoświadomości politycznej, musimy podjąć dyskusję nad kształtem przyszłej Polski. Zamierzamy poszukiwać tego, co nas wszystkich w nim łączy i uświadamiać sobie, co nas dzieli.

Wynikiem takiej dyskusji powinna być świadomość nie tylko tego, jakiej Polski nie chcemy (komunistycznej), ale i jaką zamierzamy zbudować. Naszym zdaniem by łąby to Polska NIEPODLEGŁA, WOLNA, DEMOKRATYCZNA.

Józef Darski

ZMIERZCH KOMUNIZMU

„ Stworzony przez nią (tj. nomenklaturę - przyp. „N”) system gospodarczy charakteryzuje się słabymi wynikami, nie można bowiem wyobrazić sobie odczuwalnej poprawy wydajności pracy bez jego zmiany, jakkolwiek reforma zaś jest dla nomenklatury nie do przyjęcia, ponieważ oznaczałaby koniec jej monopolu. Pozostaje jej więc ekspansja na zewnątrz - ewentualna dominacja nad obcymi krajami i eksploatacja ich bogactw. „

Michał Wosleński, *Nomenklatura*

Zmierzch komunizmu

Świat jest podzielony; jego przyszłość rozstrzygnięto na początku 1945 roku. Dwa mocarstwa podzieliły między siebie kulę ziemską i nic więcej zdarzyć się nie może. Polska znajduje się w strefie sowieckiej. ZSRR jest jednym z dwóch mocarstw, które rządzą naszą planetą. Stanowi to fakt, a dżentelmeni i intelektualiści z faktami nie dyskutują. Konsekwencje dyktatu jałtańskiego są pewnie nieprzyjemne lecz są rzeczywistością, a co rzeczywiste jest konieczne. Tak powiedział Hegel, a ludzie wykształceni Heg-la znają. Jaki jest więc sens demokratycznych dążeń społeczeństwa? Można je rozważać w kategoriach socjologicznych, psychologicznych czy moralnych, lecz z praktycznego punktu widzenia jest to „chciejstwo". Gdzież nam się mierzyć z takimi państwami jak Francja czy RFN, a przecież one także baczą, by nie wywołać gniewu starców z Kremla. Polsce pozostaje więc pogodzić się z ograniczeniami i szukać rozwiązań wyłącznie w ich ramach. Wszystko inne to tylko marzenia.

Czy rzeczywiście przeciwstawienie się porządkowi jałtańskiemu oznacza brak realizmu? Czy realizm polega na uznaniu rzeczywistości za niezmienną? Wydaje się, że zarzucanie komuś braku realizmu jest zajęciem niezbyt płodnym. Każdy bowiem człowiek pragnący się polityką uważa się za realistę, a więc ze swojego punktu widzenia jest realistą, gdyż realizmem jest postępowanie wynikające z przewidywanego biegu wypadków. Każdy polityk przewiduje, stawia prognozy, co stanowi jedną z zasadniczych spraw w jego działalności. Odmiennosc prognoz wynika z różnych założeń przyjętych przy ich stawianiu, z różnego rozeznania i oceny obserwowanych zjawisk. Rzeczywistość bowiem nigdy nie jest jednoznaczna, jednym procesom towarzyszą inne, a ich skutki bywają przeciwstawne.

Zadaniem polityka jest ocenić, które procesy przeważą i jakie skutki wywołają.

W ocenie tej kieruje się on swym doświadczeniem i przemyśleniami, swym „nosem”, choć ma często do dyspozycji sztab doradców, opracowania naukowe oraz coraz dokładniejsze metody badań. Nigdy jednak nie są one dość pewne, by uchronić przed popełnieniem błędów. Polityk jest zawsze realistą i zawsze popełnia błędy.

Zadaniem tego artykułu jest przedstawienie naszej oceny sytuacji i przewidywań, dzięki którym uważamy za możliwe przeciwstawienie się rzeczywistości pojałtańskiej.

Socjalizm realny liczy sobie 65 lat. W ciągu tego niedługiego przecież czasu odniósł on niemałe sukcesy. Z archaicznego i słabego kraju, jakim była Rosja przedrewolucyjna, zdołał zbudować imperium znacznie przewyższające swym zasięgiem i siłą dawne państwo carów z najświetniejszego okresu. Zastanówmy się, jakie czynniki umożliwiły komunistom u-mocnienie swej władzy, budowę potęgi militarnej, ekspansję terytorialną i ideologiczną.

Komunizm zwyciężył w kraju o ogromnym obszarze i bardzo zacofanym. Również po drugiej wojnie światowej (po Jałcie) pod panowanie komunizmu, poza nielicznymi wyjątkami, dostały się kraje zacofane. Miało to swoje konsekwencje. W państwie zacofanym (gospodarczo i społecznie) można stosunkowo łatwo uzyskać postęp; jest on wynikiem skoncentrowania wysiłków na dziedzinach gospodarki uznanych za szczególnie ważne. Centralizacja decyzji, kontrola społeczeństwa i gospodarki, a co za tym idzie, likwidacja normalnych mechanizmów, są tu wielce przydatne. Umożliwia to osiągnięcie efektów nie dających się zrealizować w krajach bardziej liberalnych i zdecentralizowanych, a takimi są państwa niekomunistyczne, nie wyłączając żadnej z tradycyjnych tyranii. Wyjaśnijmy nasze rozumowanie na podstawie dwu przykładów.

I. Likwidacja analfabetyzmu - Jednym z najbardziej charakterystycznych wyróżników społeczeństwa zacofanego jest analfabetyzm. Jego likwidacja w normalnych warunkach sprawia trudności z kilku powodów, choć nie wszystkie z nich muszą występować. Wymieńmy tylko najważniejsze:

- grupy rządzące i wykształcone nie są zainteresowane w likwidacji analfabetyzmu;
- nawet jeżeli są zainteresowane, nie uważają tego za sprawę najważniejszą, a co za tym idzie nie przeznaczają na nią wystarczających środków;
- tradycyjne, tj. niewykształcone i niepiśmienne, na ogół wiejskie społeczeństwo niechętnie przyjmuje przymus kształcenia. Może to mieć podłoże religijne, np. w stosunku do kształcenia kobiet w krajach muzułmańskich;
- brak totalitarnej kontroli uniemożliwia ewidencję ludności i walkę z analfabetyzmem.

Wymienione wyżej czynniki nie występują w komunizmie. Jest on bowiem zainteresowany w rozbiciu tradycyjnych struktur, gdyż utrudniają one centralne kierowanie społeczeństwem. Likwidacja analfabetyzmu ściśle łączy się z likwidacją struktur patriarchalnych, opartych na poszanowaniu tradycji. Każde słowo pisane ma dla komunistów wartość propagandową, ponieważ ludność, która umie czytać i pisać, co nie znaczy, że jest naprawdę wykształcona, może

znacznie skuteczniej przyswajać sobie komunistyczną propagandę. Dlatego też postęp społeczny jest w tym wypadku ściśle związany z interesem władzy centralnej. W trakcie walki z analfabetyzmem zwiększa się więc kontrola nad społeczeństwem, zaś niechęć tradycyjnych struktur społecznych do kształcenia się zostaje złamana siłą. W sumie, walka z analfabetyzmem należy do arsenału metod manipulowania społeczeństwem stosowanych w celu osiągnięcia pożądanych zachowań, czyli do socjotechniki, choć niewątpliwie wzrost poziomu wykształcenia jest wskaźnikiem postępu społecznego.

II. produkcja stali - w wieku XIX rewolucja przemysłowa spowodowała w sposób dotychczas nie spotykany wzrost produkcji stali. Dlatego też jej wielkość została uznana za najważniejszy wskaźnik rozwoju przemysłowego. Należy jednak zaznaczyć, że to nie stal (żelazo) budowała przemysł, lecz wzrost jej produkcji wynikał z rosnącego zapotrzebowania pozostałych działów przemysłu. Dynamika produkcji stali oznaczała więc dynamikę rozwoju całego przemysłu. (...)

W ZSRR produkcja stali wzrosła w latach 1918-1940 sześciokrotnie. Potrzebował on więc znacznie krótszego czasu, by osiągnąć poziom produkcji równy światowemu, niż kraje przeżywające kapitalistyczną rewolucję przemysłową. Jak to było możliwe?

W kapitalizmie czynnikiem ograniczającym produkcję jest popyt; jej wielkość zależy od zapotrzebowania na dany produkt. Poziom ogólnego popytu zależy zatem od stopnia rozwoju gospodarki. Jeżeli nie ma zapotrzebowania na stal, np. w momencie kryzysu, jej produkcja nie wzrasta, a nawet może zmaleć. Zjawisko to wynika z mechanizmu rynkowego, który w systemie komunistycznym zostaje skutecznie zlikwidowany. Wielkość produkcji zależy tu jedynie od możliwości technicznych (czynniki podażowe), a pojęcie „nadprodukcji” nie istnieje. Stal przeznaczona jest na maszyny, a te z kolei do wytwarzania urządzeń hutniczych i wytopu stali. Produkcja dla produkcji, maszyny produkują maszyny, a statystyka rejestruje rozwój. W rzeczywistości celem nadrzędnym tego błędnego koła są zbrojenia, choć mogą też być realizowane inne zadania.

Możliwość koncentracji środków na wybranych dziedzinach gospodarki powoduje, że państwo komunistyczne jest w stanie zrealizować zupełnie fantastyczne cele, nieosiągalne nawet dla nieporównywalnie bogatszych krajów kapitalistycznych. Mechanizm rynkowy utrudnia bowiem, w niektórych zaś przypadkach wręcz uniemożliwia podjęcie wielu przedsięwzięć produkcyjnych. Gospodarka centralnie planowana nie zna natomiast żadnych przeszkód tego rodzaju. Niespotykane sukcesy gospodarcze są możliwe, a nawet konieczne, choćby ze względów propagandowych. Może to być zagospodarowanie pustyni o powierzchni milionów kilometrów kwadratowych, czy podbój kosmosu lub budowa największej w Europie huty żelaza. Tej huty nie byłaby w stanie wybudować żadna spółka kapitalistyczna, gdyż nikt nie zdołałby zebrać wystarczającej ilości funduszy na przedsięwzięcie z góry skazane na bankructwo.

W socjalizmie realnym natomiast bankructwo nie istnieje.

Spektakularnym sukcesom polityki gospodarczej i socjalnej towarzyszyła w pierwszych latach władzy komunistycznej prawdziwa rewolucja społeczna. Polegała ona na przemieszczeniu terytorialnym i społecznym milionów ludzi. Zdobycie władzy przez komunistów, zarówno w Rosji, jak i w innych krajach satelickich, wywołało bowiem masowe migracje. Zaznaczmy jeszcze, że były one poprzedzone śmiercią milionów ludzi w I i II wojnie światowej. Do tego dochodziły dalsze ofiary wojny domowej, w czasie której fizycznie likwidowano całe ogromne grupy społeczne: inteligencję, duchowieństwo, dawnych urzędników itd. Abstrahując od oceny moralnej tego zjawiska, podkreślmy, że wytworzyło ono próżnię, którą mogły zapełnić inne grupy. W ten sposób pierwsze lata komunizmu stworzyły możliwość awansu na niespotykaną skalę. Ludzie, którzy przed komunistycznym przewrotem skazani byli na egzystencję w najniższych warstwach społecznych, po rewolucji stawali się urzędnikami nowej władzy. Komuniści rozdając awanse i przywileje kupowali sobie wierność części społeczeństwa. Inna rzecz, że przynajmniej w Polsce nigdy nie mogli nawet marzyć o poparciu większości. Możliwości awansu społecznego nie wyczerpywały się tylko na etatach urzędniczych. Migracja ludności ze wsi do miast, związana z gwałtowną industrializacją, również powodowała swego rodzaju awans społeczny, a przy okazji niszczyła dawne struktury wiejskie, znacznie bardziej odporne wobec komunistycznych kierowników państwa od młodej i pozbawionej tradycji klasy robotniczej. Ta nowa klasa robotnicza, a przede wszystkim nowa inteligencja pochodząca z awansu, nie znająca historii i nie dysponująca żadnym zapleczem szerokiej wiedzy humanistycznej, łatwo ulegała ideologii komunistycznej. Zdawała się ona wyjaśniać, zwłaszcza w swej stalinowskiej, zwulgaryzowanej wersji, całość zjawisk społecznych, a nawet przyrodniczych, i była na tyle prosta, że dla niedouczonej inteligencji stanowiła często pokusę nie do odrzucenia. W tym głównie tkwiła tajemnica ekspansji ideologii komunistycznej w pierwszych latach po zdobyciu władzy. Wszystko się nawzajem nakładało i wzmacniało. Chłopak, który dzięki nowej władzy mógł wyjechać ze wsi do miasta, skończyć studia, zostać kierownikiem, sekretarzem czy naczelnikiem, w trakcie swej przyspieszonej kariery poznawał jednocześnie filozofię marksistowsko-leninowską, która odpowiadała na pytania jakie być może sobie stawiał oraz uczyła nowych zasad gry: liczy się kariera, rację mają zwycięzcy — a zwycięski jest wyłącznie komunizm. Pierwsze lata po zdobyciu władzy przez komunistów zakończyły się więc ich całkowitym sukcesem. Podsumujmy, co już zostało powiedziane:

- nowy system skutecznie przeprowadził przyspieszoną industrializację,
- umożliwił awans społeczny milionów ludzi,
- zrealizował lewicową politykę socjalną (ochrona zdrowia, likwidacja analfabetyzmu),
- stworzył nową klasę robotniczą i inteligencję, które, wydawałoby się, powinny być wierne nowej władzy.

Zastanówmy się, jakie były koszty tych operacji. Mówiliśmy już o milionach

ofiar wojny domowej i terroru pierwszych lat po rewolucji. Komuniści twierdzą, że były one niezbędne dla osiągnięcia szczęścia w nowym społeczeństwie. Z tą tezą nie będziemy dyskutować. Trudniejsze do wytłumaczenia są natomiast dla komunistów ofiary głodu i terroru panujących w kilkanaście lat po rewolucji. W latach 30-tych, w pierwszych latach kolektywizacji rolnictwa, w Rosji i na Ukrainie zmarło z głodu ponad 10 milionów ludzi. Ale ofiary w ludziach nie wyczerpują kosztów budowy komunizmu. Każdy sukces industrializacji pociąga za sobą w istocie ogromne straty, których ciężar spada zarówno na społeczeństwo realizujące dane przedsięwzięcie, jak i na przyszłe pokolenia. Dlaczego tak się działo i dzieje nadal? Nie chodzi o to, że budowa Magnitogorska czy Czelabińska była kosztowna, gdyż każda inwestycja kosztuje. Idzie o efekt, jaki uzyskano dzięki tym nakładom — a był on mniejszy od wyników, jakie można było osiągnąć przy zastosowaniu innej polityki ekonomicznej.

Gospodarką krajów kapitalistycznych rządzi prawo wartości. Nie wdając się w szczegóły i nie powtarzając akademickich wykładów, należy podkreślić mocno jeden fakt: każda decyzja ekonomiczna wynikająca z prawa wartości daje większą efektywność niż lekceważąca je. Spektakularne sukcesy gospodarcze Kraju Rad i jego satelitów lekcewały prawo wartości. W komunizmie bowiem wszystko jest możliwe. Decyzje zależą tu od fantazji, umiejętności czy partykularnych interesów decydentów. Nikt przecież nie pyta o koszt, a liczy się tylko efekt. Fakt, że podobny rezultat można uzyskać mniejszym nakładem środków nie jest ważny. Czy opisywane zjawisko świadczy o głupocie decydentów? Oczywiście nie! Nie przeceniając intelektualnych możliwości sterników państwowych naw realnego socjalizmu, należy jasno stwierdzić, że nie tu kryją się przyczyny kryzysu. Rzecz jasna, bardziej rozumne posunięcia mogą go opóźnić (polityka Kadara), a mniej rozsądne doprowadzić do krachu szybciej (polityka Gierka). Jednak nawet najtęższe umysły nie są w stanie podejmować optymalnych decyzji gospodarczych w sytuacji, gdy brakuje rynku. Centralny planista nie może go zastąpić, choćby dysponował aparatem matematycznym i odpowiednim sprzętem informatycznym, a na ogół go nie posiada.

Czym różni się rynek od gospodarki kierowanej centralnie?

Rynek premiuje to, co przynosi zysk, czyli różnicę między nakładami i efektami. W sumie rynek premiuje efektywność. Czyni to z całym okrucieństwem, skazując na bankructwo przedsiębiorstwa nierentowne. Ich plajta oznacza, że gospodarka jako całość nie zbankrutuje, że jest zdrowa. W ekonomice scentralizowanej natomiast decyzje podejmowane są przede wszystkim w oparciu o kryteria polityczne - interes centralnego planisty lub partykularne interesy skłóconego aparatu: lobby przemysłowe, górnicze, przetargi między wojewódzkie. Każda decyzja centralna jest wypadkową tych interesów. Nawet wówczas, gdy centralny planista pragnie podjąć decyzję w oparciu o kryteria optymalności makroekonomicznej, nie ma tej możliwości, gdyż gospodarka nie posiada ani właściwych cen, ani instrumentów służących do przekazywania owej decyzji bez zniekształceń do realizacji. (...)

W sumie wielkie inwestycje, tzw. komunistyczne strojki, oznaczają kumulowanie się gospodarczej nieefektywności, której koszty stale musimy płacić. Wyzwolenie się komunizmu spod władzy prawa wartości, umożliwiające podjęcie każdej decyzji i realizację każdego przedsięwzięcia, odbywa się za cenę nieefektywności. Dopóki tworzono gospodarkę na przemysłowej pustyni, było to z reguły niezauważalne. Ofiary strojek traktowano przecież jako haracz, który trzeba zapłacić postępowi. Kumulowanie się nieefektywności ma jednak też swoje granice. Kilkadziesiąt lat po zwycięstwie komunizm choruje. Czy jest to choroba śmiertelna? Na czym polega? Zanim odpowiemy na te pytania, wyjaśnijmy dlaczego inteligencja i klasa robotnicza buntują się, skoro zawdzięczają tak wiele władzy?

Mówiliśmy już o gigantycznym awansie przesuwanym „w górę” miliony ludzi w pierwszych latach realnego socjalizmu. Awans ów miał swoje przyczyny, o których już wspominaliśmy, nie mógł jednak trwać wiecznie, gdyż wraz ze stopniowym ich zanikaniem następowało zablokowanie możliwości awansów grupowych na większą skalę. Teoretycznie awans pionowy powinien zostać zastąpiony przez awans poziomy: zwiększenie zamożności, lepsze życie, realizację pasji w pracy zawodowej. To jednak nie nastąpiło, a przynajmniej w stopniu niewystarczającym dla rozładowania społecznych frustracji. Powód był prosty: komunizm przez swój brak efektywności gospodarczej nie jest zdolny do realizacji materialnych aspiracji. Potrzeby rozbudzone dodatkowo przez politykę socjalną rosły szybciej od możliwości ich zaspokojenia. Dlaczego tak się dzieje? Jak nazywa się choroba komunistycznej gospodarki? Odpowiedzi są różne: choroba „pustych pól” i „długich kolejek”, choroba wzrostu cen i inflacji, choroba zadłużenia i malejącego wzrostu lub zacofanego rolnictwa. Są to jednak objawy jednej choroby, na którą zapadły wszystkie kraje socjalistyczne, niezależnie od tego jakie są jej symptomy występujące u poszczególnych pacjentów. Dobrze zaopatrzone Węgry i wynędzniała Rumunia, zadłużona Polska i niezadłużona Czechosłowacja chorują na nieefektywną gospodarkę, którą można rozpoznać po:

- wysokiej i w długich okresach czasu rosnącej kapitałochłonności,
- wysokiej materiałochłonności i energochłonności,
- „odporności” na postęp techniczny,
- przestarzałej i niekonkurencyjnej na rynkach światowych produkcji przemysłowej.

Z owej choroby wynikają zjawiska obserwowane na codzień: złe zaopatrzenie, wysokie ceny, produkcja bubli, zadłużenie bądź stagnacja, a najczęściej wszystko naraz. Kraje socjalistyczne muszą ponosić wciąż rosnące nakłady, by uzyskiwać odpowiedni dochód. Aby uzyskać środki na inwestycje, muszą zaciągać kredyty (Polska, Węgry) lub radykalnie ograniczać poziom konsumpcji (Bułgaria, Czechosłowacja, ZSRS), bądź tkwić w stagnacji. Ten ostatni etap następuje zresztą we wszystkich państwach bloku, ponieważ kredyty nie mogą płynąć tylko w jednym kierunku. Po jakimś czasie trzeba je spłacać, czemu nieefektywna gospodarka nie jest w stanie poddać (niekonkurencyjność towarów), chyba że za cenę skrajnych wyrzeczeń —

ograniczenia importu i konsumpcji. Koło zatem zamyka się. Nakłada się na to niezadowolenie społeczne wywołane zablokowaniem dróg awansu i powstaje sytuacja wybuchowa. Wybuch jednak nie musi nastąpić w tym samym czasie, gdyż jego przyjsię zależy od stopnia zorganizowania społeczeństwa i poziomu stosowanych represji. Najlepiej było i jest zorganizowane społeczeństwo polskie, które nie tylko posiada swój Kościół, ale także wytworzyło w latach 70-tych załączki niezależnych organizacji politycznych. Dlatego też w Polsce wybuch nastąpił najwcześniej.

W sytuacji narastającego kryzysu dla kierownictwa komunistycznego staje się koniecznością zdławienie niezależności społeczeństwa, co powstrzyma lub spacyfikuje wybuch. Pozostaje tylko pytanie: na jak długo? W tej chwili nikt nie jest w stanie na nie odpowiedzieć. Z konieczności wzmożenia represji zdają sobie sprawę przywódcy obozu.

Stan wojenny w Polsce równie dobrze mógł zostać wprowadzony w grudniu 1970 roku — 11 lat swobody zostało opłacone kredytami. Zresztą odsunięcie o dekadę stanu wojennego (wyższy stopień represyjności) było wynikiem słabości partii rządzącej i niezrozumienia przez Gierka konieczności dziejowej. Represje nie likwidują jednak kryzysu, nie pozwalają jedynie przekształcić go w rewolucję. Należy jasno zdać sobie sprawę z tego, że kryzys w Polsce jest tylko szczególną formą kryzysu nękającego cały blok.

Jakie należy spełnić warunki, by odblokować gospodarkę i usunąć chorobę nieefektywności? Gospodarka nie może być podporządkowana centrum, lecz prawom ekonomicznym. Rezygnacja z podporządkowania centrum powoduje załamanie się komunistycznego monopolu w najbardziej newralgicznym punkcie, jakim jest ekonomika. Oznacza to utratę przez aparat rządzący dużego zakresu władzy, co jest dla niego nie do przyjęcia. Stan wojenny w Polsce został wprowadzony w momencie, gdy „S”, choć powoli, szykowała się do pozbawienia PZPR decydującego wpływu na gospodarkę, dążąc do złamania monopolu komunistów w tej dziedzinie poprzez demokratyczne wybory dyrektorów. Oznaczałoby to początek likwidacji aparatu rządzącego. Poprawa efektywności gospodarki jest więc ściśle związana z likwidacją dotychczasowego systemu społecznego. Ustrój komunistyczny, jak wyżej wykazaliśmy, skazany jest na gnicie, zaś leczenie jego choroby musi oznaczać jego zagładę. Rozwiązania typu „reforma węgierska” są tylko pozorne, gdyż likwidują je dynie niektóre objawy choroby, np. puste półki, poprzez wzmocnienie innych: wzrostu cen, zadłużenia. Gnijąca gospodarka będzie osłaniana przez jej kierowników represjami. Może to ocalić ich na krótką metę, ale na dłuższą — upadek gospodarki spowoduje upadek systemu. Pozostaje tylko pytanie: jak prędko?

Na początku artykułu założyliśmy sobie jako cel wyjaśnienie, dlaczego porządek światowy określony układem jałtańskim zawali się. Opiera się on na równowadze dwóch bloków militarnych i ekonomicznych. Blok sowiecki czekają w najbliższych latach wstrząsy spowodowane rozkładem gospodarki. Jest to nieuniknione, natomiast na czym te wstrząsy będą polegały, to już inna sprawa. Czy objawią się wybuchem społecznym jak w Polsce, czy masowym

głodem (już występującym na prowincji w Rosji), czy też przerodzą się w serię zamachów wojskowych? Odpowiedzi udzielią najbliższe lata. Jedno jest jasne: porządek jałtański nie przetrwa systemu komunistycznego, a to może nam przynieść zarówno nadzieję jak i apokalipsę.

«Niepodległość» nr 6, czerwiec 1982, ss.7-17

Reforma Wschodu - złudzenia Zachodu?

(...)

Komunizm jest ustrojem sztucznie ustanowionym, realizacją utopijnych idei Marksa i jego następców. Organizacja społeczeństwa i ekonomiki wynika z przesłanek ideologicznych. Ów prymat ideologii nad racjonalnością powoduje, że kraje komunistyczne nie są w stanie konkurować z Zachodem na płaszczyźnie gospodarczej. Nie są nawet w stanie wyżywić się o własnych siłach i ogólnie poziom konsumpcji mają niski, co powoduje napięcia społeczne. Politycy komunistyczni kierują się doktryną marksistowską i dlatego z przyczyn ideologicznych nie dopuszczają do zmian niezbędnych dla poprawy gospodarczej efektywności. Czystość doktryny jest dla nich większą wartością niż sprawność gospodarki. W swej komunistycznej pryncypialności nie są jednak jednolici. Ogólnie można więc wyróżnić tych, dla których idea ma wartość niczym wiara dla pierwszych chrześcijan i tych, którzy skłonni są podejść do niej elastycznie w imię usprawnienia gospodarki. Spór między tymi dwiema grupami (twardogłowymi i pragmatykami) jest osią, wokół której od kilkudziesięciu już lat toczy się gra polityczna w krajach realnego socjalizmu. W owej rozgrywce pragmaty-cy mają przewagę, już choćby z tej racji, że ich przeciwnicy w swych działaniach ograniczeni są znacznie bardziej doktryną, co musi mieć wpływ na ich skuteczność. Pragmatycy muszą jednak działać ostrożnie, gdyż Kreml, który stanowi centrum dyspozycyjne całego ruchu komunistycznego, opanowany jest przez twardogłowych. Przyszłość należy jednak zdecydowanie do pragmatyków forsujących reformy gospodarcze, których sens polega na decentralizacji i uwzględnieniu praw ekonomii rynkowej. Ponieważ tendencja ta jest stała, zaś przykład sprawnej gospodarki wielce zachęcający, można mniemać, że szeregi twardogłowych będą topnieć, a pragmatyków rosnać w siłę, i proporcjonalnie do tego gospodarka będzie się upodabniać do wolnorynkowej. To zbliżenie się nie ma ograniczeń, poza kontrowaniem reform przez twardogłowych. Ostatecznym celem opisywanego procesu jest komunizm z gospodarką wolnorynkową. Pryncypia polityczne zostaną zachowane: monopol partii komunistycznej, funkcjonowanie ideologii marksistowskiej jako oficjalnej religii państwowej, a mimo to gospodarka będzie rządzona prawem racjonalnym i oddzielona od polityki. Ten skrótowo przedstawiony schemat jest typowym dla rozumowania większości zachodnich

specjalistów. Upatrują oni pragmatyka niemal w każdym nowym władcy Kremla; ostatnio ich faworytem jest An-dropow, a warto zajrzeć do starych gazet by zobaczyć, jak dobrą prasę miał pragmatyk Stalin w latach dwudziestych; wielkie nadzieje pokładają też w reformach Kadara i Jaruzelskiego.

Schemat ten jest błędny i wynika z wielkiego niezrozumienia istoty systemu komunistycznego.

Zachodni menadżer, zarówno polityk jak i biznesmen, podejmuje decyzje w warunkach konkurencji, która wymusza dostosowanie się do określonych reguł gry. Przedsiębiorstwo które gospodaruje poniżej pewnego poziomu efektywności musi zbankrutować. Podobnie polityk, który nie potrafi odnieść sukcesów, partia polityczna, która doprowadza do katastrofy gospodarczej lub politycznej, muszą zniknąć ze sceny.

Życiem politycznym i ekonomicznym komunizmu rządzą natomiast zupełnie inne prawa. Istnieje bowiem tylko jedno liczące się przedsiębiorstwo — państwo — partia. Przy całkowitym braku konkurencji decyzje podejmowane przez socjalistycznych menadżerów są niezależne od zasad racjonalnego działania. Nie znaczy to, by nie podlegały one żadnym prawidłowościom, lecz nie jest to racjonalność w rozumieniu człowieka Zachodu. Za przykład niech posłużą szokujące często decyzje dotyczące rozmieszczenia wielkich inwestycji, szlaków transportowych, skupisk wykwalifikowanych kadr itd.

Lenin napisał kiedyś, że polityka jest skondensowaną ekonomiką, a jego następcy zdecydowanie preferują ten koncentrat. U podłoża ich decyzji ekonomicznych leży bowiem właśnie polityka. Kryterium ogólnospołeczne jest pierwszą zasadą podejmowania decyzji gospodarczych. Cóż to oznacza?

Efektywne jest wszystko, co umacnia system komunistyczny. Przytoczmy dwa podstawowe przykłady: przyspieszona industrializacja i kolektywizacja rolnictwa.

Komunizm zwyciężył na ogół w krajach słabo rozwiniętych. W pierwszych latach forsowały one niezwykle szybkie tempo rozwoju przemysłu ciężkiego, Rozbudowa hutnictwa i górnictwa była zdecydowanie szybsza niż przemysłów wytwarzających towary konsumpcyjne. Industrializację oparto na przestarzałych technologiach, struktura produkcji wymuszała zaś nadmierne zużycie surowców, materiałów i energii. Sytuacja ta trwa zresztą do dziś i w skrajnym przypadku prowadzi to do produkcji dla produkcji. Według kryteriów ekonomicznych jest to błąd, materiałochłonność rośnie bowiem w miarę zwiększania się wytwórczości szybciej niż sama produkcja, a więc mimo gigantycznych stalowni, stali wciąż brakuje; w miarę wzrostu wydobywania węgla jego deficyt pogłębia się, itd.

Ekonomiczna bzdura nie jest jednak bzdurą polityczną. Przyspieszona industrializacja rozbija bowiem tradycyjne struktury społeczne, powoduje olbrzymią migrację ludności wiejskiej do miast. Dlatego też nowa struktura może być formowana według modelu centralnego planisty. Decyzje ekonomiczne stają się w ten sposób instrumentem socjotechniki.

Drugim, obok możliwości kształtowania nowej struktury społecznej,

powodem forsowania szybkiego tempa industrializacji, zwłaszcza przemysłów ciężkich, są rzecz jasna potrzeby militarne. Kraje komunistyczne mają siły zbrojne rozbudowane zawsze ponad poziom wynikający ze stopnia ich rozwoju gospodarczego.

Kryteria ogólnopolityczne (socjotechnika, zbrojenia) nie są jedynymi wyznacznikami decyzji ekonomicznych. Władza komunistyczna nigdy nie jest monolitem. Centrum dyspozycyjne nie jest też w stanie sterować całością gospodarki. Do głosu dochodzą również interesy partykularne. Grupy nieformalne (w Polsce mówi się powszechnie: „kliki” lub „sitwy”) sprawują, wbrew ideologii i statutowi partyjnemu surowo potępiającemu działalność frakcyjną, właściwe rządy w państwie, a więc także w gospodarce komunistycznej. Nowy paradoks: gigantyczne przedsiębiorstwo, którym jest gospodarka centralnie planowana, zarządzane jest przez setki tysięcy wyższych i niższych kierowników potrafiących w grze o władzę niemal zawsze wywalczyć dla siebie dość szeroką samodzielność, nie wynikającą wcale z formalnych przepisów, lecz z realnego układu stosunków, z czego wynika zasadnicza sprzeczność tzw. gospodarki planowej. System komunistyczny, eliminując wszelki pluralizm i konkurencję ekonomiczną, nie jest jednocześnie w stanie zapewnić sprawnego zarządzania gospodarką przez centrum. Dlatego poszukiwanie efektywnego sposobu zarządzania leży u podstaw reform podejmowanych przez system.

Decyzje komunistycznych kierowników najwyższych szczebli nie są ograniczane ani przez prawo, które nie istnieje, ani wreszcie przez prawidłowości ekonomiczne, którym system ten nie podlega. Dlatego też przywódca komunistyczny wydaje się być zupełnie wolny w tworzeniu rzeczywistości. Ten raj jednak nie istnieje, a jeżeli nawet, to bardzo krótko. Woluntaryzm ograniczają bowiem minimalne potrzeby społeczeństwa w sferze konsumpcji. Pozbawione demokratycznych praw masy mają jeszcze zawsze prawo do buntu, którego widmo ciąży nad decyzjami przywódców krajów komunistycznych. U podstaw zaburzeń społecznych w bloku sowieckim leży zawsze niezadowolenie mas ze swego poziomu życia. Bunt można jednak uśmierzyć siłą, co dotychczas zawsze się udawało. Im większe niezadowolenia społeczne, tym większych trzeba użyć represji celem spacyfikowania nastrojów. Komunizm zna w swej historii okresy nędzy przekraczającej próg egzystencji biologicznej - głodową śmierć milionów ludzi na żyznej Ukrainie i towarzyszące temu represje na skalę porównywalną tylko z hitlerowskim ludobójstwem. Polityka kija i marchewki ma prostą logikę - im mniej marchewki, tym grubszy kij. Represje na skalę tych z lat 30-tych, 40-tych i początków 50-tych nie są celem samym w sobie, nie są nawet dla komunistów specjalnie pożądane. Służą one utrzymaniu społeczeństwa w ryzach ustroju, lecz gdy przekroczą pewien próg, mogą godzić w samą elitę władzy komunistycznej. Z tego względu „oświecony komunizm” stara się utrzymać poziom represji poniżej krytycznego progu, a co za tym idzie zachować konsumpcję powyżej krytycznego minimum. Nie znaczy to oczywiście, że zawsze mu się udaje tak postępować, ale przytoczona zasada stanowi podstawowy wymóg ograniczający wolność

komunistycznego kierownika. Nie może on pozwolić na zupełny rozkład gospodarki i dlatego gorączkowo poszukuje, zwłaszcza w momentach krytycznych, sposobów poprawy efektywności. Drugim powodem zmuszającym komunistycznych władców do owych poszukiwań jest trwający wciąż wyścig zbrojeń. Sektor zbrojeniowy stanowi obszar wydzielony i zasilany najlepszymi kadrami oraz technologiami pochodzącymi z importu, dzięki czemu nie odczuwa „wąskich gardeł” blokujących pozostałe sektory. Owa enklawa nie może jednak być całkowicie niezależna od tego, co dzieje się poza nią. Na zbrojeniówkę bowiem pracuje reszta gospodarki i efektywność tej pracy nie może pozostawać zupełnie dla niej obojętna. Na dobrą sprawę enklawa zbrojeniowa jest pojęciem teoretycznym, gdyż cała gospodarka w większym lub mniejszym stopniu pracuje na jej potrzeby. Wysoki udział zbrojeń w całości ekonomiki rekompensuje niską efektywność gospodarowania, dlatego jest on znacznie wyższy w krajach komunistycznych niż w demokracjach zachodnich. Nie może jednak wzrastać w sposób nieograniczony. Na dłuższą metę wyścig zbrojeń zależy więc od wzrostu gospodarczego, a zatem od poprawy efektywności. Istnieją w związku z tym silne motywy skłaniające komunistycznych sterników do poszukiwania sposobów wyzwolenia wzrostu efektywności. Podstawowym hamulcem okazuje się tu specyficzny system zarządzania gospodarką.

Rynek nie istnieje, a więc nie ma normalnych bodźców skłaniających przedsiębiorstwa do konkurencji poprzez większą efektywność, wydajność pracy, niższe koszty. Pierwszym pomysłem komunistów na zastąpienie rynku jest nakaz. Zbudowany w oparciu o niego system ekonomiczny wygląda mniej więcej następująco:

Centrum decyzji gospodarczych znajduje się w Komisji Planowania, która spełnia rolę sztabu mającego za zadanie przełożyć na język ekonomiczny decyzje polityczne zapadające na posiedzeniach Politbiura partii komunistycznej. Komisja jest miejscem, w którym bilansuje się zadania gospodarcze i rozdziela środki potrzebne do ich realizacji. Na tym szczeblu planowane zadania bilansuje się niezwykle szczegółowo. Istnieje też długa lista wyrobów uznanych za szczególnie ważne, których produkcją steruje bezpośrednio centrum. Podejmuje ono również decyzje dotyczące rozdziału inwestycji, siły roboczej, wysokości średniej płacy, bilansu handlu zagranicznego itd. Zadania produkcyjne przydzielane są poszczególnym ministerstwom, województwom i niższym zjednoczeniom, przedsiębiorstwom, wydziałom, brygadam i tak dochodzą bezpośrednio do warsztatów pracy. Przypomnijmy, że omawiamy pierwszy etap komunizmu, kiedy sankcje za niewykonanie zadań mogą być jeszcze bardzo ostre. Przypadki takie tłumaczy się często sabotażem i karze się surowo. W miarę cywilizowania się komunizmu sankcje karne ustępują miejsca administracyjnym (zwalnianie ze stanowisk) i finansowym (obcinanie zarobków), lecz sam mechanizm nie ulega zasadniczej zmianie. Ocena administracyjna poszczególnych szczebli zarządzania powoduje, że całą swą uwagę kierują one w stronę zabezpieczenia się przed konsekwencjami niewykonania planu. To, że plany nie są

dostosowane do rzeczywistych możliwości zakładów pracy, nie wymaga długiego wywodu. Centrum nie ma przecież technicznych możliwości prawidłowej oceny potencjału poszczególnych przedsiębiorstw, zdane jest bowiem na informacje pochodzące od szczebli najniższych. Zaczyna się więc gra. Jednostki niższe maksymalnie zaniżają swe możliwości i zawyżają potrzeby. Szczeble wyższe starają się natomiast zrobić coś dokładnie odwrotnego. Ten poker ma skomplikowane reguły. Każdy poziom w hierarchii gospodarczej dublowany jest przez hierarchię polityczną - partię komunistyczną. Jeszcze jednym partnerem przy zielonym stoliku jest administracja terenowa. Personalnie wszyscy gracze objęci są nomenklaturą, tj. systemem obsadzania stanowisk przez komitety partyjne, a ponieważ nie stanowi ona monolitu, każdy z partnerów związany jest z różnymi grupami wewnątrz niej. Faktyczna pozycja jest więc inna niż wynikałoby to z formalnej gradacji szczebli. Decyzje dotyczące rozdziału zadań i środków nie mają przesłanek ekonomicznych, lecz są wynikiem opisaney wyżej gry. Argumenty ekonomiczne stanowią jedynie język owej gry i posiadają charakter czysto instrumentalny, podobnie jak język ideologiczny. Argumenty gospodarcze, społeczne lub ideologiczne pełnią rolę zaklęć stosowanych przez wszystkich partnerów w grze, by uzyskać efekt dla siebie korzystny — minimalne zadania i maksymalne środki. O metafizycznym charakterze języka ekonomicznego przesądza choćby fakt braku prawidłowej wyceny poszczególnych czynników produkcji. Ceny zależą bowiem od decyzji administracyjnej, a więc subiektywnej. Dlatego argumenty gospodarcze nie dają się nigdy zweryfikować przed podjęciem decyzji. Czyni to dopiero czas, który z reguły wystawia komunistycznym kierownikom negatywne oceny, lecz nie ma to większego znaczenia dla bieżącej gry.

Jedną z bardziej pożądaných stawek w grze są środki inwestycyjne. Jeżeli bowiem są inwestycje - są limity etatów, pieniądze na premie i godziny nadliczbowe, możliwości awansu i wyjazdu za granicę dla omówienia dostaw lub na przeszkolenie, itd. Nie wszyscy dostaną po równo, lecz gdy koryto jest pełne — wystarczy dla wszystkich: robotnik otrzyma premię i podwyżkę, dyrektor przedsiębiorstwa wyjazd do kraju za żelazną kurtyną, wojewódzki pierwszy sekretarz, wojewoda czy komendant milicji zawsze wykroją dla siebie z inwestycji wilę. Inwestycje to eldorado. Dlatego też boje o nie toczą się na najwyższych szczeblach partyjno-państwowej hierarchii. Wygrywa najsilniejszy: maszynówka (czytaj — zbrojeniówka), górnictwo, czasem chemia. Dla mięczaków nie ma tu miejsca; rolnictwo lub przemysł spożywczy mają małe szansę. Gospodarka komunistyczna jest chronicznie przeinwestowana, co stanowi przyczynę przeżywanych przez nią cyklicznych kryzysów.

Partia komunistyczna zajmuje szczególną pozycję w opisywanej grze. Pełni ona często rolę arbitra, choć również sama bierze udział w rozgrywce; coś jakby w meczu piłki nożnej sędzią był jeden z zawodników. Partia ustala często reguły gry, trzyma w swym ręku nici decyzji personalnych — nomenklaturę. Ta oznacza zaś, że żadna nominacja nie może się odbyć bez akceptacji odpowiedniego szczebla partii. Im wyższego stanowiska dotyczy nominacja,

tym bardziej bezpośrednia jest ingerencja partii. Nie stanowi więc większego problemu nominacja robotnika na brygadzystę. Akceptacja sekretarza komitetu zakładowego jest tu często formalna. Polityka personalna w zakładzie spoczywa w rękach administracji gospodarczej. Dyrektor przedsiębiorstwa jest już jednak szczegółowo weryfikowany przez sekretarza terenowego (wojewódzkiego lub gminnego). Stąd — im wyższy szczebel zarządzania, tym większy stopień „upartyjnienia”. Bezpośredni wpływ hierarchii partyjnej na politykę personalną jest kamieniem węgielnym dominacji komunistów. W sytuacjach dla siebie krytycznych mogą oni iść na duże kompromisy z siłami społecznymi których nie kontrolują (np. „S” w Polsce). Nomenklatury jednak oddać nie mogą pod groźbą utraty władzy. Tu znajdują się granice ustępstw. Dlaczego tak się dzieje?

Totalitaryzm polega na pełnej kontroli życia społecznego sprawowanej przez partię-państwo. Partia komunistyczna jest jedynym twórcą organizacji społeczeństwa. Żadna grupa formalna nie może bowiem pozostawać poza kontrolą komunistów. Wyjątek stanowiła zawsze Polska, uważana nie bez racji za najsłabsze ogniwo bloku. Monopol organizowania społeczeństwa, towarzyszący mu monopol przymusu i informacji oraz monopol pracy należą do niezbędnych cech pełnego totalitaryzmu. Dzięki nim komunizm sprawuje władzę nie tylko w danym momencie, lecz także kontroluje przeszłość; monopol informacji jest monopolem na historię oraz przyszłość, którą steruje centrum.

Wielu ludzi Zachodu, w tym także dziennikarze zajmujący się problematyką krajów realnego socjalizmu, myli totalitaryzm z autorytarnym systemem władzy. Dyktaturze autorytarnej wystarcza siła fizyczna, dzięki której utrzymuje się przy władzy za cenę represji. Dyktatura totalitarna, zwłaszcza w komunizmie dojrzałym, do represji sięga rzadziej niż, powiedzmy, junta południowoamerykańska. Nie musi; sprawuje zresztą kontrolę o wiele pełniejszą. Model doskonały nie istnieje nigdzie, lecz wszystkie kraje realnego socjalizmu dążą do ideału — całkowitego monopolu partii. Likwidacja któregoś z wymienionych monopolu wywołałaby trudne do opisanego kłopoty dla systemu. Brak jednego monopolu partia musiałaby zastąpić wzmacnianiem drugiego, a przede wszystkim represjami. Nieprzypadkowo zresztą wzmożenie represji występuje zawsze wtedy, gdy któryś z monopolu ulega zachwianiu: początki budowania komunizmu, Węgry 56, Polska stanu wojennego itd.

Wróćmy do naszych rozważań o reformie gospodarczej. Opisana poprzednio „gra gospodarcza” prowadzi do marnotrawstwa sił ludzkich i nadmiernego zużycia środków materialnych. Nie wykorzystuje się w pełni możliwości produkcyjnych, a jakość towarów jest niska. W rozumieniu władz środkiem uniwersalnym na wszelkie trudności jest przeznaczanie wciąż większych nakładów na dziedziny stanowiące „wąskie gardło” rozwoju. Absurdalny *boom* inwestycyjny trwa, trudności zaś narastają. Centrum zaś niepokoi się brakiem efektów ekonomicznych, grozi wybuch społeczny, kłopoty dochodzą nawet do enklawy zbrojeniowej — i władza rzuca hasło usprawnienia modelu zarządzania, a w skrajnej formie mówi się nawet o reformie.

Aspektami gospodarczymi reformy zajmiemy się za chwilę. Teraz za-

uważmy tylko, że hasło reformy ma ważną wymowę propagandową: kanalizuje ferment w środowiskach twórczych, daje iluzję masom oraz podstawy do starania się o pomoc Zachodu. Bank światowy, banki prywatne i komercyjne udzielają bowiem chętniej kredytów państwu komunistycznemu które szykuje reformę. Stanowi ona wartość którą można sprzedać, a co najmniej zastawić. Kilkadziesiąt stron ustawy o reformie to najdrożej sprzedawana makulatura.

Reforma może mieć tylko jeden kierunek - decentralizację gospodarki i dopuszczenie elementów prywatnej inicjatywy. Zarówno jedno jak i drugie nie może jednak zagrozić monopolowi partii komunistycznej ani naruszyć nomenklatury. Prywatna inicjatywa w Polsce lub na Węgrzech obejmuje około 1% zatrudnionych (nie dotyczy to polskiego rolnictwa). Jeden procent ludzi nie jest w stanie ruszyć z miejsca martwej gospodarki; zresztą w żadnym momencie partia nie traci kontroli nad sektorem prywatnym. W państwie, w którym decyzje władzy stanowią prawo, prywatne przedsiębiorstwa mogą przestać istnieć w ciągu jednego dnia. Aby egzystować, tzw. prywatni muszą uczestniczyć w grze. Dlatego też nieprzypadkowo do prywatnych spółek wchodzi często dawni prominenci lub rodziny aktualnego dygnitarza, byli sportowcy lub ludzie estrady. Wszyscy oni mają wiadomości niezbędne dla funkcjonowania prywatnej inicjatywy. Tam gdzie zabraknie znajomości, wystarczyć musi łapówka.

Decentralizacja gospodarki państwowej ma na celu zmianę reguł gry i dlatego wzmacnia formalną pozycję niższych szczebli hierarchii ekonomicznej kosztem centrum. Nigdy jednak nie narusza ona pozycji partii, która nie jest określona żadnymi przepisami prawnymi; żadne zmiany przepisów nie są w stanie jej zagrozić, gdyż pozycja partii wynika z samej istoty komunizmu, ze sprawowanych przez nią monopolii, a prawo w tym ustroju oznacza wolę władzy.

W grze toczącej się według reguł zmienionych przez centrum polityczne, niższe szczeble hierarchii gospodarczej sprawują większą niż poprzednio kontrolę nad obszarami niepewności, a tym samym dla centrum gra staje się bardziej niepewna. Rynek nadal nie istnieje, konkurencji nie ma, a ekonomiczna analiza wciąż pozostaje metafizyką. Istotną rolę odgrywa tu zjawisko samospełniającego się proroctwa. Przedsiębiorstwa nie wierzą w reformę, grają więc według starych reguł, tyle tylko, że są formalnie silniejsze. Centrum apeluje do świadomości dyrektorów zakładów pracy, mówi o duchu reformy, ale nie daje rzeczywistej samodzielności, gdyż partia nadal jest arbitrem i nie stwarza warunków dla podejmowania działań ekonomicznych; brakuje bowiem rynku konkurencji, a w strukturze cen panuje chaos, choć według nowych zasad. Trwa nowe misterium, oparte na zakłękach, hasłach, pseudoargumentach. Trwa seans spirytystyczny wywoływania ducha reformy. Na podstawie obecnej reformy polskiej spektakl można w skrócie opisać następująco:

Przedsiębiorstwa mają swobodę w ustalaniu wielkości zatrudnienia i funduszu płac oraz podziału zysku, nikt nie narzuca im też zadań produkcyjnych. Dalej, mogą same ustalać ceny na niektóre produkowane przez siebie towary.

Będziemy rozpatrywać takie zakłady, które ustalają same ceny (tzw. ceny umowne). Działają one niemal zawsze w sytuacji monopolisty, dyktują zatem odbiorcy warunki, nie muszą też przejmować się jakością swych wyrobów. Centrum stosuje wobec przedsiębiorstw bodźce finansowe, stymulując je w kierunku przez siebie pożądanym: wzrostu produkcji, obniżki kosztów, stabilizacji cen i płac, zwiększania wydajności pracy. Rzecz jednak w tym, że możliwości owej stymulacji są dość ograniczone. Nadmierny wzrost zatrudnienia i płac napotyka wprawdzie barierę w postaci opodatkowania na tzw. Fundusz Aktywizacji Zawodowej, ale nie jest ona w stanie skutecznie zahamować ani cen, ani zarobków. Bodźce finansowe nie mogą również spowodować zmniejszenia kosztów wytwarzania i ograniczenia materiałochłonności, krótko mówiąc - zracjonalizować gospodarki. Przedsiębiorstwa bowiem nie muszą ograniczać kosztów, gdyż z powodu braku konkurencji za każdą nieracjonalność zapłaci klient w cenie. Podatki mające na celu stabilizację cen stanowią również gilotynę obcinającą zyski powstałe z oszczędności, są więc dla nich antybodźcem. Niepowodzenie tego etapu reformy wywołuje wzajemne spory. Centrum oskarża zarządy przedsiębiorstw o działanie wbrew duchowi reformy, czego wyrazem jest nadmierny wzrost cen i płac. Przedsiębiorstwa z kolei argumentują, że gra się tak jak przeciwnik pozwala i że to właśnie wynika z reformy. Centrum mówi, że trzeba ograniczyć płace, gdyż grozi inflacja, która położy reformę, przedsiębiorstwa natomiast, że ograniczenie płac zahamuje produkcję, co też położy reformę. Centrum twierdzi, że należy obowiązkowo przeznaczyć z góry określoną część zysku na fundusz rozwoju (tj. inwestycje finansowane z funduszy własnych zakładu), gdyż przedsiębiorstwa w ramach samodzielności zjadają cały zysk, przeznaczając go na dodatkowe wypłaty. Przedsiębiorstwa powiadają natomiast, że ów obowiązkowy wskaźnik będzie końcem samodzielności, a więc reformy.

Zakłęcia centrum rzecz jasna nie przekonują przedsiębiorstw. W rzeczywistości zresztą nikt w reformę nie wierzy. Przedsiębiorstwa stawiają bowiem prognozę: reforma jest fikcją i wszystko wróci do stanu poprzedniego, a więc trzeba grać według starych zasad. Mechanizm samosprawdzającej się przepowiedni działa bezbłędnie. Centrum nie jest w stanie sterować wyłącznie za pomocą bodźców finansowych, dopóki nie doprowadzi do rzeczywistej samodzielności gospodarki. W warunkach totalitaryzmu jest ona niemożliwa, gdyż jej brak wynika z samej istoty komunizmu. Dopóki system ten nie zostanie zlikwidowany, żaden poważny menadżer nie uwierzy w samodzielność. Dopóki prawem będzie decyzja komunistycznego bossa, każdy projekt reformujący gospodarkę będzie tylko świstkiem papieru.

Nie mogąc sterować gospodarką w kierunku przez siebie pożądanym i nie potrafiąc wywołać ducha reformy przy pomocy zakłéc, centrum wzmacnia naciski administracyjne. W roku bieżącym np. większość cen zakwalifikowano do administracyjnego ustalenia. Zysk ma zostać obowiązkowo podzielony według narzuconego z góry wskaźnika na część konsumowaną i przeznaczoną na inwestycje. Spodziewać się można reglamentacji w zakresie zatrudnienia; dyskusja nad tym już się rozpoczęła w prasie. Reglamentacja na większość

surowców i maszyn nigdy nie została zniesiona. Z reformy oficjalnie pewnie nikt się nie wycofa, gdyż stała się już częścią państwowej religii. Rzeczywisty odwrót zaczął się w momencie jej wprowadzania.

Opisany powyżej mechanizm ma charakter uniwersalny. Można go też wyjaśnić na gruncie teorii organizacji. Każdy system posiada pewną bezwładność, powodującą eliminowanie obcych struktur. Niewielkie zmiany doń wprowadzone są odrzucane jako obce ciało i system wraca do stanu poprzedniego.

Istnieje progowa wielkość zmian, które muszą zostać wprowadzone, by istota systemu uległa przemianie. W przypadku ustroju komunistycznego ową progową wielkością jest: wprowadzenie rynku, zniesienie reglamentacji czynników produkcji oraz zaprowadzenie trwałego pluralizmu politycznego. Żadna reforma nie posiadała wymienionych cech, ani na Węgrzech, ani w Polsce, ani tym bardziej w jakimś innym kraju. Były to jedynie reformy „pulsujące”. Po uchwaleniu zasad powodujących zwykle decentralizację gospodarki następuje stopniowy odwrót i po kilku latach poziom centralizacji wraca do stanu poprzedniego. Wówczas rzuca się nowe hasła reformy itd., itd. Tak było na Węgrzech w roku 1968 - na początku lat 70-tych było już po wszystkim. W Polsce w latach 1973-74 wprowadzono WOG-i; choć nigdy się z tej reformy nie wycofano, w roku 1975 już nie działała. Tak jest też obecnie z reformą Jaruzelskiego. W 1980 roku na Węgrzech wprowadzono nową reformę. Według oficjalnych oświadczeń polityków węgierskich musi ona obecnie ulec zmianie — inercyjny system ją odrzuca, a zatem albo wprowadzi się kolejną reformę, albo na razie się z niej zrezygnuje.

Czy jest możliwe wprowadzenie zmian gwarantujących minimalny próg zabezpieczający przed cofnięciem się? To pytanie jest równoważne z bardziej popularnym: czy komunizm jest reformowalny? Przedstawiona powyżej progowa wielkość zmian oznacza po prostu oddanie władzy przez komunistów. Połączenie komunistycznego totalitaryzmu z prawdziwą reformą jest niemożliwe. Aby reforma się powiodła, totalitaryzm musi się zmienić. Należy więc założyć albo dobrowolne oddanie władzy przez oświeconych władców, albo ich upadek. W pierwszą z tych wersji trudno jest uwierzyć, druga zaś jak na razie nie wydaje się prawdopodobna.

Niemożność zreformowania gospodarki, a co za tym idzie — przegrana w światowym wyścigu technologicznym i ekonomicznym, przy jednoczesnej trwałości władzy opartej na zmonopolizowanej kontroli społeczeństwa i represjach, stanowi podstawową sprzeczność określającą dynamikę wydarzeń w krajach realnego socjalizmu w najbliższych latach.

«Niepodległość» nr 18-19, czerwiec-lipiec 1983, ss.26-31

Czy komunizm jest poznawalny?

(...)

Zachodni specjaliści popełniają często błąd, gdy dokonując analizy decyzji politycznych podejmowanych przez rządzące w państwach komunistycznych grupy utożsamiają ich interes z interesem kraju jako całości, a więc z interesem całego społeczeństwa. Przyjmują przy tym założenie o dobrej woli rządzących, którym reforma nie udaje się, gdyż są ideologicznie zaślepieni. Z tego powodu dyskusje podejmowane przez ludzi Zachodu z komunistami sprawującymi władzę w krajach bloku sowieckiego często sprowadzają się do płaszczyzny prakseologicznej, tzn. dotyczą metod skutecznego działania. Starają się oni wytłumaczyć komunistom, że odejście od podstawowych zasad marksizmu-leninizmu pozwoli lepiej rozwinąć gospodarkę, pełniej zaspokoić potrzeby społeczne itp. Komunistów musi to niewątpliwie bawić, gdyż argumenty ideologiczne dawno już przestały odgrywać dla nich jakąkolwiek rolę, o ile w ogóle kiedykolwiek ją odgrywały. System komunistyczny w takiej postaci, jaka obecnie istnieje, pozwala osiągać grupom rządzącym największe zyski, a jednocześnie niesie z sobą najmniejszą porcję ryzyka. Odejście od podstawowych zasad marksizmu--leninizmu nie ma więc nic wspólnego ze sporami ideologicznymi ani teoriami Marksa i jego przyjaciół, ale wynika z dobrze rozumianych interesów własnych elity władzy.

Aż trudno uwierzyć, że podobny błąd popełniają niektórzy działacze polscy. Mam tu na myśli przede wszystkim środowisko DiP-u z czołowym jego działaczem S. Bratkowskim, który od wielu lat stara się pogodzić ogień z wodą i tłumaczy władzy, jak powinna rządzić, aby społeczeństwu działało się lepiej. A cóż to komunistów obchodzi? (...)

Od powstania komunizmu jego przeciwnicy udowadniali, że system ten nie może istnieć, że jest sztuczny i dlatego wkrótce rozpadnie się. Tymczasem istnieje on nadal. Aby zatem go zrozumieć, trzeba się zastanowić nie tylko nad jego słabościami, ale też nad tym, w czym przejawia się siła komunizmu, która umożliwia mu trwanie, mimo licznych przesłanek wskazujących na klęskę. Musimy badać, dlaczego mimo swej nieefektywności komunizm trwa.

Postaram się, nie pretendując oczywiście do przedstawienia całościowej teorii, wskazać na kilka atutów, którymi dysponują komuniści. Na dłuższą metę okazują się one słabościami, lecz w pewnych sytuacjach pozwalają im przetrwać ostre kryzysy. Oto przykładowe atuty komunistów:

I. Skierowanie wszystkich działań na rzecz utrzymania władzy. Całe postępowanie komunistów można zaliczyć do sfery socjotechniki, tj. metod manipulowania społeczeństwem w celu uzyskania pożądanego zachowań. Utrzymanie władzy staje się w warunkach kryzysu celem jedynym i dlatego całą energię wydatkuje się w tym kierunku. Przykładowo: na jesieni 1980 roku, gdy kryzys ekonomiczny był wyraźny jak na dłoni i kiedy ratowanie gospodarki równało się ratowaniu kraju, komuniści zachowali zimną krew i nie tylko nie

zrobili nic sensownego dla niej, ale zaczęli w ogóle bojkotować rządzenie, a za główny cel postawili sobie maksymalne dzielenie społeczeństwa. Rządzących nie interesowało, że społeczeństwo podzielone nie jest w stanie wyjść z kryzysu — interesowało ich, że społeczeństwo podzielone nie będzie w stanie obalić ich władzy. Każda informacja i plotka puszczona w obieg stanowiły elementy socjotechniki. Rządy w krajach zachodnich mają liczne obowiązki, w socjalizmie natomiast wszystko sprowadza się do jednego celu — utrzymania władzy za wszelką cenę.

II. Pomijanie celów strategicznych, czyli długofalowych, na rzecz taktycznych, czyli doraźnych. Prawdopodobnie ta więź się oczywiście z pierwszą. Rzeczywistym celem strategicznym jest bowiem utrzymanie władzy i dlatego takie cele jak równowaga demograficzna, kwestie ekologiczne, długookresowy rozwój ekonomiczny, które w wolnych społeczeństwach traktowane są jako strategiczne, u nas należą do lekceważonych. W socjalizmie cele doraźne są przedkładane nad długookresowe, co powoduje stałą nierównowagę i trudności, lecz w momentach kryzysowych pozwala komunistom zyskiwać na czasie. Klasycznym przykładem ilustrującym naszą tezę było zaciąganie długów przez ekipę Gierka. W latach 1977-78, kiedy już było oczywiste, że z zadłużenia nie da się wyjść, rząd zaciągnął nowe kredyty na znacznie gorszych niż dotychczas warunkach by zyskać na czasie. Czas jest bowiem naturalnym sojusznikiem komunistów, gdyż mają oni zawsze nadzieję, że przy pomocy manipulacji społecznej oddalą od siebie niebezpieczeństwo utraty władzy. Działaniem na czas były także „Porozumienia Sierpniowe” oraz wszelkie dalsze układy i negocjacje. Zyskany w ten sposób czas okazał się dla komunistów zbawienny, gdyż społeczeństwo zostało stopniowo zneutralizowane, a gdy władza wzmocniła się - rozbite. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie można w nieskończoność żyć na kredyt i odkładanie dalszych celów, by załatwić jedynie najbardziej pilne, musi kiedyś zakończyć się dla władzy klęską. Jest to jednak tylko półprawda, ponieważ władza wypracowała sobie mechanizmy umożliwiające w pewnym sensie anulowanie części „długów”. Do podstawowych metod należy wymiana ekip rządzących, a wraz z tym likwidacja niektórych starych zobowiązań. W tym sensie kryzysy są ważnym sposobem przywracania równowagi systemu.

III. Ustrój komunistyczny może całkowicie lekceważyć prawa ekonomiczne, co na długą metę jest zgubne — lecz ponownie cele krótkofalowe okazują się ważniejsze od strategicznych. Dlatego właśnie nie mamy jeszcze bezrobocia. Po prostu junta uznała, że w chwili obecnej bezrobocie byłoby dla niej nieopłacalne politycznie, co wcale nie znaczy, że tak będzie za parę miesięcy.

Jakie wnioski praktyczne wynikają z naszych rozważań teoretycznych? Wydaje się, że dwa:

- system komunistyczny może trwać jeszcze wiele lat, mimo trudności przeżywanych w całym bloku. Nie reformując się może przetrwać dzięki mechanizmom; które sobie wypracował, a które nie są poznane w stopniu wystarczającym. Musimy się zatem przygotować na znacznie dłuższy okres

stanu wojennego niż kilka miesięcy. Jest bowiem jasne, że przynajmniej w Polsce system ten będzie istniał właśnie w tej formie, niezależnie od oficjalnej nazwy: stan wyjątkowy, specjalne uprawnienia rządu itp.;

- by lepiej zwalczać komunizm, musimy go dobrze poznać. Tu apel do naukowców, którzy nie czują się kolaborantami: w niezależnych ośrodkach naukowych należy prowadzić poważne badania systemu, w którym przyszło nam żyć. Jeszcze raz podkreślę, że to my możemy dokonać w tej dziedzinie ważnych ustaleń.

«Niepodległość» nr 8-9, sierpień-wrzesień 1982, ss. 15-17

31 lat po Stalinie

Mamy już w pełni rok Orwella i Almarika. Prognozy jednak nie sprawdziły się; zarówno przykre (Orwella) jak i optymistyczne (Almarika). Anglia jeszcze nie jest rządzona przez Wielkiego Brata, a Sowietów jeszcze nie padli pod ciosami „żółtych”. Każdy obserwator spostrzega jednak, że mimo nieprzerwanej ekspansji Imperium Sowieckiego w okresie po śmierci Stalina, dokonywanej drogą przejmowania władzy w niektórych krajach tzw. Trzeciego Świata przez prosowieckie kliki, zapach rozkładu unosi się wyraźnie nad centrum bloku. Gnicie imperium, według mnie, dokonuje się dzięki nieodwracalnemu odejściu od metod klasycznego stalinizmu.

Na wstępie chciałbym podkreślić, że nie widzę absolutnie żadnych możliwości powrotu do klasycznego stalinizmu. Niestety, nie spodziewam się także szybkiego upadku systemu realnego socjalizmu, ponieważ przyczyną słabości tego ustroju, czyli ognisko choroby gnilnej, jest jednocześnie źródłem jego siły umożliwiające mu dalszą vegetację.

Klasyczny stalinizm był mieszanką terroru i obezwładniającej propagandy. W najczarniejszych latach, głównie w ZSRS, na karę śmierci lub na dożywotnie zesłanie do obozu pracy mógł zostać skazany każdy, zarówno szary obywatel jak i członek Politbiura, nawet wówczas gdy poruszał się tylko w ramach konwencji określanej przez artykuły wstępne z partyjnej gazety. Instynkt samozachowawczy człowieka jest niesłychanie silny i dzięki niemu ludzie zagrożeni nagłą i irracjonalną śmiercią starają się z pokorą wypełnić polecenia prześladowców. Do rzadkości należy stawianie czynnego oporu, gdyż w jego następstwie można bardzo szybko stracić życie, a współpraca z katem mogłaby je przedłużyć. Bardzo pouczające jest w tej materii zapoznanie się z wydanymi w zeszłym roku w Polsce zapiskami Czerniakowa i Ringelbluma z warszawskiego getta. Ich relacje potwierdzają tezę, że ludzie poddani terrorowi chętniej idą na współpracę z katem niż decydują się na stawianie czynnego oporu. Jest to niezależne od narodowości, wyznania czy kultury ofiar. Od każdej reguły zdarzają się oczywiście wyjątki, znamy je także z własnej historii. Pamiętajmy jednak, że czynny opór stawiali nieliczni, większość natomiast była zwykle zdania, że sprzeciw wobec kata zwiększy tylko rozmiar prześladowań i

na ogół mieli rację.

Rozumiem więc, dlaczego ludzie zagrożeni z pozoru irracjonalnym terrorem stalinizmu nie tylko zachowywali się biernie, ale byli także nastawieni krytycznie wobec oporu innych. Stalinizm nie był jednak dyktaturą opartą tylko na terrorze, gdyż propaganda stanowiła jego drugie ramię. Rozwijał się też w czasach, gdy nie było jeszcze telewizji, a radio znajdowało się dopiero w powijakach. Dlatego też w każdej instytucji czy na osiedlu pracowali instruktorzy polityczni organizujący niezliczone zebrania, na których wpajano przede wszystkim poczucie zagrożenia ze strony wyimaginowanych wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Stanowiło to zresztą tylko jeden aspekt propagandy. Drugim było przekonanie wszystkich o konieczności ponoszenia olbrzymich ofiar dla zbudowania społeczeństwa komunistycznego, nazwanego w Polsce raczej socjalistycznym (dlaczego? — naprawdę trudno dociec), które będzie prawdziwym rajem. Miał on nadejść bardzo szybko; już 60 lat temu gwarantowano ówczesnym trzydziestolatkom, że go doczekają.

Stalinizm obiecywał także szybki awans wszystkim, którzy zdecydowali się na aktywny udział w systemie; ludzie, zwłaszcza z nizin społecznych, otrzymywali władzę, o której przed rewolucją nawet we śnie nie mogli marzyć.

System wciągał wszystkich z wyjątkiem chłopów, którzy pozostawali na wsi i nadal uprawiali ziemię. Przymierający głodem i zżerani przez przez gruźlicę inżynierowie rysowali w „szarazkach”, tj. obozach dla kadry technicznej, plany nowych zakładów przemysłowych, dokonywali wynalazków, adaptowali po nocach zagraniczne technologie. Robotnicy pracujący za kromkę suchego chleba wznosili fabryki, kopali kanały i budowali domy. Entuzjazm wielu był na pewno udany, lecz nikt nie mówił: „czy się stoi, czy się leży...”.

Sprawność stalinizmu wynikała jednak nie tylko z zastraszenia „nierolników” terrorem i z chytrej propagandy obiecującej zapracowującym się na śmierć złote góry w przyszłości; była ona przede wszystkim prostą pochodną sprawności aparatu władzy, który poddano podobnemu terrorowi jak prostych robotników. Stalin wykańczał przecież w kolejnych czystkach także katów (CzeKa, NKWD) i aparat partyjny, nie wyłączając Politbiura. Przez wiele lat biurokracja partyjna wsysała zdolnych i ambitnych ludzi z nizin społecznych, bardzo podatnych na chwytły propagandy. Mieli oni także poczucie silnego zagrożenia utraty głowy w czasie kolejnej czystki. Dlatego też polecenia przełożonych wykonywali niezwłocznie i sprawnie, wykazywali także znaczną inicjatywę własną. Nie do pomyślenia była korupcja (tzw. partykularyzm resortowy, wojewódzki czy powiatowy), nieróbstwo lub oszukiwanie przełożonych. Aparat realizował sprawnie i konsekwentnie wszystkie polecenia z góry, niezależnie od tego czy były one zbrodnicze, doprowadzające do rozkładu ekonomicznego i zagłady milionów ludzi, jak kolektywizacja, czy też ambitne, jak sowiecki program atomowy lub raketowy.

System ten przeżył o kilkanaście lat swego twórcę i jeszcze w końcu lat 60-tych Sowietci mieli na swoim koncie: dogonienie Zachodu w produkcji broni atomowej, najnowocześniejsze i największe stalownie, najlepsze czołgi i samoloty bojowe, wystrzelenie w kosmos pierwszego żelastwa (sputnika), psa

(Łajka) i człowieka (Gagarin). Produkowali też sami masowo najróżniejsze urządzenia domowego użytku: radia, telewizory, pralki, odkurzacze, lodówki, golarki, roboty kuchenne, zegarki itp., których konstrukcja i wzornictwo zostało skopiowane z wyrobów zachodnich. Sowieci nie mieli specjalnych kłopotów ani z przejściem technologii, ani z uruchomieniem produkcji na wielką skalę. Owe sukcesy gospodarcze odnieśli ono dzięki entuzjazzmowi i fachowości swojej kadry technicznej, wysiłkowi robotników, a przede wszystkim dzięki sprawności aparatu, który w dalszym ciągu motywował ludzi do wydajnej i twórczej pracy, jednocześnie zaś potrafił ją dobrze zorganizować.

Powyższe uwagi dotyczą w znacznej mierze także satelitów, w tym Polski. Stalinizm został tam wprowadzony jednak znacznie później i trwał krócej, lecz gospodarka tych krajów wyglądała w końcu lat sześćdziesiątych podobnie jak w ZSRR (z wyjątkiem rolnictwa w PRL). Jeszcze raz należy podkreślić, że z niezrozumiałych do końca powodów kolchoz nigdy nie przypominał fabryki. Chłop nie pracował tak entuzjastycznie jak robotnik, a zarządzanie kolchozami zawsze kulało. Być może chłop mógł zawsze przeżyć bez pensji (pieniędzy) z kradzieży lub nielegalnej uprawy czy hodowli, hutnik i górnik zaś musieli zarabiać i za uzyskane w ten sposób środki dopiero coś kupić.

Pierwsze objawy gnicia stalinizmu są dla mnie widoczne w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Wszystkie kraje bloku zaciągają wówczas na Zachodzie kredyty, kupują wiele licencji itp. Tak zaczyna się okres odprężenia, czasy dynamicznego rozwoju lub jak kto woli — zbliżania się do siebie systemu komunistycznego i kapitalistycznego. Dla mnie jednak są to objawy gnicia stalinizmu, dowód na nieuchronnie, choć bardzo powoli zbliżający się koniec komunizmu w ogóle.

Słyszałem głosy, wręcz lamenty, że błędem jest sprzedawanie Sowietom nowoczesnej technologii zachodniej. Mówi się, że zgodnie z przepowiednią Lenina: „kapitaliści sprzedadzą nam (bolszewikom) sznur, na którym ich powiesimy”. Zgadza się, istnieje takie niebezpieczeństwo, zwłaszcza sprzedaży owego przysłowiowego sznura na kredyt. Każde bowiem przedsiębiorstwo w wolno rynkowej gospodarce, szczególnie zaś w warunkach ostrej konkurencji o rynki zbytu, jest zainteresowane eksportem swoich wyrobów i nie kieruje się w wyborze klientów kryteriami politycznymi. Gdyby więc rząd USA nie kontrolował amerykańskich producentów broni, z pewnością dostarczaliby je również Sowietom.

Rozważmy jakiego typu są to zakupy i jaki jest ich los. Rozróżniamy:

1. licencje na produkcję wyrobu dotychczas w krajach bloku nie wytwarzanego
2. technologie umożliwiające produkcję na wielką skalę.

Przykładem pierwszej transakcji może być fabryka kineskopów kolorowych w Piasecznie, drugiej zaś fabryka traktorów Massey-Fergusson-Perkins w Ursusie. Teoretycznie biorąc, jeśli dysponujemy sprawnym sprzętem, grupą

entuzjastycznych inżynierów i chętnie pracujących robotników, produkcja zakładów licencyjnych winna rozpocząć się w jak najkrótszym terminie, dość szybko powinno zostać opanowane wytwarzanie różnych drobnych elementów, początkowo pochodzących z importu, a doświadczenia zdobyte dzięki kontaktom z zachodnią techniką i technologią należałoby wykorzystać w innych przedsiębiorstwach w kraju i na terenie całego imperium sowieckiego. Zakupiona licencja lub technologia powinna stanowić także bodziec dla miejscowych inżynierów do twórczego jej rozwijania. Co się stało z Polkolorem w Piasecznie i z fabryką w Ursusie nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. Korzyści prawie nie ma, produkcji raczej też. Opuśćmy więc Polskę i spójrzmy na przemysł samochodowy w bloku sowieckim. Dwa kraje: Czechosłowacja i NRD miały silny przemysł samochodowy w momencie przejścia tam władzy przez komunistów. Dysponowały także kadrą inżynierów, techników i robotników nie ustępującą kwalifikacjami swym kolegom w Europie Zachodniej. Co się stało później? Otóż upadek i zacofanie przemysłu samochodowego w państwach komunistycznych można tłumaczyć panującym tam przez długie lata zaniedbaniem wynikającym z przejęcia prymatu konsumpcji zbiorowej nad indywidualną. Samochód osobowy nie znajdował się więc na czele listy towarów preferowanych. Po upadku Chruszczowa nowa ekipa Breżniewa postanowiła odrobić zacofanie i w Stawropolu, pośpiesznie przemianowanym na Togliatti, Fiat wybudował po 1968 ogromną fabrykę samochodów Żiguli (Lada). Minęło 20 lat i to ogromne mocarstwo w dalszym ciągu produkuje bardzo mało zmieniony samochód, skonstruowany przez włoskich inżynierów w latach 50-tych. Co ciekawe, zamiast modernizować Żiguli, Sowietci w trosce o utrzymanie monopolu na eksport na Zachód samochodu dla ubogich zablokowali rozwój przemysłu motoryzacyjnego w Czechosłowacji i NRD, uniemożliwiając współpracę Skody i Wartburga. Obie firmy produkują więc auta, których podstawowe parametry techniczne zostały określone jeszcze przed II wojną światową.

Przykłady takie można by mnożyć w nieskończoność, wybrałem jednak przemysł samochodowy, ponieważ prawie każdy w Polsce słyszał, że pewne firmy na Zachodzie dają obecnie 5-cio letnią gwarancję na karoserię, a nowoczesne silniki różnych Opli, Vlkswagenów, Hond i Toyot zużywają maksymalnie 6 litrów taniego i bezołowiowego paliwa (ropa-diesel) na 100 km. Poza tym są to wozy dość duże, lekkie, wygodne i szybkie, pasujące tak do samochodów produkcji komunistycznej jak Żiguli do Pobjedy, o ile jeszcze ktoś tę ostatnią pamięta.

Rzecz jasna, że lekki, palący niewiele i nierdzewiejący samochód to nie tylko luksusowa zabawka, lecz także produkt rzutujący na całą gospodarkę i bilans płatniczy danego kraju (ropa naftowa, stal itp.). Nie wszyscy pewnie wiedzą, że nowoczesne samochody produkuje się w fabrykach, gdzie większość operacji wykonują sterowane komputerami roboty (np. spawanie i malowanie), a inżynierowie korzystający z systemów CAD (Projektowanie Wspomagane

Komputerem) szybko i wydajnie mogą produkować jeszcze lepsze modele.

Nie będę opisywał zacofania imperium sowieckiego w technologii mikroprocesorowej i jego przewidywanych skutków. Chcę wrócić do głównego tematu tych rozważań, a więc do upadku stalinizmu - przyczyny gnicia imperium, tak widocznego w technologicznym zapóźnieniu i w losie licencji.

Jak twierdzą znawcy problemu, a zwłaszcza Awtorchanow, autor książki pt.: „Zagadka śmierci Stalina. Spisek Berii”, Josef Wisarionowicz został zamordowany przez Berię i współpracowników dosłownie w przeddzień rozpoczęcia nowej czystki. Pamiętajmy, że prawie wszystkie miały w programie także likwidację kierownictwa tajnej policji. Podczas czystek zgładzono poprzedników Berii, Jagodę i Jeżowa, następnie zaś Stalin zrzucił na nich winę za wszelkie niepowodzenia swoich rządów i obarczył odpowiedzialnością za niektóre rzezie. Beria zamordował więc Stalina by uratować swoją głowę. Był on jednak zbyt niebezpieczny dla pozostałych członków Politbiura z Chruszczowem na czele. Według niektórych relacji, szefa tajnej policji zwabiono bez obstawy na posiedzenie, na którym miano przekazać mu najwyższą władzę; tam też został zastrzelony przez marszałka Koniewa.

Egzekucja Berii otworzyła nowy rozdział w historii ZSRS. Wydaje się, że ludzie sprawujący najwyższe funkcje zawarli między sobą „układ o bezkrwawej rywalizacji”. Nie oznacza on końca walki o władzę, lecz od tego czasu toczy się ona bez trupów. Nigdy też szef partii nie rozstrzeliwuje swoich bliskich współpracowników. Wyjątkiem od tej reguły są oczywiście morderstwa dokonywane w Afganistanie (Taraki, Amin), Etiopii, na Kubie czy też egzekucje na Węgrzech po 1956 roku. Mimo wszystko po roku 1953 nie miała miejsca żadna typowa czystka stalinowska z charakterystycznymi dla niej procesami pokazowymi, masowymi aresztowaniami itp. Wyraźnie też na owej nowości skorzystał sam jej autor. Po obaleniu przez Breżniewa, Chruszczow spokojnie dożył swoich dni. Należy też w tym miejscu przypomnieć los A. Dubczeka, którego w prasie oskarżano o popełnienie szeregu straszliwych przestępstw, za jakie w czasach Stalina zostałby gładko skazany na śmierć. Dubczeka nie postawiono jednak przed sądem, lecz na krótko wysłano jako ambasadora do Turcji, następnie zaś polecono pracować w kołchozie. W wypadku przewrotu w partii dostojnik nie jest więc teraz skracany o głowę — jedzie na placówkę lub dostaje dobrą emeryturę. Dzięki tej „humanitarnej” polityce mieliśmy w Polsce taki okres, że podczas rządów najnowszego I sekretarza, żyło czterech jego poprzedników: Gomułka, Gierek, Ochab i Kania. Zdjęci z urzędu oficjele są umiarkowanie opluwani (ktoś musi przecież odpowiedzieć za błędy), lecz mogą doczekać się rehabilitacji przy ponownym przewrocie (jak no. ostatnio Gomułka czy Jaszczuk).

Upadek stalinizmu najwcześniej zauważyli ludzie sprawujący najwyższe stanowiska w aparacie. Mogli więc kłaść się spać bez obawy, że w nocy zapuka ktoś do drzwi i wygodne mieszkanie lub okazałą willę trzeba będzie zamienić

na celę - przedsiónek do procesu pokazowego i śmierci. Zupełnie inny charakter przybrała też od tego czasu walka o władzę. Nie polega ona już tylko na donosach i życzeniu swoim przeciwnikom nagłej śmierci w jakiejś kolejnej czystce. Walka o władzę stała się bardziej subtelna; przegranie jej nie jest już tragedią, ponieważ po okresie lukratywnej niełaski na ciekawej posadzie ambasadora można mieć szansę na powrót (patrz przykład Olszewskiego czy Kociołka).

Brak strachu w aparacie ogromnie obniżył jego sprawność i doprowadził do powstania szeregu znanych nam wad: korupcji, partykularyzmu, nepotyzmu i lenistwa. Zaznaczmy, że partykularyzmem nazywa się zjawisko, które jednocześnie oznacza patrzenie tylko przez pryzmat własnego podwórka (fabryki, województwa, resortu) i brak strachu przed przełożonymi. Partykularnie działa taki członek aparatu, który wbrew wyraźnym instrukcjom ogólnym realizuje głównie interesy swego terenu, przedsiębiorstwa, kliki lub wręcz prywatne. Czy coś takiego było możliwe w czasach klasycznego stalinizmu? Otóż absolutnie nie, gdyż zostałyby potraktowane jako sabotaż, a praktykujący partykularyzm aparatczyk szybko skrócony o głowę. Teraz od dawna niewykonywanie poleceń przełożonych uchodzi w nomenklaturze za dowód odwagi i polepsza samopoczucie lokalnego satrapy (pojęcie lokalny należy rozumieć w tym wypadku nie tylko w sensie geograficznym). Cóż bowiem może spotkać faceta z aparatu, który specjalnie nie przejmuje się stertą teleksów, telegramów czy telefo-nogramów przychodzących od różnych decydentów? W zasadzie nic! Rozkazy są bowiem często sprzeczne, gdyż jakość pracy na wyższych szczeblach jest tak samo zła jak na niższych. Poza tym nie bardzo wiadomo, kto za co odpowiada. Jeżeli jednak przyjdzie ponieść konsekwencje błędów, nie będzie to, jak w czasach stalinowskich, podróż na Sybir lub kara śmierci, a tylko przeniesienie na inną kierowniczą posadę ze wspaniałymi apanażami, służbowym samochodem itp.

Demoralizujący się powoli od 1953 roku aparat nie rozporządza już takimi samymi środkami poganiania ludzi do pracy jak w okresie Stalina. Po pierwsze, zwykli ludzie też zauważyli, że czasy terroru odeszły i już nie wrócą. Po drugie, trzydziestolatkowie, których zachęcano do wydajnej pracy za marną płacę, obiecując im życie w komunistycznym raju, dawno pomarli, a ich wnuki kompletnie weń nie wierzą (np. w ZSRR). Dlatego też obecnie inżynier nie będzie po nocach pracował nad nowymi technologiami dla szczęścia komunizmu, robotnik zaś nie będzie w czynie pierwszomajowym spędzał dodatkowych godzin przy łopacie lub maszynie. Jednemu i drugiemu trzeba dobrze zapłacić, choć jakość wykonanej przez obu pracy i tak będzie niska.

Wraz z rozwojem środków masowego przekazu także funkcja aparatu partyjnego uległa ograniczeniu. Propagandyści i spece od politycznej motywacji działają obecnie głównie w telewizji, a nie w każdej fabryce i Komitecie blokowym. Mimo tego biurokracja partyjna jest liczniejsza niż w czasach Stalina. Zajmuje się ona tzw. zarządzaniem gospodarką, czyli jej okradaniem i dezorganizowaniem.

Moim zdaniem efekt zawarcia przez Chruszczowa „paktu o nieagresji” w

gronie sowieckiego Politbiura jest taki, że nie mamy już stalinizmu lecz stale gnijącą strukturę pod nazwą „realny socjalizm”. Obecnie jego cechami charakterystycznymi są: brak dyscypliny i korupcja w aparacie, zastój ekonomiczny, brak rozwoju rodzimej technologii i niska jakość pracy na wszystkich odcinkach.

Jak już powiedziałem na wstępie, główne źródło słabości tego ustroju jest także jego siłą. System upada bowiem dzięki swemu aparatowi władzy, a jednocześnie aparat ten jest najbardziej zainteresowany w jego utrzymaniu. Aparat to nie tylko Biuro Polityczne, Komitet Centralny, ministerstwa, kadra dowódcza wojska czy wszyscy partyjni. Szeroko pojęty aparat to także kierownicy różnych szczebli, pracownicy propagandy itp. Razem stanowią oni w Polsce zapewne ponad 3 miliony osób, nie licząc rodzin.

Jak zostaje się aparaczką, najlepiej opisał Woslenski w książce pt. *Nomenklatura*. Dotyczy ona sytuacji w ZSRS, lecz u nas jest w zasadzie tak samo. Do nomenklatury wchodzi się głównie dzięki poparciu kogoś, kto w tym aparacie już jest. Decydują więc znajomości i koneksje rodzinne; przypomina to zupełnie funkcjonowanie mafii sycylijskiej.

Obiegowe powiedzenie mówi, że awansują przede wszystkim „mierni, bierni ale wierni”. Postaram się udowodnić, że nie jest to obecnie całkowicie prawdziwe. Otóż nikt w aparacie nie jest bierny. Prawie wszyscy wykorzystują swoją władzę, zaś pozornie najbardziej bierni czynią to w sposób jak najmniej widoczny, dla celów całkiem prywatnych. Także wierność jest już od dawna wielce problematyczna.

W starym pojęciu wierność oznaczała zarówno poprawność ideologiczną (wierność idei), jak też oddanie przełożonym oraz lojalność w stosunku do wprowadzającego do nomenklatury. Upadek klasycznego stalinizmu zapewnił członkom aparatu „nietykalność osobistą” i mocno rozluźnił dawną dyscyplinę. Wierność ideologii w zasadzie nie istnieje, ponieważ obecnie nie bardzo wiadomo, czym ta ideologia jest. Zbiór frazesów przyswojonych na kursach marksizmu-leninizmu, który wystarczał na co dzień w czasach Stalina, teraz nie istnieje. Reakcja podwładnych na slogan, tak kiedyś poważna, dziś może stać się nieprzewidziana — do wybuchu śmiechu włącznie. Zamiast więc używać określenia „mierni, bierni ale wierni”, należałoby mówić o awansujących: „mierni, cwani, rzadko długo lojalni”.

Kto głównie awansował do aparatu w czasach Stalina? Byli to młodzi chłopcy lub robotnicy, czasem zdeklasowani inteligenci. Szpikowano ich w specjalnych szkołach sloganami na każdą okazję, wpajano wiarę w świetlaną przyszłość komunizmu, wykształcenie mieli niskie, choć za to wspaniałe chęci — „nie matura lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”. Na wszystkich szczeblach władzy można było spotkać ludzi podających się za robotników lub chłopów; stanowili oni także ogromną część pracowników aparatu terroru (NKWD, UB). Ich „wierność” była wspaniałą, a w atmosferze stalinowskiego terroru znakomicie spełniali swoje funkcje.

Obecnie ogromna część ludzi aparatu legitymuje się wykształceniem

wyższym; prawie każdy minister czy członek Politbiura ma tytuł profesora lub doktorat. Czasem pojawia się *curiosum* w postaci Albina Siwaka, lecz i on pewnie robi habilitację z betonowania, zresztą jest pośmiewiskiem większości nomenklatury. W systemie realsocjalizmu typowym członkiem aparatu jest pół- lub ćwierćinteligent.

Najbardziej charakterystycznym momentem w karierze członka nomenklatury jest przekroczenie tzw. poziomu kompetencji, tzn. poziomu w hierarchii zawodowej, którego dana osoba ze względu na swoje kwalifikacje przekraczać nie powinna. Posłużmy się przykładem. Otóż robotnik, dzięki doksztalcaniu się na kursach wieczorowych, został brygadzystą. Jego umiejętności i cechy osobiste sprawiają, że jest to najwyższe stanowisko jakie powinien piastować; jest więc kompetentnym brygadzystą. Dzięki zbiegowi okoliczności, układom, przynależności partyjnej itp. zostaje jednak mianowany kierownikiem. Na to stanowisko natomiast już się zupełnie nie nadaje — przekroczył poziom kompetencji — znalazł się na poziomie niekompetencji.

Paradoksem nomenklatury jest, że dopiero wejście na poziom niekompetencji przyspiesza awans i rozpościera przed danym osobnikiem wspaniałą karierę oraz umożliwia udział w ciągłej karuzeli stanowisk.

Dalszy awans osoby nie sprawdzonej już na niższym stanowisku powoduje, że przekroczenie niekompetencji zostaje przez nią dokładnie zauważone. Awansowany wie, że na dane stanowisko się nie nadaje, lecz pociąga go zdobyta w ten sposób władza i korzyści materialne. Ma on kompleks niższości, więc podwładnych traktuje bądź z uniżonym podlizywaniem się, bądź też z arogancją. Najważniejsze jest jednak, iż wie o sobie, że jest nagi.

Opisany przykład z robotnikiem, który powinien zostać tylko brygadzystą a awansował na kierownika, nie jest jednak typowy. Najczęściej bowiem do nomenklatury wchodzi ludzie, którzy nigdy nie zetknęli się z pracą fizyczną, nie potrafili dostać się na studia, zaczęli się na różnych posadach urzędniczych lub w aparacie organizacji młodzieżowych, zapisywali się do PZPR. Starali się też, aby zauważył ich ktoś z nomenklatury i wysłał na jakiś kurs, najlepiej do Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR. Ukończenie tej „uczelni” gwarantuje pracę na niskim stopniu w aparacie i wejście do tzw. puli „zapasowej kadry kierowniczej”. Jeżeli kogoś to interesuje, zapraszam na róg ul. Bagatela i Alei Ujazdowskich w Warszawie. Można tam zobaczyć „studentów” WSNS, jak zmierzają do autobusu, aby powrócić do swego „akademika” na rogu Belwederskiej i Gagarina. Nieładnie jest sądzić ludzi po wyrazie ich twarzy, lecz nieodparcie nasuwa się wniosek, że powierzenie jakiegokolwiek kierowniczego stanowiska absolwentom WSNS-u daje gwarantowane przekroczenie poziomu kompetencji. Nie jest to jedyny mechanizm awansu do aparatu; podobne, choć mniej prestiżowe szkółki dla młodych „talentów” istnieją przy komitetach wojewódzkich PZPR.

Najszybszą karierę w aparacie robią ostatnio różni profesorowie i docenci, którzy już dawno znaleźli się na poziomie niekompetencji. Wystarczy podać

przykład profesorów: Krasieńskiego, Żygulskiego, Porębskiego, Gorywody, Mesnera, Zawadzkiego, Rybickiego w Politbiurze i rządzie oraz Gertycha w Sejmie (to ten z wąsikami, który rozwiązywał „S”). Są to miernoty, dla których zrobienie już doktoratu przez układy i mianowanie adiunktem było przekroczeniem poziomu kompetencji. Przykłady oszałamiających karier miernot, które im głębsze i mniej kompetentne, tym łatwiej je robią, są liczne. Podajmy jeszcze przykłady: prof. J. Kostrzewskiego, dawnego ministra zdrowia, potem uhonorowanego dolarowym stanowiskiem w Światowej Organizacji Zdrowia, obecnie zaś wysługującego się w PRON-ie; prof. Jasiorowskiego, słynnego „tropiciela Żydów” z 1968 roku, wynagrodzonego bardzo dochodową dewizową posadką w FAO, następnie rektora SGGW i niechlebnego twórcę „pierścienia mlecznego” wokół Warszawy — inwestycji, dzięki której w stolicy przez kilka lat brakowało mleka. Stracił on stanowisko rektora SGGW i znów pojechał jako przedstawiciel PRL do Rzymu. Pewnie teraz innym doradza wyrzucanie milionów na nowe pierścienie mleczne.

Dlaczego zatem przekroczenie poziomu kompetencji i znalezienie się na poziomie niekompetencji jest gwarancją dalszych awansów?

Otóż mówiłem już o kompleksie niższości awansowanego; wie on, że na piastowane stanowisko nie nadaje się. Podejrzewa także, że mianujący go też o tym wie. Zrobi więc wiele, aby przypodobać się górze. Można zatem zrozumieć, dlaczego przewaga w nomenklaturze nie należy już do młodych robotników i chłopów, doksztalcanych pospiesznie na kursach marksizmu-leninizmu. W warunkach bowiem realnego socjalizmu, bez stalinowskiego terroru, nie można liczyć na ich lojalność. Zawsze mogliby wiaść przyswojone sobie nauki na poważnie i z pozycji czystości ideologicznej zaatakować górę nomenklatury.

Zamiast aparaczyka o spracowanych dłoniach robotnika widzimy więc na ogół spasionego i wesołego ćwierćinteligenta (chudzi też się czasem trafiają: Krasieński, Żygulski, Gertych), nieudacznika, takiego, który już dawno znalazł się na poziomie niekompetencji. Utytułowani aparaczczyki zanudzają nas długimi wywiadami w prasie, radiu i telewizji, wyraźnie unikając nagminnie kiedyś w podobnych okolicznościach stosowanych cytatów z klasyków. W odróżnieniu więc od dawnych, nie są nawet mocni w marksizmie-leninizmie. Profesorów wspomagają zastępy kursantów WSNS-u, obdarzonych na razie tytułem magistra, czasem doktora.

Realsocjalizm na takiej nomenklaturze wychodzi słabo. Niekompetencja, partykularyzm i poczucie bezkarności powodują, że aparat dezorganizuje gospodarke (patrz los licencji) i zniechęca własnym przykładem tych nielicznych, którzy chcą jeszcze pracować. Niestety, taki właśnie aparat jest jednocześnie źródłem stabilności systemu.

Aparaczczyki, którzy znaleźli się na poziomie niekompetencji i w kilku dalszych ruchach (karuzeli stanowisk) osiągnęli liczne tytuły oraz stanowiska wiedzy, iż są nadzy. Zdają sobie także sprawę, że jeżeli przyszedłby czas prawdy, zamiast stanowisk profesorskich, dyrektorskich itp., musieliby dostać zupełnie inne. Dla wielu nawet sprzątanie ulic byłoby chyba

zbyt trudne. Jeden Krasiński znalazłby zapewne lepsze zatrudnienie u Pietrzaka — zgodnie z obietnicą — w kabarecie.

Tak więc miliony polskich pół- i ćwierćinteligentów nomenklatury są żywotnie zainteresowane w przedłużaniu agonii realnego socjalizmu. Oni są zatem siłą tego systemu. Komunizm awansuje codziennie różnych ludzi, chociażby do zapasowej kadry kierowniczej, wikła w swe sieci nowe ofiary, które będą źródłem jego niewydajności, lecz ze strachu o swe stołki staną się jego uległymi sługami.

Jeżeli stalinizm porównamy do pędzącego samochodu, to „pakt o bezkrwawej rywalizacji” zawarty przez Chruszczowa z kolegami z sowieckiego Politbiura można porównać do wyłączenia silnika i wyrzucenia kluczyka od stacyjki przez okno. Samochód jedzie siłą rozpędu. Tarcie hamuje go, więc kiedyś musi stanąć. Aparat partyjny to ludzie z tytułami mechaników, lecz żaden z nich nie potrafi dorobić nowego kluczyka. Popychają więc samochód, smarują, i usuwają kamienie z drogi. My zaś nie powinniśmy pomagać w pchaniu tego „trupa”, lecz sypać piasek w łożyska. Ważne jest jednak, skoro wiemy, że ten samochód kiedyś stanie, abyśmy mogli zapobiec wpadnięciu razem z nim do przepaści na zbyt ostrym zakręcie.

«Niepodległość» nr 26, luty 1984, ss.20-26

Komunizm - elementy teorii

Klasyczna doktryna marksistowska opisuje rzeczywistość socjalizmu jako bezkonfliktową sielankę współistnienia warstw społecznych, rządzonych i rządzących, różnych grup zawodowych, etnicznych i terytorialnych. Opis taki zakłada następujące warunki:

- zgodę społeczeństwa na podstawowe wartości systemu;
- realizację przez system podstawowych aspiracji społeczeństwa: materialnych i duchowych;
- budowę idealnej organizacji obejmującej państwo, z którego wyeliminowano by zjawiska ujemne.

Warunki powyższe są niezbędne dla zrealizowania wizji idealnego społeczeństwa socjalistycznego. Gdyby udało się je spełnić, ideał stałby się rzeczywistością. Oficjalny obraz socjalizmu przedstawia społeczeństwo zdrowe, prężne, akceptujące swą władzę i wartości przez nią lansowane, oraz posiadające jeden. cel. Znajdował on swe symboliczne odbicie w sztuce okresu realizmu socjalistycznego. Do dziś obowiązuje też w wielu krajach obozu, zwłaszcza w ZSRS, Bułgarii, Rumunii i pozaeuropejskich państwach socjalistycznych. Czy obraz ten ma tylko propagandowe znaczenie? I tak, i nie. Musimy bowiem pamiętać, że oficjalna propaganda jest w komunizmie formą rzeczywistości, gdyż świadomość zbiorowa nie ma przecież innych doświadczeń, niż dane przez ową propagandę.

Dlatego też możliwości jej oddziaływania są bardzo duże. Świadomość zbiorowa jest zatem świadomością oficjalnej propagandy. Występuje tu zjawisko samospełniającego się proroctwa. Świadomość propagandy jest fałszywa wprawdzie, ale na skutek monopolu informacyjnego jedynie ona dociera do jednostki, powoli jest więc przez nią przyjmowana za swoją. Efekt propagandowy zostaje zatem osiągnięty.

Wydaje się, że działacze opozycyjni skłonni są na ogół nie doceniać tego oddziaływania. Tymczasem propaganda odniosła w krajach bloku, w tym w Polsce, znaczne sukcesy. Największym jest uznanie przez większość społeczeństwa podstawowych wartości systemu. Wszystkie badania socjologiczne potwierdzają tę niewesołą prawdę. Nie idzie tu oczywiście o akceptację systemu lecz wartości przezeń głoszonych. Pierwszy zatem warunek z trzech wymienionych na wstępie został w krajach realsocjalizmu spełniony. Spróbujmy jeszcze wyjaśnić, jakie wartości zbieżne z oficjalnie propagowanymi są akceptowane. Oto kilka z nich:

- egalitaryzm społeczny,
- specjalna rola „klasy robotniczej” w społeczeństwie,
- sprawowanie władzy przez grupę nie wybraną w wolnych wyborach, lecz legitymującą się mandatem „racji historycznej”.

To ostatnie stwierdzenie może wydać się co najmniej kontrowersyjne w świetle wydarzeń ostatnich dwu lat w Polsce, mimo to należy uznać je za prawdziwe. Społeczeństwo polskie ani w sierpniu 80, ani w marcu 81, ani też po wprowadzeniu stanu wojennego nie okazało się psychicznie dojrzałe do przejęcia władzy w swoje ręce. Chciało władzę kontrolować, podpisywać umowy, lecz nie pragnęło jej obalać, co było w dużej mierze efektem skomunizowania świadomości społecznej.

Do utworzenia bezkonfliktowego systemu komunistycznego potrzeba więc już tylko zaspokojenia potrzeb społeczeństwa. Ta sprawa jest jednak znacznie bardziej skomplikowana. Poziom życia przeciętnego obywatela w obozie socjalistycznym jest od kilku do kilkunastu razy niższy niż w krajach wysoko rozwiniętych. Widać więc jasno, że system ten nie jest w stanie zaspokoić potrzeb społecznych, przede wszystkim tych najbardziej wymiernych — materialnych. Władze dysponują jednak szeroką gamą metod, dzięki którym potrafią utrzymać ład w państwie. Ogólnie rzecz biorąc, oddziałują się dwoma sposobami. Z jednej strony są to siły represyjne, przygotowane do powstrzymania społecznego buntu, z drugiej zaś działania mające na celu osłabienie skłonności społeczeństwa do sprzeciwu. W różnych sytuacjach zmienia się zakres i siła oddziaływania tych dwu metod. Wymieńmy niektóre elementy polityki władz, osłabiające skłonność do oporu:

- próby zaspokajania potrzeb społeczeństwa;
- ograniczanie wpływu efektu demonstracji ze strony krajów niekomunistycznych, przy jednoczesnym wmawianiu społeczeństwu, że relacja poziomów życia w obu systemach jest korzystna dla komunizmu;
- niszczenie instytucji niezbędnych dla danego społeczeństwa, niezależnych

- od władzy: religii, obyczajów, organizacji społecznych;
- dezintegracja społeczeństwa: podsycanie konfliktów między różnymi grupami, kupowanie grup strategicznych, tworzenie społeczeństwa korporacyjnego;
- zmniejszanie napięć spowodowanych niezaspokajaniem potrzeb społecznych, przez działania manipulacyjne — zrzucanie odpowiedzialności na byłą ekipę, w skrajnych sytuacjach wymiana ekip, tworzenie enklaw, pozorowana krytyka.

Z wymienionych sposobów utrzymania zwartości systemu największe znaczenie mają próby zaspokajania potrzeb społeczeństwa. (...)

W momencie kryzysu karierę robi zakazane dotąd słowo „reforma”. Gospodarka komunistyczna jest jednak niereformowalna, gdyż każda zmiana wprowadzona w celu jej uzdrowienia narusza istotę systemu, tzn. władzę komunistów. Przywódcy partyjni lansują „reformę”, być może wierząc w jej potrzebę i powodzenie, lecz nie poświęcają dla niej swej władzy. Gospodarka jest więc skazana na wegetację. Osiągnęła ona pułap swych możliwości już w końcu lat 60-tych (w Polsce); lata 70-te zostały podarowane dzięki wyjątkowo korzystnej koniunkturze międzynarodowej (kredyty z Zachodu). Podstawowy warunek zmniejszenia skłonności społeczeństwa do buntu nie jest zatem spełniony.

Komunizm zaliczył więc po stronie aktywów skomunizowanie świadomości społeczeństwa, a po stronie pasywów stagnację ekonomiczną wynikającą z samej istoty systemu. Ten pozorny remis jest przyczyną wydarzeń w naszym kraju w ostatnich latach.

Mamy do czynienia zatem z następującym schematem: niechęć do systemu + pogorszenie sytuacji materialnej = bunt; bunt + skomunizowanie świadomości społeczeństwa = nierealne szukanie kompromisów i ucieczka od rzeczywistości do symboli = brak przygotowania organizacyjnego i programowego = klęska buntu.

Wizja buntu nie przestaje jednak straszyć w dalszym ciągu. Nie mogąc spełnić podstawowego warunku pacyfikacji nastrojów — radykalnej poprawy stopy życiowej — przywódcy krajów socjalistycznych mają do dyspozycji środki, o których była już mowa: manipulacja i represje.

Manipulacja zmierza do dezintegracji społeczeństwa. Współczesne reżymy komunistyczne opanowały ją lepiej dzięki propagandzie. Dotyczy to zwłaszcza przypadku naszego kraju, w którym gama różnych odcieni propagandy jest szersza niż kiedyś. W czasie kampanii 1968 r. propaganda była jednorodna; jej kierunek nadawali publicyści w rodzaju Mysłka czy Krasickiego. Obecnie występuje wachlarz odcieni, który sprawia mylne wrażenie różnicy poglądów. Dzięki temu odbiorca propagandy uciekając od twardegłowych („Rzeczywistość”, prezes Loranc) wpada pod oddziaływanie propagandy umiarkowanej, zdroworozsądkowej („Polityka”, „Tu i Teraz”, show z Rakowskim).

Novum jest także używanie wielu kanałów informacyjnych, w tym także

wykorzystywanie zachodnich środków masowego przekazu (za pośrednictwem Margueritte'a z „Le Figaro”). Dzięki temu manipulacja jest znacznie bardziej efektywna. Można też tworzyć konstrukcje nie nadające się do podania przez oficjalne kanały partyjne, np. obrazu walk frakcyjnych, w których junta odgrywa rolę siły liberalnej.

Działania symboliczne zmniejszają zdolność społeczeństwa do samoorganizacji i formułowania realnych programów. Nie mogą jednak uchronić reżymu przed groźbą buntu, gdyż bez odwrócenia trendów w gospodarce nie ma mowy o pacyfikacji nastrojów. A poprawy w gospodarce nie będzie; może być jedynie stagnacja. W tej sytuacji głównym środkiem oddziaływania reżymu na społeczeństwo stają się represje. W tym też kierunku zmierza rozwój krajów komunistycznych. Stan wojenny lub inaczej — wyjątkowy jest naturalnym stanem, do którego zbliżać się będzie każdy reżym tego typu. Tendencja odwrotna (Polska lat 70-tych i 80-81, Węgry) jest i musi być jedynie przejściowa. Po okresie działań manipulacyjnych („reformatorskich”), władzy pozostają tylko represje. Rodzi się zatem pytanie, czy aparat represji ulega również patologicznym zjawiskom wielkich organizacji. Wydaje się, że pod tym względem aparat przemocy prezentuje się lepiej niż gospodarczy. Wynika to z kilku czynników:

- brak podwójnej hierarchii w policji, dzięki czemu większą rolę odgrywa „fachowość”,
- możliwość wyizolowania organów ścigania z reszty systemu, ze względu na różnicę wielkości obu organizacji. Dzięki temu możliwe jest opłacanie funkcjonariuszy na znacznie wyższym poziomie niż w ekonomice, a także zapewnienie właściwego „uzbrojenia technicznego” (jedno z najnowocześniejszych na świecie).

Nie znaczy to, że aparat policyjny nie będzie podlegał erozji, zjawisko to będzie jednak wolniejsze niż w gospodarce.

Powstaje pytanie, czy istnieje jakiś minimalny próg skłonności społeczeństwa do buntu, który będzie równoznaczny z obaleniem systemu. Odpowiedź na to pytanie brzmi: Nie! Sama niechęć społeczeństwa, w braku organizacji i bez erozji aparatu represji, nie jest w stanie obalić systemu. Trudności z organizacją społeczeństwa wynikają zaś z manipulacji i działań represyjnych władzy. W przyszłości należy zatem zwrócić uwagę na zjawisko erozji aparatu represji, bez czego, jak się wydaje, nie jest możliwy skuteczny bunt.

«Niepodległość» nr 11-12, listopad-grudzień 1982, ss.10, 23-25

Działania symboliczne a polityczne

Symbol odgrywa w ruchach masowych ogromną rolę. Właściwie można by opisać całe dzieje ludzkości jako powstawanie symboli, przejmowanie ich przez grupy ludzi, ich oddziaływanie na świadomość, ewolucję znaczenia symboli aż do nadania im w społecznej świadomości wartości odwrotnej do początkowo przyjętej, ścieranie się symboliki starej z nową itp. Opisawszy w ten sposób

historię stwierdzilibyśmy, że symbole żyją swym własnym życiem i rządzą się prawami nieraz trudnymi do określenia. Dlatego też krzyż, pierwotnie symbol haniebnej śmierci, mógł stać się symbolem godności człowieka, choć bywał także znakiem pychy i krzyżackiej buty. Już ta niejednoznaczność oddziaływania symbolu wskazuje, że muszą go uwzględnić także przywódcy ruchów masowych.

Symbol w ruchu społecznym odgrywa następującą rolę:

- jest środkiem komunikacji; za jego pomocą można się porozumiewać, przekazywać informacje;
- jest czynnikiem integrującym grupę, przy jego pomocy można również mobilizować do działania;
- stanowi skrót myślowy ideologii i celów ruchu.

Działania polityczne mają na celu zmianę w kierunku uważanym przez dany ruch za pożądaną. Działania symboliczne, tj. odnoszące się do symbolu, stanowią natomiast cel sam w sobie. Oczywiście przez swój wpływ na wyobraźnię oraz funkcję mobilizującą mogą one również realizować zadania polityczne. Można jednak wyróżnić też takie akcje, które nie mają żadnego wpływu na realia. Mówiąc o działaniach symbolicznych będziemy mieli na myśli te ostatnie.

Im szybszy jest bieg wydarzeń, im bardziej wzburzone są nastroje, im większy wpływ tłumu na rozwój sytuacji, tym większy staje się zasięg działań symbolicznych. Powodem tego jest szczególnie podatność słabo politycznie uświadomionych mas na symbol. Każda rewolucja dostarcza nam wielu przykładów na rzecz tej tezy. Prześledźmy kilka z nich, z czasów Komuny Paryskiej. Przypomnijmy jeszcze, że Komuna, uważana za typową rewolucję proletariacką (także przez Marksa), nie miała szans zwycięstwa. Zrewoltowany Paryż był otoczony podwójnym pierścieniem wojsk nieprzyjacielskich: kontrrewolucyjnych i niemieckich. Te ostatnie zachowywały wobec rewolucji niechętną postawę, a swymi posunięciami (zwolnienie jeńców francuskich) sprzyjały zdecydowanie kontrrewolucji.

Wśród przywódców Komuny brak było ludzi zdecydowanych, posiadających jasne cele. Największym błędem stało się niezajęcie przez Komunę Banku Francuskiego, mimo że właśnie to mogło stanowić jedyną szansę dla komunardów. Liczne natomiast akty prawne i posunięcia miały charakter typowo symboliczny. 6 kwietnia 1871 roku zakazano używania, a później stopniowo usunięto wszystkie znaki religijne, święte obrazy itp. 4 kwietnia 137. batalion Gwardii Narodowej wyciągnął na plac gilotynę i spalił ją publicznie wśród radosnych okrzyków tłumu. 12 kwietnia Komuna postanowiła zburzyć kolumnę na Placu Yendôme, odlaną na rozkaz Napoleona po wojnie 1809 r. ze zdobytych dział, jako symbol szowinizmu i nienawiści narodowej. 20 kwietnia zniesiono pracę nocną piekarzy. 5 maja Komuna uchwaliła zburzenie kaplicy, którą zbudowano w okresie restauracji jako ekspiację za zgilotynowanie Ludwika XVI.

Zastanówmy się: okrażenie, izolacja, sytuacja raczej beznadziejna i tyle niepotrzebnego wydatkowania energii na burzenie dawnych symboli, czy też

tworzenie nowych. Ten moment jest jednak bardzo charakterystyczny dla zrozumienia istoty działań symbolicznych. Trudno było bowiem podjąć działania polityczne, natomiast wśród mas narastała potrzeba osiągnięcia sukcesu. W sytuacji, kiedy realia były dla rewolucji nieprzychylnie, a więc realne działania polityczne nie mogły przynieść powodzenia, rosnące napięcie rozładowywano podejmując działania symboliczne. Można się zastanawiać, na ile miały one charakter manipulatorski, na ile zaś sami przywódcy dawali się ponieść symbolice.

W pierwszym przypadku działania symboliczne mogą mieć realne znaczenie jako sposoby rozładowywania napięć i zapobiegania w ten sposób obalaniu kolejnych rządów przez coraz bardziej zrewoltowane tłumy. Przywódcy ruchu muszą zdawać sobie jednak wówczas sprawę, że prowokowanie takich działań jest jednym z zabiegów manipulowania społeczeństwem w celu uzyskania od niego pożądanых zachowań. Gorzej staje się, gdy oni sami ulegają magii symbolu, ponieważ może to prowadzić do zaniechania działań politycznych lub podejmowania akcji symbolicznych, szkodliwych z punktu widzenia ruchu. Zwrócić też trzeba uwagę na możliwość prowokowania działań symbolicznych przez wrogów właśnie po to, by odwrócić uwagę od posunięć realnych (politycznych).

Powróćmy teraz do naszej polskiej rewolucji, która rozpoczęta w sierpniu 80, a przytłumiona w grudniu 81, nie wygasła jeszcze zupełnie. Zaryzykuję tezę, że ogromna większość działań rewolucyjnych przed i niemal sto procent po Grudniu miała charakter symboliczny. Powody są takie same jak przedstawione przy analizie Komuny Paryskiej. Samo powstanie „S” było wprawdzie faktem politycznym, gdyż zmieniło sytuację polityczną. Po Sierpniu była ona zdecydowanie inna niż przed nim. Samo istnienie „S” nie mogło jednak pozostawać celem wystarczającym. Ta instytucja reprezentująca interesy i dążenia ogromnej większości społeczeństwa musiała je realizować. Przy całej niejednorodności ruchu nie mogło być wątpliwości co do ogólnych celów, którymi były:

- poprawa poziomu życia,
- uzdrowienie gospodarki,
- liberalizacja polityki kulturalnej,
- reforma władzy w kierunku zwiększenia wpływu społeczeństwa.

Żaden z tych celów nie został zrealizowany przed Grudniem, a po 13 nastąpił wyraźny regres w każdym punkcie (z wyjątkiem być może lekkiej poprawy ekonomicznej, gdyż poprzednio władza celowo bojkotowała gospodarkę). PZPR nie zamierzała po Sierpniu ustępować przed społecznymi rewindykacjami. Jediną realną koncesją były podwyżki płac i analogiczne do nich skrócenie czasu pracy. Aczkolwiek posunięcia te na krótką metę poprawiły sytuację materialną, prowadziły także do rozkładu gospodarki, za co winą można było obciążyć „S” i zwiększyć napięcie między różnymi grupami społecznymi. PZPR pozostawała wyłącznym dysponentem władzy; choć sama osłabiona, nadal była w stanie blokować żądania stawiane przez „S”. Było jasne, że jedynym realnym działaniem może stać się tylko odsunięcia PZPR od

władzy i utworzenie systemu pluralistycznego. Tego jednak przywódcy „S” i doradcy nie mieli odwagi sformułować. Wszystkie działania siłą rzeczy musiały zatem mieć charakter symboliczny. Dlatego po Sierpniu Polskę załapała fala symboliki. Jadwiga Staniszkis wylansowała pojęcie „konflikt zastępczy” na określenie konfliktu o charakterze symbolicznym.

Po Sierpniu nie sformułowano haseł politycznych — zmiany systemu — lecz cząstkowe, w żadnym wypadku nie podważające ustroju komunistycznego. Nie zaatakowano nomenklatury, która stanowi jego podstawę, atakowano natomiast funkcjonariuszy, których władza wynika z tej nomenklatury. Nie zwalczano systemu finansowania sił represyjnych, którego społeczeństwo nie kontroluje, a prawdziwe wydatki w tym względzie są tajne, ale żądano przekazywania budynków administracyjnych PZPR lub MO na cele społeczne. Żądania symboliczne stawały się coraz radykalniejsze. Dla władz była to sytuacja korzystna, gdyż radykalny sposób wyrażania się łatwo było kompromitować wykazując jego niespójność, a „S” oskarżać o ekstremizm. Na płaszczyźnie realnej natomiast od jesieni 80 roku (rejestracja Związku) nie doszło do żadnych ustępstw. Żądania symboliczne pochłaniały ogromną ilość energii; wszystkie niemal strajki po-sierpniowe miały taki charakter. Gdy jednak dochodziło do konfliktów realnych, zwłaszcza o dużym ciężarze politycznym, „Solidarność” zawsze wycofywała się. Tak było nie tylko w sprawie bydgoskiej, ale również w innych, mniej już dziś pamiętanych, np. w przypadku dyrektora LOT-u (konflikt nie o osobę lecz o nomenklaturę w przedsiębiorstwie) lub w kwestii ustawy o samorządzie.

Większość członków „S” miała kłopoty z odróżnieniem celów politycznych od symbolicznych (pamiętajmy też o tym, że masy lubują się w symbolice). Niestety, przywódcy i doradcy „S” nie potrafili tej różnicy masom uzmysłowić, nie próbowali także przeforsować żądań politycznych.

Działania symboliczne mogą mieć wprawdzie znaczenie polityczne ale tylko wówczas, gdy obalają mity lub uderzają w symbole przeciwnika. Strajk sierpniowy 80 roku niezależnie od haseł miał charakter polityczny, gdyż naruszał mit o poparciu społeczeństwa dla władzy. Stocznia im. Lenina stała się symbolem godzącym w system który Lenin stworzył. Pierwsze ulotki i plakaty masowo kolportowane w środkach komunikacji miejskiej były faktem politycznym, gdyż przełamywały monopol informacji i wykazywały zasięg ruchu. Same działania symboliczne muszą jednak stracić ostrość, gdy powielane są wielokrotnie; strajki w rok po Sierpniu przechodziły już niezauważenie bądź budziły irytację.

Program przyjęty na I Zjeździe zawierał bardzo anemiczne postulaty, natomiast szeregowi członkowie i działacze zakładowi wyżywali się w symbolice. Orły, korony, krzyże zastępowały im hasła polityczne. Jan Rulewski, uważany za skrajnego ekstremistę, na parę dni przed 13 grudnia proponował zagwarantowanie dla PZPR w przyszłym Sejmie większości mandatów, a więc w programie politycznym żaden, dosłownie żaden (!) działacz większego formatu nie przekroczył bariery zmiany systemu. Mimo zagrożenia ze strony wschodniej lub rodzimej (PZPR), nie przyjęto żadnego

dokumentu precyzującego działania „S” na wypadek zamachu, natomiast prawie w każdej bibule roilo się od głupawych dowcipów na ten temat. 13 grudnia zastał „S” nie przygotowaną do podjęcia działań politycznych. Próbę strajku generalnego pojęto pod hasłami powrotu do sytuacji która właśnie uległa załamaniu. Przywódcy bali się sformułowania celów, które ich zdaniem były nie do zrealizowania, wysunęli więc inne, też nierealne, a najczęściej czysto symboliczne i cząstkowe. Postawienie wówczas długofalowych celów politycznych nie doprowadziłoby wprawdzie do natychmiastowego pokonania Czerwonego, ale zapoczątkowałoby nieodwracalne zmiany w świadomości społecznej.

Po krótkim epizodzie strajków i walk w grudniu działacze podziemni zalecili całą gamę działań symbolicznych: noszenie znaczków „S”, krzyży, palenie świec, bojkot telewizji i gazet itp. Bardziej radykalne formy protestu - strajki i manifestacje - miały także charakter symboliczny, za żadnymi z nich nie stały bowiem żądania polityczne. Jak zawsze akcje symboliczne, nawet początkowo efektowne (np. spacer telewizyjny), straciły na ostrości. Wygasa również bojkotowanie telewizji przez aktorów. Nie można się temu dziwić, skoro robotnicy nie podjęli analogicznego bojkotu w fabrykach.

Jest jasne, że hasła symboliczne nie są dziś w stanie zmobilizować większości członków „S” do radykalniejszych działań. Sama „S” staje się powoli tylko symbolem. Na hasła polityczne jest zapewne zbyt wcześnie, zważywszy na brak politycznej infrastruktury w społeczeństwie. W tej sytuacji pozostają hasła cząstkowe, lecz posiadające realne znaczenie i istotne dla robotników. Mogą nimi być tylko hasła ekonomiczne, które powinny zastąpić czystą symbolikę podczas przygotowywanych w najbliższych miesiącach strajków. Są one w stanie zmobilizować więcej zwolenników niż symbole. Jest dla nas sprawą jasną, że żądania ekonomiczne w systemie komunistycznym nie mogą zostać spełnione. Jakakolwiek realna reforma musiałaby bowiem zacząć się od zmiany ustroju. Hasła ekonomiczne siłą rzeczy ewoluować będą w kierunku politycznym. Wydaje się jednak rzeczą właściwą, by do polityki robotnicy dochodzili poprzez ekonomę, a nie przez symbole.

«Niepodległość» nr 17, maj 1983, ss.11-13

WYBIĆ SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ

„Więc jakież jest, twoim zdaniem, sposób przełamania tego zbiorowego paraliżu, wywołanego hipnozą kłamstwa? W każdym razie nie można go szukać na drodze polemiki. Bowiem sam fakt polemiki wciąga w orbitę i przenosi nas w płaszczyznę bolszewickiego absurdu.”

Józef Mackiewicz *Droga donikąd*

Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?

Taki tytuł nosiło dziełko, które ukazało się w 1800 roku w Paryżu. Praca prawdopodobnie autorstwa J.Pawlikowskiego — sekretarza Kościuszki (wyd. PRL - 1967, MON) przyjmuje oczywisty dla całego XIX wieku punkt wyjścia — Polska nie jest krajem niepodległym. Dlatego próbuje wskazać te czynniki, które utrudniają uzyskanie niepodległości, zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne. Przede wszystkim analizuje te ostatnie, upatrując jedną z głównych przyczyn niepowodzeń w postawie, wadach, braku konsekwencji Polaków. Szereg myśli i uwag wydaje się być aktualny po dzień dzisiejszy, jednak współcześnie nie można wprost sięgać do rad i zaleceń wspomnianego dziełka. Świadomość narodowa uległa bowiem ogromnej erozji i skomplikowaniu zarazem. Pytanie o niepodległość nie jest w świadomości powszechnej pytaniem podstawowym. Gdyby próbować „prześledzić” te czynniki, które mają doprowadzić do celu, czyli niepodległości, trzeba byłoby rozwinąć następujących etapów:

I. Konstatacji, że Polska nie jest państwem niepodległym (obiektywnie), że ten stan uniemożliwia rozwój społeczny, gospodarczy i po prostu jednostkowy; takie poczucie musi być dość powszechnie utrwalone w świadomości;

II. Dopiero wówczas jest możliwa organizacja czynnika wewnętrznego — czyli wola odzyskania niepodległości, podejmowanie działań, organizowanie wystąpień i tworzenie programów, które mogą tę niepodległość przynieść;

III. Jednocześnie z drugą sferą aktywności (wewnętrznej) musi występować czynnik zewnętrzny, tzn. świadomość międzynarodowa braku suwerenności Polski, wola jej przywrócenia, której — niestety — musi przyświecać własny interes innych krajów, oraz działania podejmowane w tym kierunku — wojna, zagrożenie wojną, blokada gospodarcza itd. Na wszystkich tych etapach sprawa niepodległości winna być wartością na tyle silną i podstawową, że musi skłaniać do gotowości ponoszenia wszelkich ofiar na rzecz wytkniętego celu.

Sprowowani przez pytanie stanowiące tytuł dziełka sprzed 180-ciu lat zbadajmy, jak przedstawia się obecnie stan tych trzech faz, czy czynników „drogi do niepodległości”.

Ad I. Od razu ustalmy, że dla wielu, bardzo wielu, nie jest oczywisty brak niepodległości Polski. Choć nie dysponujemy w tym przedmiocie żadnymi badaniami i zdajemy się na obserwacje intuicyjne, wydaje się, że o ile u schyłku XIX wieku nie kwestionowany był powszechny pogląd, że nie ma niepodległości, a tylko mniej powszechny - iż jest ona ważna, najważniejsza, o tyle obecnie istnieją poważne obszary społeczne, w których panuje zamęt i niejasność odnośnie tej sprawy. Mimo okresów autonomicznych w XIX wieku, nikt nie twierdził, że Polska-(czyli państwo polskie) istnieje. Jego po prostu nie było. Okresy zwane tu autonomicznymi (np. Królestwo Polskie) zawsze miały czytelny klucz w pierwiastku jednoznacznie obcym (król - car rosyjski, namiestnik).

Dążenie do niepodległości to nic innego jak dążenie do stania się państwem. Obecne zagmatwanie wynika stąd, że - inaczej niż w XIX wieku - nie można powiedzieć, że Polski nie ma. Ona - państwo - pozornie istnieje. I rzeczywiście - wykonuje takie działania, jakie przypisuje się podmiotowi państwowemu - przyjmuje i wysyła ambasadorów, podpisuje układy, zasiada w związku państw (ONZ). Rozgrywa się sztuka niesłychanie sprytna, której carowie nie umieli opanować, a która mami i zachwyca. Jeżeli już ktoś dostaje paszport, jest to paszport polski; jeżeli ktoś otwiera telewizor, to słyszy brednie - ale zawsze po polsku; ambasador USA jest w Polsce, dlatego, że uznaje to państwo za istniejące i godne bycia dyplomatycznym partnerem; w piłkę nożną gra reprezentacja państwa polskiego... Zaiste, przedarcie się przez te warstwy omamów i dotarcie do sedna sprawy, czyli stwierdzenie, że państwo polskie nie istnieje, nie ma go po prostu, jest bardzo trudne — ale niezbędne.

Z punktu widzenia władców na Kremlu, bogatszych przecież o doświadczenia poprzedniego zaboru, tj. do 1918 r., wydawało się to zupełnie łatwe. Należało wycofać z okupowanego kraju bezpośrednie, jęczące przejawy własnej obecności: nazwiska, język, nazwy. Dla zachowania pełni władzy absolutnej na opanowanym terytorium należało dać symbolikę czysto polską: nazwiska, nazwy, język, przyobleczone w formę państwa, a więc tego najważniejszego symbolu, przedmiotu marzeń i dążeń wielu pokoleń Polaków. Okazało się to skuteczne. Bo dla wielu ten symbol - państwo, choć złe, to jednak własne (!) był wartością nadrzędną - i kupili to. Oczywiście taki zabieg mógł być ryzykowny i wymagał o wiele sprawniejszej i głębszej kontroli niż istniała za caratu. System takiej kontroli wymyślony (może i w dobrej wierze) przez Marksa, a wyeksperymentowany w zupełnie złej wierze przez Lenina, udoskonalony przez Stalina - był gotów. Nie będziemy go tu opisywać, bo zakładamy, że ludzie już wiedzą o co chodzi, dzięki przeżyciu „Solidarności” i lekturom. Przypomnijmy jedynie, że centralizacja gospodarki i jej uspołecznienie, inaczej upaństwowienie, uzależniło całkowicie każdy niemal przejaw biologicznego istnienia od centrum na Kremlu. Chociażby dzięki temu kontrola okupanta jest pełniejsza niż przed 1918 r. Pamiętajmy, że władza cara była despotyczna, natomiast nie była totalitarna. Należało jeszcze na tej konstrukcji wychować nowego człowieka. Osiągnięto i w tej materii pewne

sukcesy, niektórych wychowując całkowicie a la Susłow, a znacznej ilości ludzi idealnie mącąc w głowach. Jednakże ta próba „przerobienia duszy łacińskiej na mongolską” splajtowała. Dostrzegamy tu bardzo poważną porażkę okupanta. Prawdopodobnie liczył on, że instrumenty okupacyjne wypełnią się u adresatów azjatycką treścią. Okupantowi sprzyjał też Zachód; jak zwykle zajęty własnymi interesami, Hitlerem oraz pilnie strzegący własnej „naiwności i niewiedzy”, uznał w Jałcie to, czego w ogóle nie ma. Powoduje to skutki straszne (choć dające możliwość „odrzucenia bratniej pomocy”; inwazja Sowieców na Polskę będzie formalnie wojną, stanie się agresją międzynarodową; jawne odebranie państwowości będzie naruszeniem Jałty i uzgodnieniem stanu pozornego z rzeczywistym — nie ekspedycją karną wewnątrz imperium — wykorzystanie jednak takiej ewentualności zależałoby od postawy Zachodu). Uniemożliwia bowiem racjonalne umiędzynarodowienie sprawy polskiej. Jak można przecież podnosić sprawę odzyskania niepodległości przez Polskę, skoro ona istnieje? Dlatego sytuacja Polaków w XIX wieku przedstawiała się o niebo lepiej; Polski nie było na mapach, ani w gabinetach, można więc było o nią walczyć. Dziś wszak trudno dążyć do tego, co istnieje. Gramy zatem wciąż w sztuce nie pisanej przez siebie. Podobnie jak „Solidarność” na pewno nie jest związkiem zawodowym, tylko „zastępczą P o l s k ą”, tak samo stan wojenny jako wewnętrzna racja stanu Polski stanowi żart przesłaniający jego istotę — jest dokładnie tym samym stanem wojennym, który wprowadził 14 października 1861 roku hrabia Lambert, namiestnik rosyjski w Królestwie.

Jeżeli Polski nie ma, a przecież ona jest, to co jest, zapyta ktoś dociekliwy. Przede wszystkim jest terytorium skupiające Polaków, co pozwala im pędzić życie zbiorowe. Obszar ten znajduje się aktualnie między Bałtykiem a Karpatami, Odrą i Bugiem. Polacy nie muszą zatem żyć w rozproszeniu na emigracji. Pozwala to na stwierdzenie, że w jakimś miejscu istnieje naród polski wyróżniający się od innych: językiem, religią, kulturą, tradycją, obyczajem, pamięcią, systemem wartości (takie stwierdzenie nie prowadzi naturalnie do nacjonalizmu, a jedynie do skonstatowania odrębności w ramach świata chrześcijańsko-łacińskiego). Zauważy jednak ktoś trafnie, że przecież różnimy się — w naszym bytowaniu komunistyczno-so-wiecko-państwowym — od innych ludów podbitych. W końcu i oględność represyjności (w porównaniu z Rosją Sowiecką), i pozytywny zakres wolności (mierzony tak pozycją Kościoła polskiego, jak postawami ludzi i istnieniem znacznego sektora niepaństwowego oraz dość niezależnych niektórych stowarzyszeń, a nawet większą swobodą słowa) dowodzą tego niezbitcie. Nie stanowi to jednak dowodu większej suwerenności, lecz jest przede wszystkim efektem właśnie owej odrębności społeczno-narodowej, ciągłej walki z „państwem” o swój los.

Dziwne to bowiem niepodległe państwo, którego celem jest nieustanna walka ze społeczeństwem, przerywana zmianą taktyki bądź krótkimi okresami oddechu na zbieranie sił od nowa! Większy margines swobody jest,

można zauważyć, miernikiem większej siły społeczeństwa (bądź „niepodległości” społeczeństwa), a nie dowodem niepodległości państwa!

Wróćmy jeszcze do kwestii zasadniczej; czy społeczeństwo zdaje sobie z niej sprawę? Generalnie nie. Być może odpycha tak tragiczną myśl w podświadomość. Często, bardzo często słyszy się, że to wszystko przez tych Rusków, że jak się tam zmieni, to i u nas będzie dobrze (nie sądzmy jednak, by np. przeciętny Niemiec z RFN czy Francuz, mimo pozornie niepełnej niepodległości, wiązał nadzieję na poprawę losu z wynikami wyborów w USA!). Zarazem wszakże kompletna i powszechna nieumiejętność myślenia kategoriami państwowymi i politycznymi prowadzi do bezkrytycznego powtarzania za gazetami: „nasza władza”, „nasz Sejm”, który jest zły (albo „dba o ludzi” lub nawet „źle dba”). Wyrazem tego podziału jest przecież sama koncepcja „dialogu władza — społeczeństwo”, „umowy społecznej” czy „porozumienia władzy i społeczeństwa”. Taka wyraźna separacja władzy i społeczeństwa przypomina okres feudalny, z tym jednak, że podówczas była ona zrozumiała, gdyż wywodziła się częściowo z tzw. patrymonialnej władzy monarszej, a więc uzasadniona była tym, że państwo (tj. jego terytorium) stanowiło prawnie własność monarchy, oraz teorią boskiego pochodzenia władzy. W wyniku odrzucenia u schyłku XVIII wieku takiej legitymacji władzy obecnie może ona pochodzić jedynie z zewnątrz lub wewnątrz. Układanie się zatem w Gdańsku „dwóch wysokich umawiających się stron” - to nic innego, jak swoista polityka międzynarodowa. MKS Gdańsk układał się z działającą *per pro-cura* samą Moskwą. Obraz tu narysowany jest oczywiście pociągnięty grubą kreską, zdarzają się bowiem stany graniczne, przejściowe, gdy „władza” sypie się — jej niektórzy przedstawiciele, duchowo pozostający w rozdzieleniu, usiłują coś zrobić (szczerze) dobrego dla społeczeństwa, nawet nieodwracalnie przechodzą na jego stronę. Ale społeczeństwo wydaje zastępy cyników lub ludzi ciemnych, którzy przechodzą na stronę okupanta (władzy) i w nią wsiąkają. Niestety taka postawa nosi miano zdrady (nie na próżno po 13 grudnia 1981 r. dość częste było porównanie do Targowicy, tyle że Targowica trwa już od 1944 roku).

W dobie autonomii Królestwa Kongresowego kompromisowo-ugodową pozycję zajmował książę Adam Czartoryski, ale nie był on ani zdrajcą, ani kolaborantem — był dyplomatą ze strony społeczeństwa (narodu) polskiego. Poparcie narodu mieli także Andrzej Zamoyski i hr. Małachowski, wystosowujący w imieniu tegoż narodu adres do cara w przededniu Powstania Styczniowego (w lutym 1861 roku). Już jednak pełnomocnictwa (poparcie) społeczne nadwyreżył margrabia Wielopolski rozpoczynając kolaborację.

Brak świadomości historycznej i politycznej na szerszą skalę stanowi pierwszą, zasadniczą przyczynę podejmowania działań na płaszczyźnie zastępczej. Nie występujemy przeciwko nim, gdyż są one niezbędne; tyle tylko, że działaniom symbolicznym musi towarzyszyć rozwój świadomości i odkrywania tego co istotne w naszym polskim losie: braku własnego, niepodległego państwa, braku własnej władzy.

Ad II. Zastanówmy się pokrótce nad postawami Polaków i jednocześnie nad utrudnieniami w dążeniach niepodległościowych. Czy wszystkim nam towarzyszą słowa modlitwy, czy powtarzamy za poetą:

Z pokorą teraz padam na kolana
 Abym wstał silny Bogu robotnikiem,
 Gdy wstanę - mój głos będzie głosem Pana,
 Mój okrzyk - Ojczyzny całej będzie krzykiem,
 Mój duch - Aniołem, co wszystko przemoże,
 Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Nie, no bez przesady! Za dużo tu patosu, a jeśli już, to po cóż aż tyle. A dzieci? A kupno mebli? A w ogóle, chcemy reform, żeby było lepiej, niepodległość zaś nie jest taka ważna. Kraje niepodległe dziś to tylko USA i Rosja. A Sowieców nie pobijemy. Tak przeciętnie się myśli. Można więc z dużym przybliżeniem zauważyć, że główne przeszkody na drodze do niepodległości to:

- brak świadomości braku niepodległości (omówiliśmy już ten punkt);
- brak uznania sprawy niepodległości za najważniejszą, czy w ogóle ważną;
- brak wiary w możliwość odzyskania niepodległości, a tym samym niechęć do angażowania się i ponoszenia ofiar;
- powszechność nędzy, przy jednoczesnej zależności ekonomicznej od tego, z kim ma się walczyć;
- lenistwo, demoralizacja i masowe rozpicie społeczeństwa, co łączy się ze sprawą następną;
- brak generalnie pozytywnych programów i wartości, które by w jakimś stopniu odpowiadały na pytanie (pkt. 2): co z tego będą miały?
- brak doświadczeń politycznych, organizacyjnych, nieumiejętność podejmowania cierpliwych działań, rekompensowana werbalizmem.

W największym skrócie, za najważniejsze obecnie przeszkody uznajemy: brak motywacji niepodległościowych, niewiarę w jej odzyskanie, kiepską „jakość” ludzi. Nie winimy tak bardzo Polaków, gdyż są oni systematycznie niszczeni, ogłupiani, rozpijani i demoralizowani przez komunizm, czas jednak na opamiętanie, choćby tylko w imię tych mebli, dzieci, samochodów, lodówek.

Owe wady polskie nie są niczym nowym. Wskazane na wstępie dziełko, używające nam swego tytułu, wiele z nich dostrzega: „Naród żyjący niepodległości potrzebuje koniecznie, aby ufał w swoje siły. Jeżeli nie ma tego czucia, jeżeli do utrzymania bytu swego nie idzie przez własne usiłowania, ale przez obce wsparcie lub łaskę, można śmiało powiedzieć, iż nie dojdzie szczęścia, ani cnoty, ani sławy. (...) Trzeba wyznać, iż Polacy nie cierpią jarzma, mają entuzjazm do wolności i cnoty, ale wadą ich jest, iż jak są żywymi w zaczęciu śmiałych czynów, tak niestałymi w dokonaniu i słabiejącymi w przeciwnościach. Ale widzę, iż dlatego Polakom braknie na stałości umysłu w przeciwnościach, że mało myśleli, mało się zastanawiali nad obrotem losów i czynności ludzkich.”

Nie nowe więc to zarzuty. W rozkazie z dnia 22 października 1914 roku Józef Piłsudski stwierdzał: „Żołnierze! Wśród powszechnej bierności naszego społeczeństwa (podkr. red.) wypadki dziejowe zaskoczyły Polaków, zostawiając ich bez możliwości jednolitego i silnego działania.”

Walka właśnie z naszymi wadami, z nami samymi, jest dziś szczególnie trudna. W XIX wieku istnienie patriotycznych elementów wśród ziemian-stwa i mieszczaństwa (a więc sfer niekontrolowanych przez zaborcę) dawało działaczom jakąś szansę schronienia i pomocy (nie mówiąc już o tym, że nawet praca organiczna w gospodarce przysparzała zamożności przyszłej Polsce). Obecnie totalna zależność bytowa od zaborcy czyni po części niemożliwym realizację choćby marginesu prywatnej niezależności, bezpieczeństwa bytu ekonomicznego, rodzinnego. Stąd może wypływa ta pierwsza dążność do poprawy losu za wszelką cenę. Dlatego takie postulaty, żądanie reform. Jest to słuszne; niewątpliwie należy przygotowywać właśnie programy i zmiany ustroju gospodarczego, jak też programy polityczne, bieżąco zaś robić to wszystko, co może ulżyć niewolniczej doli ludzkiej, zwłaszcza robotniczej. System ten jednak -jak chyba powoli dla wielu staje się jasne - nie może być „reformowalny” inaczej, niż poprzez działanie od początku, czyli zbudowanie sobie własnego państwa i władzy — czyli odzyskanie niepodległości. Ona jest przecież warunkiem własnej, indywidualnej wolności, sensu życia na ziemi, nadziei, a choćby i błędów — ale naszych, wynikających z własnych działań, z naszego upodmiotowienia: jednostkowego i zbiorowego. Słowa poety może są szczególnie aktualne dla nas:

Biada, kto daje Ojczyźnie pół duszy,
A drugie pół tu dla szczęścia zachowa.

Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!

Ad III. Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość? Czy świat im na to pozwoli? A może właśnie świat już odszedł od wizji pełnej niepodległości państw, z wyjątkiem supermocarstw. Przede wszystkim należy stwierdzić, że tylko częściowo ma rację A.Micewski pisząc, iż nie można dłużej identyfikować się z linią czy to Dmowskiego czy Piłsudskiego, gdyż współczesny nam świat jgst zdecydowanie odmienny od tego u schyłku XIX wieku i początku XX wieku. „Wielką zmianę powoduje także podział świata na dwa systemy społeczne i bloki wojskowo-polityczne” (A.Micewski, *Jeszcze o polskiej myśli politycznej*, „Tygodnik Powszechny”, 3 października 1982 r.).

Po pierwsze, między niepodległością „absolutną” a ograniczoną istnieje wyraźna różnica. Otóż akurat jeden z tych dwóch bloków - sowiecki (RWPG i Układ Warszawski) — jest blokiem, który pozbawia całkowicie suwerenności obecne w nim państwa — stanowi formę panowania jednego imperium. Nawet wewnątrz nie pozostawia sfery wolności, wyównującej brak niepodległości na

zewnątrz. Zwłaszcza nie pozostawia szans na ułożenie gospodarki, nie daje możliwości skutecznego zajęcia się własnym dobrobytem. Jest systemem totalnym i celowo prowadzi do niszczenia wszelkich form ludzkiej egzystencji. Suwerenność, nawet z narzuconymi ograniczeniami, pozostawia jednak skrepowaną podmiotowość, z ogromnymi obszarami wolności. Nawet owa słynna „finlandyzacja” daje państwo o narzuconych ograniczeniach, ale niepodległe.

Po drugie, istotnie świat się zmienił, zwłaszcza dzięki przełamaniu barier informacyjnych, ekonomicznych, społecznych. Sposób tych zmian przypomina zarazem bardzo mało ograniczenia niepodległości, gdyż z jednej strony jest przejawem (w wolnym świecie) dobrowolnych decyzji międzynarodowych, podejmowanych właśnie przez niepodległe państwa, tj. gdy władza ustanowiona przez społeczeństwo wyraża zgodę na takie ograniczenia (EWG, NATO, Parlament Europejski).

Po trzecie, zacieśnianie uzależnień natury ekonomicznej dokonuje się nie tylko na szczeblu państwa, ale raczej na poziomie organizmów gospodarczych. Przeobrażenia świata nie negują więc niepodległości państw.

Czy świat pozwoli, by doszło do zmiany układu międzynarodowego, a w efekcie do niepodległości Polski? Mamy tu na myśli Zachód, a ten w istocie zrobił wszystko co mógł, by podtrzymać ZSRR i zapewnić Polsce okupację sowiecką, i na pewno nie zrobi nic, aby „Polska była Polską”, jak pięknie śpiewają przywódcy krajów Zachodu. Współcześnie jakiegokolwiek działanie z pewnością utrudnione jest przez istnienie „bomby A”, która czyni nieco bezsensownymi próby zmian, jakie w stosunku do ZSRR mogłyby być skuteczne, tj. wojnę. Wojna jest jednak przede wszystkim groźbą wojny (i bomby A), skrzętnie wygrywaną psychologicznie przez Sowieców. Dotychczasowe doświadczenia wskazują natomiast, że Rosja dokonywała zmian i rewolucji pod wpływem ciosów z zewnątrz i przegranych. Koło się zamyka. Niemniej jednak należy uwzględnić następujące dodatnie trendy i szansę w rozwoju sytuacji światowej:

— Zachód może zacząć zajmować zdecydowane stanowisko, gdy odnajdzie w tym własny interes. Takie tendencje są współcześnie wyraźne w USA i RFN;

— gdy opinia publiczna krajów zachodnich zacznie zdecydowanie odchodzić od maksymy B.Russella: „better red than dead” - lepiej być czerwonym niż martwym. „Solidarność” uczyniła w tej materii wiele dobrego;

— gdy ZSRR w swym szaleństwie zbrojeń przekroczy próg, który w konfrontacji z efektywną gospodarką Zachodu będzie musiał cofnąć ludzi radzieckich z fazy budowy komunizmu do fazy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, tj. rakiety będą nie tylko zamiast masła, ale także zamiast trawy;

— gdy na ZSRR spadną lokalne klęski, takie jak Afganistan;

— gdy rozchwieje się w tym kraju władza.

Wtedy, może wtedy, zewnętrzne warunki pozwolą nam jeszcze raz postarać się o 11 Listopada.

Czy Polacy mogą wybić się na niepodległość?

WNIOSKI: Tak. Ale do niepodległości mogą powstać co najwyżej warunki, natomiast ona sama będzie wyłącznie naszym dziełem, wyrazem naszej gotowości. Musimy zatem:

— uzyskać wszyscy świadomość braku niepodległości, wiedzieć dlaczego jej nie ma;

— wiedzieć, że jest ona warunkiem realizacji wszelkich naszych programów i dążeń, także bytowych, czyli bardzo chcieć niepodległości;

— być przygotowani: programowo, politycznie, kadrowo i częściowo organizacyjnie na jej przyjście. Przygotowanie to winno być jednak czymś więcej niż istnieniem partii niepodległościowych (był to może mankament wizji Piłsudskiego), winno owocować świadomością polityczną, przygotowanymi pozytywnymi programami rozwiązania problemów gospodarczych, społecznych, politycznych, prawnych, oświatowych.

A jeżeli jednak to tylko pobożne życzenie? Jeśli to naprawdę nierealne? To nic nam innego nie pozostaje, jak być skazanymi na... optymizm i nadzieję. Tylko że wierze i nadziei trzeba trochę pomóc, w myśl słów wieszczki:

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei
Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec.

Politicus

«Niepodległość» nr 11-12, listopad-grudzień 1982, ss.25-30

Czy „Solidarność” była zbyt radykalna?

Oficjalne twierdzenia propagandy partyjno-wojskowej sugerują, że „Solidarność” miała szansę trwałego działania w systemie komunistycznym i możliwość jego zmiany, pod warunkiem niepodejmowania działań politycznych. Sugestia ta znajduje posłuch w części społeczeństwa, na ogół zresztą nie będącej w Związku. Podobne twierdzenia wysuwają niektórzy ko-respondenci zachodni, zwłaszcza europejscy. Zastanówmy się więc na gorąco: czy „Solidarność” była zbyt radykalna?

Bezpośrednio po Sierpniu wielu ludzi miało sielankową wizję społeczeństwa ustabilizowanego na następujących zasadach: władzę nadal sprawuje PZPR, lecz nie jest to już władza totalitarna, społeczeństwo funkcjonuje niezależnie od niej skupione w rozmaitych organizacjach, związkach, stowarzyszeniach, które respektują sfery zastrzeżone dla wyłącznej kompetencji partii komunistycznej. Nie rości sobie ono pretensji do takich atrybutów władzy, jak siła militarna, reprezentowanie państwa za granicą itp., zaś PZPR respektuje suwerenność społeczeństwa w sferach dla niego dozwolonych. Gospodarka stopniowo przechodzić będzie do sfery „społecznej”, aczkolwiek

zostaną w niej zagwarantowane interesy władzy. Ta wizja, przypominająca praski „socjalizm z ludzką twarzą”, opierała się na przeświadczeniu, że system taki jest nie tylko możliwy, lecz także stabilny. Czy było to naiwnością? Dziś można powiedzieć, że tak, ale w atmosferze euforii jesieni 1980 roku poglądy takie głosił sam Jacek Kuroń.

Czy były w ówczesnych władzach grupy godzące się na taki system? Być może, lecz z pewnością nie one miały głos decydujący. Rząd zastosował taktykę gry na zwłokę oraz hamowania dynamiki sytuacji. Można przytoczyć setki przykładów wykazujących złą wolę władz. Od mniej więcej roku partia zastosowała coś w rodzaju strajku władzy. Paradoksalne, lecz prawdziwe. W każdym normalnym kraju rząd dąży do umocnienia państwa. Prawdliwość ta obowiązuje zarówno w demokracjach zachodnich, gdzie władza jest emanacją społeczeństwa, jak w dyktaturach, które wzmacniając państwo umacniają się same. W Polsce rząd dał ludziom do zrozumienia, że zbojkotuje swe normalne obowiązki, jeśli społeczeństwo nie powróci do ram zakreślonych przez ortodoksję komunistyczną. Strajk władzy polegał przede wszystkim na pogłębianiu kryzysu ekonomicznego w kraju. Przypomnijmy sobie, ile kosztowało nas wszystkich usunięcie skompromitowanych złodziejskich klik wojewódzkich: bielskiej i jeleniogórskiej; ile trwały negocjacje w Radomiu w sprawie rozliczenia roku 1976, ciągle zrywane przez stronę rządową; ile czasu toczyły się rokowania w sprawie dostępu Związku do telewizji, zagwarantowanego przez uznawane za *pacta comenta* porozumienia sierpniowe. Nie było takiego pretekstu, którego władza nie wykorzystałaby do odraczania lub zrywania rozmów, nie było takiego błędu „Solidarności”, którego nie interpretowałaby jako złą wolę strony społecznej, uruchamiając w tym celu ciężką artylerię swej propagandy; nie było takiego ustępstwa Związku, którego partia nie potraktowałaby jako słabości przeciwnika. Przypomnijmy fakty.

W czasie rozmów Wałęsy z Obodowskim na początku 1981 roku w sprawie wolnych sobót, przewodniczący Związku dał do zrozumienia, że „Solidarność” pod różnymi warunkami może zgodzić się na dwie soboty pracujące w miesiącu. Nie było to stanowisko oficjalne, lecz robocze, dyskusyjne. Kilka tygodni później rząd wykorzystał to jako pretekst do jednostronnego ogłoszenia i wprowadzenia w życie własnego wariantu czasu pracy, łamiąc tym samym porozumienia sierpniowe.

Wykorzystując bałagan w „Solidarności” (w dziedzinie negocjacji), władze dokonały podczas II tury Zjazdu podwyżek cen papierosów, tłumacząc się wcześniejszymi rzekomo ustaleniami. Podobnie, dwa miesiące później podwyższono ceny alkoholu. Rzecz jasna o alkohol i papierosy „Solidarność” nie mogła strajkować bez wystawiania się na ogień oficjalnej propagandy. Jednocześnie posunięcia te prowadziły do frustracji Związku, wykazując, jak nikłe są szanse na forsowanie własnego zdania w dziedzinach zastrzeżonych do jego kompetencji, np. w sprawie cen.

Były w ciągu tych 15 i pół miesiąca swobody momenty znacznie bardziej dramatyczne niż ceny czy wolne soboty. Przypomnijmy tylko: jednostronna

zmiana statutu przez Kościelniaka na polecenie partii, sprawa Narożniaka, kryzys bydgoski, zablokowanie demonstrującej kolumny samochodów na rondzie w Warszawie, wreszcie spacyfikowanie strajkujących strażaków. Przypomnijmy sobie, z jaką satysfakcją Rakowski szczycił się w obecności negocjatorów „Solidarności” złamaniem demonstracji na rondzie. W jakim momencie umorzono śledztwo w sprawie bydgoskiej. Czy sukces władzy w tych incydentach spowodowany był zbyt dużą radykalnością Związku?

„Solidarność”, poza werbalnym radykalizmem charakterystycznym dla ruchów populistycznych, ustępowała cały czas. Sprawa bydgoska nigdy nie została rozliczona; dla władz nie był to dowód umiarkowania Związku, lecz jego słabości. Zaowocowała ona innymi demonstracjami siły ze strony rządu, a w konsekwencji wojskowym przewrotem.

Zastanówmy się, czy było przypadkiem, że momenty napięć przypadają tuż przed plenami KC, zapowiadany jeszcze przed owymi konfliktami. Przypomnijmy sobie VI plenum (tura październikowa), dzień po pierwszym strajku ostrzegawczym, związanym z nierealizowaniem tzw. punktu 8 umowy gdańskiej; VII plenum po sprawie Narożniaka - jawnej prowokacji władz; VIII plenum po ostentacyjnie przeciąganym konflikcie bielskim; IX plenum po konflikcie bydgoskim. Frakcjom partyjnym zależało na podgrzewaniu atmosfery, prowokowały więc konflikty; rzekomy radykalizm „Solidarności” nie miał zaś z tym nic wspólnego.

Zastanówmy się teraz nad oskarżeniami o prowadzenie działalności pozazwiązkowej przez „Solidarność”. Tradycyjnymi sferami zainteresowań związków zawodowych są: płace, sprawy socjalne i bytowe. Problemy te występują na różnych szczeblach. Gdy właścicielem zakładu pracy jest prywatny przedsiębiorca, jego pracownicy za pośrednictwem swych przedstawicieli związkowych mogą prowadzić z nim grę, w której stawką są płace w relacji do kosztów utrzymania, czas pracy, problemy socjalno-bytowe, itp. Sprawa jest jasna; wszyscy mogą uznać tę działalność za związkową w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ale na czym ma polegać taka działalność w państwie, w którym jedynym właścicielem jest władza ustalająca jednolite systemy płac, przepisy socjalne, ceny. Związek nie może prowadzić gry tylko z dyrekcją zakładu, ponieważ jest ona niekompetentna. Musi ją prowadzić na szczeblu władz centralnych, gdzie są rozstrzygane problemy dotyczące bezpośrednio związkowców. Gra ze szczeblem centralnym jest zaś zawsze robieniem polityki.

Dla komunistów zresztą każde działanie społeczeństwa ma charakter polityczny. Fala strajków i manifestacji w lecie roku 1981, przebiegająca pod hasłami protestu przeciwko głodowi, uznana została przez PZPR za akcję polityczną. Strajk kobiet w Żyrardowie protestujących przeciwko nędzy i głodowi, strajk rozpaczliwych głodujących matek, uznany został za strajk polityczny. Gdzie są więc ramy dla działalności związkowej nie będącej polityką w komunizmie?

„Solidarność” długo czekała na dobrą wolę władz. Choć dostrzegła swoisty strajk rządu, nie starała się temu przeciwdziałać, wychodząc z założenia, że struktury władzy muszą pozostać nie zmienione. Doprowadziło to

społeczeństwo na krawędź biologicznego wyniszczenia. Dopiero wtedy Związek zaczął działać; wyznaczono termin ogólnospołecznego referendum, w którym naród miał wypowiedzieć się, czy uznaje w dalszym ciągu „strajkującą władzę” za swoją. W tym momencie do akcji wkroczyły siły represji.

Franciszek Sz.

«Niepodległość» nr 1, styczeń 1982, ss.9-10

Uwagi o systemie politycznym

Sierpień 1980 roku wykazał, że Polska jest pustynią polityczną. Po 33 latach od rozgromienia przez komunistów opozycji nie istnieją ani dawne stronnictwa, ani ludzie mogący je wskrzesić. Nie istnieje też niemal myśl polityczna aspirująca do wytaczania społeczeństwu perspektyw, w których realizm łączyłby się ze śmiałością. Jedynym może wyjątkiem w ostatnich latach było środowisko korowskie (mam na myśli tzw. lewicę laicką, nie zaś cały skład KOR-u). Wywodziło się ono z rewizjonizmu 56 i 68 roku, a więc z warunków polskiego realnego socjalizmu. Podstawą myśli korowskiej była przesłanka mówiąca o możliwości budowy społeczeństwa niezależnego, funkcjonującego w państwie niesuwerennym (uzależnionym od ZSRS) i niedemokratycznym. Społeczeństwo niezależne mogłoby posiadać własne instytucje kulturalne, obieg informacji lecz nie miałyby swoich instytucji politycznych. Integracja społeczeństwa budowana byłaby „od dołu”, poprzez więzi nieformalne, i miałyby zatrzymać się na pewnym etapie. W ten sposób wytworzyłaby się linia demarkacyjna między względnie niezależnym społeczeństwem i względnie liberalną dyktaturą. Nieprzekraczanie linii demarkacyjnej miało leżeć zarówno w interesie społeczeństwa jak i władz, zaś świadomość jej istnienia powodować miała samoograniczenie się: społeczeństwa, które nie powinno tworzyć własnych struktur politycznych mogących zagrozić komunistom i władzy, która po doświadczeniach grudnia 70 i czerwca 76 roku nie zechce ryzykować konfliktu społecznego.

Sytuacja w pierwszych miesiącach po Sierpniu wydawała się potwierdzać realność korowskiej przesłanki; linia demarkacyjna między władzą a społeczeństwem uzyskała bowiem formę pseudo-prawną, tzw. Porozumień Sierpniowych (piszę „pseudoprawną”, ponieważ umowy te nie mieściły się w dotychczasowym systemie prawa). Społeczeństwo uzyskało swą własną instytucję — „Solidarność”. Do pełnej realizacji wizji KOR-u potrzeba było tylko samoograniczenia się obu stron. Było ono niemożliwe zarówno dla PZPR, jak i dla społeczeństwa. 13 grudnia władza przekroczyła linię demarkacyjną.

KOR, niezależnie od swej elitarności, dysponował największym potencjałem intelektualnym. Jego liczni przeciwnicy nie byli w stanie jasno sformułować swego programu, ani tym bardziej stworzyć wokół niego ruchu masowego.

Społeczeństwo stanowią zorganizowane jednostki. Można powiedzieć, że są to jednostki plus organizacja, która sprawia, że są one w stanie wspólnie funkcjonować. Na organizację tę składa się szereg instytucji społecznych, kulturalnych, politycznych i ekonomicznych. Wśród nich szczególną rolę odgrywa państwo. Celem działania społeczeństwa musi być budowa własnego państwa. Idea stworzenia społeczeństwa zorganizowanego w szereg instytucji, lecz nie w państwo, poniosła bowiem klęskę 13 grudnia.

Własne państwo jest społeczeństwu niezbędne i jedynie ono może mu zagwarantować swobodny rozwój. Własne państwo nie stanowi dla nas celu samego w sobie, ale jest warunkiem i *zarazem* instrumentem kształtowania demokratycznych i wolnościowych stosunków w społeczeństwie. Nie oznacza to, że w obecnej sytuacji celem podstawowym i jedynym musi być tworzenie państwa podziemnego. Jego budowa winna być natomiast celem długofalowym, który będzie można zrealizować dopiero po wcześniejszym powstaniu innych instytucji politycznych. Państwo nie może bowiem funkcjonować w politycznej próżni. Musi ono wyrażać interesy grupowe społeczeństwa, a do tego niezbędna jest ich artykulacja, czemu służą partie polityczne.

Okres względnej swobody między Sierpniem i Grudniem nie doprowadził do powstania partii. Przyczyn było kilka, wymieńmy tylko najważniejsze :

- całe społeczeństwo zafascynowane było legalną instytucją— „Solidarnością” - do tego stopnia, że nie widziało potrzeby budowy instytucji innych. Tego typu poczynania uważano za podejrzanę, pachnącą prowokacją;

- intelektualnym potencjałem politycznym dysponował przede wszystkim KOR, ale on właśnie z założenia przeciwny był tworzeniu instytucji politycznych. Przykład poronionych Klubów Inicjatyw Społecznych, a następnie niewiele bardziej udanych Klubów Samorządnej Rzeczypospolitej, jest tu wielce wymowny;

- kultura działań i dyskusji politycznych w naszym społeczeństwie była i pozostaje nadal niezwykle niska. Pod tym względem „bolszewizacja” Polaków odniosła dalszy sukces.

W okresie posierpniowym największą karierę zrobiły trzy słowa: prowokacja, manipulacja oraz ich przeciwieństwo — wiarygodność. Jest to również świadectwem nieporadnego raczkowania ruchu demokratycznego. Pyskówki na posiedzeniach Zarządu Mazowsza między „korowcami” i „prawdziwymi Polakami” jeszcze dziś budzą zażenowanie.

Brak kultury politycznej oraz szerszej wizji uniemożliwił ewolucję PZPR i stronnictw satelickich, mimo dobrych ku temu warunków. Zwłaszcza brak takiej ewolucji w ZSL i SD musi wprawiać w zdziwienie. Ogromna większość członków tych „partii” nie jest bowiem związana z aparatem władzy, nie może więc liczyć nawet na przywileje, które posiadają członkowie PZPR (nomenklatura). Miały one szansę zmienić swój status z organizacji satelickich na niezależne partie, lecz nie próbowały nawet z niej skorzystać.

Obecny okres należy zatem poświęcić na stworzenie infrastruktury społeczeństwa. Celem ruchu musi być zorganizowanie systemu partii politycznych, który mógłby sprawnie funkcjonować w wolnej Polsce. Dopiero istnienie takiego systemu powinno zostać ukoronowane utworzeniem państwa, jeśli będzie to konieczne, podziemnego. Proces ten będzie długofalowy, niezbędna jest jednak świadomość celu ruchu. Łączył się on będzie z walką polityczną prowadzoną wewnątrz rozbudowywanych struktur politycznych. Mogą wówczas wystąpić dwa niebezpieczeństwa, których należy unikać:

— kamuflowanie sprzeczności, konfliktów interesów, jak to miało miejsce w „Solidarności”,

— niebezpieczeństwo walki mającej na celu całkowite zniszczenie przeciwnika („bolszewizacja” partii), w której cel uświęca środki.

Pismo nasze proponuje przyjęcie następującej platformy prowadzenia sporów politycznych wewnątrz nowopowstającego systemu politycznego:

— Polemizować należy z każdym poglądem, z którym się nie zgadzamy, nie uznając przy tym żadnych autorytetów.

— Trzeba jasno przedstawiać swe poglądy na sprawy zasadnicze: system gospodarczy, kwestie egalitaryzmu społecznego, politykę międzynarodową. Nie można bać się programów niepopularnych w niektórych środowiskach, nie ma bowiem programu popieranego przez całość społeczeństwa. Jeżeli będziemy usiłowali go zbudować, będzie on wewnętrznym sprzecznym i nic niewartym. W obecnej dobie tworzenia systemu politycznego lepiej jest przesadzić z ostrością programów niż je rozmazywać.

— Należy dążyć do integracji ugrupowań politycznych w oparciu o wspólne poglądy na przedstawione zagadnienia. Nie można bowiem dopuścić do rozbicia, np. ruchu socjaldemokratycznego, na wiele partii, których programy byłyby identyczne, zaś liderów łączyłaby jedynie nienawiść.

— Nie wolno atakować polityków za ich dawne poglądy i koneksje polityczne (trzy najwybitniejsze osobowości polityczne: Kuroń, Moczulski i Bratkowski wywodzą się z PZPR).

— Nie wolno dyskredytować żadnego polityka przy pomocy epitetów, bez rzeczowej dyskusji i krytyki jego poglądów, np. Rulewski — ekstremista, Kurowski — akademicki doktryner, Moczulski — prowokator, Kuroń — żydokomuna, Bratkowski — gnida.

Franciszek Sz.

«Niepodległość» nr 4-5, kwiecień-maj 1982, ss.1-2

Założenia ogólne strajku generalnego

Rozpatrzmy na wstępie trzy problemy natury ogólnej wiążące się z przeprowadzeniem strajku:

1. Jaki charakter ma broń strajkowa w pojęciu pomysłodawców i naszym?
2. Czy taktyka ta będzie zawsze aktualna?
3. Jaki jest nasz cel: czego chcemy, co możemy osiągnąć, a co utracić?

1 a — strajk generalny jako straszak na władzę ludową — takie rozumowanie jest charakterystyczne dla dwu członków RKW Mazowsze: Zb. Bujaka i W. Kulerskiego oraz popierającego ich MKK „Wola”. Dowodzi tego nie tylko milczenie po ogłoszeniu projektu, ale także występowanie rozmaitych „ale”, „pod warunkiem”, „jeśli” itp. Żądano, by w sprawie strajku przeprowadzić dopiero referendum wśród załóg, co oznacza w praktyce jego zablokowanie — demokratyczne referendum w konspiracji jest już bowiem przejawem paranoi. „Wola” w pierwszym odruchu potępiła nawet ideę strajku (wydanie specjalne z czerwca).

„S” od swego powstania specjalizuje się w straszaniu komunistów. Między Sierpniem a Grudniem straszyla ich wolnymi wyborami, zamiast je przygotowywać. Skutek już znamy. Ubecja się nie przestraszyła, tylko lepiej przygotowała się do rozprawy grudniowej. Teraz władza, której straszący dają spokój, ma czas by przygotować się do ... strajku generalnego. (...)

1b — strajk generalny jako narzędzie, którym zadajemy cios kończący się porażką ale nie klęską komunistów - zwolennikiem takiego potraktowania strajku jest przede wszystkim Romaszewski, tego rozwiązania nie wyklucza Kuroń i my go też nie odrzucamy. Ale przyjmując tę koncepcję w warunkach, gdy obalenie komunizmu nie jest jeszcze możliwe, choć możliwe jest jego osłabienie, nie musimy rezygnować z radykalnych programów, zdecydowanego działania i budowania podziemnych struktur. (...)

Naszym zdaniem, jeśli strajk ma mieć cel ograniczony, tj. nie zakończyć się przejęciem władzy, lecz jej osłabieniem, musi spowodować załamanie się aparatu represji (hasła są obojętne - ważne są działania), tak by jego odbudowa zabrała komunistom dużo czasu. Wówczas władza może pójść na kolejny czasowy rozejm, gdyż aby zadać następny cios, będzie zmuszona odbudować siły represji. Uzyskany w ten sposób czas możemy wykorzystać na wzmocnienie własnego ruchu. (...)

Sądzymy jednak, że w tej fazie wszelkie działania jawne (porozumiewanie się z władzą itp.) należy traktować jako drugorzędne — taktyczne, nie rezygnując w żadnej mierze ze struktur konspiracyjnych. Instytucje podziemne powinny stanowić dla nas rodzaj *zaplecza*, do którego zawsze będzie można się cofnąć. Ponadto przy zawieraniu czasowego rozejmu trzeba mieć z czego rezygnować, a „Solidarność” w obecnej chwili nie ma nic do zafiarowania komunistom, czego ci już by nie mieli.

1 c - strajk generalny jako metoda przejmowania władzy — naszym zdaniem powinien zostać zorganizowany i przeprowadzony dopiero wówczas, gdy istnieje szansa całkowitej wygranej, tj.:

— w końcowej fazie wojny światowej,

— kiedy wstrząsy imperium wywołane jego rozpadaniem się stworzą szansę, że Polska, jako najsłabsze ogniwo sowieckiego łańcucha, będzie mogła wyzwolić się jako pierwsza. W naszym rozumieniu tak pojmowany strajk jest dalszym ciągiem poprzedniego.

2 — strajk generalny będzie zawsze bronią aktualną, gdyż w istocie jego celem jest obalenie komunizmu; w końcowym efekcie wiąże się on z upadkiem

imperium. Możemy wyobrazić sobie dwa warianty:

— ZSRS zdecyduje się na wywołanie wojny z Zachodem przed 1985r., gdyż po tym czasie nie będzie w stanie już jej prowadzić;

— ZSRS nie może już walczyć z USA, ale potrafi jeszcze ujarzmić swych poddanych, Zachód zaś nie zagrożony przez Sowiety nie ma bodźca do zbrojeń i rywalizacji, a więc zanika także powód do ewentualnego popierania narodów zniewolonych. Europa wybiera spokojną konsumpcję, z obojętnością patrząc na krwawe rzezie na Wschodzie, o ile nie zagrażają jej granicom. W tej sytuacji Polska powinna odegrać rolę najsłabszego ogniwa. Jeśli zacniemy pierwsi, na nas spadnie główny ciężar walki, jeżeli będziemy jednak czekali na innych — zapłacimy życiem w rozpadającym się komunizmie, co przyniesie nam jeszcze więcej strat i ofiar.

3 — Naszym celem jest likwidacja ustroju komunistycznego. Obecnie jednak nie możemy tego osiągnąć w drodze jednorazowego zrywu ze względu na znaczną jeszcze siłę ZSRS na arenie międzynarodowej. Maksimum to realizacja wariantu Ib i dalsze przygotowania do decydującego starcia.

W wypadku przegranej trzeba liczyć się z terrorem który pochłonie tysiące ofiar, ale wówczas odpowiedzią nań byłoby podjęcie walki zbrojnej. Wojna w Polsce nie może być obojętna dla Europy Zachodniej, gdyż leżymy zbyt blisko jej granic. Dlatego też terror i walki zbrojne u nas mogłyby stać się początkiem konfliktu światowego. W końcowym efekcie odzyskanie niepodległości wiązałoby się z ogromnymi ofiarami, ponieważ Sowiety „potknęłyby się” właśnie o Polskę.

Gdyby natomiast ZSRS nie zdecydował się na wojnę światową, wyda rozkaz załatwienia całej sprawy „pokojowo” — tj. zawarcia porozumienia z ugodowcami, by później spróbować wymordowania radykalnych przywódców po cichu. Takie rozwiązanie da nam jednak trochę upragnionego czasu.

Warunkiem wstępnym strajku generalnego jest stworzenie ogólnokrajowej, opartej na federacji organizacji, pełniącej w praktyce funkcję Polskiego Państwa Podziemnego. Nazwa jest tu sprawą obojętną, chodzi bowiem o powołanie na tyle jednolitej struktury organizacyjnej, by mogła przygotować i prowadzić strajk. Musimy zatem do końca przeprowadzić akcję scaleniową wśród związków powstałych na bazie rozbitej „Solidarności”. Świadomie używam terminu „związek”, gdyż mam na myśli organizacje nie posiadające żadnego programu politycznego, a więc niezróżnicowane ideologicznie, które same cel swej działalności określają w sposób mało precyzyjny: „Chcemy, żeby była „Solidarność” i żeby wypuścili ludzi z więzień”.

Grupy o bardziej skonkretyzowanych poglądach politycznych powinny natomiast utworzyć, początkowo regionalną, później zaś ogólnokrajową Reprezentację Polityczną. Mielibyśmy zatem do czynienia z dwiema strukturami:

— związkowo-państwową, obejmującą cały kraj, wszystkich przeciwników władz okupacyjnych, od KPN-owców do zwolenników Kuronia. (...)

- partyjno-polityczną, utworzoną początkowo na szczeblu regionu, a następnie kraju, i składającą się z przedstawicieli grup i środowisk, które po 13 grudnia nabrały coraz bardziej charakteru politycznego. (...)

Charakter strajku

Strajku generalnego nie można planować jako powstania zbrojnego, gdyż ze względu na brak broni, dysproporcję sił itp. byłibyśmy z góry skazani na przegraną. Z drugiej strony w żadnym wypadku nie można dopuścić, by przybrał on charakter grudniowy, kiedy jedyną bronią katowanych robotników, po którą chcieli sięgać przywódcy i uczestnicy strajku, były pieśni religijne. Wszystkie duże zakłady pracy posiadające odpowiednie warunki powinny wziąć przykład z kopalni „Wujek”, która nie została zdobyta przez ZOMO. Należy zatem przygotowywać się do obrony, a ludzi do stawiania oporu. (...)

Strajk generalny winien więc przybrać charakter pośredni między zwykłą walką strajkową a rozruchami. Musimy być przygotowani na to, że nieprzyjaciel użyje wszystkich dostępnych mu środków: karabiny maszynowe, czołgi, desanty helikopterowe, ostrzał z powietrza. Mimo to możemy jednak liczyć na sukces pod dwoma warunkami:

- jeśli będziemy gotowi do poniesienia ofiar, gotowi na śmierć nie tyle z powodu noszenia znaczka z Matką Boską, ile w związku z działaniami o wiele bardziej dotkliwymi dla komunistów;

- jeśli czas obecny wykorzystamy na przygotowania, zamiast nawoływać do nic nierobienia (bowiem i tak nie damy rady, gdyż „nie jesteśmy przygotowani”), rozpoczniemy propagandę w wojsku, a w trakcie samych działań będziemy zapewniali bezpieczeństwo wszystkim, którzy przejdą na naszą stronę.

Nasza propaganda winna zatem zostać ukierunkowana na zachęcanie do odmowy wykonania rozkazu strzelania do ludności, na namawianie do przechodzenia na jej stronę, tzn. na stronę władzy reprezentującej tę ludność.

Mamy szansę pokonać zdemoralizowane oddziały milicji, a o postawie wojska zadecyduje kapral, który pierwszy przeprowadzi swoich żołnierzy na naszą stronę. Musi on jednak wiedzieć, że nie będzie dezertem, którego załoga wyda, gdyż będzie wołała kapitulację od walki, ale że zostanie kapitanem Wojsk Narodowych.

Najważniejszym naszym celem strategicznym jest pokonanie, mimo ofiar, oddziałów ZOMO i zmuszenie okupanta do użycia wojska na terenie całego kraju. Strajkować muszą zatem w praktyce wszystkie większe miasta wojewódzkie. Nie wolno czekać np. w Częstochowie, aż władza spacyfikuje Łódź i będzie mogła przerzucić swe siły. W wypadku braku ataku, sami musimy przechodzić do ofensywy i przejmować władzę na danym terenie, tworząc własne oddziały. (...)

Decyzje

Wybuch strajku nie może mieć w sobie nic z żywiołowości; musi rozpocząć się na rozkaz i na rozkaz skończyć. Decyzje w tej sprawie podejmują zatem najwęższe i najwyższe władze podziemia, upoważnione uprzednio przez reprezentację polityczną.

Faza I - pogotowie - o bliskiej decyzji strajku (może ona jednak nie zapaść) dowiadują się kierownicy poszczególnych wydziałów i służb. (...)

Faza II - ogłoszenie strajku — musi stać się zaskoczeniem takim samym dla władz, jak dla ewentualnych uczestników strajku, jej początek będzie zatem realizowany przez aparat kadrowy konspiracji, która w wypadku odniesienia pierwszych sukcesów i zapanowania atmosfery rewolucyjnej uzyska poparcie większości. Jeśli ktoś liczy na rozpoczęcie strajku przez 80% załóg, to znaczy że niczego nie rozumie bądź chce zablokować akcję i szuka w tym celu dogodnego pretekstu.

Data

Strajk nie powinien wybuchnąć ani wtedy, gdy życzy sobie tego stocznia, ani dlatego, że skurat jakiegoś dnia ZOMO zamordowało o jedno dziecko więcej niż zwykle, ale w określonej sytuacji międzynarodowej (korzystny układ stosunków Wschód - Zachód) i krajowej (zakończenie przygotowań i odpowiednia atmosfera, gwarantująca spontaniczne poparcie większości dla strajku. (...))

Przebieg działań politycznych

Strajku generalnego nie należy traktować jako formę straszenia lub wywierania nacisku na władzę, ale jako metodę odbierania tej władzy, częściowo lub w całości.

Krajowa Reprezentacja Polityczna (jej funkcje może pełnić najsilniejsza Regionalna Reprezentacja Polityczna) upoważnia krajowe władze wykonawcze (nie wiemy, czy będzie nimi obecna TKK, czy też inny twór) do podjęcia decyzji o strajku. Krajowe władze wykonawcze podejmują decyzję o rozpoczęciu strajku i wydają odpowiednie polecenia władzom regionalnym itd.

W momencie ogłoszenia strajku najsilniejsza RRP, zapewne Mazowska, przejmuje funkcje Sejmu aż do zjazdu wszystkich regionalnych reprezentacji i mianuje Rząd Narodowy w oparciu o rozszerzony skład dotychczasowych władz krajowych.

Wariant I - jeśli strajk przebiega pomyślnie i udaje się przywrócić komunikację krajową, zebranie wszystkich RRP przekształca się w Radę Jedności Narodowej — tymczasowy sejm o zasięgu ogólnokrajowym, który powołuje Rząd Tymczasowy; jego zadaniem będzie:

- przywrócić porządek w kraju,
- przeprowadzić wybory do Zgromadzenia Konstytucyjnego. Do czasu realizacji owych zadań w kraju obowiązuje tymczasowa ustawa konstytucyjna, przyjęta na pierwszym posiedzeniu RJN i oparta na

Konstytucji z 1935 roku, z wyłączeniem jej postanowień o charakterze antydemokratycznym.

Wariant II — Rząd Narodowy lub sama RRP Mazowska, w wyniku sytuacji międzynarodowej, krajowej lub tchórzostwa przywódców strajku, zmuszona jest do zawarcia jakiegoś porozumienia - rozejmu z władzami komunistycznymi bądź ZSRS. W tym wypadku partie niepodległościowe kontynuują swoją działalność w podziemiu tak długo, jak się to okaże potrzebne dla wywalczenia pełnej NIEPODLEGŁOŚCI, WOLNOŚCI i DEMOKRACJI.

Antoni Wichrzyciel
«Niepodległość» nr 1, lipiec 1982, ss.9-13

Bunt czy rewolucja

Historia polskich buntów przeciwko władzy komunistycznej jest przykładem mozolnego i długiego procesu usamodzielniania się czynnika społecznego — jego ewolucji od siły popierającej przemianę wewnątrz aparatu władzy (np. poparcie dla Gomułki) do ruchu niezależnego, walczącego z ową władzą o prawa dla narodu. W 1980 r. „Solidarności” nie interesowało (słusznie) kto jest „liberałem”, a kto „twardogłowym”; kto kogo chce pozbawić władzy, aby samemu uciskać nasz naród w imieniu Rosji. Osiągnięta świadomość nie pozwalała już ruchowi społecznego traktować instrumentalnie, dlatego też żadna z partyjnych frakcji nie może brać go pod uwagę jako narzędzie pomocne w prowadzeniu rozgrywek wewnątrz aparatu, instrument, którego pozbędzie się podobnie jak Jaruzelski „Solidarności” w grudniu 1981 roku. Stąd wniosek - nadchodząca konfrontacja będzie dla komunistów walką na śmierć i życie, walką o władzę.

Bunt polega na proteście przeciwko władzy i w zasadzie nie żąda niczego poza cofnięciem decyzji, które stały się jego przyczyną. Klasycznym przykładem ilustrującym powyższą tezę są bunty podwyżkowe w Polsce w latach: 1956, 1970, 1976. Taki ruch, pozbawiony programu (celów pozytywnych), bardzo łatwo jest skanalizować i stłumić, jeśli nie powstanie żadne kierownictwo a wola walki wygaśnie po pierwszych represjach (Radom 76). Dlatego też prowokowanie buntów należy do ulubionych zajęć policji, dążącej do wcześniejszego spacyfikowania opozycji, zanim ta dojrzeje do działania (np. rok 1968). Niejednokrotnie służy on także frakcjom partyjnym szykującym się do przejścia władzy jako środek umożliwiający skompromitowanie i obalenie ekip poprzednich oraz metoda uzyskiwania zaufania społecznego.

Po doświadczeniach Sierpnia 80 nie musimy już obawiać się prowokacji, bowiem społeczeństwo na tyle dojrzało pod względem politycznym, iż jest w stanie przekształcić bunt w rewolucję. Innymi słowy, nie jest ważne, czy iskrą która wywoła wybuch będzie prowokacja czy nie, ale to, co nastąpi później.

Procesja przed Pałacem Zimowym w Petersburgu w styczniu 1905 roku została zorganizowana przez pracownika policji politycznej, ale wydarzenia które nastąpiły po jej krwawym rozpędzeniu (ok. 1000 zabitych) o mało co nie zdruzgotały imperium rosyjskiego i zmusiły cara do wydania zgody na utworzenie parlamentu — Dumy. Prowokacja „krwawej niedzieli” odegrała zatem znaczną rolę, ale w całkowicie odmiennym znaczeniu niż tego oczekiwali pomysłodawcy. Prowokacja w konkretnych okolicznościach może nawet „przydać się” ruchowi rewolucyjnemu, dając sygnał do zbiorowego wystąpienia. Ważniejsze od niej są bowiem skutki jakie pociąga i to właśnie nad nimi musimy sprawować kontrolę.

W naszej sytuacji rewolucję od buntu muszą różnić zasadniczo trzy elementy:

1. Świadomość uczestników rewolucji, iż walka toczy się nie o cofnięcie jakichkolwiek rozporządzeń, np. delegalizacji „S”, czy o jej ponowną rejestrację; nie o ograniczenie istniejącej władzy, np. przez jakieś porozumienie; nie o zmianę ekipy, np. Jaruzelskiego na Kanię; czy wreszcie nie o to, by zaprotestować przeciwko jakiemuś posunięciu, np. zniesieniu wolnych sobót, ale o obalenie rządów komunistycznych i powołanie nowej, polskiej i demokratycznej władzy.

2. Przywództwo polityczne zdolne pokierować walką, nie ulegające iluzjom ale rozumiejące, iż uchwycenie władzy stanowi jego cel zasadniczy. Każda rewolucja tworzy swe własne instytucje, własną władzę. Dobrze byłoby jednak, aby już wcześniej istniały pewne struktury organizacyjne, przynajmniej na szczeblu regionalnym, które zdając sobie sprawę z rozwoju wypadków (logiki walki) byłyby w stanie szybko dostosować się do sytuacji rewolucyjnej i wykorzystać jej potencjał. Dodajmy, że na ogół rewolucje swym wybuchem zaskakują wszystkich, zarówno przyszłych zwycięzców, jak i pokonanych. Wygrywa jednak ten, kto szybciej rzuci hasła nie uświadamiane sobie jeszcze przez masy i wysunie program akceptowany przez elitę ruchu.

3. Charakter toczonej walki musi stanowić zaprzeczenie strajku sierpniowego. Skoro bowiem głównym celem rewolucji będzie obalenie istniejącej jeszcze władzy, należy dążyć do dezintegracji obez władnienia aparatu przemocy oraz do izolacji, rozbicia i wreszcie usunięcia dotychczasowego aparatu władzy — całego aparatu. Nie można zatem czekać, aż partia (wojsko, policja itp.) przyśle kogoś na rozmowy lub wyśle czołgi, lecz należy atakować ośrodki władzy. Przyjęcie modelu Sierpnia 80 z góry oznacza natomiast przegraną, gdyż zakłada, że czegoś od tej władzy oczekujemy, że mamy z nią jeszcze jakąś wspólną płaszczyznę do rozmów, jakiś wspólny interes. Podczas gdy my chcemy tylko jednego — ABY KOMUNIŚCI ODESZLI, najlepiej tam, skąd przybyli - DO ZSRS!

Pierwszym etapem rewolucji jest doprowadzenie do powstanie dwuwładzy: rządu dotychczasowego i nowych instytucji, przejmujących w miarę możliwości władzę w dzielnicach, miastach, regionach. Rewolucja kończy się, gdy stara władza zostaje rozbita i zlikwidowana, a nowy ustrój uzyskuje prawomocność. W naszym wypadku musi to nastąpić na drodze przyjęcia nowej

konstytucji, opracowanej przez Zgromadzenie Narodowe (Konstytuantę) wybrane w wolnych i demokratycznych wyborach.

Aby tak zarysowana rewolucja powiodła się, muszą zostać spełnione trzy warunki:

1. Aparat starej władzy musi ulec w wystarczającym stopniu rozkładowi, podzielić się na kilka ośrodków dyspozycyjnych nawzajem blokujących swe poczynania, niezdolnych do podejmowania decyzji i ich realizacji (rządzenia). Proces taki już się rozpoczął. W praktyce, poza dozowaniem społeczeństwu represji, komuniści nie *rządzą*, tj. nie realizują żadnych decyzji poza represjami. Proces kierowania państwem ograniczyli bowiem do ich stosowania i do korzystania z władzy (przywileje, korupcja, rozkradanie majątku narodowego i prywatnego obywateli). Powinno to doprowadzić w ciągu kilku lat do całkowitej degeneracji i rozpadu władzy.

2. Ludzie muszą być przekonani o możliwości zmian, tj. o możliwości zwycięstwa w walce z czerwonymi, zaś osiągnięty stopień nędzy nie może być na tyle duży, by ich całkiem pozbawił woli. Zagrożenie nędzą często powodowało rewolucje, lecz sama nędza doprowadzała tylko do zbydlenia narodów.

3. Korzystna sytuacja międzynarodowa, tzn. jak największe napięcie na linii USA — ZSRS i zagrożenie wolnego świata przez ekspansjonistyczne dążenia Sowiec. Tylko wówczas USA i Zachód, w trwodze o własną skórę, będą gotowe udzielić poparcia Polsce, by zaszachować w ten sposób Rosję. Zawarcie porozumienia natomiast potwierdzi w większym lub mniejszym stopniu Jałtę i stanie się grobem dla naszej sprawy na najbliższe pokolenie. Tylko Zachód zagrożony przez Rosję będzie skłonny do rewizji układów jałtańskich.

Antoni Wicherzyciel
«Niepodległość» nr 15, marzec 1983, s.2

„Solidarność” a opozycja demokratyczna

(...) „Solidarność” była wielkim i wspaniałym ruchem, ale żeby działać nadal, nie możemy żyć mitami; spójrzmy więc na „S” od strony politycznej. „S” samym swym istnieniem podważała ustrój komunistyczny, jednocześnie jednak cofała się za każdym razem, gdy zachodziło choćby najmniejsze podejrzenie, że mogłaby go obalić, sama zatem wystawiała się na zagładę - s/ła ślepą uliczką. Tak było w sferze taktyki, a w dziedzinie ideologii?

„S” stale ustępowała przed propagandą komunistyczną, zastrzegając się, iż jest za socjalizmem, porozumieniem, utrzymaniem władzy PZPR, odcinała się od tzw. ekstremistów (potępienie Rulewskiego), itd. (...)

Rozumiemy, iż z punktu widzenia taktyki „S” miała bardzo małe pole

manewru w dziedzinie ideologii, ale ustępując przed naporem propagandy komunistycznej, która była jedynie wstępem do uderzenia policyjnego, Związek rozbroił się ideologicznie. Rozbrojenie taktyczne - rezygnacja ze strajku marcowego — i ideologiczne doprowadziły w końcu do braku masowego oporu w grudniu 1981 roku.

„Jeżeli można mieć żal do ekstremistów, to za to, że demontowali totalitaryzm nie dość skutecznie, że zamiast umocnić Związek organizacyjnie i cegła po cegle wybijać wyłom wolności w totalitarnym murze, bili często na oślep, rozdrabniali się, dali sobie wytrącić z ręki broń najpotężniejszą, strajk generalny, który ani razu nie został użyty świadomie i celowo" („Słowo", 22.07 82). Dodajmy: to nie ekstremiści kierowali Związkiem, lecz umiarkowani, blokujący wszelkie radykalne poczynania.

„S" była jednak bardzo potrzebna Polakom:

— aby odrodzić naród - w ciągu kilku miesięcy otrząsnęliśmy się z ponad trzydziestoletniej sowietyzacji i komunistycznej deprawacji; młodzież uzyskała wzorce godne naśladowania;

— aby nawiązać nowe, demokratyczne stosunki między różnymi grupami społecznymi i uświadomić politycznie masy pracujące, zarówno robotników, jak i inteligentów;

— aby swą klęską uświadomić społeczeństwu konieczność obalenia komunizmu i utopijność programu pogodzenia z nim ograniczonej demokracji.

Po 13 grudnia „S" miała szansę wyjścia na szeroką drogę, odrzucając formułę związkową i przyjmując program niepodległościowy, a tym samym przekształcając się w Konfederację Organizacji Niepodległościowych. Zamiast tego, po uderzeniu policyjnym działacze „S" zaczęli ulegać komunistycznej propagandzie, jeszcze bardziej akcentując swój związkowy, a nie polityczny charakter. Niektórzy nawet myślą, iż jeśli będą kolportowali tylko pisma z nadrukiem „Solidarność" i odżegnywali się od działań politycznych, to na komendach mniej ich spałują.

Biedni naiwni! Przykładowo, „Biuletyn Programowy TKK NSZZ „S" Regionu Śląsko-Dąbrowskiego" nr 6 z dnia 1 lipca 1982 r. stawia przed „S" jako cel: „zawarcie pokoju społecznego opartego (...) na nowym porozumieniu gwarantującym władzy — władzę, a ludziom pracy wolność i chleb." (...)

„Różnica między demokracją a totalitaryzmem polega na tym, że w demokracji (a tylko w niej panuje wolność i dobrobyt - „N") społeczeństwo organizuje się i organizuje władzę, w totalitaryzmie natomiast władza organizuje społeczeństwo" („Słowo"). Albo zatem stworzymy własną niekomunistyczną władzę i będziemy mieli wolność i dobrobyt albo władzę pozostawimy komunistom i wówczas będziemy mieli to, co już mamy: nędzę, łagry, pały.

Ten sam kierunek programowy realizuje TKK wydając swoje oświadczenia: „TKK konsekwentnie stoi na stanowisku, że tylko ugoda społeczna umożliwi Polsce wyjście z kryzysu. (...) Naszym celem jest budowa społeczeństwa samorządnego — Samorządnej Rzeczypospolitej... dojść do tego możemy tylko przez ruch społeczeństwa podziemnego. (...) TKK wzywa do

organizowania powszechnego (podziemnego) ruchu oporu. A dalej wskazówka praktyczna — ruch społeczeństwa podziemnego tworzą grupy: zawodowe, osiedlowe, towarzyskie, pracownicze, które działają w zakresie samopomocy, informacji, nauczania, organizują akcje protestacyjne i działalność gospodarczą. Proszę zwrócić uwagę na charakterystyczny brak w tej wyliczance działalności politycznej. Czyżby pochodziła ona od diabła, czy też należy pozostawić monopol polityczny komunistom, gdyż w przeciwnym wypadku obrażą się na TKK i ugody nie zawrą?

Utopijność idei społeczeństwa podziemnego krytykowaliśmy nie raz, zaznaczymy zatem jedynie nasze podstawowe tezy:

— wyjście Polski z kryzysu, który jest strukturalnym kryzysem systemu komunistycznego poprzedzającym jego koniec, możliwe jest tylko pod warunkiem likwidacji obecnego ustroju i budowy nowego systemu ekonomicznego (gospodarki rynkowej) oraz politycznego (demokracji). Wszelkie inne rozwiązania będą jedynie przedłużały agonię komunizmu, podobnie jak sztucznym utrzymywaniem socjalizmu była polityka kredytowa Gierka, odsuwająca wprowadzenie stanu wojennego i komunizmu wojennego (reglamentacja, rozdzielnictwo) o 12 lat.

— budowa Samorządnej Rzeczypospolitej jest nie do pogodzenia z utrzymaniem władzy przez komunistów w jakimkolwiek zakresie, ponieważ:

a) nie można oddzielić demokratycznej władzy lokalnej (np. samorządy terytorialne) od niedemokratycznej władzy ogólnopaństwowej. Likwidacja „S”, stanowiącej rodzaj państwa związkowego, jest najlepszym przykładem na rzecz tej tezy. Władzy totalitarna i demokratyczna tak długo będą z sobą walczyły, aż któraś zwycięży, odniesie zaś sukces ta, która dysponuje policją i wojskiem;

b) Sejm jest w istocie najwyższym samorządem, musiałoby zatem dojść do wolnych wyborów, w których komuniści zdobyliby może nawet całe 2% głosów (tyle uzyskali faszyci hiszpańscy).

— gwarancją jakiegokolwiek ugody z komunistami musiałaby być demokratyczna kontrola wojska i policji, bez tej ostatniej zaś komuniści nie utrzymają się u władzy nawet dwu dni.

— idea społeczeństwa podziemnego jest niebezpieczną utopią, tkwiącą swymi korzeniami w lansowanych przez lewicę laicką utopijnych koncepcjach ruchów społecznych. Owe niebezpieczeństwo polega na angażowaniu ludzi w działania rozproszone, pozorowane, na marnowaniu ich energii, co może przynieść wprawdzie chwilową ulgę (np. pomoc dla wyrzuconych z pracy), lecz nie doprowadzi do żadnego rozstrzygnięcia. Utopijność koncepcji społeczeństwa podziemnego wynika z tego, że społeczeństwo nie może żyć w podziemiu — musi zarabiać, troszczyć się o codzienne sprawy (np. kupno pralki) itp. W podziemiu może natomiast żyć jednostka lub organizacja (polityczna lub nawet przez jakiś czas — państwowa), jeśli reszta społeczeństwa żyje normalnie i pomaga im. Najlepszym przykładem utopijności owych idei jest pomysł, zgodnie z którym społeczeństwo będzie tworzyło gospodarkę niezależną od władzy; szczególnie bowiem w komunizmie jest to

niemożliwe (przepisy prawne, rozdzielnictwo, monopol handlu i produkcji, reglamentacja, ustawy i brygady antyspekulacyjne), o czym świadczą losy wszystkich spółdzielni i zaczynająca się już nagonka na prywatne warsztaty.

Zacytujmy ocenę deklaracji programowej TKK zamieszczoną w piśmie „CDN — Głos Wolnego Robotnika”, które jest organem MRKS-u, a więc organizacji posiadającej w swej nazwie słowo „Solidarność”:

„O tezach deklaracji programowej 'Społeczeństwo Podziemne':

Nie sądzimy jednak, by wskazywały one jakąkolwiek drogę wyjścia z obecnego impasu politycznego i by na ich podstawie można było budować społeczne nadzieje na wyjście z tragicznego kryzysu, który niszczy nasz kraj i naród.

Utopijna idea społeczeństwa podziemnego jest dymną zasłoną dla istoty problemów politycznych i społecznych. Na tyle na ile jest to realne, Polacy tworzą społeczeństwo podziemne od kilkadziesiątu już lat. W dłuższej perspektywie nie da się bardziej rozdzielić społeczeństwa od państwa, niż to miało miejsce w Polsce w końcu lat 60-tych i 70-tych. Taki poziom rozdziału powoduje, że państwo ma się nieźle, a społeczeństwo o wiele gorzej.

Nadzieje, że budując społeczeństwo podziemne rozwiązujemy jakiegokolwiek problemy są tylko złudzeniem. Przedstawione tezy programowe, jak sądzimy, są mało inspirujące do dyskusji jak walczyć o lepszą przyszłość narodu, ale stawiają mocno problem, jaka powinna być dalsza struktura ruchu oporu w Polsce. Redakcja" („CDN-GWR" II, Wyd. B, 18.05.1982 r.)

Nic dodać, nic ująć.

Wśród powodzi solidarnościowych deklaracji o ugodzie, porozumieniu i świetlanej przyszłości, jaka czeka wdowy po górnikach z „Wujka” i Lubina oraz morderców z MO i SB, w harmonijnej zgodzie budujących komunistyczno-demokratyczną Polskę, wyróżnia się oświadczenie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z Lubina, w którym czytamy: „Nadrzędnym celem ‚S’ jest jednoczenie działań na rzecz niepodległości i konieczne są radykalne zmiany systemu polityczno-gospodarczego”.

Musimy niestety przyznać, że „S” ideologicznie jest rozbrojona, a programowo bezsilna wobec komunistów, co wcale nas nie cieszy. „Na razie Wrona nie ma powodów do lęku. Wszystkie będące w obiegu programy opozycji zmierzają do jednego celu - kompromisu” („TW” 23). Jeśli idzie o „S”, jest to prawda.

Najlepszym przykładem ilustrującym naszą tezę jest oświadczenie członka RKW Małopolska, Handzlika, z dnia 29 maja: „Nikt z nas nie dąży do obalenia systemu, który w myśl założeń ma być ustrojem sprawiedliwości społecznej.” Otóż w myśl założeń ustrój ten jest dyktaturą proletariatu sprawowaną w jego imieniu przez awangardę klasy robotniczej, czyli partię komunistyczną, co ma zapewnić ową „sprawiedliwość społeczną”. Jeśli ktoś wątpi w jej istnienie, niech zapyta sekretarzy, czy są zadowoleni ze stopnia

sprawiedliwości społecznej, która ich otacza.

„S” — *organizacją związkową czy niepodległościową?*

Po 13 grudnia zaznaczyła się w tej kwestii polaryzacja stanowisk. Większość działaczy „S”, w tym TKK, zaczęła pod presją komunistów odżegnywać się od polityki i podkreślać związkowy charakter „S”: „Nie chcemy być ani rządem, ani partią polityczną. Chcemy być niezależnym i samorządnym ruchem związkowym” (Oświadczenie „5 x tak”). Stanowisko takie jest wyrazem słabości „S”, ponieważ:

— nie można oddzielić polityki od działalności związkowej prowadzonej w skali kraju,

— składanie tego typu zapewnień nie udobrucha komunistów, a we własnych szeregach wprowadzi zamieszanie, dezorientację i osłabi efektywność antykomunistycznego oporu.

Poruszając problem pożądanego przekształcenia związkowców w działaczy opozycji politycznej i przemiany „S” w partię polityczną, B. Łączy -cka pisała: „Powstanie ona teraz w rezulatacie działania władz. Jest to konieczność dziejowa, nasza jedyna szansa. Nie musi, a nawet nie powinna to być organizacja scentralizowana (w sensie ośrodka decyzyjnego)... Nie warto się upierać przy fikcji działalności związkowej i z tego powodu ograniczać ją do zakładów pracy” („Opornik”, 12.04. 1982 r.).

Najpełniej koncepcję przekształcenia „S” w rodzaj konfederacji organizacji niepodległościowych przedstawił na łamach KOS-a MPoleski. Słusznie uważa on, że należy w zasadzie powołać nową organizację — Związek Walki „Solidarność” — działającą w podziemiu i opartą na ponownym naborze członków, „by było jasne, kto w „S” działa, a kto jest tylko sympatykiem. Owe 10 milionów jest dzisiaj większym mitem niż kiedykolwiek. (...) Powinniśmy dziś tworzyć jedną niepodległościową organizację „S”, o jednej krajowej i zagranicznej reprezentacji, ale pozbawioną hierarchicznej struktury — organizację, której ogniwa łączy program, idea Solidarności, a nie przekazywane z jednego centrum dyspozycje. (...) Komitet Krajowy 'S' i jego regionalne ośrodki muszą powstać w wyniku kooptacji społecznych autorytetów ludzi... reprezentujących różne orientacje polityczne”, a więc należących już do różnych grup i organizacji. „Podstawowym zadaniem jest dziś wyniesienie sprawy polskiej na forum międzynarodowe. Konieczne jest powołanie Polskiego Komitetu 'S' i oficjalnych przedstawicielstw 'S' za granicą. Krajowy Komitet 'S' i Polski Komitet 'S' powinny wystąpić o uznanie ich przez rządy krajów demokratycznych za jedyne przedstawiciela społeczeństwa polskiego. (...) 'S' musi kwestionować porządek jałtański. (...) Głównym zadaniem Polskiego Komitetu 'S' byłoby prowadzenie aktywnej polityki niepodległościowej na forum międzynarodowym” („KOS” nr 8, maj 1982 r.).

Koncepcja przedstawiona przez M.Poleskiego jest ze wszech miar godna poparcia, ale całkowicie utopijna, ponieważ:

— Biuro Koordynacyjne „S” za granicą jest niezdolne do podjęcia działań politycznych, o czym świadczy choćby pozbawiona logiki treść jego

oświadczeń we fragmentach dotyczących zagadnień politycznych. Przykładowo, po ataku w Bernie na ambasadę władz okupujących Polskę, zagraniczni solidarnościowcy oświadczyli, że „Solidarność” jest organizacją legalną, oraz że „nie walczy ona z obecnymi władzami PRL”. Otóż, jeśli „S” jest organizacją legalną, w takim razie nielegalne są władze, które zepchnęły ją do podziemia, a więc należy z nimi walczyć. Jeżeli natomiast nie trzeba walczyć z aktualnymi władzami, gdyż są „legalne”, to w takim razie miały prawo zrobić z „S”, co im się podobało.

- trudność naszej sytuacji polega na tym, że jedynie „S” ma na tyle duży autorytet społeczny, iż mogłaby pociągnąć całe społeczeństwo za programem niepodległościowym. Ale jednocześnie właśnie „S” jest obecnie całkowicie niezdolna do stania się czymś innym niż związkiem zawodowym. Taki stan zawieszenia będzie przeciągał się, dopóki nie wyłonią się silne partie polityczne, tj. nowe autorytety społeczne. „Do tego potrzebna jest zachęta Związku by w konspiracji organizowały się partie polityczne... powstawały, formułowały swoje programy polityczne i przedstawiały je społeczeństwu. Tylko w ten sposób staną się dla władzy kolejną siłą” („TW” 23).

„Niepodległość” wypowiada się za ześrodkowaniem wszystkich sił na działalności politycznej i dąży do powołania partii o programie radykalnym i demokratycznym.

Część działaczy podziemia, obawiając się odcięcia od zakładów pracy, nie chce przystąpić do organizowania partii politycznych, uważając nadal „S” za rodzaj dźwigni politycznej, która wyniesie ich do góry. Twierdzą nawet, że partie byłyby bardziej narażone na przeciwdziałanie ubecji niż organizacje związkowe. Nie zgadzamy się z tym poglądem, dla komunistów bowiem każda organizacja opozycyjna stanowi zagrożenie i będą ją zwalczać w miarę swoich sił. Należy natomiast uświadomić sobie, jakie istnieją różnice między organizacją zawodową a polityczną:

1. Partia walczy o zdobycie władzy, a związek o ograniczenie władzy komunistycznej.

2. Partia łączy ludzi o wykrystalizowanych i w miarę podobnych poglądach politycznych, związek zaś skupia wszystkich, którzy chcą w nim działać, bez względu na ich zapatrywania polityczne.

3. Związek jednoczy wszystkich pracowników na terenie danego zakładu pracy, a partie tylko osoby o bardzo zbliżonych poglądach politycznych.

4. Związek może być skuteczniejszy, gdy idzie o zorganizowanie strajku w danym zakładzie pracy, partia zaś, gdy walka toczy się o obalenie władzy w państwie.

Podziemne struktury władzy politycznej (państwowej), czy konspiracyjne ruchy społeczne?

Po kilku miesiącach wojny kolejne pisma i grupy zaczęły opowiadać się za ideą utworzenia w przyszłości państwa podziemnego. W odróżnieniu jednak od „N” łączą jego ewentualne powstanie z wcześniejszym uformowaniem się

„społeczeństwa podziemnego”, którego koncepcja tkwi w teoriach „ruchów społecznych”, lansowanych w latach 70-tych. Przekonanie, że ludzie mogą działać skutecznie w długich okresach czasu zorganizowani jedynie luźno, bez hierarchii i kierownictwa, że spontaniczność potrafi przezwyciężyć wszelkie trudności, zaś aktywność mas można utrzymać w nieskończoność, natomiast demokracja stoi w sprzeczności z wszelką hierarchią itp., są po prostu niezgodne ze zdrowym rozsądkiem. Po każdym etapie spontaniczności musi przyjść organizacja, a masy po odpływie fali rewolucyjnej zawsze stają się apatyczne, w każdym ustroju. Wówczas w demokracji reprezentują je aktywne mniejszości zorganizowane w sposób demokratyczny, zaś w dyktaturze — w kadrowe organizacje konspiracyjne. Kontrola nad kierownictwem „ruchu” jest wbrew pozorom mniejsza niż w „organizacji” demokratycznej, gdyż brak w nim ustalonej i jawnej hierarchii oraz zależności. W praktyce okazuje się też, że gdzie istnieje organizacja, tam walka toczy się na zupełnie innych zasadach niż w stolicy, gdzie mamy społeczeństwo podziemne, dzięki czemu czerwoni śpią spokojnie.

„N” zgadza się z poglądem reprezentowanym przez „CDN”, iż należy dążyć do utworzenia reprezentacji społeczeństwa w konspiracji, czegoś na kształt okupacyjnej Rady Jedności Narodowej. Oczywiście ciału temu brakowałoby na razie szerszych podstaw społecznych, a także efektywnej możliwości działania. Uczyniono by jednak w ten sposób niezmiernie ważny pierwszy krok, z aktywnością RJN związana byłaby bowiem walka o cele długofalowe.

Utworzenie Rady może być trudne w aktualnej sytuacji, gdy kierunki polityczne ulegają dopiero krystalizacji, dość zresztą nierównomiernie na terenie całego kraju. Dlatego w „N” nr 7 proponowaliśmy, jako łatwiejsze, utworzenie na początek Regionalnej Reprezentacji Politycznej na Mazowszu, gdyż jest to najbardziej upolityczniona część Polski. Taka RRP nie zajmowałaby się oczywiście żadną konkretną działalnością, ale jej powołanie odegrałoby niezmiernie ważną rolę polityczną, gdyż stałaby się ona załącznikiem dwuwładzy — warunku udanej rewolucji.

Czym może być państwo podziemne w naszej sytuacji? Otóż składałaby się nań przebywająca w podziemiu:

a) reprezentacja polityczna społeczeństwa — przedstawiciele partii politycznych działających na terenie kraju i uznających jako minimalną płaszczyznę porozumienia walkę o niepodległą republikę parlamentarną. Reprezentacja ta poprzez swoje oświadczenia i deklaracje przekreśla istnienie oficjalnego Sejmu, podważa stabilność i legalność władzy okupacyjnej, nadaje prawny, legalny charakter swej egzekutywie — rządowi, który w każdej chwili może powołać, wprowadzając w kraju stan bliski dwuwładzy; może sama lub za jego pośrednictwem prowadzić działalność dyplomatyczną, zawierać sojusze i porozumienia, a w sprzyjającej sytuacji międzynarodowej doprowadzić do wycofania dyplomatycznego uznania władz okupacyjnych;

b) rząd, czyli egzekutywa reprezentacji politycznej społeczeństwa (ze względów taktycznych i organizacyjnych może nosić różne nazwy) nie musi

zostać powołany natychmiast po utworzeniu RJN. Taki rząd byłby dopiero potrzebny w momencie ostatecznej, decydującej konfrontacji z komunizmem. Spotykając się w RJN, różne organizacje i partie mogłyby także tworzyć wspólne, apolityczne agendy, współdziałające w organizowaniu wywiadu, legalizacji, wymiaru sprawiedliwości, łączności radiowej itd. Naszym zdaniem głównym wrogiem nie jest różnorodność i podziały między poszczególnymi ugrupowaniami opozycyjnymi. Owe różnice są duże, a będą jeszcze większe, gdyż takie jest życie — samo społeczeństwo jest i będzie podzielone. Nie idzie zatem o sztuczne niwelowanie różnic, gdyż wynikają one ze sprzecznych z sobą interesów poszczególnych części społeczeństwa, ale o współdziałanie grup o odmiennych programach wokół hasła minimum - niepodległej republiki parlamentarnej.

Antoni Wichrzyciel

«Niepodległość» nr 8-9, sierpień-wrzesień 1982, ss.4-9, 32-42

Przed zimą

„Szansę na porozumienie oceniam jako coraz większą”
Zb. Bujak

„Solidarność” nie była związkiem zawodowym, lecz narodem polskim zorganizowanym w struktury niepaństwowe (rodzaj systemu rad) i stojącym w opozycji do administracji partyjno-państwowej, reprezentującej władzę zaborczą. Powstanie „S” dało początek dwuwładzy:

- wybranej przez naród demokratycznej władzy, która przybrała nazwy: Walne Zebranie Delegatów, Krajowy Zjazd Delegatów, Komisja Zakładowa, Zarząd Regionu i Krajowa Komisja Porozumiewawcza oraz Ogólnopolski Komitet Założycielski „S” Rolników Indywidualnych (13 mln członków „S” i „S” RI stanowiło bezwzględną większość uprawnionych do głosowania);

- władzy oligarchicznej, mianowanej przez państwo zaborcze ZSRS celem sprawowania funkcji administracyjnych w jednej z kolonii imperium, zwanej PRL.

Dla komunistów było jasne, że jeżeli chcą zachować władzę, muszą zniszczyć „S”, rozbijając ją lub podporządkowując sobie. Stąd skargi Rakowskiego, że nie znalazł kolaborantów, a Wałęsa nie chciał słuchać Politbiura, musieli więc go zamknąć.

Przywódcy i doradcy „S” mieli do wyboru dwie drogi:

1. Umacniać system dwuwładzy, tworząc alternatywną strukturę władzy oraz rozbijając w marcu 1981 r. administrację zaborczą (naród gotowy był do walki, a komuniści jeszcze nie), zwłaszcza zaś jej siły bezpieczeństwa, by przedłużając stan dwuwładzy usunąć komunistów w odpowiednim momencie, co wiązało się z ryzykiem wprowadzenia stanu wojennego, ofiar śmiertelnych i, być może, konfrontacji z ZSRS;

2. Kontynuować stan ni to pokoju, ni to wojny - stabilnej niestabilności

— licząc na to, że z niewiadomych przyczyn tym razem komuniści nie zdecydują się użyć siły. Dobrowolna kapitulacja nie wchodziła rzecz jasna w grę.

Dlaczego wybrano rozwiązanie drugie? Trzeba przyznać uczciwie, że podejmowano, wprawdzie teoretycznie, próby stworzenia alternatywnej wobec państwa komunistycznego struktury władzy. Dużo pisano o strajku czynnym, wyrwaniu z rąk komunistów sfery gospod'czej itp. Zawsze omijano jednak zagadnienie centralne, najważniejsze, wfmkujące powodzenie wszystkich innych przedsięwzięć — zdobycie ł a d y politycznej. Pamiętamy przecież, że Komisja Krajowa była jedyną legalną władzą w Polsce, gdyż została wybrana w pierwszych od ponad 50 lat demokratycznych wyborach.

KK, zwłaszcza zaś jej zespół doradców, wychodziła z założenia, że jeśli nie zakwestionuje politycznego i policyjnego monopolu władzy PZPR--KPZR, to komuniści pozwolą istnieć „S”, osłabiając w ten sposób powoli własną pozycję. Mówiąc wprost: sądzono, iż komuniści dadzą się oszukać! Tak długo lansowano tę linię, aż w końcu jej zwolennicy sami w nią uwierzyli. A komuniści? Rozmawiali tak długo, jak było im to potrzebne do ukończenia przygotowań.

Kierownictwo Związku nie oszukało więc komunistów, lecz samo siebie, tworząc świat fikcji i pobożnych życzeń nie posiadających nic wspólnego z rzeczywistymi dążeniami i interesami obu stron. Gorzej, propaganda „S” przyjęła komunistyczną płaszczyznę konfrontacji ideologicznej. Kiedy komuniści twierdzili: „Jesteście przeciwko socjalizmowi, podważacie nasz ustroj i naszą władzę!”, „S” odpowiadała: „Nieprawda, my też jesteśmy za tym ustrojem, nie chcemy obalić waszej władzy” itp., jakby szczytem obrazy było oświadczenie, że ustroju i władzy opartej na ludobójstwie żaden uczciwy człowiek popierać nie może. „Socjalizm” — to przecież tak ładnie brzmi i stosu trupów wyzierających spoza tego hasła już nikt nie chciał widzieć. Proszę sobie przypomnieć te wszystkie zapewnienia: „jesteśmy tylko związkami”, „chcemy działać w ramach istniejącego ustroju”, „uznajemy socjalizm” itp. Wprowadzono takie pomieszanie pojęć, że przeciętny związkowiec już nie wiedział, czy „S” powinna być związkiem zawodowym, partią polityczną, czy też nową strukturą władzy i czym się to od siebie różni.

Można by sądzić, że po 13 grudnia sytuacja uległa wyjaśnieniu i teraz władze Związku powiedzą już jasno i wyraźnie: „Jesteśmy przeciwko komunizmowi, ponieważ potępiamy ludobójstwo, niewolnictwo, kłamstwo i narodową zdradę.” Ale nie. Nasi przywódcy jakby niczego nie zrozumieli; zatrzymali się na etapie świadomości osiągniętym gdzieś w kwietniu, a nawet cofnęli się do lutego 1981 roku. Nigdy „S” nie mówiła tak dużo o porozumieniu z komunistami, jak po mordach i aresztowaniach stanu wojennego. Stopień dezorientacji, do którego doszło w szeregach „S”, dobrze ilustruje wypowiedź redakcji „Druku”. Nasi koledzy niefrasobliwie stwierdzają, że ofiary w Lubinie wykazały, iż junta Jaruzelskiego nie dąży do porozumienia! Wydawałoby się zatem, że mordów w Polsce w latach 40-tych, 50-tych, 60-tych i 70-tych dopuszczali się Marsjanie lub krasnale, PZPR zaś nie miała z tym nic

wspólnego. Zamordowanie 12 górników „Wujka” i setki innych ofiar wojny nie przeszkadzały porozumieniu, może nawet stworzyły dla niego lepszą płaszczyznę i dopiero polowanie na ludzi w Lubinie wszystko wyjaśniło redaktorom „Druku”.

Dotychczas na całym świecie komuniści zamordowali 143 mln ludzi (dane na rok 1979). W dużej mierze ułatwiła im to prowadzona przez przeróżne autorytety polityka oszczędzania ofiar w walce z komunizmem. Ile jeszcze milionów ofiar pochłonie on tylko dlatego, że przeciwnicy komunizmu będą „oszczędzać” ludzi i oszukiwać się słowami: „odprężenie”, „porozumienie”, „ugoda” itd.?

„Tygodnik Wojenny” rozbijając przyznaje, że kierownictwo „S” do ostatniej chwili miało nadzieję, iż władza nie rozwiąże Związku. Panowie: „to gorzej niż zbrodnia, to błąd!” Ale czy osoby odpowiedzialne za klęskę polityczną poniosą polityczne konsekwencje swej głupoty? Wątpliwe. One pozostaną i nadal będą żywiły nadzieję.

Kierownictwo „S”, chcąc uniknąć ofiar śmiertelnych, stanu wojennego i formalnego rozwiązania Związku, bardzo szybko doprowadziło do własnej bezsilności wobec urzeczywistniania się tego, czego najbardziej się obawiało. Nasza rewolucja przegrała nie w wyniku niekorzystnego układu sił, ale na skutek bojaźliwości, politycznej głupoty i niedojrzałości jej uczestników.

Bezsilność przywódców i paniczny strach doradców z jednej strony, a siła komunistów z drugiej, wynikają ze wspólnego dla obu grup przekonania o wszechpotędze Sowietów. Komuniści uważają, iż ZSRS podbije świat, a przynajmniej za ich życia nie odda tego co już zagarnął, są więc bezpieczni; mogą popełnić każdą zbrodnię, bowiem Kreml ich ocali (co nie znaczy, że zatrzymają swe stanowiska). W razie czego interwencji doczekają w bunkrze.

Nasi przywódcy sądzą, że ZSRS nikt nie zdoła pokonać, że państwo to będzie trwało jeszcze przez długie wieki. Boją się oni bardziej narodowego powstania (mają kompleks XIX wieku) niż komunizmu, tzn. większym złem jest dla nich zniszczenie narodu na skutek przegranej zrywu niż degeneracja wywołana sowietyzacją. Stąd wypływają próby szukania trzeciej drogi, które jak widzimy zaprowadziły nas w ślepej uliczce.

Słowo „niepodległość” pojawia się mimo to bardzo często, nikt przecież nie przyzna otwarcie, iż w nią nie wierzy. Ale gdy ktoś chce zastosować rozwiązania rzeczywiście wiodące ku niepodległości, napotyka na mur milczenia. O suwerenności można bowiem mówić, ale jedynie jako o bardzo odległym celu. Okazuje się zatem, iż lepszą taktyką jest marnowanie papieru na ulotki wzywające do porozumienia i tracenie ludzkiej energii i zdrowia na walkę o nie, niż tworzenie alternatywnej wobec państwa komunistycznego struktury władzy politycznej: przed 13 grudnia — jawnie, a obecnie — w podziemiu. Struktury, która za jakiś czas byłaby w stanie przejąć na siebie odpowiedzialność za losy narodu.

Świat stoi obecnie w punkcie zwrotnym, gdyż strukturalny kryzys systemu komunistycznego, połączony z osiągnięciem granic ekspansji możliwej do urzeczywistnienia bez wywoływania konfliktu globalnego, prowadzi do

zakwestionowania porządku jałtańskiego. Innymi słowy: stoimy wobec zmiany układu sił i nowego podziału świata. Wobec tych wszystkich przemian nie możemy zachowywać się biernie, zahipnotyzowani potęgą Rosji i niezdolni do oderwania od niej wzroku. Czy przypadkiem ZSRS nie jest silny naszą — Polaków i Europy — słabością? Powinniśmy przygotować Polskę do odegrania aktywnej roli, kiedy przyjdzie na nas czas.

Porozumienie z komunistami bądź wywalczenie od nich znacznych i trwałych ustępstw (z rozbicia Kościoła nigdy przecież nie zrezygnowali i nadal ponawiają owe próby) jest niemożliwe; nie oszukujmy się więc i nie ogłupiajmy nawzajem, lecz przygotowujmy do obalenia ich władzy. Nie znaczy to, byśmy propagowali chwycenie jutro zabroń, zresztą jej nie ma, ale uważamy, iż radykalizm koncepcji programowych jest ważniejszy od radykalizmu w działaniu. Można bowiem zdobyć nawet kilka komend i komitetów, trzeba jednak wiedzieć po co.

W oświadczeniu władz Związku wydanym po uchwale sejmowej rozwiązującej „S” możemy przeczytać: że Sejm utracił reprezentatywność (dosł. „pozbawił się jakiegokolwiek mandatu społecznego”). TKK uważa zatem, iż Sejm wybrany przez Gierka i Babiucha (był kiedyś w PRL taki premier), Sejm, który nawet wbrew komunistycznej konstytucji zatwierdził stan wojenny, reprezentował (tj. „posiadał mandat społeczny”) kogokolwiek poza Politbiurem i ewentualnie Komitetem Centralnym PZPR — i dopiero teraz nagle utracił reprezentatywność!

Trzeba się raz zdecydować: albo ta władza jest nielegalna, gdyż nie pochodzi z demokratycznych wyborów, a więc również wszystkie jej uchwały, rozporządzenia, ustawy i poczynania mają charakter nielegalny i są nieobowiązujące, albo władza jest legalna i wówczas należy wykonywać jej polecenia: rozwiązać się oraz zgłosić do więzień, najlepiej z własnymi pałkami i drutem kolczastym.

Cóż jednak mają uczynić biedne władze związkowe, które uparły się, w nadziei porozumienia, uznawać komunistyczną administrację za legalną, jakby miały jeszcze cokolwiek do stracenia, czego już nie straciły? Siadł legion doradców i wymyślił: uchwała Sejmu jest nieważna, ponieważ pozostaje w sprzeczności z międzynarodowymi konwencjami ratyfikowanymi przez tenże Sejm. Czy w państwie komunistycznym istnieją jakiegokolwiek przepisy, ustawy itp. zgodne z prawami człowieka, konwencjami międzynarodowymi, Kartą Praw ONZ itd.? Już sam ustrój socjalistyczny jest niezgodny z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka. Zabawa w „prawnika” trwa jednak nadal i będzie przedłużała się tak długo, aż ostatniemu „prawnikowi” milicyjna pałka złamie kark.

„Niepodległość” od początku uznawała komunistyczne władze za nielegalne i dlatego proponowaliśmy utworzenie Regionalnej Reprezentacji Politycznej, na początek — Mazowsza, a w przyszłości także Rady Jedności Narodowej, dla podkreślenia prawa naszego narodu do własnej reprezentacji politycznej i w konsekwencji — do własnego rządu oraz państwa.

Naszym zdaniem w skład RRP powinni wchodzić przedstawiciele przede wszystkim organizacji politycznych. Nie idzie bowiem o to, by RRP miała jak największą liczbę członków, ale by mogła podejmować decyzje polityczne odzwierciedlające pluralizm poglądów Polaków. Tylko struktura polityczna będzie alternatywą konkurencyjną dla władzy komunistycznej.

RRP musi posiadać prawo podejmowania uchwał politycznych obowiązujących RKW, co oznacza, iż albo rozszerzona RKW będzie egzekutywą RRP, albo RRP wybierze własny organ wykonawczy.

Październik przyniósł ogromne rozczarowanie, kolejną zmarnowaną szansę. Należy się spodziewać, że tysiące ofiarnych związkowców zrezygnują ze swej aktywności, rozczarowani brakiem efektów dotychczasowej działalności. Baza naszego ruchu będzie zatem w najbliższym czasie kurczyła się. Kierownictwo „S”, stale licząc na zawarcie w przyszłym tygodniu kolejnego porozumienia, nie tworzyło trwałych struktur podziemnych. Teraz wszystko to odbije się na nas. Tragedią nie jest formalne rozwiązanie „S”, gdyż po 13 grudnia musiało to nastąpić (znalezienie kolaborantów byłoby dla nas gorsze), lecz bezsilność związku wobec tej sytuacji. Polega ona nie na tym, że nie jesteśmy w stanie zaprotestować w sposób zadowalający, ale na tym, iż nie posiadamy własnej struktury władzy. Istnieje wprawdzie TKK, RKW i szereg grup związkowych, lecz nie ma żadnej ogólnopolskiej organizacji.

W poprzednim numerze pisaliśmy o malejącym znaczeniu podziemnej „S” (w sferze działania, nie zaś mitu); powrócmy jeszcze do tej sprawy.

„Solidarność” — podziemną organizacją polityczną.

Zwolennicy takiego przekształcenia Związku argumentują, że „S” powinna przejść proces politycznego dojrzewania, w wyniku którego jej członkowie i przywódcy otwarcie wypowiedzą się za obaleniem komunizmu. Program „społeczeństwa podziemnego” Bujaka umożliwi taki proces. Tworzenie natomiast partii politycznych będzie jedynie działaniem sztucznym, wynajdywaniem etykietek, za którym nie stanie żadna siła społeczna, przykładem zaś jest bufonada KPN i Moczulskiego. Po cóż tworzyć nowe struktury, skoro można wykorzystać istniejące?

Nawet gdyby „S” była zdolna do nabrania charakteru politycznego, natchmiasz rozpadłaby się na skutek tarć wewnętrznych między różnymi kierunkami ideowymi: narodowcami, socjaldemokratami, chadekami, itp. Każda bowiem grupa chciałaby uchwycić najważniejsze pozycje w Związku (por. kłótnie między Kuroniem i „Prawdziwymi Polakami”, KOR i KPN). Kierunki polityczne powstaną i tak, gdyż są one wyrazem potrzeb grup i jednostek: jedni czują się zagrożeni jako Polacy, inni jako obywatele, a jeszcze inni jako pracobiorcy (oczywiście upraszczając całą sprawę). Lepiej zatem, aby się porozumiewali poza Związkiem, lub nawet w jego ramach, ale przy zachowaniu odrębnych struktur organizacyjnych.

Jak dotychczas „S” wykazała, iż jest niezdolna do żadnych przekształceń politycznych, wręcz przeciwnie — u przywódców nastąpiło skostnienie

świadomości związkowej (tj. braku świadomości politycznej). Aresztowanie zaś Frasyniuka, który jako jedyny otwarcie mówił o niepodległości, nie wróży nic dobrego. Program „społeczeństwa podziemnego” nie pomaga dojrzewać, lecz powoduje zastój. Najlepszym zaś przykładem było zachowanie się Warszawy w pierwszym tygodniu niepokoju październikowych. Społeczeństwo podziemne Bujaka zdało egzamin - oporu nie było!

Faktem jest, że KPN była organizacją fikcyjną, a przez swą megalomanię — śmieszna. Nie oznacza to jednak, że w Polsce już wszystkie partie będą zawsze fikcją. Po prostu najpierw należy tworzyć program, następnie partyjną strukturę i dopiero na końcu ogłaszać deklaracje, nie zaś na odwrót (por. założenie i niedziałanie Polskiej Partii Społeczno-Demokratycznej). Co się zaś tyczy budowania nowych struktur, to jak widać stare nie zdały dotychczas ani razu egzaminu. Oczywiście w partiach politycznych znajdzie się zapewne wiele grup związkowych, niektóre porozumienia międzyzakładowe będą same ewoluować w tym kierunku. Tylko system partii politycznych może stworzyć polityczne zagrożenie dla ustroju komunistycznego.

„Solidarność” - Komitetem Porozumiewawczym Stronnictw i Organizacji Niepodległościowych.

Tę koncepcję sami propagowaliśmy przez pierwsze pół roku stanu wojennego, rzecz jasna całkowicie bezskutecznie. Być może po 8 października „S” dojrzy taką perspektywę, choć obawiamy się, iż po pierwsze Związek w dotychczasowej postaci owej granicznej dacie nie przeżyje; po drugie zaś już wkrótce przeczytamy komunikat TKK, który będzie kolejną 495 wersją porozumienia, zawierającą w punkcie I jako warunek negocjacji „ponowną legalizację (rejestrację) NSZZ 'S' ”. Dlatego też wypowiadamy się za tworzeniem partii politycznych i za politycznym działaniem zarówno w kraju jak i zagranicą.

Nie oznacza to, iż jesteśmy przeciwnikami wolnych związków zawodowych, nie stawiamy też alternatywy: albo Związek — albo partia polityczna. Po prostu partie polityczne bronią innej sfery życia ludzkiego niż związki zawodowe, a poza tym żaden pracobiorca nie jest tylko pracobiorcą, żaden robotnik nie jest tylko robotnikiem. Osoby pozostające z pożytkiem dla siebie w jednym związku zawodowym mogą należeć do różnych partii politycznych. Legalne istnienie i działanie „Solidarności” nie jest dla nas celem, lecz jedynie elementem programu.

Jeżeli jednak cały problem ograniczymy tylko i wyłącznie do zagadnienia swobodnego działania „S”, to musimy wówczas odpowiedzieć sobie na kilka pytań:

1. Czy „S” może swobodnie działać w komunizmie? — Naszym zdaniem nie; jedynie obalenie komunizmu stworzy warunki dla jej reaktywowania.

2. Jeżeli „S” może działać tylko w demokracji, to jaką taktykę należy obrać, by ową demokrację wywalczyć? — Naszym zdaniem jedynie organizacja i walka polityczna, a więc walka o władzę, nie zaś platforma związkowa, będzie

w tym wypadku efektywna.

3. Jeżeli demokrację (niepodległość itd.) można wywalczyć jedynie drogą polityczną, to jaki program daje lepszą gwarancję zwycięstwa:

- czy program społeczeństwa podziemnego,
- czy program podziemnego systemu politycznego?

Można mieć pretensje do „N”, iż stale krytykuje politykę „S” (nie samą „S”), ale to nie nasza linia polityczna poniosła klęskę 8 października; to nie my zapewnialiśmy, iż porozumienie zbliża się. My jednak będziemy musieli na równi z innymi ponieść konsekwencję owej klęski — zawężenie bazy ruchu wywołane rozczarowaniem, co pod znakiem zapytania stawia także realność naszej koncepcji państwa podziemnego. Na razie czas ruchów masowych minął, co nie oznacza, iż już nigdy nie powróci, najbliższy bowiem kryzys lub też kolejny etap kryzysu systemowego nadejdzie za parę lat. (1986 r. — spłaty odroczonej podwyżki). Jeżeli w polityce podziemia nie nastąpi radykalna zmiana, to stanie przed nami zadanie przetrwania z jak najmniejszymi stratami własnymi. Czas ten powinniśmy wykorzystać na tworzenie organizacji kadrowych dostosowanych do walki w konspiracji.

Cóż jednak mają one robić? Czy tylko drukować ulotki 'S' żyje"? Naszym zdaniem okres ów trzeba wykorzystać na krystalizację partii politycznych.

Antoni Wichrzyciel

«Niepodległość» nr 10, październik 1982, ss.1-8

Czy koniec podziemia?

Zaznaczmy, że terminem podziemie określamy system tajnych organizacji, podczas gdy konspiracja to po prostu działalność niejawna, w rodzaju wydawniczej, kół samokształceniowych itp.

Strajk powszechny wyznaczony na 10 listopada zakończył się całkowitą klęską, co zresztą przewidywaliśmy już wcześniej („N” nr 10), nie oszukujmy się zatem próbując łagodzić wrażenie przegranej, lecz znajdziemy jej przyczyny. Naszym zdaniem główną winę za porażkę nie ponosi słabość organizacyjna podziemia, gdyż jest ona wtórna w stosunku do niedojrzałości i połowiczności podejmowanych działań oraz koncepcji politycznych.

„S” Podziemna w walce o kompromis między 13grudnia a 31 sierpnia.

Po klęsce grudniowego strajku generalnego przed powstającym podziemiem leżały dwie drogi prowadzenia dalszej walki, opierające się na dwu przeciwstawnych założeniach:

I. Komunizm (ZSRS) będzie trwał jeszcze co najmniej kilka pokoleń, a więc strategia obalenia jest samobójcza. Sytuacja Polski ma charakter wyjątkowy, niepodobny do położenia żadnego z pozostałych demoludów.

Rozwiązanie polskie będzie zatem niezależne od rozstrzygnięć wschodnio-europejskich, zaś losy Polaków zależą od nich samych. Dlatego też pozostaje nam tylko jakaś forma dogadania się z władzą, ponieważ jednak nie może być to kapitulacja, trzeba wywrzeć takie naciski, które nie obalając ustroju komunistycznego (nie tworząc dlań zagrożenia politycznego) będą na tyle niebezpieczne dla PZPR, że zmuszają do pewnych ustępstw.

II. System Komunistyczny przeżywa swój ostatni kryzys strukturalny, z którego już nie podniesie się. Jediną rezerwą jaka mu pozostała jest militaryzacja życia i powrót do komunizmu wojennego. Władza wojskowych prowadzi jednak do wojny. Jeżeli nawet do niej nie dojdzie, to sprzeczności wewnętrzne: walka o władzę, bunty, rozruchy itp. dadzą początek dezintegracji imperium. Dlatego też Polacy powinni być politycznie i organizacyjnie przygotowani do odzyskania niepodległości, jednocześnie pamiętając, iż nie będzie wolnej Polski bez wolnej Europy Środkowej. Musimy zatem naszą perspektywę łączyć z perspektywą sąsiadów, a więc już wcześniej rozwiązać wszystkie kwestie sporne (na razie oczywiście tylko na papierze), zawrzeć porozumienia, tworzyć wspólne koncepcje przyszłości i być gotowym do udzielenia im pomocy politycznej w decydującym momencie.

Na podstawie analizy sytuacji gospodarczo-polityczno-militarnej imperium sowieckiego podziemna „S” wybrała założenie pierwsze i wymyśliła koncepcję „społeczeństwa podziemnego”, „Niepodległość” natomiast -w oparciu o te same dane — doszła do wniosku, że słuszne jest tylko założenie drugie i zaproponowała budowę państwa podziemnego, oczekując w perspektywie 3 - 5 lat początku dezintegracji imperium („N” nr 3). Czyja analiza była słuszniejsza — przekonamy się już wkrótce, teraz możemy jedynie spojrzeć na skutki, jakie pociągnęło za sobą przyjęcie programu „społeczeństwa podziemnego” i dostosowanie doń taktyki „S”.

Należy lojalnie stwierdzić, iż gdyby założenie pierwsze było prawdziwe, wówczas koncepcja SP byłaby słuszniejsza. Jeżeli bowiem przez wiele lat najbliższych obalenie demokracji socjalistycznej nie byłoby możliwe, to rzecz jasna nie można budować trwałych struktur podziemnych, których zasadniczym celem (racją istnienia) jest przygotowywanie powstania bądź przejęcia władzy w dogodnym momencie politycznym. Należy stawiać opór rozproszony i w praktyce ograniczony do działalności wydawniczej, społeczeństwu trzeba natomiast dostarczyć fikcyjnego poczucia, iż stawia opór totalny. To ostatnie zadanie koncepcja SP spełnia bardzo dobrze: podtrzymuje ludzi na duchu nie angażując ich w walkę z komunizmem, a tym samym ogranicza ofiary. Pamiętajmy bowiem, iż skoro komunizm ma trwać jeszcze tysiąc lat, lepiej, by nasze pokolenie poniosło tylko tyle ofiar, ile jest to niezbędne dla podtrzymania świadomości narodowej i pragnienia wolności.

Wszystko jednak wskazuje, że autorzy koncepcji „społeczeństwa podziemnego” wzięli ją na poważnie, jako program powszechnego oporu społecznego i zaangażowania się całego narodu w walkę z ustrojem, jako ideę zejścia społeczeństwa do podziemia i stawiania przez nie oporu władzy, a to już jest błąd podwójny: tak rozumując popadamy bowiem w sprzeczność z

założeniem pierwszym oraz wybieramy nieefektywną i samobójczą taktykę.

Przed 13 grudnia taktyka „S” była oparta na założeniu, że w wypadku ataku władz na Związek, zawsze zdąży on zaktywizować swoich członków do obrony. Mobilizacja udała się w marcu 1981 roku, w czasie konfliktu na warszawskim rondzie jeszcze jakoś wyszło, w czasie ataków na I KZD „S” polityka interesowała już mało kogo, a 13 grudnia „S” nie była w stanie stawić oporu. Stale aktywna może być tylko mniejszość, nie zaś całe społeczeństwo. „S” nie wyciągnęła jednak żadnych wniosków z przegranej, okazała się organizacją, która nie potrafi się uczyć. Po 13 grudnia przyjęto taktykę wykazywania gotowości do rozmów, zapominając, iż aby pertraktować, trzeba mieć w rękę inne atuty niż własną klęskę. Komunistom nie były potrzebne rozmowy lecz kapitulacja, przewaga zaś pozostawała po ich stronie.

Po 3 maja doszło do zmiany taktyki: w dalszym ciągu rezygnując z tworzenia trwałych struktur podziemnych, TKK sądziła, że wymusi ustępstwa mobilizując społeczeństwo i ponawiając ataki na władzę (strajki, manifestacje), oraz wzywając do masowego, samorzutnego i zdecentralizowanego oporu (KOS-y, SP i inne fikcje). Było to stanowisko krótkowzroczne i błędne.

Jak wykazują badania porównawcze, w aktywnym oporze przeciwko okupantowi może być zaangażowane maksimum 2-3% społeczeństwa, tj. 700-1 000 tyś. Polaków, a uwzględniając fakt okupacji wewnętrznej, zapewne nie więcej niż pół miliona. Dlatego wysunęliśmy koncepcję państwa podziemnego, zresztą zmodyfikowaną, gdyż główny nacisk kładliśmy na tworzenie podziemnych struktur władzy politycznej przy jednoczesnej rezygnacji z organizacji wojskowej. Państwo podziemne zanegowałoby prawomocność i jakąkolwiek legalność ustroju komunistycznego.

Koncepcja samorzutnego oddolnego organizowania się, zamiast odgórnego kierownictwa, jedynie doprowadziła do niewykorzystania i zmarnowania potencjału ludzkiego. Wielokrotnie wskazywaliśmy, że oddolna samoorganizacja jest utopią, a zadanie to powinna podjąć RKW w każdym regionie.

A.Michnik w liście z Białoleki pt. „O oporze” także wysunął koncepcję SP, aczkolwiek nie używając tego terminu. Pisał on, że potrzebny jest: „szeroki ruch podziemny na rzecz rekonstrukcji społeczeństwa cywilnego”, a dalej jego elementy, znane już i dobrze dopasowane do strategii korowskiej, jak kasy oporu, samopomoc, samokształcenie, wydawnictwa. Były to bardzo dobre pomysły na etapie górnego paleolitu rozwoju świadomości politycznej Polaków.

A.Michnik stwierdza autorytatywnie: „ruch oporu ma sens tylko wtedy, kiedy potrafi stworzyć formy działania dostępne dla każdego Polaka”. W takim razie ruch oporu w czasie II wojny światowej, powstania styczniowego bądź ruch robotniczy w zaborze rosyjskim nie miały sensu, gdyż proponowane formy działania dostępne były wyłącznie dla odważniejszej lub najbardziej odważnej części społeczeństwa. Jediną formą działania „dostępną dla każdego Polaka” jest szepcie do żony pod pierzyną po uprzednim wyłączeniu telefonu z

gniazdka. Walka z totalitaryzmem wymaga niestety odwagi, którą początkowo wykazują nieliczni, a tzw. większość przyłącza się na krótko i tylko w ostatnim momencie. Trzeba o tym wiedzieć i nie wymagać więcej, by się nie oszukać.

Jeśli tacy wybitni opozycjoniści jak Michnik samokształceniem i zakładaniem kas oporu chcieli pokonać - przepraszam - zmusić do ustępstw komunistów, cóż więc dziwić się kierownictwu podziemnej „S”.

A. Michnik zdecydowanie wypowiedział się przeciwko koncepcji państwa podziemnego: „Nie powinno więc być (podziemie) państwem podziemnym, dysponującym własnym rządem narodowym, parlamentem i siłą zbrojną, (...) bo nie ma na to narodowego mandatu”. Gdyby Michnik napisał, iż nie widzi perspektyw dla działania państwa podziemnego z powodu wiecznotrwałej potęgi ZSRS, zrozumielibyśmy, ale użyty argument jest fałszywy i bałamutny:

1. Gdyby ośrodkiem tworzenia państwa była „S”, to miałyby ono ów mandat;

2. Stworzenie państwa podziemnego wymaga porozumienia wszystkich sił narodowych, a zatem już sam fakt jego powołania świadczy o posiadaniu mandatu społecznego;

3. Jaki mandat miał Rząd Narodowy w czasie powstania styczniowego? Czy przeprowadzono referendum w sprawie jego powołania? Oczywiście nie; Rząd Narodowy otrzymał poparcie społeczeństwa dla swych działań, gdyż wyrażał jego dążenia. A Polskie Państwo Podziemne w czasie II wojny światowej?

Po rozczarowaniach jakie przyniósł 22 lipca, TKK zmieniła swą taktykę na ofensywną, ale nie wezwała rzecz jasna do zorganizowania samoobrony i manifestacji. Szybko doszło więc do zmniejszenia się szeregów samobójców i załamania taktyki demonstracji.

Zgodnie ze wskazówkami Romaszewskiego, pokojowemu radykalizmowi na ulicy towarzyszyła bojaźliwość polityczna (ktoś może być osobiście odważny do szaleństwa, ale z polityką nie ma to nic wspólnego). „S” stawiając na porozumienie nie chciała i nie potrafiła ostatecznie zerwać z komunizmem, zanegować jego prawomocność itd.

Utworzenie np. Regionalnej Reprezentacji Politycznej, nie mówiąc już o RJN, byłoby też o wiele cięższym ciosem dla komunistów niż nawet udany strajk-protest, ponieważ negując ich władzę polityczną stałoby się zagrożeniem politycznym dla komunizmu. (...)

Na rozdrożu: 31 sierpnia - 8 października -10 listopada.

W okresie tym kierownictwo „S” znalazło się na rozdrożu między chęcią a nieumiejętnością zerwania z komunizmem, pozwoliło unosić się na fali, niezdolne do ostatecznego zanegowania legalności ustroju. Dała o sobie znów znać choroba zwana „schizofrenią sejmową lub konstytucyjną”. Powoływanie się na Sejm i Konstytucję PRL w czasach KOR-u było dość skuteczną taktyką, gdyż komuniści, nie zagrożeni przez opozycję, akceptowali zabawę w legalizm: co jest, a co nie jest „zgodne z prawem”, „Konstytucją PRL”, itp. Teraz zaś, gdy

króluje pałka, owa zabawa stała się niebezpieczną chorobą opozycji. „Tygodnik Wojenny” proponował np. organizowanie akcji petycyjnych celem odwołania „posłów”, jakbyśmy byli jakąś praworządną monarchią, w której działanie tego typu może zakończyć się powodzeniem, nie zaś „ścieżką zdrowia” dla sygnatariuszy. Realizacja propozycji „TW” oznaczałaby ponadto, że uznajemy „wybory”, podczas których wyznaczono takiego „posła”, za legalne i obowiązujące.

W oświadczeniu TKK z 9 października przeczytaliśmy, że „Sejm pozbawił się jakiegokolwiek mandatu społecznego”. Później zaś dowiedzieliśmy się z prasy związkowej, że delegalizacja „S” jest nieważna, gdyż pozostaje w niezgodzie z Konstytucją PRL ułożoną przez niejakiego Bieruta i jego pomagierów z NKWD. Czyżby TKK nie wiedziała, jak powstaje parlament i konstytucja oraz co to jest mandat społeczny? Nas mało interesują wewnętrzne sprzeczności dokumentów komunistycznych, które *en bloc* pozbawione są jakiegokolwiek legalności (łącznie z ową konstytucją), gdyż z powodu fałszerstwa wyborczego roku 1947 cały ustrój nie posiada prawomocności. (...)

Latem szeroko rozpisywano się, iż odpowiedzią na delegalizację „S” będzie z pewnością strajk powszechny. Postraszone, postraszone i nawet koncepcyjnie nie przygotowano się na taką alternatywę. W Warszawie w końcu września już wszyscy wiedzieli, że „S” zostanie zdelegalizowana, ale TKK, zamiast zebrać się wcześniej i ustalić sposób postępowania, postanowiła obradować jednocześnie z Sejmem. Po co? Czyżby ludzie, którzy nawoływali w 1980 roku do zbojkotowania gierkowskich wyborów, w okresie odnowy tak „zaprzyjaźnili się” z Sejmem, iż sądzili, że towarzysze „posłowie” nie uchwalą przedłożonej uchwały? Takie postępowanie spowodowało, że TKK nie była w stanie wykorzystać nawet spontanicznego protestu.

W sumie, zaprzepaszczając protest z 10-11 października i wyznaczając strajk na 10 listopada, kierownictwo przyczyniło się do uspokojenia nastrojów. Wszyscy zakrzyknęli: „poczekamy do 10-tego!”, a co było dalej, już wiemy. „TM” podał przyczyny przegranej 10 listopada w nr. 34 małą czcionką, po relacjach z różnych zakładów pracy. Te same oceny można było przeczytać w wydrukowanej miesiąc wcześniej „N” nr 10.

Pozostaje pytanie: czy gdyby TKK przyjęła proponowaną wcześniej przez nas linię, zdołalibyśmy osiągnąć więcej? W płaszczyźnie organizacyjnej — zapewne nie, z powodu chorobliwej wręcz nieumiejętności współczesnych Polaków, a działaczy „S” w szczególności, podejmowania działań w konspiracji. Na polu świadomości dokonalibyśmy jednak prawdziwej rewolucji. Jeżeli bowiem większość Polaków nadal uważa, że ten rząd jest „nasz”, a socjalizm to coś, czego nie można obalać lub że naród nie ma prawa obalić ustroju w którym żyje i który mu się nie podoba, to zawdzięczamy to owemu rokowi szamotania się między pragnieniem wolności a niezdolnością do podjęcia walki o nią. (...)

W gdańskim „CDN-ie” nr 5/6 z 21 października możemy przeczytać artykuł Leszka Nowaka oceniający przyczyny przegranej: „Nie powiodło się tym razem — pisze autor - m. in. dlatego, że Związek nasz za mało był świadomy swojej rzeczywistej roli w procesie rozkładu systemu trój-panowania (władza gospodarcza, polityczna, informacja — „N”), że za bardzo się łudził co do przeciwnika, że dał się ponieść socjalistycznej iluzji, iż Polak z Polakiem się dogada. Jeżeli się w to wierzyło, nie dziwota, że otrzymało się „cios w szczękę”. Dalej L.Nowak pisze, że „S” jest jedyną organizacją umożliwiającą masom walkę o wyzwolenie społeczne; działacze Związku „w praktyce, w codziennym działaniu prowadzili walkę o likwidację 'trójplanowania' ” Autor zapomina jednak o wyciągnięciu logicznego wniosku wynikającego z jego własnej argumentacji: jeżeli jakieś „narzędzie” społeczeństwa jest niedojrzałe do wypełnienia stojących przed nim zadań, to albo dojrzeje albo się rozsypie i zostanie zastąpione przez inne.

W „KOS-ie” nr 18 z 17 października w artykule pt. „Na politycznej pustyni” możemy wyczytać, iż propaganda reżymowa była tak skuteczna, że „wpoila nam lęk przed niezależną działalnością polityczną..., bez której niemożliwy jest prawidłowy rozwój społeczeństwa”. Dalej zaś czytamy: „Jestem wielkim entuzjastą 'Solidarności', lecz muszę przyznać, że sami przyczyniliśmy się do jej zguby swoją ignorancją polityczną. Chcielibyśmy w niej widzieć reprezentanta całego narodu zapominając o tym, że kto reprezentuje wszystkich, ten nie reprezentuje nikogo. Pomimo to, zahipnotyzowani strachem, zahamowani kompleksami, usiłowaliśmy się wszyscy skryć za formułą związku zawodowego, ciesząc się, że niczego nie podejrzewająca władza udzieli nam swego błogosławieństwa”. Otóż nie wszyscy: „N” jest chyba jedynym pismem, które od początku wojny stale podkreślało, iż ze związkiem zawodowym nie ma nic wspólnego oraz że interesuje nas wyłącznie działalność polityczna.

Autor podpisujący się inicjałami F.M. kontynuuje: „A myśmy bardziej chcieli jedności. Oczywiście prawdziwej, nie tej z FJN. Niestety to utopia. Tak jak utopijne są obecne próby opracowania programu, który byłby do zaakceptowania przez całe społeczeństwo”. Na zakończenie F.M. stwierdza: „A więc porozumienie odpada, powstanie w obecnej sytuacji byłoby szaleństwem. Co pozostaje? Bardzo dużo pracy. Niech znaczące grupy społeczne powołają do życia swoje w podziemiu działające partie. Choćby kadłubowe szkielety kadrowe. Niech tworzą swoje programy, swoje wizje Niepodległej i propagują je w swoich wydawnictwach. Niech skaczą sobie nawzajem do oczu, ucząc się metod walki politycznej, ale w obliczu wspólnego wroga niech działają solidarnie. Bo to właśnie 'Solidarność' powinna być płaszczyzną, na której zawrzemy porozumienie narodowe, opracujemy wspólną taktykę walki z okupantem i będziemy kształcić kadry dla przyszłego państwa”. Między nami a F.M. pozostaje już tylko jedna różnica: kiedy zawrzemy porozumienie narodowe, po „S” pozostanie tylko wspomnienie. (...)

Dezintegracja - pacyfikacja - samolikwidacja Podziemnej „S”.

Czyniąc Prymasowi zarzuty natury taktycznej, nie zwraca się uwagi na polityczne znaczenie Jego obecnej linii. Spójrzmy zatem na wypowiedzi i działanie abp. Glempa z punktu widzenia skutków politycznych Jego postępowania. (...)

Podkreślanie, że po 8 października żyje idea solidarności, choć nie ma „Solidarności” oznacza, iż Prymas uznał prawomocność (ale nie słusność) decyzji komunistycznego Sejmu, a zatem TKK nie jest już dlań reprezentantem „S” zepchniętej do podziemia decyzją władz, ale grupą desperatów wzywającą do „desperackich aktów”, jak strajki i manifestacje. Oświadczenie, że „tą drogą nie da się nic więcej osiągnąć” jest o tyle słuszne, że przy tak słabych demonstracjach rzeczywiście osiągnie się niewiele. Prymas nie wskazał jednak, jaką drogę należy obrać. Z późniejszego wezwania do zbojkotowania zarządzeń TKK w sprawie strajku i manifestacji 10 listopada można wnosić, iż jest to droga „pracy i spokoju”, czyli ustępstw i wyrzeczenia się (na razie) walki o wolność.

W dzisiejszej Polsce każdy rozumie, że spokój oznacza zgodę na rządy komunistów, a usłuchanie namów do wyteżonej pracy i zniesienia sankcji przez Zachód nie przyniesie narodowi żadnych korzyści, ponieważ zaoszczędzone i wyprodukowane dobra zostaną wywiezione do ZSRS, obrócone na potrzeby policji, ZOMO, LWP, aparatu partyjnego, przeznaczone na inwestycje, a nie na spożycie — następnie zaś owe inwestycje wykorzystana się dla wzmocnienia systemu lub ulegną one dewastacji, zniszczeniu, zaprzepaszczeniu, wreszcie będą rozkradzione. W rezultacie wszystkiego zwiększonemu wysiłkowi będzie towarzyszył wzrost wyzysku oraz naszego zadłużenia, które będziemy musieli spłacać po upadku komunizmu.

Wezwanie do niebrania udziału w akcjach 10 listopada oznacza odcięcie się Prymasa od Podziemnej „S” i uznanie jej taktyki za szkodliwą z powodu zbytniego radykalizmu. Wskazywanie, iż opór jest rzeczą złą, gdyż powoduje represje jest dość dziwne. Walka o wolność pociąga za sobą zawsze mniejszy lub większy terror. Represje powodowała zarówno działalność powstańców i konspiratorów w XIX wieku, jak i w czasie ostatniej wojny światowej. Czy to znaczy, że należało z niej zrezygnować?

Prymas podkreśla, że celem Kościoła jest uniknięcie rozlewu krwi. Czy za wszelką cenę? Jeśli jedna strona - komuniści - gotowa jest tę krew rozlewać w dowolnej ilości, a druga — posłuszna Kościołowi - będzie gotowa uczynić wszystko, by do owego rozlewu krwi nie doszło, wówczas stanie na całkowicie przegranej pozycji. Komuniści będą bowiem mogli w każdej chwili szantażować nas i zmuszać do ustępstw.

Najprawdopodobniej Prymas sądzi, że pogodzenie się z komunizmem i wyrzeczenie się walki o wolność (choć nie myślenia lub pragnienia jej) przyniesie mniej ofiar niż kontynuacja oporu, która może zakończyć się interwencją sowiecką. Takie rozumowanie nie bierze jednak pod uwagę stopnia degeneracji i moralnej deprawacji narodu, będących wynikiem rezygnacji z

walki, oraz cichych ofiar komunizmu umierających w wyniku braku lekarstw, niedożywienia itp., ani też wyniszczenia elity, która kontynuowałaby opór.

Jeżeli nowa linia Prymasa miałyby stać się jedyną i powszechnie przyjętą, to powstaje pytanie: po co zginęli obrońcy „Wujka”, górnicy Lubina, B. Włosik, Królik i dziesiątki innych, po co tysiące ludzi poszło do więzień? Dotychczas w Polsce zawsze czciliśmy bohaterów walki o wolność, teraz ich ofiara okazałaby się śmieszna i niepotrzebna, co musiałoby spowodować kryzys moralny.

Podaje się na ogół trzy argumenty na rzecz obrony obecnej polityki ks. Prymasa:

Kościół ma inne cele i odmienny jest charakter jego misji. Jest to podejście ze wszech miar słuszne, ale oznacza ono także, iż opozycja demokratyczna i Podziemna „S” posiadają również inne cele i inny jest charakter ich działalności niż Kościoła. „S” zamiast więc obrażać się na rozwód, jaki z nią wziął Prymas, powinna usamodzielnąć się, co w praktyce oznacza m. in., iż doradcy Episkopatu nie powinni być głównymi doradcami „S”, nie mogą bowiem jednocześnie reprezentować dwu niepokrywających się interesów (co nie znaczy, że sprzecznych na dalszą metę).

2. W zamian za nową politykę Prymasa Kościół wzmocni swą bazę materialną i rozszerzy zasięg oddziaływania — będzie to oczywiście korzystne dla narodu, pod warunkiem, że nie zrezygnujemy z walki o wolność, z konspiracyjnych organizacji itp. Całkowite uspokojenie i rezygnacja byłyby bowiem krokiem wstecz. Rząd mógłby w każdej chwili pozamykać np. sale katechetyczne, a myślenie o wolności prędzej czy później znów doprowadziłoby do działania. Wszystko to odbyłoby się jednak kosztem obecnych opozycjonistów — zmarnowanego pokolenia.

3. Prymas stara się uzyskać cokolwiek, jakiegokolwiek możliwości działania jawnego dla społeczeństwa. To prawda, ale naszym zdaniem rachuby na chrześcijańskie związki zawodowe są całkowicie zwodnicze. Komuniści nie dadzą się ani oszukać, ani nie będą lojalni, lecz wymanewrują Kościół, a gdy dojdzie do uspokojenia i zubożenia nastrojów, zniszczą i ten bastion niezależności. Kto będzie bronił Prymasa, gdy nie będzie już opozycji?

Jaką taktykę powinniśmy przyjąć w czasach pseudoodwilży? Uważamy, że należy stosować zasadę: „Brać nie kwitować”, tzn. przyjmować i wykorzystywać wszystkie drobne (innych nie będzie) ustępstwa, które uzyska Prymas dla narodu w zamian za odcinanie się od opozycji i udzielanie poparcia komunistycznej normalizacji, ale nie słuchać wezwań abp Glempa do: wyętej pracy i spokoju, zaniechania desperackiej (tj. podziemnej) działalności, poparcia dla komunistycznych związków zawodowych (oczywiście można je nazwać chrześcijańskimi, nam chodzi o istotę — nie o nazwę), ujawniania się, zaniechania strajków i demonstracji (kiedy staną się możliwe), poparcia i wejścia do OKON-i i PRON-cia (kolaboracja). (...)

Taktyka Prymasa na dłuższą metę skazana jest na niepowodzenie, zaś doraźnie może przynieść korzyści jedynie komunistom, gdyż:

— osłabi pozycję Kościoła w społeczeństwie; kityka Prymasa wśród aktywnej elity narodu jest powszechna;

— podzieli naród na gotowych do kapitulacji i nieprzejednanych; linia podziału, przebiegająca teraz między narodem a władzą, będzie prowadziła przez sam naród;

— wiele osób pokładających nadmierne nadzieje w Kościele zawiedzie się i zrezygnuje z walki,

— stanowisko Prymasa jeszcze bardziej wzmocni apatię i moralne załamanie po przegranej 10 listopada; już widać powszechne zniechęcenie - może też przyczynić się do petryfikacji podziemnej „S”. (...)

Opozycja demokratyczna musi być siłą samodzielną, a im będzie silniejsza, tym bardziej wzrosnie pozycja przetargowa Kościoła — musimy Go jednak nie słuchać w kwestiach politycznych. (...)

Antoni Wichrzycki

«Niepodległość» nr 11-12, listopad-grudzień 1982, ss.1-10

Po kapitulacji podziemnej „Solidarności”

Po klęsce grudniowej i roku szamotania się, kierownictwo „S” skapitulowało. To nie komuniści rozbili konspiracyjne struktury „S”, lecz sami przywódcy wykreślili się z mapy politycznej walczącej Polski, choć formalnie i symbolicznie mogą istnieć jeszcze przez pewien czas. Skąd jednak ta ocena, skoro TKK istnieje i zapowiada nawet opublikowanie „nowego programu”? Żadne poważne kierownictwo polityczne nie rozpoczyna nowej rundy walki z przeciwnikiem od ogłoszenia własnej gotowości do kapitulacji, tak zaś postąpiła TKK oświadczając: „Tylko Lech Wałęsa może określić warunki, na jakich Tymczasowa Komisja Koordynacyjna — zgodnie z jego wnioskiem — podejmie decyzję o swoim rozwiązaniu”.

Być może owa deklaracja miała na celu wzmocnienie pozycji Lecha wobec okupanta. Ale jej skutek był wręcz odwrotny od zamierzonego, gdyż wywołała wrażenie, że TKK tylko czeka, aby się rozwiązać, a więc w praktyce zaprzestać walki.

Ceną owego „rozwiązania się” byłoby „uwolnienie wszystkich pozbawionych wolności z przyczyn politycznych”. Jak jednak zamierza kierownictwo kontynuować walkę o „o przywrócenie wolności związkowych i obywatelskich — które, jak deklaruje — nadal pozostaje głównym celem naszych działań” (22. XI. 82), skoro wcześniej ma przestać istnieć? Jak walczyć o wolność, uprzednio pozbawiając się oręża tej walki, jakim są struktury podziemne, nawet takie jak TKK? Czy TKK zamierza walczyć jawnie? W takim razie członkom byłej Komisji pozostałoby pisanie petycji i listów błagalnych do PRON-cia.

Z drugiego oświadczenia dowiadujemy się, że warunkiem rozejmu, który pociągnąłby za sobą likwidację kierownictwa Związku, jest nie przywrócenie wolności związkowych, ale jedynie uwolnienie aresztowanych. „Członkowie TKK zakładają - mówi Zb.Bujak w „TM” nr. 36 — że swoją działalność na dotychczasowych zasadach utrzymują do chwili zwolnienia aresztowanych i skazanych. Do tego czasu nie przewidujemy ujawnienia się, ani rozwiązania”. Podobne stanowisko zajął B.Lis w wywiadzie udzielonym Radiu Francuskiemu

(12. XII. 82), wskazując, iż warunkiem ujawnienia się jest:

1. zwolnienie wszystkich uwieczonych,
2. uruchomienie samorządów pracowniczych zgodnie z ustawą przyjętą we wrześniu 1981 r.,

3. stosowanie ustawy o cenzurze. W oświadczeniu z 22 listopada 1982 r. TKK wymienia jeszcze:

- przywrócenie do pracy zwolnionych,
- odwieszenie wszystkich organizacji, stowarzyszeń twórczych i naukowych (których jeszcze nie rozwiązano).

Po ujawnieniu się i zawieszeniu broni, tj. w praktyce po powrocie do sytuacji sprzed Sierpnia, walkę kontynuowano by —jak powiedział B.Lis - na innej płaszczyźnie. Może być nią jednak tylko działalność jawna. (...)

Wszystkie warunki ujawnienia się są wprost dziecinnie śmieszne; tego typu ustępstwa można cofnąć w ciągu jednej nocy i będzie to operacja o wiele łatwiejsza niż wprowadzenie stanu wojennego. Myliłby się jednak ktoś sądząc, iż wszystkie przejawy łaszenia się do komunistów nie mają znaczenia, gdyż czerwoni nie skorzystali z nich (i słusznie) i „nie pozwolili” ujawnić się członkom Komisji. Fakt polityczny bowiem, a są nim owe oświadczenia, gdy raz zaistniał, nie da się już wykreślić; sytuacja po nim nigdy nie będzie już taka jak poprzednio, bez względu na rozmaite *zaprzeczenia*. Oto po roku okazało się, że milczenie i twarda polityka komunistów przynosi sukcesy, zamiast bowiem wpłynąć na porzucenie przez TKK nierealistycznej linii porozumienia na rzecz trzeźwego spojrzenia na komunizm, powoduje skruszenie i ustępstwa polityczne Związku. Wrona postąpiła zatem rozsądnie nie przyjmując ręki wyciągniętej przez TKK, gdyż wszystko wskazuje, iż po kilku kolejnych miesiącach kierownictwo Związku skruszeje jeszcze bardziej i zgodzi się na... warunkową kapitulację.

Przypomnijmy, że grupy solidarnościowe rozpoczęły walkę w podziemiu nie dlatego, iż w Polsce pojawili się więźniowie polityczni, ale dlatego, że do podziemia został zepchnięty nasz Związek. Przepelnione więzienia były dopiero skutkiem tej postawy (tego wyboru), nie zaś jej przyczyną. Gdyby kierownictwo wezwało 13 grudnia do kapitulacji i wszyscy posłuchaliby polecenia, dziś nie byłoby więźniów politycznych (internowanych zwolniono by pod wpływem nacisków zachodnich). Mielibyśmy zatem stan rozejmu postulowany obecnie przez TKK. Wobec aktualnej linii kierownictwa wszystkie ofiary poniesione przez Polaków stają się niepotrzebne i groteskowe. Każdy tchórz i oportunist może teraz powiedzieć: „A widzicie, po co walczyliście? Trzeba było od początku, tak jak ja, siedzieć cicho, a jeszcze jakąś cebulę lub but byście dostali, tak zaś dostaliście, ale butem! Nawet Wasi przywódcy chcą tylko zaprzestania represji, a gdzie Wasza 'S'?" Jak się czują wobec tej kapitulacji rodziny pomordowanych i uwieczonych?

Rezygnując z działalności podziemnej w wypadku zwolnienia więźniów, TKK w praktyce ogranicza swój cały program do postulatu amnestii.

W 1982 roku TKK wzywała do oporu w imię przywrócenia stanu sprzed 13 grudnia, tym razem zabezpieczonego pewnymi gwarancjami. Cel ten określaliśmy jako utopijny, a metody walki doń wiodące jako niewystarczające. Po roku również TKK doszła do przekonania, że porozumienie, przynajmniej na obecnym etapie, jest utopią, ale czy wobec tego zrozumiała popełniony błąd? Czy opowiedziała się za obaleniem ustroju? Przeciwnie, w sferze rozwiązań politycznych TKK cofnęła się do lat 70-tych, wysuwając dziecinne propozycje programowe: „Czeka nas walka o możliwość prowadzenia działalności jawnej. Trzeba znaleźć takie formy, które umożliwiają... może to będzie ruch samorządowy lub spółdzielczy, może różne formy stowarzyszeń i klubów...” Zb. Bujak uchylił też rąbka tajemnicy i powiedział, jak wyglądać będzie wynik umysłowego wysiłku TKK i jej doradców: „... Będzie to program jawny, program na rzecz porozumienia. (...) Będzie to działalność na rzecz reformy gospodarczej, postawienia całej gospodarki na nogi, na rzecz rozszerzenia wolności prasy i wypowiedzi, na rzecz rozwijania inicjatyw charytatywnych. Wszystko to jest działalność, za którą trudno wsadzić nie kompromitując jednocześnie systemu... (jest to) program pozytywny, program ewolucji systemu”. A działania praktyczne? „Widzę tu też takie formy, jak opiniowanie i bojkot niewłaściwych decyzji kierownictwa (strajk włoski), współpraca z ewentualnym samorządem w organizowaniu produkcji i podziale zysku, modernizacja parku maszynowego itp. (...) Na to wszystko są przepisy, a więc droga jest względnie łatwa”. Na koniec okazuje się, że TKK uznała prawomocność i nieodwołalność delegalizacji własnej organizacji, gdyż zapowiada walkę tylko o nowelizację ustawy o związkach (tzn. o częściowe zmiany w istniejącej już ustawie) - „TM” nr 36. W oczach Bujaka ustawa jest zatem prawomocna, trzeba ją tylko znowelizować; najprawdopodobniej chodzi o dopuszczenie do istnienia w jednym zakładzie pracy więcej niż jednego związku.

Te kilka cytatów wystarczy za cały program TKK. Dowodzą one nie tylko oderwania się członków TKK od realiów życia, ale wręcz intelektualnej niemocy. Działalność charytatywna, ruch spółdzielczy i samorządowy, współpraca jawnych samorządów komunistycznych (innych nie będzie) z tajnymi komisjami zakładowymi w organizacji produkcji itp., jest bardzo naiwne. Całe rozumowanie TKK i wybranych przez nią doradców oparte jest na niezrozumieniu istoty komunizmu, a zwłaszcza jego schyłkowej fazy — komunizmu wojennego.

Wszelka działalność jawna będzie kontrolowana i sterowana przez komunistów (policję): albo w celu jej skompromitowania, albo wykorzystania, np. do zepchnięcia odpowiedzialności za stan gospodarki na samorządy pracownicze, użycie ich autorytetu przy podwyżkach cen.

W komunizmie nawet reformy częściowe są niemożliwe, gdyż w warunkach dyktatury politycznej i gospodarczej (monopol) nie mogą trwale działać żadne ciała niezależne: samorządy, spółdzielnie, rzemiosło itp. Operacja NEP była już wielokrotnie powtarzana i zawsze kończyła się tak samo — zniszczeniem sektora wyzwolonego, tj. niepaństwowego. Bez gospodarki

rynkowej spółdzielnie, spółki i warsztaty indywidualne muszą upaść pod ciężarem podatków lub zostać upaństwowione, bądź przekształcić się w instytucje pasożytujące, gospodarczo niesamodzielne i niezdrowe.

Jedynym sposobem postawienia gospodarki na nogi jest likwidacja ustroju komunistycznego. Wszelkie próby reform będą zwiększały jedynie obciążenia spoczywające na ludziach pracy; innymi słowy, dla pracowników w naszym ustroju mniej dolegliwa jest gospodarka centralnie zarządzana — właściwa dla tego systemu - niż „samodzielność” przedsiębiorstw, wywodząca się z gospodarki rynkowej i w komunizmie z konieczności (monopol państwowy) ograniczona do samofinansowania się.

Komuniści są już doszczętnie skompromitowani i jedna kompromitacja więcej lub mniej nic im nie zaszkodzi ani nie pomoże, gdyż ich władza nie pochodzi z wolnych wyborów, ale z Kremla. Jeżeli Bujak po doświadczeniach ostatniego roku, nie mówiąc już o wcześniejszej historii, twierdzi, iż w komunizmie istnieje jakiś rodzaj działalności za którą nie można wsadzić, proponujemy aby sam ją podjął, a wkrótce przekona się o daleko-wzroczości swojej polityki.

Pomysły działania półjawnego, niby-tajnych komisji zakładowych, zrodziły się prawdopodobnie pod wpływem lektur o hiszpańskich komunistycznych Komisjach Robotniczych z czasów gen. Franco. Nasi „teoretycy” zapominają jednak, że nie żyjemy w „liberalnym” faszystwie hiszpańskim lat 60-tych i 70-tych, lecz w sowieckim komunizmie. Oba ustroje oparte są na odmiennych zasadach. W komunizmie najważniejsza jest władza, a nie efektywność gospodarcza (dyktatura polityczna łączy się z monopolem gospodarczym), w faszystwie hiszpańskim natomiast ustrój polityczny (dyktatura) oddzielony był od gospodarki, w której panowały prawa rynku, a więc wymagała ona efektywnej, opłacalnej działalności ekonomicznej. Dlatego też dyrekcje fabryk wołały zatajać przed policją fakt pertraktowania z nieoficjalnymi Komisjami Robotniczymi oraz podnosić płace, w zamian za wzrost wydajności pracy i zaniechanie strajków. W Hiszpanii istniał pewien interes wspólny dla robotników i właścicieli fabryk, w komunizmie zaś brak nawet takiej wspólnoty. (...)

Cóż proponuje przewodniczący Związku, w czasie kiedy TKK wymyśla kolejną fikcję programową? Jak pisało „Słowo”, L.Wałęsa jest „przede wszystkim politykiem”. Niestety, jest On przede wszystkim złym politykiem. Żaden polityk nie włożył bowiem jeszcze tyle pracy w osłabianie własnej pozycji i ośmieszanie się w oczach myślącej części społeczeństwa. Wysyłanie kolejnych listów do władz z różnymi propozycjami musiało spowodować właśnie taki efekt. Chodzi nam nie tyle o ich treść, co o fakt nieustannego zasypywania okupanta epistolami w sytuacji politycznie niekorzystnej dla Związku. Z góry było wiadomo, że na owe listy nie będzie żadnej odpowiedzi. „KOS” nr 19 próbując za wszelką cenę usprawiedliwić Lecha sugerował, że „posunięcia te prowadzi do stworzenia reżymowi przestrzeni dla dokonania manewru wycofania się z dotychczasowej, pozbawionej perspektyw linii politycznej, że mają umożliwić mu prezentowanie koniecznych ustępstw

wobec społeczeństwa jako przejawów siły i dobrej woli". Ale całe rozumowanie oparte jest na fałszywej przesłance, zgodnie z którą rząd chciałby się z czegokolwiek wycofać, podczas gdy w rzeczywistości „S” zrobiła wszystko, by z niczego ustępować nie musiał. Jego polityka jest dla komunistów korzystna, gdyż przyniosła w efekcie zmniejszenie społecznego oporu.

Jedyną płaszczyzną jedności, jaką można i koniecznie trzeba utrzymać, jest bojkot komunistycznych struktur. Poza nim jedność nurtu ugodowego (Lech Wałęsa, TKK, RKW „M”) i rewolucyjnego (np. WRKS lub grupy pozasolidarnościowe, jak „N”) byłaby nie tylko niemożliwa do zachowania oraz fałszywa, ale wręcz szkodliwa. Paweł Jasienica analizując przyczyny klęski powstania styczniowego wskazywał, że „... rewolucja nie jest czasem odpowiednim do tworzenia gabinetów koalicyjnych, że pozostawienie cienia władzy osobom politycznie niepewnym może oznaczać śmiertelne niebezpieczeństwo dla sprawy, w imię której popchnęło się naród do powstania” (*Dwie drogi*).

Pierwszy gabinet rządowy w wolnej Polsce będzie musiał posiadać charakter koalicyjny, wówczas bowiem nie będzie miało znaczenia, kto jak chciał walczyć z komunizmem, ale jakiej Polski chce, jakich reform, praw. Aby tak się stało, trzeba jednak najpierw tę wolną Polskę wywalczyć, a niestety przywódcy „S” owych zmagania nie są w stanie prowadzić. (...)

Trzeba zdawać sobie sprawę, że TKK nie reprezentuje już wszystkich, ale tylko jeden kierunek — ugodowy. Taki nurt istnieje w konspiracji i poza nią, nie ma więc powodu, dla którego nie miałby on posiadać własnego kierownictwa, tzn. właśnie TKK, RKW itd. Jeśli TKK uważa się, jak oświadczył Bujak, za „kierownictwo polityczne” („TM” nr 36), to nie może pełnić ono roli naszego przywództwa. Obóz rewolucyjno-niepodległościowy musi mieć własne kierownictwo polityczne. Jedność jaką proponujemy, ograniczona wprowadzie do nurtu niepodległościowego, będzie oparta na wspólnej taktyce (metody walki z komunizmem) i strategii (cel walki), nie zaś na fikcji jedności wszystkich Polaków, co praktycznie jest niemożliwe.

Być może za wcześnie kładziemy nacisk na problem kierownictwa, ale nie chcemy, by powtórzyły się błędy polskich powstań narodowych. J.Łojek, analizując przyczyny klęski 1831 roku, pisał: „Zlekceważono kapitalne wskazania młodego Maurycego Mochnackiego, który żądał sformułowania przed wybuchem powstania programu walki niepodległościowej oraz desygnowania rządu rewolucyjnego, choćby złożonego z ludzi młodych i nikomu nieznanym, byle gotowych do czynu, do przyjęcia na siebie politycznej odpowiedzialności” (*Opinia publiczna a geneza powstania listopadowego*, s.217).

Organizacje post-solidarnościowe o charakterze rewolucyjnym i niepodległościowym muszą zatem zastanowić się:

— czy nadal będą uznawały autorytet TKK i w związku z tym zmieniały metody działania, by pozostawać w zgodzie z programem TKK;

— czy uznając TKK formalnie będą realizowały całkowicie rozbieżny program;

— czy wreszcie, zrywając z fikcją, powołają nowe kierownictwo polityczne, na którego program będą miały wpływ i którego polecenia będą chciały wykonywać.

Zanim jednak powołamy nowe kierownictwo polityczne, grupy dążące do obalenia ustroju powinny nawiązać współpracę. Początkiem takiego porozumienia mogłaby stać się „Deklaracja Solidarności” opublikowana w „KOS”-ie.

Pierwszym etapem nowej działalności powinno być zdanie sobie sprawy z własnej odrębności programowej, następnym zaś tworzenie własnych organizacji i łączenie ich w partie polityczne bądź organizacje oporu, w końcu porozumienia międzypartyjne i wyłonienie kierownictwa politycznego w kraju oraz Polskiej Reprezentacji Narodowej zagranicą. Kierunek ugody nie stworzy takiej reprezentacji, gdyż uznaje on PRL za państwo polskie.

Wymieniliśmy poszczególne etapy działań, jakie należy podjąć na płaszczyźnie politycznej, by przygotować polityczną elitę narodu, a przez nią i sam naród do kolejnej, ostatniej już rewolucji. Do tej sfery działań należy też walka z kolaborantami i zdrajcami oraz bojkot struktur komunistycznych.

Pozostaje jeszcze jedna płaszczyzna organizacyjna — tworzenie struktur konspiracyjnych, obejmujących cały kraj i wszystkie środowiska, zdolnych do podjęcia działania, kiedy rozwój wydarzeń spowoduje znów umasowienie ruchu oporu. Tworzenie całego zaplecza technicznego, łączności i drukarni itp.

Trzecią, może najważniejszą, jest płaszczyzna oddziaływania na świadomość społeczeństwa poprzez wydawnictwa, biblioteki, samokształcenie itp. w duchu akceptacji wartości demokratycznych, wolnościowych oraz samej idei niepodległości. Czeka nas zatem głowienie się nie na tyle nad wynajdywaniem rozmaitych metod walki z komunizmem dostępnych dla wszystkich, ale dopiero tworzenie jej instrumentów.

Antoni Wichrzyciel

«Niepodległość» nr 13-14, styczeń-luty 1983, ss.1-4, 32

Pozytywizm w totalitaryzmie?

W prasie i dyskusjach konspiracyjnych wiele mówi się o działalności społecznej, gospodarczej, samopomocowej itp. Duch nowego pozytywizmu wziął w jasyr charaktery bez politycznej odwagi i wyobraźni, ale za to z dużym politycznym doświadczeniem w przegrywaniu i zawieraniu nieudanych kompromisów z Czerwonym. Jest to o tyle zrozumiałe, że wiele osób chciałoby robić coś pożytecznego nie ryzykując niczym lub ryzykując jak najmniej.

Często zapominają jednak, w jakim żyją ustroju. Zastanówmy się więc, czy formy i metody walki wypracowane w innych czasach (poprzednie zabory) lub innych, choć zewnętrznie podobnych ustrojach (np. faszystowska Hiszpania) mogą mieć rzeczywiście jakiegokolwiek znaczenie w zmaganiach z komunistycznym totalitaryzmem. (...)

Zakres liberalizmu w państwie autorytarnym (tj. niedemokratycznym) może być różny, zmieniając się w zależności od czasu i miejsca. Władza dyktatorska najczęściej dąży do rozszerzania swego zakresu. Na ogół jednak pozostawia swobodę gospodarczego działania, gdyż brak ekonomicznej efektywności osłabia system. Ludzie buntują się z powodów ekonomicznych (niskie płace) i zaczynają wysuwać żądania polityczne - usunięcia dyktatury.

Wolna gospodarka jest też swego rodzaju klapą bezpieczeństwa; ludzie energiczni mogą, w ogóle nie zajmując się polityką (o co dyktaturze chodzi), realizować jednocześnie swe ambicje na polu gospodarczym oraz awansować pod względem materialnym. Z drugiej zaś strony wolna gospodarka (tj. nie zarządzana przez państwo) łągodzi tendencje antydemokratyczne i autorytaryzm.

Za przykład może posłużyć faszystowska (faktycznie autorytarna) Hiszpania gen. Franco. W latach 40-tych i 50-tych rosły tam tendencje do rozszerzania dyktatorskiej władzy, następnie jednak rozpoczął się proces odwrotny. I znów punktem wyjścia była wolna gospodarka.

Po pierwsze, umożliwiła ona awans zawodowy ludziom zdolnym, sprawdzonym organizacyjnie i menadżerom (czego ci kapitaliści nie zrobią dla zysku). Zgrupowani w katolickiej i opowiadającej się za demokracją parlamentarną organizacji Opus Dei, byli oni właściwymi autorami hiszpańskiego cudu gospodarczego lat 60-tych.

Po drugie, prywatni przedsiębiorcy dążący do zwiększenia zysków byli zmuszeni dogadywać się z półjawnymi przedstawicielstwami załóg — Komisjami Robotniczymi, które z czasem przekształciły się w ogólnokrajowy związek zawodowy, mimo że oficjalnie mogły działać tylko rządowe związki korporacyjne. Z Opus Dei rząd musiał współpracować, a Komisje Robotnicze musiał tolerować, jeśli nie chciał by zawałiła się gospodarka.

W Niemczech Bismarcka, mimo wielu antydemokratycznych i antypolskich ustaw, Polacy mogli stawiać opór na płaszczyźnie gospodarczej, gdyż w tej sferze obowiązywało jednolite ustawodawstwo. Nie można było prześladować np. polskich banków czy spółdzielni, ponieważ w oparciu o te same zasady działały również niemieckie banki i przedsiębiorstwa. Zamach na polskie instytucje byłby ciosem dla całej ekonomiki, gdyż musiałby zlikwidować wolną gospodarkę, efektywność itp., a wówczas państwo przekształciłoby się z liberalnego w totalitarne. Ustrój totalitarny bowiem to taki, w którym władze centralne dążą do objęcia kontrolą i podporządkowania sobie, tj. interesom centrum, wszystkich obszarów życia politycznego, ideologicznego, gospodarczego, prywatnego itd. Ustrój totalitarny jest zatem przeciwieństwem zarówno systemu demokratycznego, jak i liberalnego. O ile jednak w ustroju liberalno-demokratycznym i autorytarnym działają kryteria

ekonomiczne, to w totalitaryzmie zostają one zastąpione wyłącznie przez kryteria polityczne: niepotrzebna jest mu efektywność, lecz monopol. A niech się gospodarka wali, byleśmy rządili także ruinami. Z kolei dzięki monopolowi można rządzić nadal, mimo braku efektywności.

Przykładem totalitaryzmu jest ustrój hitlerowskich Niemiec i komunizm. W obu wypadkach wszelka działalność, w tym gospodarcza, podporządkowana została centralnemu zarządzaniu państwowemu i służyła jego interesom (np. prowadzeniu wojny), choć w Rzeszy zachowano prywatną własność środków produkcji, co dało ich większą efektywność niż w Sowietach. Dlatego komunizm można nazwać totalitaryzmem konsekwentnym. Stąd wniosek, że w systemie tego typu nie istnieje żadna, nawet najmniejsza, wyspa wolności (tj. braku kontroli centrum), a więc brakuje punktu, od którego mogłaby rozpocząć się ewolucja w kierunku demokracji lub choćby autorytaryzmu. Dopuszczenie prywatnej inicjatywy (tzw. Nowa Ekonomiczna Polityka) ma zawsze charakter koniunkturalny: chodzi o czasowe złagodzenie braków i drenaż rynku, tj. zagrabienie pieniędzy nagromadzonych u ludności nie z powodu jej zamożności, ale całkowitego braku towarów. Po pewnym czasie naiwni nepmani, którzy uwierzyli, niszczeni są podatkami, a w gorszym wypadku wsadzani, np. za spekulację, łapownictwo, itp. Sektor prywatny, jeśli utrzymuje się mimo prześladowań, ma charakter pasożytniczy — całkowicie kontrolowany przez państwo, służy mu do drenażu zasobów finansowych ludności (wysokie ceny są wynikiem nadmiernego opodatkowania, a nie „złośliwości” rzemieślników, jak sądzą klienci).¹

Dlatego totalitaryzm pozostaje niereformowalny, jeżeli zaś wymienimy jeden z jego elementów (monopol polityczny, gospodarczy, ideologiczny), wówczas całość nieuchronnie zawali się lub powróci do stanu poprzedniego, przywracając naruszony monopol. Podkreślmy jeszcze raz, iż dzieje się

¹ W warunkach gdy rozliczne bariery ograniczają swobodny rozwój firmy prywatnej, ta po prostu podnosi cenę. Powstaje efekt podobny do supermonopolizacji jakiejś sfery gospodarczej. Monopolowi również nie opłaca się zwiększać produkcji, gdy może zamiast tego podnieść cenę. Polski prywatniarz nie jest monopolistą, lecz luka w popycie nie zostanie wypełniona przez inne przedsiębiorstwo prywatne lub państwowe, gdyż przeszkadzają w tym wymienione bariery (podatek progresywny od dochodu brutto, bariera organizacyjna oraz administracyjna). Inną przyczyną wysokich cen oferowanych przez sektor prywatny w komunizmie jest konieczność kalkulowania w kosztach łapówek oraz ryzyka działalności. Zresztą ryzyko przedsiębiorca zmniejsza, jeżeli zamiast rozszerzać produkcję — podnosi cenę. Stwarza to niską skłonność do inwestowania, w miejsce której pojawia się skłonność do nadmiernej konsumpcji, często ostentacyjnej, rażącej na tle powszechnej nędzy. Sektor prywatny w komunizmie jest chory, podobnie jak sam komunizm. Koncepcje tzw. pozytywistów, uzdrowienia gospodarki komunistycznej przez prywatne inicjatywy są utopią. Oazy zdrowia w komunistycznym bagnie nie są możliwe. Nie znaczy to, by najzdrowiej było w tym bagnie tkwić. Historia gospodarcza nie zna bardziej efektywnej gospodarki od wolnorynkowej, opartej na prywatnej własności." Jan Malinowski, *Ci wstrętni prywatniarze!*, „Niepodległość” nr. 29, s. 14-15.

tak dlatego, że dyktatura totalitarna kieruje się innymi zasadami niż zwykła dyktatura polityczna, zwana potocznie prawicową, tj. autorytarną. Stanowi to ważną wskazówkę dla przeciwników komunizmu: wszelkie społecznikostwo, zakładanie spółdzielni, kas, praca organiczna, jednym słowem pozytywizm w totalitaryzmie, nie ma żadnego sensu, gdyż opiera się o zasady (efektywność, praworządność — przynajmniej w sferze gospodarczej) nieznanne w naszym ustroju, niepotrzebne i co za tym idzie — niestosowane.

Sens ma tylko polityczna walka z komunizmem, gdyż jedynie ta kwestionuje jego monopol władzy — monopol, którego zdobycie umożliwiło komunistom opanowanie pozostałych sfer życia.

Działalność ugodowców i ludzi politycznie zagubionych, niezdolnych do podjęcia wyzwania rzuconego przez komunistów, bez przerwy nawiązując do pozytywizmu, łudząc społeczeństwo i powodując marnowanie energii na bezcelową aktywność. Jej niepowodzenie zaś wywołuje jeszcze głębsze rozczarowanie i apatię.

Najważniejszy błąd polega na myleniu ustroju autorytarnego z totalitarnym i proponowaniu form walki wypróbowanych w zaborze pruskim, bądź w Indiach Gandhiego.

Gandhi jedynie rozbudził politycznie indyjskie masy, niepodległość zaś przyniosła działalność zbrojna (m. in. powstanie marynarzy floty indyjskiej), z którą nie miał on nic wspólnego. Bojkot towarów angielskich był skuteczny, gdyż obniżał zyski brytyjskich producentów. Cóż jednak działałoby się w Polsce, gdybyśmy zaczęli produkować tkaniny na koszule i spodnie w warsztatach domowych (koncepcja społeczeństwa podziemnego — ulubieniec „KOS-a”)? Sprawilibyśmy tym jedynie wspaniały prezent komunistom, gdyż zwolnieni z obowiązku produkcji na rynek, przydzielaliby tekstylia wyprodukowane w rządowych fabrykach aparatowi władzy i represji, wywozili do ZSRS lub sprzedawali poniżej kosztów produkcji na Zachodzie, by zdobyć dolary na pałki dla ZOMO. Środki zaoszczędzone w przemyśle lekkim skierowałiby na rozbudowę przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego. Pisząc „środki” nie mamy na myśli bezwartościowych złotych, lecz konkretne materiały: cement, stal, maszyny itd. W komunizmie produkcja na rynek stanowi wyłącznie obciążenie dla państwa, zło konieczne, z którego z chęcią by zrezygnowano.

Jesteśmy przeciwnikami kupowania wódki, ponieważ:

— pijanym, a więc prymitywnym społeczeństwem łatwiej jest rządzić i manipulować,

— gdyby środki wydatkowane na alkohol przeznaczyć na cele niepodległościowe, czasowo wzmocniłyby one materialną bazę opozycji, a przede wszystkim związały z nią uczuciowo większą grupę ludzi.

Powszechne łączenie bojkotu państwowej wódki z chęcią ograniczenia źródeł finansowania aparatu represji dowodzi niestety, iż kadry opozycji nie mają nawet zielonego pojęcia o komunistycznej gospodarce (więcej samokształcenia, drogi „KOS-e”). W systemie tym nie ma jednego pieniądza

— miernika wartości. W wolnej (rynkowej) gospodarce istnieje jeden po

wszechny miernik wartości, np. marka, w którym liczone są ceny wszystkich towarów i usług. Inaczej jest u nas. Można mieć dużo pieniędzy i nie dostać żadnego produktu lub otrzymać go za darmo, czy też półdarmo, gdyż o wszystkim decyduje pozycja kupującego względem aparatu władzy (przywileje lub ich brak). Rolę pieniądza pełnią bowiem także różnego rodzaju talony, przydziały, dostęp do sklepów wydzielonych itp. W naszym systemie jest więc wiele rodzajów pieniędzy, które są wzajemnie niewymienialne, np. złotówka i „prawo” zakupu mieszkań z puli Urzędu Rady Ministrów (tzn. nie ma takiej sumy złotych, za które można nabyć prawo zakupu mieszkania dostępne tylko dla ludzi z nomenklatury URM) i żaden z nich nie pełni wszystkich funkcji pieniądza.

Tysiąc złotych, które wydaje np. hutnik miesięcznie na wódkę, nie jest tym samym tysiącem, które wydaje państwo na dzienne utrzymanie zomow-ca. Jeśli ktoś ma wątpliwości, niech porówna towary, które można kupić za tysiąc złotych w normalnym sklepie z tymi, które otrzyma — także za tysiąc złotych — ubek lub oficer LWP w sklepie wydzielonym.

Państwo komunistyczne, żeby utrzymać zomowców, nie musi w ogóle dysponować złotówkami, lecz musi posiadać konkretne produkty: materiał na mundury z fabryk tekstylnych, mięso z PGR-ów na wyżywienie, hotele na zakwaterowanie itd. Produkty te zaś zdobywa nie na rynku od producentów za złotówki, ale wytwarza samo, gdyż owe fabryki, PGR-y, hotele są jego własnością, lub rekwiruje u prywatnych wytwórców, gdyż nie musi się z nimi liczyć, skoro władza nie pochodzi z wolnych wyborów (monopol polityczny),

Powstrzymywanie się od zakupu wódki spowoduje większy nacisk na rynek towarów konsumpcyjnych, a więc wzrost nierównowagi, dłuższe kolejki. Państwo podwyższy ceny i przywróci stan równowagi, ponieważ zastraszone społeczeństwo przyjmie podwyżki potulnie, a kolejny artykuł w „KOS-ie” zapewni spokój sumienia.

Pamiętajmy, źródłem pieniędzy dla państwa w gospodarce centralnie planowanej są nie podatki i dochody z monopoli, lecz drukarnie. Komuniści wydrukują tyle złotych, ile ich będą potrzebowali. Aparat represji utrzymywany jest natomiast dzięki temu, że państwo jako właściciel całości gospodarki ma nieograniczone środki, które może przeznaczać na wybrane cele, np. budowę hut i wyposażenie **ZOMO**. Aby pozbawić komunistów kontroli nad gospodarką, trzeba najpierw odebrać im władzę polityczną. Pomysły z wódką są wynikiem politycznego tchórzostwa i szukania zbawienia zamiast walki.

W pismach opozycyjnych często wskazuje się, że wszystko się zmienia, ewoluuje, a więc musi to dotyczyć także komunizmu. Takie podejście do spraw ustrojowych wynika niestety z nieuctwa piszących. Nie jest bowiem prawdą, iż każdy ustrój społeczny i polityczny musi z biegiem czasu ulec ewolucji. Z tego punktu widzenia moglibyśmy podzielić systemy politycz-no-społeczne na dwa typy:

— ulegające ewolucji, przekształceniom, tj. reformowalne drogą bardziej lub mniej pokojową; do nich zaliczyć można np. feudalizm europejski i kapitalizm;

— pozbawione wewnętrznych dźwigni rozwoju i zdolne jedynie do odtworzenia raz ustalonych stosunków oraz trwania lub ekspansji zewnętrznej, którym towarzyszy wewnętrzny rozkład i apatia mas, spacyfikowanych umiejętnie dawkowanym terrorem; do tej kategorii zaliczyć można feudalizm azjatycki i komunizm. Systemy owe upadają pod wpływem warunków zewnętrznych, najczęściej najazdów i wojen.

Rzecz charakterystyczna, że w państwach azjatyckich władze centralne odgrywają decydującą rolę zarówno w polityce, jak i w gospodarce, choć oczywiście nie mają tak doskonałego monopolu jak w totalitaryzmie. Przewaga interesów dworu powoduje, że w większości wypadków zwyciężają kryteria polityczne, a nie ekonomiczne, chociaż utożsamianie systemów azjatyckich z nowoczesnym totalitaryzmem byłoby zbyt daleko idącym uproszczeniem.

Komunizm - czytaj ZSRS - nie upadnie bez zewnętrznego bodźca. Może nim być przegrana wojna: światowa lub kolonialna, może go również dostarczyć Polska. Ale nie będzie to Polska Gandhiego.

Dzikus Podziemia

«Niepodległość» nr 18-19, czerwiec-lipiec 1983, ss.22-25

Styczeń i co dalej?

W chwili obecnej związek „Solidarność” jest fikcją. Liczba działaczy poważnie zaangażowanych stale maleje w wyniku trwającej akcji policyjnej; liczba współpracowników spada od 11 listopada z powodu pogarszania się nastrojów społecznych. W takiej sytuacji udaje się utrzymać tylko część istniejących poprzednio struktur, kanałów łączności, inicjatyw - a i to głównie drogą zwiększonego obciążenia tych, którzy działają nadal. Przyczyną pogorszenia się nastrojów jest utrata nadziei na zwycięstwo w walce prowadzonej dotychczasowymi metodami i brak nowych propozycji. Między głównymi przyczynami, dla których w „S” nie powstała żadna dająca szansę powodzenia koncepcja walki, znajdują się:

- unikanie jawnego określenia celu tej walki,
- błędna ocena przeciwnika.

Koncepcja wywierania ograniczonego nacisku na władzę w celu wymuszenia na niej ograniczonych ustępstw poniosła klęskę. Błędne było jej główne założenie, zgodne z którym władza miała prędzej lub później poszukać partnera w społeczeństwie. Nazwałbym to kompleksem porozumienia.

Porozumienie dwóch sił może nastąpić na gruncie wspólnej negacji czegoś lub wspólnych celów. Ponieważ wspólnego przeciwnika dla nas i dla władzy jakoś nie widać, pozostaje to drugie. Należy tylko ubolewać, iż nadal są ludzie wierzący, że władza podzieli się z kimś jarzmem swego dziejowego zadania. Władza ludowa to taka Zosia-Samosia i po naszych trupach wykona je (lub nie) bez nas. Jako że władza do porozumienia się nie kwapiła, próbowano ją troszkę

postraszyć. Myślę, że efekt takiego nacisku był odwrotny do zamierzonego: uświadomił on władzy, że jakiegokolwiek ustępstwo z jej strony będzie odebrane jako objaw słabości - będzie kamieniem, który poruszy lawinę i bardzo szybko spowoduje gwałtowny wybuch społeczny. Jest to błędne koło: im nacisk większy, tym bardziej nie można ustąpić, gdyż oznaczałoby to tym większą słabość i tym szybszą rewolucję. A jeśli nacisku nie ma, to jasne, że ustępować nie trzeba. Władza doskonale wie, że pierwszy objaw jej słabości oznaczałby walkę na śmierć i życie - rozpaliby się nie jeden Radom czy Otwock, ale ich dziesiątki lub setki. Nasuwa się w tym miejscu analogia: władza przypomina tresera zamkniętego z półdzikim tygrysem w klatce. Wszystko jest w porządku dopóki treser strzela z bata, a tygrys nie jest głodny. Ale nikt przecież nie przypuszcza, że jeżeli treser odłoży bat i wyciągnie do tygrysa rękę, to ten poda mu łapę. Tygrys mu tę rękę profilaktycznie i prozaicznie odgryzie. Nie bądźmy głupszy od tygrysa. Dopóki nie zostanie przewyciężony kompleks porozumienia, dopóki nie sformułuje się celu walki, dopóki podziemna publicystyka będzie operowała mitami („S" była, jest i będzie nasza, wspaniała, piękna), sloganami (wojna polsko-jaru-zelska) i złudzeniami (Czerwony da chociaż nie musi, albo - bo musi) - dopóty należy się spodziewać, że w kręgach przywódców „S" i ich doradców nie powstanie jakiegokolwiek program lepszy od dotychczasowego.

„S" jest fikcją, z którą należy się zacząć żegnać. Trzeba więc odpowiedzieć na dwa pytania: co będzie po „S" i jak przejść od niej do nowych struktur, by jak najmniej utracić z tego, co mamy dotychczas. Należy w najbliższym czasie spodziewać się rozwoju ruchów politycznych. Ich cechami charakterystycznymi będą:

— jasne sformułowanie celów działania, np. obalenie władzy komunistycznej, wprowadzenie bardziej reprezentatywnego systemu politycznego, odzyskanie niepodległości;

— opracowanie własnej wizji przyszłej Polski;

— posiadanie koncepcji i prowadzenie polityki zagranicznej;

— prowadzenie określonej polityki w stosunku do obecnej władzy, np. negocjowanie możliwości porozumienia podobnego jak w Sierpniu'80, poszukiwanie partnerów wewnątrz aparatu władzy itp.;

— używanie nazwy partii politycznej, organizacji kadrowej, itp.

Ich, to jest partii politycznych (l. mn.), głównym zadaniem będzie przygotowanie społeczeństwa do przeprowadzenia rewolucji, która wybuchnie mniej lub bardziej spontanicznie w ciągu kilku lat, albo uzyskania rozwiązania w drodze bezkrwawej. Działania będą prowadzone na trzech poziomach. Najwyższy - to budowa tajnych organizacji kadrowych i ich szkolenie. Oczywiście jest, że będzie w tym zaangażowanych stosunkowo niewielu ludzi. Najniższy — to edukacja polityczna całego społeczeństwa. Poziom średni tworzyć będą niezależne organizacje społeczne: związek zawodowy „S", organizacje kulturalne, oświatowe, środowiskowe. Ich zadaniem będzie kształcenie kadr dla przyszłego państwa, w nich będą działali członkowie partii politycznych. Bez nich nie będzie też możliwa ewentualna budowa państwa

podziemnego. Wszystkie trzy poziomy należy traktować jako równie ważne dla przyszłości.

Kto to robi? W przeważającej części działacze „S” szczebla średniego. W okresie przejściowym „S” powinna zapewnić pomoc nowo powstającym ruchom, tzn. udostępnić istniejące kanały łączności i informacji (poligrafia), siatki kolportażu, pieniądze, kanały na sprzęt z zagranicy. Aby to wszystko udostępnić, należy najpierw utrzymać. Trzeba zadbać, aby ruchy te nie musiały rozwijać się w opozycji do „S”, aby istniało możliwie ciągłe przejście od jednego do drugiego. Jest to ważne, gdyż znaczna część społeczeństwa nadal wiąże nadzieje z „S” i jej kierownictwem, nie zdając sobie sprawy z ich bezpodstawności. W i tak trudnej sytuacji dla społeczeństwa, trudnej psychicznie, należy zaoszczędzić mu niepotrzebnych zjawisk negatywnych. W perspektywie „S” winna być podziemnym związkiem zawodowym, prowadzącym wyłącznie działalność związkową: zbieranie składek, walka o sprawy socjalne w zakładach pracy, pomoc represjonowanym. Dopóki nie powstanie inna reprezentatywna struktura ogólnokrajowa, Związek powinien być też płaszczyzną konfrontowania się wszystkich innych ruchów. Dlatego byłoby dobrze, gdyby TKK wydała uchwałę formułującą stanowisko popierające generalnie ruchy polityczne, o ile takie powstaną. Szczerze mówiąc chodzi o to, aby TKK zeszła ze sceny z wdziękiem (ale na wszelki wypadek nadal czekała za kulisami). Za niedopuszczalne uważałbym blokowanie przez TKK nowych ruchów i nieudzielanie im pomocy, zamykanie łamów pism dla nowych poglądów.

Rafał Witkowski

«Niepodległość» nr 15, marzec 1983, ss.1-2

10 prawd oczywistych... nie dla każdego!

I. „Wizja Samorządnej Rzeczypospolitej nie jest sprzeczna z ideą socjalizmu, a jej realizacja nie musi kłócić się z istniejącym łańcem międzynarodowym”.

Jeżeli termin „Samorządna Rzeczypospolita” ma oznaczać — mówiąc językiem ludzkim i dla wszystkich zrozumiałym — republikę demokratyczną, to dlaczego pominięto w jej opisie jedną z cech podstawowych — pluralizm polityczny w systemie parlamentarnym opartym na wolnych wyborach?

Wybory demokratyczne nie muszą być jednocześnie wolne, bowiem zasada wolności dotyczy zakresu sprawowania władzy, a zasada demokracji — sposobu w jaki jest owa władza wykonywana w danym zakresie; nie jest to więc to samo. Wybory, nawet do Sejmu, mogą nie być wolne, mimo że pozostają demokratyczne. (...)

Demokratyczne wybory nie będą wolne, jeśli nie dopuszczą do udziału w kampanii przedwyborczej, głosowaniu i komisjach wyborczych wszystkich ugrupowań. Można przecież zorganizować demokratyczne wybory z udziałem jedynie PZPR, SD i ZSL. Demokratyczne wybory odbyły się po wojnie na

Węgrzech (gdzie komuniści uzyskali 17% głosów) i w Czechosłowacji (38% głosów), nie były one jednak wolne, gdyż okupant z góry określił, które partie mogą wziąć w nich udział i postawił warunek utworzenia po wyborach (bez względu na ich wynik) wspólnego rządu z komunistami, a nawet powierzenia im określonych ministerstw. Jak łatwo się domyślić, chodziło o ministerstwa bezpieczeństwa, spraw wewnętrznych i obrony narodowej. Co było dalej, nie trzeba chyba przypominać.

Wolne wybory - to wybory spośród wszystkich (nie tylko „S”), nawet najmniejszych ugrupowań, nawet kandydatów niezależnych, a nawet spośród komunistów.

Jeżeli natomiast idea „Samorządnej Rzeczypospolitej” nie zakłada systemu wielopartyjnego, parlamentarnego i wolnych wyborów, to jest to kolejna utopia rodem z wczesnobolszewickiego systemu rad przedstawicieli... Taki system służyć może społeczeństwu i demokracji jedynie bardzo krótko, w momencie rewolucyjnego obalania starej władzy, później zawsze zostaje zastąpiony przez parlamentaryzm lub dyktaturę. Po zakończeniu I wojny światowej pierwsze rozwiązanie znalazło miejsce swego zastosowania w Niemczech, drugie zaś w Rosji bolszewickiej.

Pisząc o idei socjalizmu używa się terminu, który nic nie znaczy, gdyż nie precyzuje, czy chodzi o socjalizm demokratyczny, a więc o ideę socjaldemokracji, czy też o socjalizm realny, tj. o ideę komunizmu. Powoływanie się na socjalizm przypomina zaklęcia, z tym jednak, że jeżeli dotyczą one socjalizmu demokratycznego - to nie interesują władz, jeśli natomiast socjalizmu realnego — to nie obchodzą Polaków. Do kogo zwraca się autor? Może do obu stron, mając nadzieję, że żadna się nie połapie o co tu chodzi i przyjmie za dobrą monetę deklarację, bez względu na interes własny.

Szamani wierzą, że używając odpowiednich zaklęć zyskują władzę nad bóstwem, które musi odtąd wykonywać ich polecenia. Podobnie członkowie TKK uważają, że wypowiadając czarodziejskie zaklęcie: „socjalizm”, uzyskują władzę nad Andropowem, który po tym okrzyku będzie musiał pójść na służbę do TKK! W imię socjalizmu oczywiście! Komunistów jednak szaman nie oszuka. Nie dali się nabrać KOR-owi ani „Solidarności”, nie dadzą się nabrać również teraz. Co się zaś tyczy społeczeństwa, nie jest ono aż tak rozkochane w idei socjalizmu, żeby zgodność z nią była warunkiem przyjmowania jakiegoś programu za swój. Według ankiety „Paris Match” z 5 grudnia 1981 r., w wolnych wyborach na komunistów głosowałoby całe 3%, a na socjaldemokratów - 20% wyborców, co oznacza, iż ogromnej większości społeczeństwa idea socjalizmu (każdego) jest co najmniej obojętna. Nie wypada zatem wciskać jej większości narodu. Lepiej już pomińmy milczeniem ideę socjalizmu.

Jeśli istnieje jakaś idea socjalizmu nie pozostająca w sprzeczności z modelem „Samorządnej Rzeczypospolitej”, rozumianej jako republika parlamentarna, to ani okupanta, ani społeczeństwa ona nie interesuje. Jeśli natomiast idea socjalizmu jest obecnie urzeczywistniana w Polsce, to pozostaje ona w całkowitej sprzeczności z wizją „Samorządnej Rzeczypospolitej” rozumianej

jako republika parlamentarna z rozwiniętym samorządem pracowniczym (powiedzielibyśmy: „Rzeczpospolita Demokratyczna”). Odwołanie się jednak jednocześnie do socjalizmu i „istniejącego ładu międzynarodowego” (zapewne autorom idzie o pojałtański podział Europy) oznacza, że prawdziwym adresatem Deklaracji TKK jest ZSRS, bowiem jemu zależy na utrzymaniu dotychczasowego ładu.

Siedzi Jasio i pisze programy polityczne; wyobraża sobie, że tysiące kilometrów dalej, w Moskwie, siedzi Andropow, czyta jego tezy i myśli: „Ach, przecież ci Polacy chcą mojego socjalizmu i mojego ładu międzynarodowego, a ja głupi sądziłem, że pragną obalić ustrój. Skoro jednak teraz wyraźnie napisali, że im chodzi o socjalizm, to co innego —wymienię Wojciecha na Lecha!”

II. „Sojusze zawarte przez Polskę nie mogą przesądzać istnienia rządów dyktatorskich.”

Aby zawrzeć z kimś sojusz, trzeba przede wszystkim istnieć i posiadać mniej więcej równoprawne z nim stosunki. Państwo, które nie istnieje, żadnych układów, sojuszy i porozumień zawierać nie może. Trzeba sobie uzmysłowić, iż państwa polskiego niema! Podobnie jak nie było państwem polskim Królestwo Kongresowe, nie jest nim również twór administracji sowieckiej na ziemiach polskich, występujący pod nazwą PRL. Państwo polskie przestało istnieć z chwilą rozwiązania reprezentacji naszego narodu — Rady Jedności Narodowej, likwidacji administracji — Delegatury Rządu na Kraj wraz z podległymi agendami oraz wycofania międzynarodowego uznania dyplomatycznego dla ostatniego legalnego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej — emigracyjnego rządu premiera Arciszewskiego. Od tego czasu ziemią polskimi rządzą niepodzielnie radzieckie władze okupacyjne, które przybrały lokalną formę administracji peerelowskiej. Fakt, że zasiadają w niej ludzie uważający się za Polaków, niczego nie zmienia, gdyż w administracjach lokalnych kolonialnych imperiów udział urzędników pochodzenia miejscowego jest zawsze duży. W XIX wieku w Kongresówce szef policji był Rosjaninem, podczas gdy jego podwładni, ochoczo prześladowający ruch niepodległościowy i robotniczy, byli „Polakami”.

Władze PRL polskimi nie są, gdyż reprezentują i bronią interesów sowiecko-rosyjskich, z którymi związane są także swym własnym interesem grupowym. Dlatego też wszelkie umowy, które podpisują ze swymi władzami centralnymi:

- mają charakter wewnątrzimperialny,
- nie obowiązują narodu polskiego, nie zostały bowiem zawarte przez jego przedstawicieli,
- posiadają znaczenie sojuszu wyłącznie z punktu widzenia grupowego interesu władz lokalnych, które więcej łączy z centralną oligarchią w Moskwie niż z własnymi poddanymi w Warszawie i dlatego z góry przesądzają o dyktatorskim charakterze rządów lokalnych.

Państwo polskie zatem, zanim z kimkolwiek zawrze jakikolwiek sojusz, musi najpierw powstać, tj. Polacy muszą uzyskać niepodległość.

III. „Powstaje totalitarna dyktatura. Bezprawie stało się prawem.”

Dyktatura totalitarna polega na połączeniu monopolu politycznego, gospodarczego i informacyjnego. W odróżnieniu od systemu autorytarnego (np. w Chile) nie uznaje ona żadnych granic, poza którymi kontrola życia obywateli byłaby niewskazana lub niedozwolona. Tak rozumiana dyktatura uformowała się w Polsce w latach 1944-47 i, o ile wiadomo, nigdy nie znikła. Zmieniała jedynie formy, a czasami nawet słabła w okresach tzw. odnów (ostatnio w latach 1980-1981). Jeżeli przez wiele lat nie stosowano masowych rozstrzeliwań i nie ferowano wysokich wyroków, to powodem nie był zanik dyktatury totalitarnej, lecz brak potrzeby odwoływania się do takich metod. Dyktatura totalitarna zatem nie powstaje, a jedynie stosuje swoje stare metody w obliczu śmiertelnego dla siebie zagrożenia, którego poprzednio nie było.

IV. „Celem naszej walki pozostaje realizacja programu I KZD.”

Dokument przyjęty na I KZD nie miał charakteru spójnego programu. Już w 1981 r. był zbyt ogólnikowy, co wynikało z chęci pogodzenia wszystkich nurtów występujących w „S”. Zasadnicza jego sprzeczność polegała na postawieniu podwójnego, wykluczającego się nawzajem, celu -doprowadzenia do trwałego porozumienia z komunistami, a więc pozostawienia im jakiejś władzy i przeprowadzenia wolnych wyborów, tj. pozbawienia komunistów władzy.

Do programu I KZD może odwołać się każdy, wybierając sobie jakiś fragment, zaś inne pomijając milczeniem. Dokument ten obecnie tym bardziej nie może pełnić funkcji programowych, że całkowicie zmieniła się sytuacja polityczna od czasów Zjazdu. Celem aktualnej walki nie może więc pozostawać realizacja programu I KZD, mogą natomiast stanowić go wolne wybory, o których się tam mimochodem i półgębkiem wspomina. Ale trzeba to powiedzieć jasno i otwarcie.

V. „Realizacja programu wymaga stworzenia sytuacji, w której władza zmuszona jest do szukania kompromisu ze społeczeństwem. By system władzy zdolny był do ustępstw, konieczne są działania prowadzące do załamania się obecnej dyktatury.”

Obecna forma dyktatury totalitarnej - WRONA - nie jest czymś zewnętrznym w stosunku do totalitarnego systemu władzy. Wronia forma komunistycznej dyktatury - to właśnie jest system bolszewickiej władzy w swej fazie schyłkowej. Ustrój komunistyczny przechodzi bowiem przez trzy okresy:

1. Budowa ustroju — władza policji, terror w skali masowej, industrializacja, tworzenie zaplecza społecznego dla władzy drogą masowego awansu, indoktrynacja, niszczenie więzi społecznych (organizacji niezależnych, Kościoła, rodziny).

2. Rozkwit systemu — władza aparatu partyjnego, pełne korzystanie ze sprawowanej władzy, spacyfikowane społeczeństwo nie buntuje się, zamknięcie

dróg awansu społecznego, stagnacja.

3. Gnicie i rozpad systemu -- rządy wojskowo-policyjne, rozpad aparatu partyjnego, nędza, głód, krach gospodarczy, bunty, rozruchy, masowy terror, wojna.

Obalenie obecnej ekipy jest równoznaczne z obaleniem komunizmu. Przeświadczenie, iż wystarczy pozbawić rządów tylko ekipę Jaruzelskiego i z władzą komunistyczną będzie się już można dogadać, oparte jest na fałszywych przesłankach. Odejście Jaruzelskiego niczego nie rozwiąże. Załamanie obecnej dyktatury miałoby doprowadzić władzę (tzn. kogo? nie istniejącą partię, wojsko, policję?) do ustępstw i zawarcia kompromisu ze społeczeństwem. Jeśli jednak władza będzie na tyle silna, mimo załamania, żeby nadal bronić się, to walczyć będzie do końca z nadzieją pokonania społeczeństwa i przywrócenia poprzedniego stanu posiadania. Jeżeli natomiast społeczeństwo będzie na tyle silne, iż władzy pozostaną jedynie rokowania o kapitulację (uratowanie życia i nakradzionego narodowi mienia), po cóż mamy zawierać jakiś kompromis i w sztuczny sposób pozostawiać komunistom resztki władzy; może żeby nabrali oddechu i po odpoczynku uderzyli powtórnie? Równowaga sił między władzą i społeczeństwem może być tylko stanem przejściowym na korzyść tego, kto pierwszy go naruszy. Nie mamy żadnego wyboru — komunizm musimy obalić całkowicie i ostatecznie. Jeżeli zaś autorom Deklaracji chodziło o kapitulację Czerwonego, to nazwanie jej kompromisem przyszłych „jeńców” nie oszuka, a pomiesza jedynie czytelnikom w głowach.

VI. „Decyzja użycia siły przeciwko strajkującym robotnikom nieść będzie wielkie zagrożenie dla istnienia samej dyktatury.”

W grudniu 1981 roku użyto siły wobec strajkujących robotników i dyktatura nie odczuła żadnego „zagrożenia”, a wprost przeciwnie, umocniła swą władzę, przywracając pełną kontrolę nad społeczeństwem. Dopiero masowa obrona czynna nieść będzie owo „wielkie zagrożenie”. Trzeba to powiedzieć jasno. Nie wolno stosować uników, gdy prawda jest trudna do pogodzenia się z nią. Ukrywanie przed Polakami, że czeka ich walka i ofiary jest nie tylko naiwne, ale także szkodliwe, spowodować bowiem może, że generałowie zostaną bez wojska. Masy, przekonane iż nie trzeba walczyć i ginąć, prawdopodobnie skapitulują po pierwszym starciu jak w grudniu 1981 roku. Wówczas nie istniała żadna obrona cywilna, bowiem władze Związku, intelektualisci, przywódcy, itp. wmawiali wszystkim przez rok, że taka walka jest niemożliwa (Polak z Polakiem, nawet sowieckim, zawsze się dogada). Jeśli posyła się żołnierzy na front, trzeba im powiedzieć, iż przyjdzie im tam się bić, a nie że nieprzyjacieli już na sam ich widok pójdzie w rozsypkę!

VII. „Środki produkcji stałyby się rzeczywistą własnością społeczną.”
Jest to niestety slogan żywcem wzięty z komunistycznego języka, nie precyzuje bowiem w jakich warunkach środki produkcji staną się „rzeczywistą własnością społeczną”. Zamiast opisywać jak będzie dobrze w przyszłej Polsce,

trzeba powiedzieć jakie stosunki w niej zapanują, a czytelnicy już sami osądzą ich efekt. Przykładowo, nie wystarczy powiedzieć, że będzie sprawiedliwość i własność społeczna, ale jakie rozwiązania ustrojowe doprowadzą do nich.

VIII. „Środki masowego przekazu, kultura, oświata służyłyby społeczeństwu.”

Jest to kolejny komunistyczny slogan. Któż bowiem miałby oceniać, czy rzeczywiście służą one społeczeństwu, czy nie. Należy określić jak będą funkcjonowały, a nie komu służyły, tzn. czy będzie cenzura, kto będzie kontrolował radio, telewizję, czy nauczyciele będą dobierani przez państwo, kto będzie miał prawo zakładania szkół, stacji radiowych, pism, itd. Komuniści twierdzą, że już teraz kultura, środki masowego przekazu i oświata służą społeczeństwu. A więc pogląd na to, co społeczeństwu służy, a co szkodzi, różni się w zależności od udzielającego odpowiedzi. Nam chodzi o konkretne rozwiązania.

IX. „Reformy przeprowadzane muszą być stopniowo, bez naruszania zasadniczej równowagi sił w Europie... jej (tj. Samorządnej Rzeczypospolitej) realizacja nie musi się kłócić z istniejącym ładem międzynarodowym.”

Rozumiemy, że inne niż zasadnicze naruszenie równowagi sił w Europie nie będzie kłócić się z ładem międzynarodowym. Otóż każde, nawet najmniejsze naruszenie aktualnej równowagi kłóci się z ładem międzynarodowym, gdyż jest ona bardzo chwiejna. Komuniści pozbawiani władzy stopniowo, np. co miesiąc jednego ministerstwa, nie będą uważali, iż równowaga sił jest „zasadniczo” naruszana, natomiast gdy odbierze im się władzę za jednym zamachem, odczują zasadnicze naruszenie, co spowoduje inwazję rosyjską.

Walka toczy się o władzę, tj. o jej utrzymanie, a nie o stopniową jej utratę. Zaklinianie się na chęć utrzymania obecnego ładu międzynarodowego trafia w próżnię, gdyż nie jest tym zainteresowana ani Moskwa, ani USA, ani Polacy. Ameryka chce bowiem przywrócenia równowagi europejskiej, co musi oznaczać likwidację rosyjskiej przewagi strategicznej, a więc musi wynikać z osłabienia Rosji lub doprowadzić do niego. Odpadnięcie Polski od komunizmu oczywiście osłabia Rosję. Dla Sowietów natomiast obecny układ sił jest jedynie stanem przejściowym do pełnego zawładnięcia Europą, zanim dojdzie do rozprawy z Chinami. Utrzymanie zatem (długofalowo) dzisiejszej równowagi sił nie leży w interesie Rosji. Chce ona aktualną nierównowagę jeszcze bardziej powiększyć na swoją korzyść; Polska, rzecz jasna, jest najmniej zainteresowana w zachowaniu obecnego ładu (tj. panowania ZSRS). Wprost przeciwnie, w naszym interesie leży jak najszybsze obalenie owego ładu (niepodległość i zmiana ustroju).

Komunizm żywi się ekspansją, nie tylko terytorialną, ale także ideologiczną, gdyż jest rodzajem religii. Bez ekspansji umiera. Dlatego też ZSRS nie może sobie pozwolić na likwidację komunizmu w Polsce. Ponadto jakiegokolwiek istotne reformy i zmiany ustrojowe z sowieckiego punktu widzenia osłabiłyby

kontrolę ZSRS nad Polską — obszarem wypadowym na Zachód. Pełną kontrolę nad zapleczem frontowym, jakim jest nasz kraj, a więc także wykorzystanie jego możliwości w wypadku wojny, gwarantuje tylko bezwolna wobec Moskwy administracja komunistyczna. Obalenie komunizmu w Polsce będzie nie tylko naruszeniem ładu międzynarodowego, ale także początkiem rozpadu imperium sowieckiego. Czekają nas więc wojna z Rosją. Sami jej nie przeprowadzimy ani nie wygramy. Jeśli chcemy jednak wolności, demokracji, dobrobytu, wreszcie niepodległości, skazani jesteśmy na rozsadzanie obozu, musimy zatem prowadzić politykę w skali całego imperium sowieckiego, stać się najsłabszym ogniwem komunistycznego łańcucha, które pękając nie tylko go przerwie, ale również spowoduje pęknięcie pozostałych ogniw. Musimy stać się centralnym ośrodkiem walki z komunizmem i rosyjskim imperializmem.

X. „Perspektywa strajku generalnego, który jest nieuchronny według naszej oceny, nie przekreśla programu ewolucyjnej zmiany systemu, wskazuje tylko sposób załamania obecnej dyktatury i stworzenia warunków wyjścia na drogę demokratycznych reform.”

Zdania te są oczywistym dowodem, delikatnie mówiąc, braku wyobraźni członków TKK. Jakby ich nie czytać, widoczny jest w nich miraż Drugiego Sierpnia: napięcie, Stocznia, kwiaty na bramie, Lech. Zamiast Jagiel-skiego przyjeżdża Rakowski. Nadal napięcie, długie rokowania i wreszcie - hurra! Zwycięstwo! Dogadali się! Jak Polak z Polakiem! A jutro, już wyspani, rozpoczną realizację „programu ewolucyjnej zmiany systemu”, idąc „drogą demokratycznych reform”. Ludzie! Obudźcie się! W przeciwieństwie do Was, komuniści nauczyli się czegoś przez te dwa i pół roku. Wiedzą, że strajk generalny to dla nich początek walki na śmierć i życie: albo my - albo oni. Nie wolno mydlić sobie oczu. Sierpień już się nie powtórzy. Nie będzie nowych porozumień, gdyż ten rozdział historii jest już zamknięty. Jak można być aż tak naiwnym, by sądzić, że władza lub społeczeństwo dadzą się jeszcze raz nabrać na odnowę? Strajk generalny, jeśli się uda, przekreśli nie tylko „program ewolucyjnej zmiany systemu”, ale będzie elementem rewolucyjnej zmiany systemu — czyli jego obalenia. To jest owa pierwsza „demokratyczna reforma” do zrobienia.

Można pisać programy skierowane do rządzących i programy przeznaczone dla walczącego społeczeństwa. Pierwsze redagują ludzie przekonani o wszechmocy władzy, o tym, że żadne zmiany ustrojowe bez współpracy z władzą są niemożliwe do przeprowadzenia. Drugie piszą ludzie, którzy władzę chcą obalić. Nie można jednak pisać jednocześnie programu skierowanego do władzy i do społeczeństwa — pierwsza nie da się nabrać, a drugie nie będzie chciało walczyć. Trzeba się wreszcie zdecydować, do kogo chce się przemawiać.

Antoni Wichrzyciel
«Niepodległość» nr 16, kwiecień 1983, ss.3-6

Chorzy na komunizm

Stosunek polskich intelektualistów do komunizmu przypomina zachowanie porzuconego kochanka wobec swej byłej oblubienicy: miłość zmienia się w nienawiść, ale obiekt uczuć pozostaje punktem odniesienia.

Pismem intelektualistów jest miesięcznik „Vacat”. Nie ma on charakteru politycznego, gdyż nie przedstawia żadnego programu czy chociaż jednolitej linii. W tej zbierance tekstów wspólny jest jedynie stosunek do komunizmu, niechętny, czasami wręcz wrogi, a jednocześnie pełen kompleksów. Przyjrzyjmy się niektórym artykułom z numerów 8/9 i 10 z 1983 roku.

Numer 8/9 otwiera tekst „Dylematy elity władzy”. Już sam tytuł sugeruje włączenie się do dyskusji, jaka zapewne toczy się w aparacie władzy — co dalej? Jan Morawski nie zawodzi swych czytelników, dzieląc precyzyjnie i nowatorsko na trzy grupy: zwolenników reform politycznych, dogmatyków i tego trzeciego — Jaruzelskiego. Pierwsi — to „pragmatycy — pacyfikatorzy”, którzy „zdają sobie sprawę, że nie można postawić wyłącznie na ludzi skorumpowanych, skompromitowanych wieloletnim oportunizmem, czy wreszcie radykalnymi wyczynami w miesiącach stanu wojennego”. Owi pragmatycy chcą działać tak, „aby do nomenklaturowej sieci złowić trochę ryb o wyrazistej osobowości i mocnym kręgosłupie.” Wydaje się (według J.Morawskiego), że reformatorzy są licznie reprezentowani w KC i w komórkach terenowych, o czym świadczy fakt opisywany w artykule: „Członkowie KC nie mogli dłużej zastanawiać się nad dokumentem (mowa o raporcie Komisji Kubiaka — przyp. aut.), poinformować o jego treści organizacji podstawowych, czy choćby zachować dla siebie jednej kopii tego raportu. Po skończonych obradach wszyscy musieli oddać swoje egzemplarze funkcjonariuszom aparatu. Dlaczego tak postąpiono? Przede wszystkim dlatego, że kierownictwo PZPR nie ma najmniejszego zamiaru realizować sugestii dotyczących niezbędnych reform politycznych. Ponadto dlatego, że kierownictwo to nie ufa członkom KC, a przynajmniej sporej części z nich”.

Sprawa jest jasna. Członkowie KC to liberałowie, którzy chcą reform, chcieliby zapewne dyskutować o tym z organizacjami podstawowymi, również nastawionymi reformatorsko, tylko że bruździ im kierownictwo, wybrane zresztą w tajnych wyborach przez właśnie to KC. Owa wierchuszka w odróżnieniu od KC jest dogmatyczna. Nie bardzo wiadomo, czy Morawski ma tu na myśli Jaruzelskiego? Chyba jednak nie, gdyż jak pisze: „bardziej dogmatyczne i głębiej zakorzenione w stalinowskiej tradycji grupy w elicie władzy chciałyby w trakcie plenum KC PZPR poświęconego problemom ideologii (prawdopodobnie w październiku 83) wymusić na grupie Jaruzelskiego rozpoczęcie kampanii ideologicznej, narzucającej monopol urzędowego marksizmu-leninizmu we wszystkich debatach o podstawowych wartościach ideologicznych”. Odetchnęliśmy z ulgą - Jaruzelski nie jest dogmatykiem. Sytuacja jest tym lepsza, że „nie wydaje się prawdopodobne, by wyznawcy Kociołka czy Olszowskiego (nie mówiąc już o zbankrutowanym

Grabskim) mogli znacząco osłabić ugrupowanie „Jaruzelczyków”.

Stosunek generała do reform nie został do końca wyjaśniony. Już wyżej powiedziano, że kierownictwo partii (czyli Jaruzelski i s-ka) nie ma zamiaru reform przeprowadzać. Z drugiej jednak strony Morawski twierdzi, iż „inne ważne pytanie, na które w ciągu jesieni 1983 musi odpowiedzieć elita władzy, dotyczy reform politycznych”. Co to mają być za reformy -nie wiadomo, zwłaszcza, że elita władzy i tak nie ma zamiaru ich przeprowadzać. Być może Morawski sugeruje, że ważne jest samo pytanie o reformy, gdyż jak wiadomo prawidłowo postawione pytanie to połowa odpowiedzi. Autor daje zresztą wskazówkę, jakie reformy ma na myśli. Píše on bowiem: „Innym miernikiem intencji władzy w sprawie reform politycznych jest brak publicznej dyskusji na temat kierunków reformy ordynacji wyborczej do Sejmu i rad narodowych”. Autor pokłada wielkie nadzieje w wyborach według zreformowanej ordynacji, gdyż písze: „...jest to jeden z najpoważniejszych problemów spornych, który interesuje nie tylko zawodowy aparat władzy, ale także tysiące obywateli”. Wydaje nam się, iż autor zbyt pesymistycznie ocenił intencje elity władzy. Dyskusja nad ordynacją w końcu odbyła się i wybory według zreformowanych zasad zostaną przeprowadzone. Znaczy - reformiści zwyciężyli. Tysiące ludzi żywo interesujących się wyborami pójdą do urn. Znów odetchnęliśmy z ulgą. Od siebie tylko dodam, iż mam nadzieję, że miliony nie interesujące się wyborami kandydatów pronia do urn nie pójdą.

Mocnym punktem omawianego numeru „Vacatu” jest wywiad z towarzyszem Skrzypczakiem, byłym I sekretarzem w Poznaniu. Wywiad robiony jest w niezwykle oryginalny sposób, mianowicie pytający jest prawdopodobnie cudzoziemcem i to spotykającym się po raz pierwszy z systemem realnego socjalizmu. Patrzy więc oczami naiwnego dziecka na tak zwaną rzeczywistość i słuca opowiadania towarzysza sekretarza. Ten zaś ostatni mówi: „Okazało się jednak, że to kiepski kanon, bo w naszym systemie ważna jest dyspozycyjność wobec władz wyższych”. Na to nasz przybysz z obcych krajów (a może z innej planety) wzdycha: „To co mówisz jest straszne”. Nie ma się co chłopu dziwić — dowiaduje się przecież po raz pierwszy tej ścisłej tajemnicy kompartii. Towarzysz Skrzypczak jest skądinąd znanym liberałem, który za swoje poglądy nieraz cierpiał i ostatecznie został skazany na banicję i to do kraju dzikiego i niebezpiecznego — do Nigerii. Liberalizmowi towarzysz daje wyraz twierdząc: „Dyskusyjna jest dla mnie kwestia internowań na podstawie decyzji jednej osoby -komendanta milicji”. Niestety nie dowiadujemy się, decyzja ilu osób satysfakcjonowałyby towarzysza. A dalej: „Dyskusyjne jest zawieszenie związków i niezawieszenie partii, kierowanie partią w stanie wojennym według jakiejś nieznannej instrukcji. Dyskusyjna jest funkcja administracji państwowej, która się umacnia”.

No cóż, dla mnie nie są to sprawy dyskusyjne. Dobry towarzysz sekretarz został wyrzucony przez złych twardogłowych, ale tego dziś nie żałuje, bowiem mówi: „Bieg zdarzeń w kraju nie bardzo godzi się z moją koncepcją ratowania państwa i właściwie już parę miesięcy temu zastanawiałem się, jak długo jeszcze będę mógł firmować partię nie narażając się na utratę twarzy i własnego

poczucia odpowiedzialności. I czułem, że granica ta jest bliska". Przypomnijmy, że Skrzypczak został odwołany ze stanowiska pod koniec maja 1982 r. A wiec granica moralnej wrażliwości sekretarza--liberała nie została przekroczona ani 13 grudnia, ani 16 grudnia, po zamordowaniu górników „Wujka”, ani 1 i 3 maja 1982 r., po demonstracjach. Granica była blisko, ale jeszcze nie dość. Jasne, że dla nas Skrzypczak jest sympatyczniejszy od Grabskiego czy Barcikowskiego, wydaje się jednak, że intelektualiści „Yacatu” zbyt się wzruszyli ludzką twarzą sekretarza.

W numerze 10 swoje rozwiązanie polskich dylematów przedstawia Jerzy Surdykowski w artykule „Między porozumieniem a 'świętym przymierzem' ". Tekst autor posłał do „Polityki”, ale tam mu odrzucono, drukuje więc go „Vacat”, oczywiście bez zgody autora. Surdykowski to wybitny dziennikarz i w dodatku cwaniak jakich mało. Chce przechytrzyć czerwonych i na pewno mu się to uda. Przekonuje komunę, że ma receptę na jej bolączki. Jest nią sojusz z „lewicą niekomunistyczną” Ta ostatnia może zagwarantować spokój reżymowi, gdyż posiadać będzie poparcie większości społeczeństwa. Według Surdykowskiego „... społeczeństwo nasze jest dziś jak nigdy lewicowe, choć w przeważającej części niekomunistyczne. Lewica ta zaczyna się od rządzącej partii i poprzez różne kierunki niekomunistycznego socjalizmu ogarnia już niemarksistowskie, liberalne, czy raczej chrześcijańsko-liberalne centrum, które od tradycyjnej lewicy przyjęło dziś znaczną część jej sposobu myślenia, a nawet frazeologii”.

Ta lewica powinna zdaniem Surdykowskiego zorganizować się w stowarzyszenia o charakterze społeczno-politycznym (broń Boże nie w partię!). Miałyby ona stanowić element „wielkiego porozumienia” z komunistami i Kościołem. Otóż, Panie Surdykowski, nie wystarczy powiedzieć „ogromna większość społeczeństwa jest lewicowa” — trzeba to jeszcze udowodnić. Powinien Pan raczej napisać: ogromna większość intelektualistów rozwidzionych z PZPR jest lewicowa. Popełnia Pan typowy błąd ekstrapolacji poglądów swojego środowiska na całe społeczeństwo. Drugi Pana błąd polega na przekonaniu, że komuniści wzruszą się lewicową frazeologią i padną w ramiona lewicy niekomunistycznej. Czerwonym potrzebna jest władza, a nie idee. Co może obchodzić towarzyszy z Politbiura, że Pan jesteś lewicowiec. Partia komunistyczna nigdy w historii nie dzieliła się władzą na trwałe. Jeśli wchodziła w sojusze, to tylko taktyczne, by rychło zdradzić swych aliantów. „Istории nado uczitsa, uczitsa, uczitsa i jeszcze raz uczitsa” —jak powiedział Lenin.

Teksty „Vacatu” wskazują, że nurt, którego opinię wyraża to pismo, nie przekroczył jeszcze zaklętego kręgu komunizmu. Wciąż szamocą się w nim, pragnąc założyć mu maskę ludzkiej twarzy, lecz nie potrafią go po prostu przełamać. Postawa ta jest coraz bardziej anachroniczna. Z uwagi na rangę opiniotwórczą tego środowiska, jest ona szkodliwa dla przekształceń świadomości politycznej społeczeństwa.

Franciszek Sz.

Bez niedomówień

Od chwili powstania pismo nasze stara się wypracować i propagować koncepcje polityczne odnoszące się do bieżącej sytuacji w kraju a także przyszłych rozwiązań „polskiego pata”. Za duży sukces uważamy fakt, iż stajemy się coraz bardziej widoczni w kielkującym, niezależnym życiu politycznym, a nasze poglądy przestają być uważane za prowokacyjne, czy w najlepszym wypadku skrajnie nierealistyczne, przeciwnie zaś — idea niepodległości, którą od początku naszych działań uznaliśmy za cel nadrzędny, została zaakceptowana przez wielu naszych czytelników i działaczy politycznych. Nieskromnie napiszę o nas jeszcze jedną *rzecz*: można nam wiele zarzucić, lecz stały czytelnik musi przyznać, że zawsze rysowaliśmy nasz profil polityczny ostrą linią, przykładając dużą wagę do spójności i jednolitości prezentowanych poglądów.

Niestety, sztuka syntetycznego przedstawiania, czy może odczytywania linii politycznej, nie jest sprawą łatwą. Spotykamy się często z polemikami wobec „N”, zawierającymi naszą charakterystykę, mówiąc delikatnie, uproszczoną. Wynika to, pomijając tu i ówdzie złą wolę, czy też nie dość precyzyjne z naszej strony formułowanie myśli, z powierzchownej lektury tekstów, z przykładania nadmiernej wagi do symboliki (strona tytułowa) oraz z zamiłowania do szufladkowania kierunków politycznych według utartych schematów. Staramy się rozwijać naszą myśl polityczną, głosimy potrzebę kształtowania jej niezależnie od komunistycznych nawyków, lecz schematy zaszczerpione przez wychowanie w systemie sowieckim funkcjonują nadal. Najistotniejszym wydaje się niezrozumienie przez naszych adwersarzy stosunku „N” do „Solidarności” oraz kwestii radykalizmu politycznego.

Od początku nie ukrywaliśmy naszego krytycznego stosunku do „S”. Rzecz jasna wiązało się to z pewnym niepokojem moralnym, czy wypada atakować pokonanego, odbierać milionom członków i sympatyków byłego związku nadzieję, łamać mit o doskonałej organizacji podziemnych struktur „S”. W analizie politycznej tkwienie w kręgu mitów jest zabójcze. Polityk może manipulować mitem, lecz gdy jemu sam ulegnie, przestaje być politykiem. Z tego powodu moralne opory przed krytyką mitu Rzeczypospolitej Solidarnej musiały ustąpić. Fenomen „S” wynikał ze specyficznych okoliczności, które współgrały w lecie 1980 r. Tymczasem działacze podziemia uznają za zasadniczy cel powrót do stanu, który rozpadł się w sposób nieuchronny. Krytyka „S” uprawiana przez nasze pismo dotyczy przede wszystkim tego momentu. Parafrazując Heraklita moglibyśmy stwierdzić, że nie można wejść dwa razy do tej samej wody, a gdy ta woda jest wrzątkiem — to wręcz nie ma sensu.

Jeżeli powrót do stanu posierpniowego ma być podstawowym celem i jeśli pragniemy, by ów stan okazał się tym razem trwały, należy określić przynajmniej teoretyczne warunki stabilizacji hybrydy. Można tu pójść dwiema drogami: albo niestabilność wynikała z nadmiernej pozycji komunizmu, albo przeciwnie — zbyt dużą rolę odgrywał w hybrydzie ruch niezależny. Innymi słowy, nowa ugoda społeczna, reaktywując system sprzed stanu wojennego,

musi zostać zawarta na warunkach bardziej dogodnych dla „S” niż poprzednio, bądź bardziej korzystnych dla władz. Analiza warunków równowagi musi zatem stanowić punkt wyjścia dla wszelkich programów stawiających sobie za cel przywrócenia „S”. Niestety, programy owe analizy takiej nie posiadają. Tymczasem analiza warunków równowagi (między „S” i PZPR) doprowadziłaby do jednego wniosku: równowaga jest niemożliwa bez likwidacji tożsamości którejś ze stron, chyba że chodzić nam będzie o równowagę chwilową, lecz w takim razie nie może ona stanowić celu najważniejszego i ostatecznego. Jeżeli zwolennicy tzw. ugody społecznej są przeciwnego zdania, powinni zawrzeć w swych programach warunki równowagi, zamiast wyłącznie ograniczać się do haseł porozumienia i reaktywowania związku, a nas oskarżać o brak realizmu. Wtedy dopiero można by podjąć rzeczową dyskusję i ocenić co jest realizmem, co zaś utopią.

W konkluzji musimy stwierdzić, że jesteśmy przeciwni stawianiu za cel główny podziemnych działań przywrócenia „S”, nie dlatego, żeby obce nam były ideały wypisywane na sztandarach związku, lecz dlatego, że nie widzimy realnej szansy na harmonijne współzycie organizacji niezależnych z totalitaryzmem. Z tego względu odrzucamy hasło ugody społecznej, jako nierealistyczne i służące wyłącznie celom propagandowym. Czy wynika z tego, że jesteśmy radykałami? W niektórych niezależnych publikacjach nazywano nas wręcz zwolennikami koncepcji powstańczych. Nic bardziej fałszywego.

Jesteśmy przede wszystkim realistami, a możliwości wywołania, że już nie wspomnę o wygraniu, narodowego powstania są w tej chwili żadne. Dlaczego więc uważamy za celowe rzucać obecnie hasło niepodległości, nie zaś porozumienia narodowego, prowadzącego do reaktywowania stosunków sprzed 13 grudnia?

Niezależna myśl polityczna znajduje się w fazie początkowej. Podziemie ma w tej chwili bardzo ograniczoną możliwość wpływania na bieżące, codzienne sprawy ludzi. Podziemie polityczne spotyka się z sympatią, lecz nie może skutecznie kształtować ruchu masowego. Wezwania do działań symbolicznych, jak powstrzymanie się od zakupów, niekorzystania z komunikacji, noszenie emblematów itp., są ignorowane nawet przez sympatyków struktur podziemnych. Coraz mniej zwolenników ma też opór czynny: strajki, manifestacje. Ten czas pozorowanej apatii należy wykorzystać na kształtowanie świadomości zarówno samych działaczy politycznych, jak też ludzi niezaangażowanych. Tej rewolucji świadomościowej służy hasło niepodległości. Cel nie jest na dziś, nie jest też być może na jutro, lecz jego postawienie zmusza ludzi do odrzucenia mitów, w których wychował ich komunizm: mitu o mądrej grupie reformatorów, która walczy w partii z twardogłowymi, mitu o patriotycznych postawach oficerów i posłów na Sejm, mitu o sukcesie „reformy węgierskiej”, czy też o możliwości wprowadzenia „hiszpańskiej drogi” do demokracji.

Niepodległość jest celem strategicznym. W naszych artykułach akcentujemy ten właśnie cel, kosztem celów bieżących, taktycznych, mając na wadze przede wszystkim kształtowanie świadomości.

Jakie są konsekwencje stawiania za cel porozumienia narodowego i reaktywowania Związku? „Programy porozumienia” traktują je za cel sam w sobie, a więc za cel strategiczny. Tymczasem, jak już była o tym mowa w pierwszej części artykułu, trwałe porozumienie jest niemożliwe. Można sobie wyobrazić co najwyżej porozumienie chwilowe. Nie może ono jednak być celem strategicznym, lecz wyłącznie taktycznym. Celu strategicznego powyższe programy nie zawierają, z tego też względu pozbawione są podstaw, fundamentu. Wprowadzają także w błąd odbiorców, twierdząc, że możliwy jest powrót do stosunków sprzed 13 grudnia. Nie niosą one z sobą rewolucji świadomościowej, przeciwnie, petryfikują świadomość na poziomie Sierpnia 80, podczas gdy obecne warunki są zupełnie odmienne. Utwierdzają też błędną logikę, opartą na aksjomacie przyjętym bez dowodu, iż minimalne zmiany są bardziej realne niż większe, a więc minimalizm jest realizmem. Logika ta poniosła porażkę w 1956 r., w latach 70-tych, po Sierpniu, lecz tzw. „umiarkowani politycy” z uporem twierdzą, że socjalizm trzeba zreformować, wytłumaczyć tym na górze, że jest to niezbędne dla dobra narodu. Przyjęcie naszej polityki: Polska nie jest niepodległa, rząd nie działa w imieniu narodu, ale realizuje politykę swoich mocodawców, pozwala natomiast uniknąć manowców politycznej logiki „umiarkowanych”.

Kompromisu z komunizmem nie odrzucamy z przyczyn doktrynalnych. Przeciwnie, możemy sobie wyobrazić sytuację, w której kompromis z komunizmem mógłby stworzyć nową, lepszą sytuację. Taką możliwość należy rozważyć w odpowiedniej chwili. Kompromis taki nie będzie jednak nigdy trwały, nie może więc stanowić celu samego w sobie, lecz tylko cel taktyczny. Nie jest zresztą w każdej sytuacji wartym postawienia. „Porozumienie narodowe” mogłoby stać się możliwe tylko w momencie poważnych kłopotów obecnego systemu władzy. Być może warto wtedy zawrzeć kompromis z którąś częścią systemu komunistycznego, aby poprawić swoje położenie, lecz stawianie tego za główny cel działań politycznych jest bezsens. Nawet w chwili obecnej, w sensie taktycznym, jest to błędne, gdyż pozycja podziemnych struktur „S” jest na tyle słaba, iż komuniści żadnych, nawet drobnych gestów w jej stronę czynić nie muszą. Niestety, od 13 grudnia uległa ona zdecydowanemu pogorszeniu i poprawić mogą ją jedynie spektakularne zwycięstwa. Jak wiadomo, nie można wygrać wojny przegrywając wszystkie bitwy. Wysunięcie haseł porozumienia z komunistami i w efekcie odtworzenie „S” w momencie takiego upadku znaczenia jeszcze bardziej pogarsza położenie struktur podziemnych, a jednocześnie zawęża horyzont myślenia politycznego działaczy i sympatyków ruchów niezależnych. Sprawa polska nie została zamknięta 13 grudnia. Okres od Sierpnia do Grudnia historia oceni jako ciekawy eksperyment. Nie może on jednak zawężać politycznego myślenia tylko do ciemnego tunelu, na końcu którego jest wymarzona, wyidealizowana „Solidarność”.

Franciszek Sz.

«Niepodległość» nr 21-22, wrzesień-październik 1983, ss.4-5

Przesilenie majowe (fragment)

Jaki jest obecnie program Wałęsy i Bujaka?

Po 13 grudnia solidarnościowcy zażądali odwieszenia „S” i przywrócenia sytuacji z okresu odnowy. Twierdziliśmy wówczas, że taki program jest nierealny i w rzeczywistości będzie oznaczał kapitulację. Później mogliśmy przeczytać, że TKK żąda powtórnej legalizacji, a będzie się stosować do komunistycznych ustaw. Teraz zaś tekst „Apelu” Wałęsy stwierdza, że zła jest realizacja ustawy z 8 października, nie zaś sama ustawa delegalizująca „S”, gdyż gwarantuje ona pluralizm związkowy, tzn. pluralizm nowych związków. Zb. Bujak, pytany o termin ewentualnego ujawnienia, odpowiada: „Kiedy zezwolą na rejestrację innych związków zawodowych w zakładach. Pluralizm związkowy jest podstawowym celem „S”, nawet w podziemiu. Kiedy więc będzie możliwy, trzeba się będzie zastanowić, czy nie czas, żeby zakończyć etap działalności podziemnej”. Chodzi więc nie o „S”, ale o nowe związki, w których Bujak i Wałęsa będą mogli działać na warunkach komunistów, tj. w oparciu o ustawę z 8 października. Jest zatem cała wstecz czy nie?!

Niepojęta to sytuacja, w której przywódca, jak sam twierdzi, potężnej podziemnej organizacji oświadcza, iż walczy ona o możliwość działania w oparciu o ustawę delegalizującą właśnie tę organizację. I jeszcze jedno: sięgnij Czytelniku do starych „TM”-ów, a przeczytasz, że „S” mieli prawo rozwiązać tylko jej członkowie.

Jaki zatem sens miała deklaracja „Solidarność Dziś”? Krytykowaliśmy ją za wewnętrzne sprzeczności, wynikające z niewyrzeczenia się skrytych marzeń o kompromisie z komunistami. Wiele osób wskazywało, że jest to krok do przodu, poczyniony m.in. pod wpływem naszej krytyki, że teraz dopiero TKK pokaże co potrafi. No i Bujak pokazał!

Opublikowanie Deklaracji było jedynie manewrem, zastosowanym aby uspokoić krytyków i postraszyć władze: bójcie się nas, bo my już mamy program, możemy zacząć go realizować, więc zaproście nas do stołu!

Kiedyś „S” straszyla komunistów strajkiem generalnym, później deklaracjami, czym będzie ich straszyc za 2-3 miesiące. Może racjami moralnymi albo piekłem?

Solidarnościowcy nie podjęli wyzwania rzuconego przez komunistów, nie zanegowali prawomocności ich władzy, nawet po 13 grudnia, musieli więc skończyć jako kapitulanci.

Maj przyniósł przesilenie. Po raz kolejny okazało się, że opozycja solidarnościowa, bez względu na formę w której występuje („TM” czy „KOS”), jest niezdolna do podjęcia walki z komunizmem. Włączono całą wstecz zarówno na płaszczyźnie walki o niezależną świadomość polityczną społeczeństwa, jak i na polu konfrontacji z komunistami. Nie zerwano bowiem z płaszczyzną walki oferowaną przez władze. Zmarnowano półtora roku konspiracji na działania pozorowane, po to by po chwilowym i koniunkturalnym wahaniu (deklaracja

„Solidarność Dziś”) powrócić do nich pod naciskiem sił tak różnych, jak Kościół i reżym.

Przywódcy „S” tak przyzwyczaili się w okresie odnowy do zasiadania i rozmawiania z okupantem, że zatracili umiejętność zwracania się do społeczeństwa. Każde ich oświadczenie i deklaracja jest w rzeczywistości skierowana do władz.

Najbliższe miesiące przyniosą odpowiedź na najważniejszy problem polskiej konspiracji: czy najzdolniejsze i najbardziej świadome jednostki zaczną przechodzić ze starych struktur związkowych do nowych — politycznych; czy konspiracja zerwie pępowinę łączącą ją z komunizmem i nabierze charakteru niepodległościowego?

Antoni Wichrzyciel

«Niepodległość» nr 18-19, czerwiec-lipiec 1983, ss.4-5

M. Poleskiego myśli o programie i organizacji

Odzyskanie niepodległości w wyniku obalenia ustroju komunistycznego w Polsce i wspólnej z innymi narodami Europy Wschodniej likwidacji imperium sowieckiego, oraz budowa solidarności mieszkańców wszystkich baraków obozu i wypracowanie już dziś przyszłego porządku europejskiego są celami M.Poleskiego i „N”. To nas łączy i odróżnia od kard. Glempa, działaczy katolickich, Wałęsy, TKK, RKW, „M” i Bujaka oraz koncepcji „KOS-a”, obliczonej na odzyskanie niepodległości już za niecałe tysiąc lat. Wśród trwającego od półtora roku zalewu solidarnościowych pisemek na temat „przybliżania warunków ugody” („TW”) i wynikającej ze zrozumienia realiów miłości do ZSRS (A.Michnik), głos Poleskiego korzystnie wyróżnia się. Między nami pozostają jednak dwie zasadnicze różnice:

- koncepcja roli programów politycznych,
- koncepcja podziemnego systemu politycznego.

Podkreślmy, że różnice dotyczą nie haseł, lecz koncepcji.

I. Program. „Niepodległa i demokratyczna Polska jest tą wizją ekstremy „S”, którą podziela większość społeczeństwa.”

Wmawianiem społeczeństwu na siłę, że posiada świadomość polityczną, nie osiągniemy jego szybszego upolitycznienia, a jedynie sami pograżymy się w świat opozycyjnej nierzeczywistości. Większość społeczeństwa bowiem w okresie odnowy miała co najwyżej wizję szczęśliwego pożycia z komunizmem. Gdyby myślano o niepodległości i demokracji, to 13 grudnia nie stanowiłby dla owej większości szoku, lecz sygnał do walki.

Aby podjąć próbę zmiany rzeczywistości, najpierw trzeba ją opisać. A prawda jest taka, iż większość społeczeństwa nie ma żadnych poglądów politycznych, tym bardziej zaś wizji; jej to wszystko obecnie nie interesuje: „teraz trzeba myśleć o sobie, bo wsadzają”.

Odpolitycznienie społeczeństwa przez komunistów spowodowało, że utraciło ono (jeśli kiedykolwiek posiadało) wrażliwość na koncepcje polityczne.

Jest natomiast bardzo podatne na hasła i symbole, w których szuka recepty na własną słabość. I znajduje ją m. in. w haśle: chcemy programu. Ale programu-recepty, a nie wyczerpującej koncepcji politycznej. Poleski, słusznie oburzony wysuwaniem żądania programu-recepty, który rozwiąże wszystkie problemy i sprawy tak, iż już jutro, jak za. dotknięciem czarodziejskiej różdżki, obudzimy się w wolnej Polsce, bez specjalnego wysiłku z naszej strony i oczywiście bez ponoszenia ofiar, popada jednak w drugą skrajność — zamiast programu rzuca hasła (Solidarność, Niepodległość) i usiłuje wykorzystać mity (symbol „S”), które zresztą lepiej przemawiają do wyobraźni mas niż jakaś tam koncepcja. Nam natomiast same hasła nie wystarczają. Chcemy nawet nie programu, lecz programów (l.mn.), gdyż uważamy, że w Polsce należy stworzyć nową tradycję polityczną, tj. normalne życie polityczne, którego brakuje już drugiemu pokoleniu. Dlatego tak dużą wagę przywiązujemy do politycznych polemik i programów, ale wyznaczamy im odmienną rolę od przyjętej powszechnie. W naszym ujęciu program ma pełnić rolę nie tyle operacyjną (w roku 1983 zakładamy partię, w 1984 nawiązujemy kontakty z Reaganem), co świadomościową. Społeczeństwo bowiem, nie tylko po Sierpniu ale także nadal, pozostaje nieświadome swych celów politycznych.

Być może obalenie komunizmu przy pomocy chwytliwych haseł jest nawet łatwiejsze, ale powstaje wówczas problem - co po komunizmie? Co robić ze społeczeństwem i co zrobi same społeczeństwo, które już nie żyje w komunizmie, ale w dalszym ciągu myśli posługując się komunistycznymi schematami i starym systemem wartości, gdyż wcześniej jego przywódcy zrezygnowali z planowego zwalczania bolszewizacji świadomości, by łatwiej kierować masami w walce z ustrojem.

Przykładu dostarcza sama Rosja. Bolszewicy łatwo zdobyli władzę posługując się wyłącznie hasłami, nawet nie swymi. Odpowiadały one prymitywnym masom, które z braku politycznego wyrobienia początkowo poparły Lenina, a później nie potrafiły mu się przeciwstawić. Co będzie? Na to łatwo odpowiedzieć: zawisniemy z M.Poleskim na jednej gałęzi, choć my wcześniej, gdyż nie jesteśmy z „Solidarności”.

Nasz cel jest jasny — nie chcemy tylko niepodległości, ale także budowy sprawnego systemu demokracji parlamentarnej. Jej fundament trzeba tworzyć już dziś, na początek w ludzkiej świadomości, stąd potrzeba programów.

Poleski słusznie krytykuje rozumowanie: dajcie nam program, a my już go zrealizujemy. Taka postawa najczęściej bowiem wynika z braku odwagi do podjęcia działalności lub braku wytrwałości, do czego ludzie boją się przed sobą przyznać. Kto chce działać, będzie działał z programem lub bez. Ale aby działać sensownie, trzeba mieć koncepcję. Trzeba rozumieć, dlaczego należy postępować tak lub inaczej, żeby zachować konsekwencję i wierność przyjętym wartościom. Przecież chodzi nam o wychowanie przyszłych kadr politycznych i państwowych dla niepodległej Polski.

Ani dla ludzi podziemia, ani dla rozpoczynających knucie nie jest sprawą obojętną, czy dana osoba działać będzie w organizacji niepodległościowej, czy też w „TW” będzie „przybliżała warunki ugody”, czy będzie drukowała i

kolpotrowała program likwidacji komunizmu w bloku ze Związkiem Sowieckim na czele, czy też kolejną 495 wersję warunków porozumienia i szczęśliwego pożycia z Czerwonym.

Knujący musi mieć argumenty i pewną wizję rozwoju wypadków oraz własnego zachowania, by mógł sam działać i przekonywać innych. Nie sama aktywność więc, ale działanie z określonym programem jest naszym celem.

Poleski twierdzi, że wizję programu już mamy, natomiast brak nam organizacji (l.poj.) zdolnej do realizacji celów politycznych. Oczywiście jest, że brak nam organizacji (l.mn.), ale czy mamy wizję i program? Naszym zdaniem nie! Na polu programowo-świadomościowym braki są jeszcze większe niż na organizacyjnym. Naszym zdaniem ogromna większość grup konspiracyjnych, a więc elity politycznej społeczeństwa, nie posiada ani wizji, ani programu, o czym świadczy poruszanie się wyłącznie między pojęciami: kompromis — ugoda — porozumienie, i nieustannie traktuje komunistów jako władzę wprawdzie złą, ale własną, nie okupacyjną (np. te tony listów do Sejmu).

Poleski wymienia przykładowo szereg działań do podjęcia już na dziś: organizacja sieci łączności, mały sabotaż, koła samokształceniowe, biblioteki, komórki wywiadu, dywersja psychologiczna, pomoc opozycji w wojsku i milicji, przygotowanie się do akcji czynnej samoobrony zakładów pracy, szkolenie kadr zawodowych konspiratorów, prowadzenie aktualnej polityki niepodległościowej wobec krajów ościennych i wrogów naszych wrogów, itp. Czy zostaną one podjęte? Zdaniem Poleskiego odpowiedź tkwi w sferze organizacji. Innymi słowy, jeśli się zorganizujemy w wystarczającym stopniu, podejmiemy je. Jest to jednak półprawda. Tu nie wystarczy być zorganizowanym; aby tak się stało, określona koncepcja walki z komunizmem musi wyprzeć wszystkie dotychczasowe kalkulacje ugodowe. Kto chce kompromisu, nie będzie organizował sabotażu. Kto chce dogadywać się z Rosją Sowiecką, nie będzie czynnie popierał opozycji w demolu-dach. Kto uważa PRL za państwo polskie, nie będzie prowadził polityki niepodległościowej na forum międzynarodowym (przykładem BK „S”) itd., itp. Potrzebny jest bodziec psychologiczny i intelektualny do zerwania z dotychczasową platformą walki i podjęcia określonych działań organizacyjnych.

Komisja Krajowa, a ściślej Wałęsa, dysponowała w marcu 1981 roku organizacją, a mimo to zrezygnowała z przeprowadzenia strajku. Przecież nie przeszkodził temu brak przygotowań organizacyjnych, ale niedostatek, a raczej fałszywa świadomość polityczna przywódców, doradców i części mas członkowskich. Dać organizację w ręce takich ludzi — to znaczy zmarnować ją.

Poleski pisze: „Szansy wybicia się na niepodległość nie da kunktatorstwo, poszukiwanie kompromisu w rokowaniach, próby ugody społecznej z komunizmem. Tak jak w powstaniu listopadowym, szansę daje tylko wojna przewencyjna,” a dalej, że komunistom „nie można przeciwstawić pozytywistycznej koncepcji lat 76-80”. Zgoda. Od półtora roku głosimy to sa-

mo. Ale nie wystarczy powiedzieć, że jest się przeciw koncepcjom ugodowym, trzeba jeszcze wskazać, jakie to są koncepcje i kto je wysuwa. Operacja ta, politycznie niewygodna, jest jednak konieczna ze względu na od-politycznienie społeczeństwa. Poleski nie dokonuje jej jednak.

Istnienie jednego programu politycznego dla całej opozycji, nawet jedynie dla jej nurtu niepodległościowego, jest niemożliwe. Programów bowiem jest tyle, ile ideologii żywych w danej społeczności. Wspólne dla opozycji niepodległościowej mogą być tylko niektóre hasła. M.Poleski zdaje się to intuicyjnie wyczuwać i dlatego postulat programów politycznych redukuje do jednego programu, a ten z kolei do kilku haseł. Świadomie czy nie, musi to uczynić, skoro z przyczyn taktyki bieżącej (nie długofalowej) opowiada się za istnieniem jednej organizacji niepodległościowej.

II. Organizacja.

Poleski rozumie, że „S” nie jest zdolna w obecnej postaci do realizacji celów politycznych (zgoda), skoro pisze: „Musimy zbudować organizację odpowiadającą naszym celom”. My byśmy powiedzieli, że musimy stworzyć organizacje (l.mn.) odpowiadające naszym programom i współdziałać w realizacji tych celów, które są wspólne.

Zdaniem Poleskiego brak kadr jest też główną przesłanką postulatu stworzenia jednej organizacji i przypisywania koncepcjom „N” charakteru marzycielskich rojeń. Zgadza się, że trzeba „wyłonić w działaniu kadrę polityków”, ale mogą tego dokonać tylko zespoły, które łączy coś więcej niż dwa hasła, nawet jeśli są nimi: Solidarność i Niepodległość. Jeżeli zaś ma je (tj. owe zespoły) łączyć coś więcej: idea — wizja Polski — program, to musi ich być tyle, ile społecznie nośnych idei.

Dalej Poleski pisze: „Jeśli 'S' ma przetrwać... przekształcamy ją w kadrową organizację niepodległościową”. Ale taka kadrowa organizacja, która w nazwie ma „Solidarność”, już istnieje. Jest nią „Solidarność Walcząca”. Dlaczego zatem Poleski do niej nie wstąpił? Istnieją dwie odpowiedzi: albo Poleski chce mieć własną organizację o nazwie „Solidarność”, albo uważa, że trzeba przekształcić wszystkie organizacje postsolidarnościowe, w tym TKK, w jedną niepodległościową i nazwać ją „Solidarność”, co może mieć miejsce tylko za zgodą m. in. oficjalnych grup kierowniczych: TKK, RKW, RKK i innych. Władze te mają jednak poglądy całkowicie rozbieżne z postulatami Poleskiego. Przykładowo, Zb. Bujak chwalił się w „TM” nr 53, że RKW obroniła się skutecznie przed próbami centralizacji i hierarchizacji, a więc przed tworzeniem organizacji. Zastanówmy się jednak, czy możliwe jest w ogóle istnienie jednej organizacji politycznej. Zaznaczmy od razu, że organizacje społeczne nie realizują celów politycznych, dlatego też potrzebne są organizacje polityczne, czyli partie.

W każdym społeczeństwie istnieją zawsze sprzeczności interesów, a zatem i będące ich wyrazem różnice polityczne. Naszym zdaniem, zamiast udawać, że sprzeczności interesów nie ma, należy dać im programowy i organizacyjny wyraz, tj. ustrukturalizować je. Nazwanie rzeczy po

imieniupozwoli przewyciężyć różnice, tzn. nie rezygnując z nich współpracować przy osiąganiu celów, które są wspólne (stąd pomysł przekształcenia „S” w konfederację). W przeciwnym razie zakłamujemy rzeczywistość, a tłumione różnice polityczne, tj. różnice interesów, dają o sobie znać pod postacią rozgrywek personalnych, pomówień i oszczerstw. Działo się tak za czasów „S” (por. sytuację w KOR-ze, a później w warszawskim MKZ-ecie) i działać tak będzie zawsze, dopóki obowiązywać będzie dogmat jedności politycznej i organizacyjnej. „Solidarne społeczeństwo jest mitem. Jest mitem pięknym i dlatego go żał, lecz każdy mit zakłamuje rzeczywistość. Dostrzegamy siłę mitu, wiemy, że może być ona wykorzystana w różnych kierunkach, lecz musimy pamiętać, że jest to tylko mit, który nie może zastąpić działań czy programów konkretnych. Co więcej, mit może być szkodliwy dla sprawy, gdy przez swe intensywne oddziaływanie uniemożliwia konkretną działalność, stanowi za to szerokie pole do popisu dla akcji pozorowanych. Tak się powoli staje z mitem o „S”. Dostrzegamy jego wagę dla milionów członków, jego niemalże sakralny charakter, jesteśmy więc jak najdalsi od lekceważenia „S”. Boimy się jednak, że kultywowanie mitu zaszkodzi działaniom” („N” nr 8/9, s. 31). Nasze obawy sprzed roku niestety ziściły się. Symbol „S” i działania symboliczne „S” (ostatnio wezwania do dwugodzinnego bojkotu komunikacji 31 sierpnia) przeszkadzają rozwojowi życia politycznego. M.Poleski usiłuje obejść tę trudność rezygnując z rozwijania życia politycznego w ogóle, aż do czasów wolnej Polski. (...)

Antoni Wichrzyciel

«Niepodległość» nr 18-19, czerwiec-lipiec 1983, ss.5-7; nr 20, sierpień 1983, ss.1-4

Krajobraz polityczny '83

(...) Strukturalny antykomunizm

Ogromna większość społeczeństwa polskiego przyjęła nowy ustrój społeczny wrogo lub co najmniej niechętnie. Z tą tezą zgadza się większość historyków, także partyjnych. Przyczyny antykomunizmu były dosyć oczywiste : nowy system nie gwarantował niezawisłości narodu i państwa. Nie spełniał też aspiracji politycznych, zwłaszcza przywiązanej do pluralizmu inteligencji. Najostrzej przeciwstawiali się mu chłopci. Wojna domowa lat 1944-48 miała wszelkie cechy wojny chłopskiej. Pamiętać musimy, że ludność wiejska stanowiła większość społeczeństwa u zarania PRL. Innymi, ważnymi w końcu przyczynami antykomunizmu były: specyficzny polski katolicyzm i klerykalizm oraz resentymenty antyrosyjskie, a więc antysowieckie. Ta zbitka racjonalnych pobudek dała w konsekwencji trwałe dla polskiego pejzażu politycznego zjawisko „strukturalnego anty komunizmu”. Strukturalnego, a więc niekoniunkturalnego, nie przemijającego, zakorzenionego w świadomości

wszystkich warstw. Ów strukturalny antykomunizm ulegał rzecz jasna ewolucji w ciągu blisko 40-letniej historii komunistycznej Polski, nigdy jednak nie przestał istnieć jako ważne zjawisko świadomości politycznej Polaków. Charakterystycznymi jego cechami są:

— Irracjonalny charakter zjawiska. Nie znaczy to, że nie ma rzeczywistych powodów niechęci społeczeństwa do komunizmu, lecz że przyczyny realne są słabo uświadomione. Antykomunizm leży przede wszystkim w sferze podświadomości. Zjawisko to obejmuje swym zasięgiem także część aparatu partyjnego, a z pewnością znaczną część szeregowych członków PZPR, co wyraża się m. in. w dystansowaniu się części aparatu i członków partii od decyzji Centrum, w swoistej dychotomii: my, społeczeństwo — oni, władza; znajduje też wyraz w *Schadenfreude* odczuwanej przez większość społeczeństwa, także członków PZPR, w momentach kryzysu władzy.

— Antysowietyzm i korespondujący z tym nacjonalizm i antysemityzm. Tradycyjny polski antysemityzm został w latach 50-tych wzmocniony i zintegrowany z antykomunizmem. Powodem był stosunkowo wysoki udział Żydów w komunistycznych władzach lat 50-tych, szczególnie na stanowiskach „społecznie widocznych” — w propagandzie i bezpieczeństwie. Antysowietyzm jest często widoczny w aparacie władzy, wśród funkcjonariuszy partyjnych, w wojsku, a nawet w policji. Przypomnijmy choćby znane wystąpienie Rajskiego, tłumaczące upadek polskiej gospodarki dominacją sowiecką.¹ Było ono kolportowane kanałami partyjnymi.

— Mała zdolność do przejawiania się antykomunizmu w działaniach politycznych. Niechęć do władzy, choć jest zjawiskiem trwałym, manifestuje się przede wszystkim w poglądach prywatnych, nie przeszkadza też współpracować z władzami komunistycznymi, ani nawet uczestniczyć w nich. Strukturalny antykomunizm eksploduje działaniami zbiorowymi w momentach kryzysów władzy. Przyjrzyjmy się dwu przykładom.

W roku 1956 Władysław Gomułka uzyskał poparcie społeczne przekraczające znaczenie, które staje się udziałem popularnych polityków w krajach demokratycznych. Poparcie to nie wynikało ani z jego osobowości, ani z talentów mówcy, mniej niż przeciętnych, ani też z atrakcyjnego programu, którego nie posiadał. Chwilowy entuzjazm dla tego przywódcy komunistycznego wynikał natomiast z faktu, że wyszedł on z więzienia otoczony mitem ofiary systemu, tj. jego przeciwnika. Jesień 1956 dowodzi nie tylko antykomunizmu zakorzenionego w mentalności Polaków, ale wykazuje także, do jakiego stopnia resentment ten jest naiwny politycznie.

Drugi wybuch jawnego antykomunizmu przypada na okres po Sierpniu. Ludzie wstępujący do „S” szukali w niej nie tylko związku zawodowego,

¹ Rumunia nie daje się wykorzystywać tak jak Polska, a mimo to jej gospodarka znajduje się w jeszcze większych tarapatach; przyczyną upadku jest system komunistyczny, świadczenia na rzecz ZSRS są zaś jedynie jego skutkiem ubocznym.

lecz przede wszystkim organizacji antykomunistycznej. 10 milionów członków (minus kilkadziesiąt tysięcy różnego rodzaju agentów) to ponad 80% czynnych zawodowo poza rolnictwem. Do tego dodać należy kilka procent ludzi, którzy pozostali poza „S” z powodów osobistych, często dlatego, że byli skłócenii z tworzącymi nowy związek. W sumie ponad 90% dorosłych obywateli wykazało resentymenty antykomunistyczne.

Pojawia się w tym miejscu nieporozumienie, wynikające z fascynacji imponującą liczbą przeciwników systemu. Antykomunizm może bowiem chwilowo *złączyć* w jednej organizacji znaczną większość społeczeństwa, lecz organizacja ta nie będzie zdolna do efektywnego działania. W kraju demokratycznym nie istnieją nigdy organizacje polityczne posiadające poparcie takiej większości. Wynika to z pluralizmu poglądów i prawa wielkich liczb. Organizacja tak liczna jak „S” musiała być słaba organizacyjnie; jej członków łączył wprawdzie strukturalny antykomunizm, lecz jak już wykazywaliśmy nie jest on zdolny do tworzenia silnych i jednolitych instytucji politycznych.

Dwa wymienione przykłady pozwalają uogólnić warunki, w jakich manifestuje się antykomunizm w działaniach zbiorowych:

— kryzys władzy połączony z silnymi walkami frakcyjnymi wewnątrz aparatu;

— możliwość manifestowania swych poglądów w sposób bezpieczny i legalny z punktu widzenia władzy. Ta druga cecha wyjaśnia poparcie antykomunistycznej większości dla przywódcy komunistycznego z roku 1956, a także względną popularność „patrioty” Jaruzelskiego przed grudniem 1981 r., którą potwierdzały ówczesne ankiety OBS.

Jeśli resentment antykomunistyczny nie stwarza efektywnych form organizacyjnych, nie oznacza to, że jest bez znaczenia w rozważaniach politycznych wyborów społeczeństwa polskiego. Rozumieli to zwykle politycy komunistyczni. W wielu wspomnieniach o Gomułce osoby z jego najbliższego otoczenia przytaczały fakty, z których wynikało, że polityk ten nigdy nie miał złudzeń co do antykomunistycznego nastawienia społeczeństwa polskiego. Stanowiło to jeden z głównych motywów jego działania. Gomułka sądził, że najmniejsze eksperymenty z pluralizmem politycznym muszą skończyć się dla władzy katastrofą, był też gorliwym zwolennikiem interwencji sowieckiej w Polsce po Sierpniu. Oczywiście nie miało to już żadnego znaczenia politycznego.

Strukturalny antykomunizm społeczeństwa polskiego sprawia, że komuniści mają ograniczone pole manewru; nie mogą oprzeć się w rządzeniu na znaczniejszej grupie społecznej i są spychani na pozycje „przeciw społeczeństwu”. Podstawową strategią ich działania w tej sytuacji jest przeciwdziałanie polaryzacji władza — społeczeństwo. Strategii tej podporządkowane były zawsze odpowiednie metody socjotechniki:

1. Awans społeczny dużych grup, przede wszystkim ludności wiejskiej, związany z industrializacją i urbanizacją.
2. Stworzenie przez komunistów własnej elity intelektualnej.
3. Wpojenie przy pomocy propagandy i systemu szkolnego niektórych

idei komunistycznych nie objętych antykomunistycznym resentymentem.

Przyspieszony awans dokonywał się zwłaszcza w latach 50-tych. Rozwój przemysłu startującego z bardzo niskiego poziomu pozwolił wchłonąć do miast miliony młodych ludzi, którzy to przesunięcie odbierali jako awans. Przy tej okazji zniszczone zostały tradycyjne struktury wiejskie, zdecydowanie niechętnie komunizmowi i posiadające doświadczenie organizacyjne. Towarzyszył temu wzrost administracji, wciągano więc tysiące ludzi w orbitę sprawowania władzy. Szczególnie istotny wydaje się w owym procesie awans młodych ludzi uzyskiwany dzięki wykształceniu, a więc w sposób społecznie zdrowy. Dostęp do wykształcenia stał się w po-równaniu z okresem przedwojennym znacznie łatwiejszy, ci zaś którzy osiągnęli awans, zawdzięczali go nowemu systemowi. Sprawą niebagatelną jest również indoktrynacja ideologiczna towarzysząca kształceniu się i padająca na podatny grunt. Możliwości awansów tego typu skończyły się w połowie lat 60-tych; nastąpiło zahamowanie ruchliwości społecznej, zablokowane zostały ścieżki awansu uzyskiwane dzięki wykształceniu. Do tego czasu mechanizm kształcenia i awansu działał na korzyść władz, nie dopuszczał bowiem do stresów społecznych oraz integrował awansowane grupy wokół władzy. W połowie lat 60-tych sytuacja uległa jednak zmianie, komuniści zaś bądź tego nie dostrzegli, bądź nie potrafili odpowiednio zareagować. Prawidłową reakcją w takim momencie powinno być przyspieszenie awansów poziomych — wzrost dobrobytu i osiąganie satysfakcji zawodowej bez zmiany pozycji społecznej. Na przeszkodzie stanęła niesprawna gospodarka, nie mogąca zapewnić wystarczającego poziomu stopy życiowej. Od połowy lat 60-tych mamy do czynienia z sytuacją permanentnego kryzysu społecznego i politycznego w Polsce. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że właśnie początkowe sukcesy przyciągania do siebie grup społecznych stały się przyczyną późniejszej klęski. Przyspieszony awans z lat 50-tych stanowił bowiem jaskrawy kontrast w stosunku do niemożności, w której zakłęty krąg wpadliśmy u schyłku lat 60-tych.

W miejsce przyspieszonego awansu pionowego bądź poziomego władze zastosowały taktykę kupowania grup strategicznych. Stosował ją przez 10 lat Gierek i jego ostateczna klęska wykazała ograniczoną przydatność tej taktyki. Polega ona na dzieleniu szczupłych dóbr materialnych według hierarchii ważności poszczególnych grup, wyznaczonej przez możliwości ich efektywnego protestu. Słabość tej taktyki polega na tym, że nawet niewielkie pogorszenie sytuacji materialnej grup strategicznych jest przyjmowane przez nie protestem.

W momencie uchwycenia władzy komuniści niemal nie posiadali własnej elity intelektualnej. Jej stworzenie było ważnym działaniem, zgodnym z ogólną strategią przeciwstawiania się strukturalnemu antykomunizmowi. Do połowy lat 50-tych działania te uwieńczone były całkowitym sukcesem. Autentyczna elita, przede wszystkim zaś pisarze, cieszący się w Polsce tradycyjnym prestiżem, masowo poparli władzę. Historia ta była wielokrotnie opisywana i analizowana, począwszy od *Zniewolonego umysłu* Miłosza, a skończywszy na

felietonach i artykułach zarzucających pisarzom niewdzięczność i publikowanych po wprowadzeniu stanu wojennego. Nie ma więc potrzeby bliżej do tego powracać. Znany jest też epilog miodowych miesięcy pożycia intelektualistów z władzami. Komunizm nie okazał się dostatecznie atrakcyjnym systemem dla ludzi, którzy z racji swej profesji przywiązani są do pluralizmu bardziej niż ktokolwiek inny. W roku 1956 zaczął się odwrót intelektualistów od komunizmu. Od tego momentu, a zwłaszcza po 1968 roku, elita intelektualna współpracująca z komunistami podlega doborowi negatywnemu. Większość jest nastawiona zdecydowanie antykomunistycznie. Prorządowi intelektualiści mieli pełnić funkcję zmniejszania przepaści między władzą a społeczeństwem. Taktyka ta poniosła klęskę, ponieważ intelektualiści są zdecydowanie wrogami władzy i pogłębiają tę przepaść.

Strukturalny antykomunizm jest przede wszystkim resentymentem, zawiera pierwiastki irracjonalne. Może on doskonale współżyć z wieloma mitami z zakresu samej ideologii komunistycznej. Niektóre z nich zostały nawet zaakceptowane przez większość społeczeństwa, wytwarzając paradoksalną sytuację skomunizowania umysłów antykomunistycznie nastawionej większości! Ten pozorny paradoks stanowi przyczynę błędnego rozpoznania politycznych wyborów w wielu ankietach. Niewielka bowiem zmiana brzmienia ankietowych pytań zmienia diametralnie wyniki. Ideami komunistycznymi zaakceptowanymi przez większość społeczeństwa są:

1. Istnienie komunistycznego porządku ekonomicznego. Gospodarka wolnorynkowa traktowana jest przez większość jako zło poważniejsze niż socjalistyczny bałagan i marnotrawstwo. Najśmielsze pomysły zmian sięgają zwykle do tzw. „uspołecznienia gospodarki”, a więc istnienia w przedsiębiorstwach państwowych silnego samorządu. Jeśli idzie o sektor prywatny, najodważniejsi opozycjoniści stoją na gruncie dekretu z 1946 roku.

2. Funkcje opiekuńcze państwa, nawet za cenę jego totalizacji. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że nadmierna opiekuńczość państwa prowadzi do totalitaryzmu, zwłaszcza gdy brak demokratycznych instytucji, stanowiących przeciwwagę aparatu państwowego. Inaczej mówiąc, im większa opieka — tym mniejsza wolność. Za nieodzowne uważane są takie elementy komunistycznej polityki społecznej, jak pełne zatrudnienie, „darmowe” leczenie i szkolnictwo, powszechne emerytury. Nie zrażają nikogo ani niskie płace, pośredni wynik pełnego zatrudnienia, ani niska jakość świadczonych usług społecznych.

3. Egalitaryzm; wyższe rozpiętości dochodowe przyjmowane są bardzo niechętnie (żeby nikt nie miał więcej niż ja).

4. Wyjątkowa rola klasy robotniczej, predestynująca ją do nieomyślności politycznej.

Poza wymienionymi, społeczeństwo zaakceptowało szereg innych haseł propagandy komunistycznej. Dość powszechnym sposobem myślenia jest porównywanie rzeczywistości z obrazem socjalizmu ukształtowanym przez propagandę i stawianie pytania: Czy tak powinno być w socjalizmie? Jest ono pozbawione sensu, gdyż socjalizmem jest właśnie realnie otaczający nas

system, a nie twór propagandowy. Fakt, że wielu ludzi, prawdopodobnie większość, stawia sobie to pytanie, dowodzi skomunizowania antykomunistycznie nastawionej większości.²

Indoktrynacja ideologiczna udała się komunistom znacznie bardziej niż wszystkie inne posunięcia taktyczne zmierzające do neutralizacji niechętnego społeczeństwa. Jej wynikiem jest brak żądań politycznej suwerenności narodu u większości działaczy opozycyjnych, zwłaszcza postsolidarnościowych. Pragną oni kontrolować państwo, ograniczać jego wszechwładzę, lecz nie zastępować. W konsekwencji „S” była ruchem destrukcyjnym, uderzającym we władzę, lecz nie tworzącym nowej władzy. „S” nie potrafiła budować nowych instytucji, ograniczała jedynie istniejące. To legło u podłoża jej klęski.

Krajobraz polityczny

Dominującym elementem jest zjawisko, które nazwiemy „prowincją polityczną”. Oznacza ono całkowity brak orientacji na politycznej mapie kraju, dostrzeganie na niej co najwyżej dwu stron konfliktu oraz nieumiejętność wyrażania swych własnych wyborów politycznych. Nie prowadzono żadnych badań mających na celu ustalenie zasięgu zjawiska prowincji politycznej, ale na podstawie danych pośrednich możemy oszacować zakres jego występowania. Obejmuje ono ogromną większość społeczeństwa. Na Zachodzie zwykło się używać terminu „milcząca większość”. Nie jest on tożsamy z prowincją polityczną, choć oczywiście korensponduje z nią. Przytoczmy kilka przykładów omawianego zjawiska.

Na jesieni 1981 roku w ankiecie prowadzonej przez OBOP zadano m. in. dwa pytania: 1. Czy jesteś za zwiększeniem kontroli władzy nad społeczeństwem? 2. Czy jesteś za zwiększeniem kontroli społeczeństwa nad władzą?

Na pytanie pierwsze pozytywnie odpowiedziało ponad 50% respondentów, a na drugie 90%. W ten sposób około połowy pozytywnie odpowiedziało na oba nawzajem wykluczające się pytania.

W prowadzonym przez OBS badaniu stopnia zaufania do różnych instytucji stale ponad 50% respondentów sygnalizowało swoje zaufanie do Sejmu, jednocześnie tylko kilka procent wyrażało je pod adresem PZPR, choć wszyscy zdają sobie sprawę, że nie ma w Polsce prawdziwych wyborów.

Jakie grupy społeczne objęte są zjawiskiem prowincji politycznej? Dotyczy ono prawie całej ludności wiejskiej i polskiej powiatowej, a więc rzeczywistej prowincji. Burzliwe lata 1980-1981 niewiele tam zmieniły. Zresztą wszystkie burze polityczne przechodzące nad Polską omijały po-

² Podobnie jak członkowie „S”, również niewolnicy i chłopci pańszczyźniani walczyli początkowo nie o zniesienie niewolnictwa i likwidację feudalizmu, ale o ograniczenie powinności, bo np. kiedyś mieli 3 dni pańszczyzny, a teraz każą im odrabiać 4 dni i to jest niesprawiedliwe! Zwolennikom socjalizmu „z ludzką twarzą”, tj. teoretycznego, można odpowiedzieć, że w teorii również niewolnictwo jest bardzo dobrym i ludzkim ustrojem; wystarczy przeczytać Arystotelesa.

wiaty i gminy. Ostrożna liberalizacja ery Gierka dotyczyła wyłącznie stolicy i największych miast. Na prowincji zmieniło się niewiele. W Warszawie rząd dogadywał się z Kościołem, a w powiecie zwalniano nauczyciela za uczęszczanie do kościoła. W Warszawie na osobistą interwencję Gierka wypuszczano z więzień dysydentów, a na prowincji partyjni i milicyjni kacykowie rządzą niepodzielnie. Ruch posierpniowy doszedł tam spóźniony i prawie nigdzie nie był silny, toteż stan wojenny nie wywołał szoku. Działalność opozycyjna skupia się w wielkich centrach przemysłowych i akademickich, ale większość ludzi żyje na prowincji. Działacze opozycyjni nie zdają sobie zwykle sprawy, że owa większość o opozycji wie bardzo mało lub zgoła nic. Jediną formą kontaktów z niezależnym życiem politycznym są rozgłosnie zachodnie, przede wszystkim zaś Wolna Europa. Nastawiona jest ona właśnie na prowincję i słuchaczy bardziej politycznie uświadomionych rażą naiwne często argumenty i komentarze.

Zjawisko prowincji politycznej tylko częściowo pokrywa się z prowincją w potocznym znaczeniu, jest bowiem zakresowo szersze. Obejmuje ono także znaczną część mieszkańców dużych ośrodków. W tym miejscu wypada dłużej zatrzymać się przy robotnikach.

Komunizm wmawiał robotnikom przez blisko 40 lat, iż odgrywają szczególną rolę, co nie oznacza oczywiście, iżby otrzymali oni w komunistycznej Polsce przywileje. Nędza wielokrotnie doprowadzała robotników do rozpaczliwych zrywów. Mit ich szczególnej roli w rozwoju historycznym, stanowiący pewną formę rekompensaty, tym łatwiej został przez nich zaakceptowany. Dalszą konsekwencją był antagonizm wobec innych grup społecznych, zwłaszcza zaś inteligencji. Robotnicy ulegli też silniej innym mitom komunistycznym; bardzo przywiązani są zwłaszcza do idei egalitaryzmu, a co z tego wynika łatwiej dają się manipulować populistycznej propagandzie.³

W społeczeństwie polskim zakorzenione jest myślenie klasowe, a więc traktowanie klas w sensie marksistowskim, jako struktury zdolnej do działania. Stanowi to jeszcze jeden mit bezwiednie zaakceptowany przez większość. Klasa nie jest nigdy zdolna do prowadzenia gry strategicznej, a więc także klasa robotnicza nie jest w stanie prowadzić własnej polityki, nie istnieje też interes klasy robotniczej, ani żadne jej działanie strategiczne. Opozycja, zwłaszcza jej lewicowe odłamy, uległa mitowi walki klasy robotniczej, która stanowi jakoby motor rozwoju sytuacji w Polsce. Proletariat natomiast jako całość walki nie prowadzi, ponieważ nie jest zdolny do tego typu działań; z punktu widzenia gry politycznej nie istnieje kategoria — klasa robotnicza. Nie oznacza to, abyśmy negowali istotne znaczenie tej grupy społecznej w krajobrazie politycznym Polski. Ale należy

3. Odzwierciedleniem tego stanu świadomości u przywódców, doradców i szeregowych członków „S” jest powszechne żądanie Polaków, by rząd, tj. komuniści, rządili dobrze, a nie by władza pochodziła z wolnych wyborów; żeby rząd był dobry, opiekował się, dał, zapewnił itp. Niech nie będzie własny, ale niech będzie mądry i dobry! Rzecz jednak w tym, że aby mógł być dobry — musi być własny. A tego nie może pojąć ani tkaczka z Łodzi, ani szacowny profesor z Warszawy.

podejść do zagadnienia roli klasy robotniczej bez ideologicznego kadzidła. Robotnicy w większości podlegają zjawisku prowincji politycznej. Istnieje wprawdzie duża niejednokrotność postaw politycznych w tej grupie społecznej, od lekkiej aprobaty systemu i dużego przywiązania do symboli socjalistycznych u starszych, do skrajnego antykomunizmu i eksponowania symboliki narodowej oraz religijnej przez młodszych robotników pracujących w dużych centrach przemysłowych.

Okres posierpniowy i stan wojenny wykazał dwie cechy robotników wielkoprzemysłowych (robotnicy w niewielkich miejscowościach i w małych zakładach o dużym procencie chłoporobotników są politycznie zupełnie bierni):

- skłonność do działań symbolicznych,
- dużą podatność na bodźce ekonomiczne.

Obie cechy znacznie ułatwiły pacyfikację wielkich zakładów przemysłowych po 13 grudnia. Skłonność do działań symbolicznych pozostaje bowiem w sprzeczności z działaniami politycznymi.

Podatność na bodźce ekonomiczne umożliwiła władzom przekupienie strategicznych załóg wielkich zakładów pracy. Charakterystyczne jest, że normalizację osiągnięto najszybciej w górnictwie, mimo że właśnie tam konflikty (z reguły o podłożu symbolicznym) były za „Solidarności” najsilniejsze i najostrzej przebiegało wprowadzenie stanu wojennego. Politycy opozycyjni przed 13 grudnia i nawet zaraz po tej dacie argumentowali, że nie można przy każdym robotniku postawić milicjanta, a więc siłą nie da się zmusić ludzi do pracy i co za tym idzie — stan wojenny niczego władzy nie da. Rzeczywistość okazała się inna. Strumień pieniędzy połączony z silnymi represjami pozwolił osiągnąć wzrost wydobycia węgla, nawet za cenę utraty zdrowia w kopalniach.

Znaczenie robotników polega na tym, że stanowią oni większość aktywnego społeczeństwa, a ze względu na dużą koncentrację w wielkich zakładach pracy mogą zostać przekształceni w zdyscyplinowane grupy, używane zarówno do produkcji, jak i w działaniach politycznych. Niski stan świadomości politycznej, mimo strukturalnego antykomunizmu i przywiązania do symboli „S”, każe przypuszczać, że kolejny bunt robotników będzie miał podłoże przede wszystkim ekonomiczne.

Rozważaniom o politycznej prowincji można postawić zarzut, że również w innych krajach, w tym także demokratycznych, zjawisko to występuje. Niewątpliwie tak jest, lecz nie łączy się ono tam z totalną niechęcią do władzy; polityczna prowincja — lub, jak kto woli, milcząca większość — stanowi w tej sytuacji czynnik stabilizujący. U nas natomiast jest elementem zakłętą kręgu niemożności. Dopóki zjawisko to będzie występowało, dopóty nie będziemy w stanie zlikwidować totalitaryzmu. Nas po prostu nie stać na powszechną bierność. Dodać przy tym należy, że okres posierpniowy przyniósł mimo wszystko wyraźny postęp w rozwoju świadomości politycznej.

System władzy

System władzy sprawowany przez obecną ekipę można określić mianem miękkiej tyranii, która opiera się na miękkiej kolaboracji. Dotychczas instytucją strukturalizującą system władzy w Polsce była PZPR. Po Sierpniu i 13 grudnia została ona do tego stopnia rozbita, że nie jest w stanie tworzyć ram dla władzy. Cóż to oznacza?

System władzy w komunizmie nigdy nie jest organizacją monolityczną. Opiera się on na grupach nieformalnych, występujących na poszczególnych szczeblach zarządzania i związanych z sobą różnego rodzaju powiązaniem. System wtłoczony był w ramy partii komunistycznej i dlatego reguły gry partyjnej określały zasady gry politycznej. Teraz sytuacja uległa zmianie. Przyczyną jest rozbitcie, przynajmniej częściowe, dotychczasowych struktur partyjnych. Formalnie zostały one odbudowane, nie odtworzono jednak rzeczywistych powiązań, które decydowały o grze politycznej. W ten sposób partia stała się w pewnej mierze atrapą, choć istnieją próby jej reanimacji. Dążyć do tego będzie prawdopodobnie Moskwa, której tradycyjny system komunistyczny jest w stanie zagwarantować pewność sprawowania kontroli nad Polską. Obecny system jest nieokreśloną efemerydą i nie może budzić niczyjego zaufania. Opiera się on na dominacji jednej osoby - generała i podległych mu oficerów. Opanowali oni najistotniejsze działy KC PZPR i stanowią trzon kadry na szczeblu województw. Istotną sprawą byłaby analiza socjologiczna hybrydy wojskowo--cywilnej na określonym szczeblu władzy. Pozwoliłaby ona wykazać, jaki jest stopień zintegrowania tej hybrydy; czy istnieje jeden obieg informacji, czy też kilka; jakie są interakcje między cywilami i wojskowymi. Analiza taka nie istnieje i dlatego zdani jesteśmy na jednostkowe spostrzeżenia. Oficerowie z reguły nie są kompetentni w sprawach, które powierzono ich kontroli. Merytoryczne sprawowanie władzy zastępują więc formalnym, często dokuczliwym dla cywilów, od których z kolei uzależnieni są sami, właśnie na polu wiedzy zawodowej. System cywilno-wojskowy ma szansę ewoluowania ku cywilnemu komunizmowi, ze stopniowym eliminowaniem wojskowych lub ich „cywilizowaniem się”.

Drugą obok wojska nową grupą odgrywającą rolę we władzach centralnych są cywilni specjaliści lub intelektualiści, dotychczas nie związani z aparatem partyjnym. Są oni na ogół członkami PZPR, lecz ich kariera nie wynika z pracy w aparacie. Z tej racji nie mają oni własnych grup, tego typu, co aparatczycy w czasach przedsierpniowych. Ludzie typu Rakowskiego, Urbana, Krasieńskiego, Obodowskiego, choć mogą odgrywać dużą rolę w aktualnej grze politycznej, nie stanowią sami w sobie ośrodka władzy, z reguły też nikogo poza sobą nie reprezentują. Ich pozycja wynika z faktu, iż są wygodni dla Generała.

Wbrew przypuszczeniom z początku stanu wojennego, władze wojskowe nie okazały się jak dotychczas zdecydowanie krwawe i represyjne. Powodem

tego jest prawdopodobnie ich efemeryczny charakter, a z drugiej strony bezprecedensowy zasięg konspiracji. Masowe represje i system policyjny oznaczałyby wzmocnienie aparatu bezpieczeństwa i związanych z nim grup aparatu partyjnego. Prowadziłyby to do osłabienia władzy wojskowych, gdyż nie są oni zdolni do stosowania represji bez pomocy policji ze względu na brak kompetencji; do wyeliminowania grupy „fachowców” (Rakowski, Obodowski, itd.), a nie gwarantowałyby prędkiej stabilizacji. Rozpoczęcie masowych represji mogłoby wyzwolić mechanizm trudny do zatrzymania na z góry wyznaczonym poziomie. Dlatego też obecną władzę nazwaliśmy miękką tyranią. Jest ona otoczona „miękką kolaboracją”, niby płynem fizjologicznym. Większość społeczeństwa z mniejszą lub większą chęcią kolaboruje z reżymem, choćby z racji tego, że pracuje w przedsiębiorstwach państwowych. Zgoda na kolaborację jest uwarunkowana, przynajmniej u części, niskim stopniem represyjności i chociaż werbalnym deklarowaniem przez juntę woli przeprowadzenia reform i zawarcia porozumienia narodowego. Prześledźmy to na przykładzie środowiska naukowców-ekonomistów. Jego część, w tym także ludzie posiadający pewien autorytet, poparło nową ekipę. Głównym powodem, poza oczywiście profitami osobistymi, był brak innych alternatyw. Do konspiracji nie mają oni predyspozycji, zresztą populizm „S” na ogół zniechęcał ludzi posiadających wykształcenie ekonomiczne. Środowisko to udzieliło swego moralnego i intelektualnego wsparcia juncie wchodząc w skład Rady Ekonomicznej, Rządowej Komisji do Spraw Reformy, a także do rządu. Poparcie to jednak zostałyby cofnięte przez część obecnych kolaborantów, gdyby zamiast gadać o reformie i porozumieniu, Generał zaczął mówić o eksterminacji. Na tym polega mechanizm miękkiej kolaboracji. Jest to zjawisko bardzo rozpowszechnione i, podobnie jak inne opisywane w niniejszym artykule, niejednorodne. Poparcie „miękkich kolaborantów” jest reżymowi niezbędne, jeśli chce on utrzymać represje na słabym poziomie.

Ostatnim omawianym przez nas zjawiskiem polskiej sceny politycznej będzie „opozycja”. Wyrasta ona w ogromnej większości z byłej „S”, błędem jest jednak obejmowanie mianem opozycji 10 mln ludzi. Związek przestał istnieć 13 grudnia i w poprzedniej postaci nigdy się już nie odrodzi. „S” odgrywa dziś zarówno pozytywną, jak i negatywną rolę w tworzeniu niezależnego ruchu opozycyjnego. Mit „S” i symbolika związku odgrywają dużą rolę integrującą. Oddziaływanie mitu jest tak silne, że żadna grupa polityczna niezależna od władz nie odcina się od niego. W tym jednak kryje się także strona negatywna, bowiem mit ogranicza horyzont polityczny, a wiele haseł poza symbolem nie niesie żadnej realnej treści.

Zjawisko opozycji możemy podzielić na trzy grupy (nie mamy na myśli trzech struktur, lecz tylko trzy obszary występowania):

A. Opozycja post-Solidarnościowa. Liczebnie jest największa i wywodzi się z byłej struktury Związku. Ma ona dwie słabości:

- pozbawiona jest programu innego niż hasło powrotu do „S”,
- łatwa jest do penetracji przez bezpiekę, gdyż skupia ludzi aktywnych przed 13 grudnia i działa na terenie zakładów pracy.

Opozycja post-Solidarnościowa nie była w stanie stworzyć jednej organizacji, zaś działalność jej władz naczelnych - TKK - jest w dużej mierze fikcją. Opozycja ta może posiadać znaczenie w momencie wybuchu nowego buntu robotniczego, sama jednak nie jest w stanie go przygotować, czego dowodzi nieudana próba strajku w październiku i listopadzie 1982 r. Jeżeli w najbliższym czasie nie dojdzie do spontanicznego wybuchu, grupy post-Solidarnościowe ulegać będą degeneracji, zajmując się działalnością czysto symboliczną (np. produkcja znaczków, obchodzenie rocznic) i coraz dokładniej penetrowane będą przez bezpiekę.

B. Legalna opozycja katolicka. Liczebnie jest niewielka, ma jednak kolosalny atut w postaci poparcia Kościoła, dzięki czemu może działać legalnie, dysponuje nawet, ograniczonymi wprawdzie i poddanymi państwowej cenzurze, środkami przekazu. Działacze w rodzaju Stommy, Micewskiego, Kisielewskiego kierują się w swej polityce jednym założeniem podstawowym - tylko odprężenie międzynarodowe, odprężenie między państwem a Kościołem w kraju i współpraca z władzą przynieść mogą polepszenie warunków w Polsce. W perspektywie stawiają za cel socjalizm realny, ale z bardziej ludzką twarzą, kontrolowany przez legalne instytucje demokratyczne. Nawiązują w swym programie do haseł roku 56 i koordynują działania z Watykanem i Kościołem w Polsce. Uważają się za realistów z racji swego minimalizmu, lecz w półtora roku po wprowadzeniu stanu wojennego nie mogą poszczycić się przybliżeniem do celu, mimo że proponują coraz dalej idący kompromis.

C. Organizacje polityczne nie wywodzące się z „S”. Są one w trakcie tworzenia się i deklarują zamiar przekształcenia się w partie polityczne. Niezależne badania wykazały, że idea partii politycznych zdobywa sobie w środowisku opozycyjnym coraz większe poparcie. O ile jednak wielu ludzi deklaruje swoje poparcie dla zamiarów tworzenia partii, to tylko nieliczni oświadczają, że wstąpiłoby do nich. Do stworzenia trwałych partii niepodległościowych jest jeszcze daleka droga.

Pragniemy jeszcze raz podkreślić, że najważniejszym zjawiskiem polskiej areny politycznej jest niska świadomość polityczna połączona z chroniczną niechęcią do władz, podczas gdy niechęć do komunizmu, by zaowocowała skutecznymi formami i metodami walki z nim, musi wypływać z przesłanek racjonalnych: własnych przemyśleń, przyjętego systemu wartości, nie zaś z podświadomej niechęci — to stanowczo za mało. Sytuacja ta sprawia, że jesteśmy społeczeństwem chorym na schizofrenię. W tym stanie *rzeczy* nie możemy brać udziału w cywilizacyjnym wyścigu u progu nowego stulecia. Powodować to będzie narastanie napięć wewnętrznych, które rozładowywane będą w sposób irracjonalny. Naród polski musi przejść daleką drogę, by z prowincji politycznej przekształcić się w społeczeństwo polityczne.

Franciszek Sz.

«Niepodległość» ar 21-22, wrzesień-październik 1983, ss. 15-21

Ursus... i co dalej?

Kościół polski jest przede wszystkim społecznością ludzi wierzących, wprawdzie różnorodną w swojej masie, ale ściśle związaną z najmniejszymi jednostkami administracyjnymi, jakimi są parafie. Dla przeciętnego polskiego katolika to co się dzieje w takiej właśnie parafii jest o wiele istotniejsze od tego, co ma miejsce w Kurii Biskupiej, Metropolitarnej, czy też w Pałacu na ul. Miodowej. Dlatego też księża parafialni stają się tym samym dla wiernych „ludźmi pierwszego kontaktu” z instytucją Kościoła. Aby mogli oni dobrze wypełniać swoją misję apostołską i nauczycielską, muszą przede wszystkim nawiązać intelektualny i psychiczny kontakt z wiernymi. A dokonają tego tylko wtedy, kiedy staną się ludziom naprawdę potrzebni, wyrażając ich potrzeby i niepokoje w sposób jak najbardziej szczerzy i otwarty, również te społeczne, gdyż trudno je oddzielić od innych istotnych wartości moralnych. Aktualnie, może bardziej niż kiedykolwiek, reagowanie Kościoła na potrzeby moralne i społeczne Polaków musi prowadzić także do głoszenia prawdy o sytuacji jednostki w zniewolonym narodzie. Milczenie Kościoła w tych sprawach podważałoby zasadność jego apostołskiej roli na Ziemi, która przecież nie sprowadza się wyłącznie do głoszenia prawd wiary, ale również do przekazywania wzorców i zasad godnego życia w doczesności. Kościół wprawdzie nie powinien głosić tylko tego, co wierni chcieliby usłyszeć, ale nie wolno Mu milczeć, kiedy dzieją się *rzeczy*, które z racji nauczycielskich funkcji Kościoła muszą zostać jednoznacznie napiętnowane.

W taki właśnie sposób odczytało swoją duszpasterską rolę wielu księży parafialnych w naszym kraju. Tych najbardziej aktywnych nie będziemy wymieniać — znani są bowiem prawie wszystkim. Warto jednak zatrzymać się przy jednym nazwisku — ks. M. Nowaka, wikarego kościoła parafialnego w Ursusie. Decyzją Prymasa, przy wyraźnym nacisku władz reżymowych, ksiądz Nowak został przeniesiony do maleńkiej parafii wiejskiej. W podobnej sytuacji znajdzie się pewnie większość kapłanów ze słynnej listy „69 niepokornych”. Parafianie z Ursusa, nie godząc się z decyzją Prymasa Polski, po proteście w czasie spotkania z Dziekanem, podjęli protestacyjną głodówkę.

Cały ten incydent może nawet nie byłby wart analizy, gdyby zdarzył się w sytuacji politycznej innej niż dzisiejsza. Ponieważ decyzja kard. Glempa podjęta została z pobudek czysto politycznych, a więc również jej konsekwencje należy rozpatrywać w kontekście politycznym. Z naszego punktu widzenia (tj. ugrupowania „Niepodległość”) sposób rozwiązania problemu „robotniczego księdza” z Ursusa jest konsekwencją polityki części hierarchii kościelnej wobec komunistycznych władz PRL. Nie chcielibyśmy szerzej rozpisywać się na ten temat, musimy jednak stwierdzić, że kompromisy między obydwoma stronami przestają być nimi zupełnie, jeśli jedna z nich — komuniści — stosuje wyłącznie politykę wymuszania i szantażu, a druga — Kościół — jedynie taktikę ustępstw.

Na incydent który miał miejsce w Ursusie musimy spojrzeć z dwóch stron.

Po pierwsze: Od początku istnienia państwa komunistycznego w Polsce czerwony rząd robił wszystko co było w jego mocy, aby z jednej strony dokonać podziałów w ramach samej instytucji Kościoła, z drugiej zaś, aby poróżnić hierarchię kościelną z rzeszami wiernych. W tym celu powołano przecież w latach powojennych koła księży „patriotów” przy ZBOWiD, przejęto Caritas i założono PAX oraz ChSS (tzw. katolicy dekoracyjni). Próby te spełzły w dużej mierze na niczym, ale pozostała sama metodologia. Dlatego też wszystko co miało miejsce w Ursusie bardzo satysfakcjonuje władców PRL. Otwarte manifestowanie niechęci sporej grupy parafian wobec dostojnika kościelnego jest przecież tym, na co czekano od dawna. Jest to tym istotniejsze, że nie robili tego własnymi rękami, tylko przy pomocy jakże ostatnio chwalonego „partnera” rozmów bilateralnych. W tym kontekście protest wiernych w Ursusie jest na pewno niebezpieczny, zwłaszcza jeśli chodzi o integrację w walce o społeczeństwo obywatelskie, choć trudno winić robotników z fabryki traktorów za ich spontaniczną reakcję na decyzję kard. Glempa.

Po drugie: Wielokrotnie pisaliśmy na łamach „N” o niezwykle istotnej roli Kościoła Katolickiego w życiu narodowym Polaków. W tych sprawach byliśmy zgodni z podobnymi tezami stawianymi przez opozycję z „S”. Wprawdzie nigdy nie byliśmy przeciwnikami dialogu Kościół — państwo komunistyczne, choć sami wychodzimy z założenia, że z czerwonymi należy walczyć, a nie rozmawiać, lecz od początku sprzeciwialiśmy się przyjętej przez Kościół w tych rozmowach roli politycznego reprezentanta narodu polskiego.

Właściwą rolę Kościoła upatrywaliśmy w jego działalności na rzecz integracji społeczeństwa polskiego wokół elementarnych zasad moralnych, takich jak godność, sprawiedliwość, prawda, solidarność międzyludzka itp. Są to wartości uniwersalne, które powinny być respektowane w każdym systemie politycznym. Oczekiwaliśmy także, że Kościół będzie bezkompromisowo potępiał łamanie praw człowieka w Polsce jako niedopuszczalne, nie tylko z politycznego punktu widzenia (antykomunistycznego), lecz jako sprzeczne z etyką i nauką chrześcijańską. Niestety, Kościół polski, zresztą pod presją naiwnej części opozycji, z upływem czasu pozwolił sobie na narzucenie roli politycznej, bardziej zresztą wygodnej dla władz. Zaczął wtedy przemawiać do wiernych językiem dyplomacji, pełnym niuansów i niejasności. Szczerość w ocenie zła, jaką co niedziela głosił ks. Nowak, nie mieściła się już w tym języku.

Podjęcie przez Kościół roli politycznego reprezentanta narodu polskiego wiązało się z brakiem świeckich odpowiedników w tym zakresie. Od 1980 roku „S”, a później jej podziemne przywództwo, obowiązki politycznej reprezentacji społeczeństwa z ulgą scedowały na Kościół, zadowolając się symboliką własnego istnienia. Było to rozwiązanie zapewne wygodne, choć naiwne i iluzoryczne, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł przypuszczać, że Kościół w swojej mediacyjnej misji może doprowadzić do przywrócenia „S” i

daleko idących ustępstw władzy. Dialog z Kościołem potrzebny był przede wszystkim komunistom do spacyfikowania nastrojów społecznych. Wprawdzie Kościołowi udało się załagodzić w jakimś stopniu represje, lecz w innych sprawach rezultaty jego ustępstw są nikłe.

Jako ugrupowanie polityczne akceptujemy w pełni moralne przywództwo narodu przez Kościół katolicki, ale stwierdzamy z całą stanowczością, że polska polityka, tj. formułowanie postulatów politycznych, musi pozostać w gestii świeckiej opozycji. Zorganizowana opozycja polityczna nie powinna liczyć na dogadanie się z czerwonymi, lecz podjąć walkę polityczną prowadzącą aż do obalenia reżymu i przejęcia władzy. Musimy sobie doskonale zdawać sprawę, tak samo jak powinien rozumieć to Kościół, że neutralizacja antykomunistycznej opozycji wystawi Kościół bezpośrednio na zakusy „normalizacyjne” ze strony władz. Celem komunistów jest przecież zlikwidowanie Kościoła, bądź jego „pimienizacja” — wystarczy poczytać klasyków marksizmu-leninizmu!

Tak więc incydent ursuski może odegrać też pozytywną rolę, lecz tylko w przypadku, gdy wszystkie zainteresowane nim strony, a przede wszystkim kard. Glemp i świecka opozycja podziemna, będą w stanie wyciągnąć rozsądne wnioski.

Terapia wstrząsowa może stać się czynnikiem pobudzającym procesy myślowe. Dlatego dobrzeją czasem *przeżyć*, aby zrozumieć, że nikt, nawet Kościół, nie załatwi za nas naszych spraw.

Wacław Wojenny

«Niepodległość» nr 27, marzec 1984, ss.9-11

Gra Watykan-Moskwa

Polacy, sowietyzowani z dużym powodzeniem już drugie pokolenie, utracili w latach 40-tych i 50-tych nie tylko elitę polityczną (własnych przywódców i kadry), ale także zdolność politycznego myślenia; zastąpiło je reagowanie uczuciowe, myślenie symboliczne i magiczne. Nastąpiło to tym łatwiej, że nasze uczucia narodowe pełne są rozmaitych kompleksów i schematów. Naród szukający bez przerwy rekompensaty, która zrównoważyłaby często podświadome poczucie krzywdy i niższości wobec innych społeczności, nie może rozumować w kategoriach interesu politycznego, gdyż wymaga to zimnej analizy każdego wydarzenia i kalkulacji każdego posunięcia. Stąd bierze się szukanie autorytetów, które widzą lepiej co robić i uczynią wszystko za naród, by było dobrze, oraz idealizowanie wybitnych Polaków. Ich wielkość jest lekarstwem na narodowe upokorzenia, co powoduje, że upragnione wizje zastępują obraz rzeczywistej sytuacji politycznej. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby wskazane zjawisko dotyczyło tylko przeciętnych poddanych, ale niestety stało się ono również udziałem elity społecznej (nie politycznej) formującej się na nowo w drugiej połowie lat 70-tych. Większość osób

zajmujących się polityką w Polsce doskonale wie, że społeczeństwo karmi się mitami, żyjąc w apatii i iluzji. Nie chcą one jednak rozbijać mitów (cały czas wzmacniają je), by nie pozbawić narodu wprawdzie złudnej, ale zawsze nadziei. Uważam, że rozbijanie mitów jest bardzo bolesnym, ale koniecznym warunkiem wstępnym podjęcia racjonalnej działalności politycznej.

Jednym z szeregu zagadnień, o których w Polsce nie można pisać nie narażając się na zlinczowanie, gdyż obala się w ten sposób kolejny mit, którym żywi się słabe politycznie społeczeństwo, jest problematyka stosunków na linii: Moskwa — Watykan — Prymas i Episkopat Polski — środowiska katolickie (Rada Prymasowska, KIK) — L. Wałęsa. Wprawdzie ostatnio wiele pisze się o poparciu kard. Glempa dla komunistycznej normalizacji (w piśmie Woli „Idee” pan Szary domaga się nawet ustąpienia „Towarzysza Prymasa”, ale jakby zapomina, od kogo pochodzi nominacja); milcząco przyjmuje się, że nie ma on zwierzchników lub nie wykonuje instrukcji nadsyłanych z Rzymu.

Zdaniem piszącego jest wręcz przeciwnie. Aby zrozumieć politykę abp. Glempa, trzeba najpierw odpowiedzieć na pytanie dotyczące polityki Watykanu. Pierwszym problemem, który nasuwa się, jest kwestia: „Czy mamy do czynienia z polityką polską w Watykanie, czy też z polityką Watykanu w Polsce?” Wszyscy zaraz wykrzykną: „Ależ w Watykanie przebywa polski papież! Już Ojciec Święty o nas nie zapomni”. Oczywiście, że nie zapomni, tyle tylko, że kard. K. Wojtyła, odkąd został następcą Św. Piotra, jest: po pierwsze — pasterzem wszystkich katolików, po drugie — szefem państwa watykańskiego, a więc zwierzchnikiem hierarchii katolickiej na całym świecie, i dopiero po trzecie — kardynałem polskim i Polakiem. A zatem jest przede wszystkim Ojcem Świętym, a to oznacza, że musi troszczyć się o cały świat katolicki, o jego interes i interes Watykanu.

Najważniejszym celem Watykanu (z jego punktu widzenia) musi być wzmacnianie światowej wspólnoty katolickiej i rozszerzanie jej wpływów (nawracanie pogan). W planie długofalowym cel ten zbieżny jest również z naszym interesem narodowym. Im bowiem silniejszy świat katolicki (ma się rozumieć na Wschodzie), tym słabsi są komuniści. Nie znaczy to oczywiście, że automatycznie silniejsza jest opozycja, ale stwarza dla niej dogodne warunki rozwoju. W planie krótkofalowym jednak, w praktyce działania i polityki, dążenia do wzmocnienia katolicyzmu na Wschodzie oraz do wzmocnienia opozycji w Polsce mogą prowadzić do sytuacji konfliktowych.

Papież jako Polak, a może nawet bardziej jako Europejczyk Środkowy, wpływa na politykę Watykanu i obsadę stanowisk w hierarchii tak, by uwzględnić położenie katolików w obozie sowieckim. Paradoksem jest, że to właśnie prowadzi dopiero do napięć w kwestii polskiej polityki Kościoła.

Wzmocnienie katolicyzmu na Wschodzie, a konkretnie zmniejszenie prześladowań Kościoła na Litwie, Białorusi i Ukrainie oraz przyznanie tamtejszej ludności jakichkolwiek uprawnień w dziedzinie religii w planie długofalowym (odrodzenie moralne w Sowietach) byłoby rzeczą jasną dla perspektywy ruchu oporu w Polsce bardzo korzystną. Niestety, za ustępstwa na Wschodzie trzeba Kremlowi czymś „zapłacić”. Cóż zaś ma do zaferowania

Sowiecom Kościół Rzymsko-Katolicki? Tylko swoją politykę w Polsce, bowiem tylko tutaj jest silny. Ponadto Polacy, bez względu na okoliczności, katolikami być nie przestaną. Podobnie jak w XIX wieku, mimo potępienia polskich powstań narodowych, odpadnięcie Polski od Kościoła Rzymowi nie grozi, a może zyskać coś niecoś na Wschodzie. (...)

Uzyskanie poparcia (Kościół) dla Jaruzelskiego jest potrójnie korzystne dla komunistów:

— osłabia bowiem opozycję, która na razie bez wsparcia Kościoła jest bardzo słaba, zagubiona i niezdolna do samodzielnego działania;

— neutralizuje społeczeństwo, które wprawdzie nie popiera komunistów, ale także nie udziela wsparcia opozycji, a o to właśnie chodzi czerwonym;

— osłabia pozycję samego Kościoła, zwłaszcza gdy kard. Glemp zaczyna używać języka „Trybuny Ludu”, a ludzie związani z Episkopatem atakują przedgrudniową „S” za (uwaga!) — zbyt radykalizm i niechęć do porozumienia z komunistami. Komuniści zawsze starali się, by ich koniunkturalni sojusznicy nie byli zbyt silni, tzn. by można było usunąć ich w odpowiedniej chwili (tj. po wykorzystaniu).

Krytycy linii politycznej abp. Glempa milcząco przyjmują, że nie rozumie on bądź źle pojmuje instrukcje płynące z Rzymu. Gdyby jednak tak było, abp. Glemp nie otrzymałby nominacji na kardynała. Jest On bowiem, z punktu widzenia globalnej polityki Watykanu, idealnym kandydatem na stanowisko Prymasa Polski. Każdy inny biskup byłby bardziej samodzielny, co oznacza, że stawiałby Rzym przed pewnymi faktami dokonanymi i próbował wpływać na jego politykę w sposób o wiele bardziej odpowiadający nastrojom i sytuacji w Polsce. Trudno sobie przecież wyobrazić większy stopień nieliczenia się z głosem opinii publicznej, niż wykazuje kard. Glemp. Za taką interpretacją przemawia fakt, iż oświadczenia Episkopatu różnią się w sposób zdecydowany od wypowiedzi Prymasa na korzyść ludzi stawiających opór komunistycznemu bezprawiu.

Nawet wyjątkowa niezręczność abp. Glempa jest jego atutem. W wypadku niepowodzenia politycznego zawsze będzie można powiedzieć, że zawinił Prymas, który nie zrozumiał, co mu polecono wykonać.

Teraz zastanówmy się, jakie możliwości kształtowania poglądów i postaw mają zwolennicy prymasowskiej linii poparcia dla komunistycznej normalizacji. Oprócz publicznych wypowiedzi, wywiadów itp. samego arcybiskupa, pozostaje oddziaływanie przez Radę Prymasowską, krąg byłych doradców „S” związanych z Kościołem (red. Mazowiecki, dr Wielowieyski, działacze KiK-ów) oraz przez Wałęsę, nad którym opiekę sprawują ks. Jankowski, dr Wielowieyski i mec. Siła-Nowicki. Porównajmy na początek wypowiedzi w/w osobistości, by przekonać się, czy są oni zwolennikami tej samej koncepcji politycznej.

W czasie pobytu w Rzymie i po rozmowach z Papieżem wiosną 1983 roku, kard. Glemp udzielił wywiadu katolickiemu pismu „II Sabato”, w

którym zaatakował Bujaka za prowadzenie działalności podziemnej, która jest nierealistyczna i szkodliwa. Następnie zaś stwierdził, iż demonstracje i protesty mogą jedynie zakłócić atmosferę oczekiwania na wizytę Papieża, natomiast jeśli w Polsce nie będzie starć i zapanuje spokój, to za dwa lata będzie można uruchomić pluralizm związkowy (za BBC).

Podczas kwietniowej konferencji prasowej L. Wałęsa złożył kolejną ofertę pod adresem komunistycznych władz. Ceną za rozpoczęcie rozmów byłaby zgoda Wałęsy na uznanie delegalizacji „Solidarności”. Przewodniczący wręcz stwierdził, iż w początkowym okresie związku mogłyby funkcjonować w oparciu o nową ustawę związkową, tzn. tę z 8 października, delegalizującą „S” i potępioną przez całe społeczeństwo oraz TKK, choć jego celem pozostaje nadal pluralizm związkowy. O co tu chodzi?

Jeden z punktów antyzwiązkowej ustawy stwierdza mianowicie, że za dwa lata załogi będą mogły zdecydować, jaki związek będzie działał na terenie ich zakładu. I z tym punktem związane są nadzieje na utworzenie Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Nie miałyby one oczywiście żadnych uprawnień i byłyby manipulowane przez władze, gdyby działały na mocy ustawy z 8 października. Ale w komunizmie ważniejszy od wszystkich ustaw jest aktualny układ sił. Proszę sobie przypomnieć dzieje ustawy o cenzurze i perspektywy jej dobrodziejstw, roztaczane przez ugodowców sprzed 13 grudnia. Układ sił się zmienił i ustawa o cenzurze poszła do kosza, gdzie zresztą jest jej miejsce, ale przed 13-tym zmarnowano wiele sił społecznych na bezsensowne dyskusje i spory o ustawę, zamiast ten czas i zapał poświęcić na walkę z ustrojem. Cała sprawa, zamiast służyć mobilizacji sił społecznych do walki, za sprawą ugodowych przywódców stowarzyszeń twórczych posłużyła jedynie do rozładowania napięć społecznych.

Obecnie komuniści mieliby dwa lata na przygotowanie się do utworzenia owych ChZZ, nawet z Wałęsą na czele. Oferta Przewodniczącego „S” mówi wprost: „Rozpocznijmy rozmowy, pozwólcie nam działać jawnie, a w zamian wyjdziemy z podziemia i już nie będziemy kwestionować waszej władzy”. Tyle tylko, że Jaruzelski rozmawiać nie musi, i bez tego bowiem oferty kapitulacji są z miesiąca na miesiąc coraz mniej wymagające (por. poprzednie oferty sprzed i po 10 listopada).

W wywiadzie zamieszczonym w „Tygodniku Wojennym” nr. 54/55 red. T. Mazowiecki ubolewał nad zbytym radykalizmem przedwojennej „S” (my bolejemy nad zbytnią ugodowością Związku w tym okresie, do czego wielce przyczynił się T. Mazowiecki): „Nigdy nie chcieliśmy powalić przeciwnika, chcieliśmy się dogadać. (...) ...była szansa, czasu potrzebaby-ło (...) żeby się wiele rzeczy wygotowało. (...) ...nastąpiłaby korekta”. I dalej redaktor wylewa swe żale na komunistów, którzy okazali się niegrzeczni i niewyrozumiali dla zapaleńców z „S”.

Redaktorowi wtóruje Wałęsa, opowiadając dziennikarzom, iż „część odpowiedzialności za 13 grudnia spada na Solidarność” (wypowiedź udzielona podczas procesu w Kwidzynie). Oto więc przewodniczący i były doradca

Związku stawiają na jednej płaszczyźnie ogólnonarodowy ruch sprzeciwu wobec komunizmu i sowiecką agenturę, walczącą o przywilej uciskania narodu polskiego w interesie obcego mocarstwa i własnym. Co więcej, wskazują, że to nasza wina, żeśmy się zbyt energicznie buntowali przeciw dyktaturze. W pewnym sensie mają rację, gdyby bowiem „S” podporządkowała się komunistom („wygotowała”), to wówczas z pewnością nie musieliby oni wzywać na pomoc wojska. Dziwna jednak rzecz, że osoby tak ochoczo broniące „S” przed politycznymi zarzutami „N” w tym wypadku jakoś zamilkły lub wręcz zaczęły zachwycać się głębokością myśli zawartych w wywiadzie (przeгляд prasy w „TM”).

Po spotkaniu Wałęsy z TKK słusznie wskazywano, że Lech wzmocnił w ten sposób autorytet TKK i poparł jej podziemną działalność. Ale wydanie przez TKK komunikatu o „uzgodnieniu wspólnych stanowisk” z Wałęsą ma także drugie znaczenie, sugeruje mianowicie, iż oświadczenie Lecha o gotowości do rozmów z okupantem, jego starania o ugodę i oferty kapitulacji mają miejsce za wiedzą i zgodą TKK. Jak zatem mamy wierzyć w zapewnienia deklaracji „Solidarność Dziś” o bezkompromisowej walce z reżymem, skoro jednocześnie po spotkaniu i „uzgodnieniu wspólnych stanowisk” z autorami Deklaracji, L. Wałęsa zgłasza gotowość do uznania antysolidarnościowej ustawy z 8 października. Siedzenie okrakiem na barykadzie jeszcze nikomu na dobre nie wyszło!

L. Wałęsa miał ostatnio kilka radykalniejszych wystąpień. Niestety, każdej wypowiedzi tego typu towarzyszyło zaprzeczenie w następnym zdaniu. Przykładowo, wezwał on do ostrzejszych form oporu, tj. do strajków, ale zaraz dodał, iż owe strajki nie mogą zaszkodzić gospodarce. Kto więc ma strajkować? Może studenci albo babcie klozetowe? Otóż pierwsze zdanie przeznaczone było dla publiczności i miało wzmocnić chwiejący się już autorytet Lecha (podobnie jak zapowiedź uczestnictwa w pochodzie pierwszomajowym z robotnikami), a adresatem drugiego byli komuniści (1 Maja mogli też być spokojni, Lech wbrew kilkakrotnym zapowiedziom zamknął się w domu). Jeśli bowiem Wałęsa realizować ma koncepcje swoich opiekunów, nie może zbyt skompromitować się, z drugiej zaś strony nie może być autentycznie radykalny. I tu tkwi źródło sprzeczności wszystkich jego wypowiedzi.

Aby zrozumieć o realizację jakiej koncepcji toczy się tu batalia, musimy powrócić do wywiadu udzielonego przez Przewodniczącą Rady Prymasowskiej, byłego posła Stommę „Tygodnikowi Powszechnemu”. Zachwyt pana Stommy nad Prusactwem i Bismarckiem nie miał oczywiście nic wspólnego z kajzerowskimi Niemcami sprzed wieku, lecz odnosił się do Polski roku 1983. Prawdziwym adresatem wywiadu nie byli też czytelnicy „Tyg. Pow.”, ale Jaruzelski. Co chciał powiedzieć władzom Stomma? Otóż pragnął je przekonać, że nie utracą rzeczywistej władzy, jeżeli zgodzą się na utratę monopolu gospodarczego i zezwolą na powstanie samorządów terytorialnych. Mówiąc w dużym skrócie i uproszczeniu: rząd pruski mógł sprawować władzę, mimo że w parlamencie nie miał większości, a to dzięki stosowaniu rozmaitych kruczków prawnych, na które pozwalała nadana z góry konstytucja. System

gospodarczy oparty był na prawach rynku, choć państwo pomagało w dużym stopniu w rozwoju rodzimego przemysłu. Taka ograniczona demokracja nie ma nic wspólnego z realiami ustroju totalitarnego i nie może być powabna dla komunistów, gdyż ich celem nie jest wzrost potęgi gospodarczej państwa, rozwój kraju, dobrobyt, awans cywilizacyjny ludności itp., lecz rozszerzanie i wzmacnianie za wszelką cenę sprawowanej władzy. Jeżeli jej koszty będzie miało zapłacić społeczeństwo lub gospodarka, o którą tak troszczyć się pożywiści roku 1983, to komuniści nie zawahają się. Oni nie muszą wychodzić z kryzysu gospodarczego, oni muszą wyjść z kryzysu politycznego, tj. powtórnie zniewolić i zbydlęcić lub wymordować nieposłuszną część społeczeństwa, a nie bawić się w uzyskiwanie jej poparcia.

Do koncepcji Stommy nawiązuje Micewski na łamach tegoż „Tyg. Pow.” i przekonuje władze: „Drugie zadanie stojące przed polską myślą polityczną, a mianowicie skoncentrowanie zainteresowań społeczeństwa na sprawie rozwoju cywilizacyjnego i gospodarczego, jest w wielkim stopniu utrudniane stanem środków masowego przekazu”. I dalej: „Wykopanie przepaści między czynnikami decydującymi w kraju a dużą i reprezentatywną częścią elity umysłowej nie służy bowiem niczemu ani nikomu”.

Wykopanie owej przepaści jest bardzo korzystne dla narodu (choć niekorzystne dla intelektualistów: Czerwony nie zawoła „cip, cip, kurki”, pszenicy nie rzuci), gdyż uniemożliwia dyktatorskiej i agenturalnej władzy powtórne zapuszczenie korzeni w narodzie, jak to już miało miejsce po 1945 roku, kiedy w zamian za awans społeczny znaczna część młodej, naiwnej i ambitnej inteligencji poparła komunistów. Obecnie jednak „wykopanie przepaści” jest niewątpliwie kłopotliwe dla części inteligencji, która bez współpracy z okupantem nie potrafi wyobrazić sobie życia. Do czegoż bowiem sprowadza się propozycja Micewskiego?

Dajcie nam dostęp do propagandy, my zaś, zamiast potępiać spekulantów i milionerów (rzemieślników), będziemy zachęcać społeczeństwo, by zajęło się gospodarką; dajcie nam możliwości, a będziemy rozwijać gospodarkę zamiast politykowania. Od razu widać, że Micewski sam nigdy nie próbował zakładać żadnego warsztatu w polskich (ściślej — sowieckich) warunkach, może więc wypisywać te bzdury z czystym sumieniem. Ale nawet gdyby niezależna działalność gospodarcza była możliwa, wzmacniałoby to jedynie system komunistyczny, który ze swą niefektywną gospodarką pasożytowałby na sektorze wyzwolonym.

Podobnie, wysuwane przez Kościół projekty założenia Banku Rolniczego pod nadzorem Episkopatu, w ustroju o gospodarce rynkowej szybko doprowadziłyby do powstania całego sektora gospodarki niezależnej od państwa (por. działalność spółdzielni w Wielkopolsce w XIX w.). Ale właśnie dlatego komuniści nie mogą zgodzić się na realizację owego projektu, mimo że postawiłby on na nogi polskie rolnictwo. Projekt założenia Banku Rolnego należy zatem wykorzystać do kompromitowania komunistycznego systemu gospodarczego i polityki władz, gotowych zagłodzić społeczeństwo, byleby nie dać możliwości niezależnego rozwoju polskim chłopom.

Koncepcja forsowana przez katolików związanych z Radą Prymasowską jest:

1. Nierealistyczna — gdyż nie bierze za punkt wyjścia analizy ustroju totalitarnego, który nie może zrezygnować lub choćby ograniczyć swego monopolu gospodarczego, propagandowego i politycznego, a ponadto ignoruje interes władzy, przypisując jej dążenia i cele, których ta nie posiada, np. troska o kraj. Cele władzy są przeciwstawne w stosunku do przypisywanych jej przez Kościół.

2. Szkodliwa — gdyż z jednej strony łądzi społeczeństwo i odciąga od konstruktywnej, tj. politycznej konspiracji, z drugiej zaś jest szkołą prowadzenia polityki ponad głowami narodu i bez jego świadomego udziału. Politycznie niedojrzałe społeczeństwo staje się obiektem manipulacji, z których nie zdaje sobie sprawy, tym bardziej, że w realizację owych koncepcji zaangażowane są osoby o znacznym autorytecie w przeszłości.

3. Kapitulanka — gdyż starając się namówić władze do ustępstw gospodarczych, jednocześnie wycofuje się nie tylko z żądań, jakie po 13 grudnia stawiała Podziemna „S”, ale nawet z tak nikłego politycznego dorobku, na jaki zdobyła się legalna „S” po Sierpniu. Oznacza to cofanie świadomości politycznej narodu do czasów wczesnokorowskich, a żądań do roku 1956 (liberalizacja ustroju). (...)

Powyższe koncepcje, które ks. Blachnicki odrzuca już na płaszczyźnie etycznej, jako niezgodne z katolicką nauką społeczną, my zwalczamy na płaszczyźnie politycznej, jako wielce szkodliwe z punktu widzenia naszego celu — odzyskania niepodległego państwa polskiego.

Pozornie mogłoby się wydawać, że skrytą intencją autora było wskazanie na Rzym jako źródło „wszelkiego zła ugody”. Ale tak nie jest, bowiem wszystkie ogniwa w łańcuchu Rzym - Wałęsa mają dużą dozę samodzielności, którą mogą wykorzystywać proporcjonalnie do swych zdolności politycznych. Niestety polega na tym, że spośród owych ogniw jedynie pierwsze jest zdolne do prowadzenia polityki dużego formatu. Innymi słowy, to co dla Watykanu, zwłaszcza zaś Papieża, jest jedynie środkiem, taktyką mającą na celu uzyskanie od Kremla ustępstw dla Wschodu (zmniejszenie prześladowań) i Polski (amnestia), dla kard. Glempa i jego doradców stało się celem. I w tym sensie rację mają ci, którzy zarzucają Prymasowi, iż nie rozumie, co się doń mówi w Rzymie.

Postawmy jeszcze raz pytanie, czy wyżej nakreślona polityka, nawet w warunkach kiepskiego wykonania krajowego, może przynieść nam jakieś korzyści. Zdaniem piszącego gra Watykan — Moskwa może być dla nas korzystna pod dwoma wszakże warunkami:

1. Jeśli się powiedzie, tzn. jeśli ustępstwa na Wschodzie staną się rzeczywistością, np. odbycie się wizyty Papieża w ZSRS nawet za cenę ugodowej polityki w Polsce. Wydaje się to jednak wątpliwe, gdyż Kreml doskonale zdaje sobie sprawę ze stawki. W XIX wieku Rzym prowadził podobną grę; polityka ta zakończyła się jednak nie nawróceniem Rosjan, lecz przymusowym

przechodzeniem unitów na prawosławie.

2. Jeśli opozycja w Polsce będzie silna bez Kościoła i będzie potrafiła zdystansować się wobec niego na płaszczyźnie politycznej oraz jeśli będzie prowadziła walkę polityczną z koncepcjami lansowanymi przez grupy ugodowe związane z omówioną linią kard. Glempa, mimo że nie wypada atakować tak znanych ludzi, których w dodatku opluwają i wsadzają (dość rzadko) komuniści.

Zasłanianie się Kościołem i Wałęsą z braku własnego autorytetu, bądź identyfikowanie się z linią polityczną Prymasa, będzie prowadziło jedynie do wynajdywania kolejnych uzasadnień dla polityki „nic nierobienia” — nie popieramy Czerwonego, ale też nic nie robimy oprócz biernego oporu i moralnego doskonalenia się.

Jak wyciągnąć korzyści z polityki Watykanu, gdyby się udała i jak nie ponieść strat, gdyby zgodnie z naszymi przewidywaniami zakończyła się klęską? Na pytanie to opozycja będzie mogła znaleźć odpowiedź jedynie jako podmiot życia politycznego, a więc siła niezależna, posiadająca autorytet własny, nie zaś oglądająca się na inne potęgi. Autorytet natomiast przyjdzie, gdy opozycja podejmie polityczne wyzwanie wobec komunistów i konsekwentnie zaneguje prawomocność ich władzy.

Antoni Wichrzyciel

«Niepodległość» nr 18-19, czerwiec-lipiec 1983, ss.16-22

Antypolskie sankcje Reagana?

(...) Pomoc finansowa państw zachodnich mogłaby odnieść pozytywny skutek, jeśli zasilono by nią struktury gospodarcze o zupełnie innym mechanizmie zarządzania i sposobie wytwarzania produktów. Czyli inaczej, wzrost dobrobytu narodu może być jedynie wynikiem przeorientowania polskiej gospodarki w kierunku modelu rynkowego, z pełną autonomią i ściśle zakreśloną granicą ingerencji państwa.

Wystąpienie L.Wałęsy, oprócz zaproponowania Stanom Zjednoczonym ponownego udzielenia PRL zapomóg finansowych, które, jeśli by doszły do skutku, posłużą rządzącej biurokracji i wojsku do wzmocnienia kontroli nad społeczeństwem (więcej ludzi można kupić, gdyż rezerwuar środków płatniczych będzie znacznie szerszy), ma także wymiar polityczny.

I chyba on jest obecnie najistotniejszy. Trudno bez wyczerpujących danych zorientować się we wszystkich motywach, jakie skłoniły szefa „S” do takiego postawienia sprawy, lecz jedno jest oczywiste - czas i forma, w których to wszystko zostało ogłoszone, muszą budzić głębokie zastrzeżenia.

Aby oddać komuś niedźwiedzią przysługę, nie trzeba być przewidującym. Wystarczy być upartym i co jakiś czas zmieniać zdanie. Wałęsa oddał taką niedźwiedzią przysługę polskiej opozycji. W tym przypadku nie chodziło nawet

o nieszczęsne sankcje — nawet cofnięte, przy niezmienionym modelu gospodarowania nie przyniosą wzrostu stopy życiowej — lecz o polityczny czas, na który przypadł apel. Podwyżki cen, zapowiedziane nie w imię wyrównania kosztów produkcji, ale w celu ponownego drenażu rynku, bez oglądania się na ogromne enklawy polskiej biedy; paranoiczny stosunek polskiej propagandy do narodu amerykańskiego; kontynuowanie stanu wyjątkowego, wzmocnione patrole ZOMO na ulicach, z psami specjalnie tresowanymi na ludzi - i nagle pojawiają się jednocześnie apele szefów KOK-u i Solidarności!!! Na co mógł liczyć Wałęsa i jego doradcy, wygłaszając tak prorządowe orędzie? Nie sądzimy, aby wystraszył się słów Jaruzelskiego które padły w Zabrze, że każdy obywatel PRL powinien być lojalny wobec rządu. Dodajmy, wobec nie swojego rządu! Nie trudno się domyśleć, jakie motywy polityczne legły u podłoża tego, według nas niefortunnego, wystąpienia. Była to nadzieja, że Czerwony po wyświadczeniu mu takiej przysługi może zgodzi się na pertraktacje z Lechem. Naiwność, która towarzyszy wielu politykom zachodnim w ich kontaktach z Europą Wschodnią, dała o sobie znać ustami polskiego przywódcy robotniczego. Doświadczenia ostatnich lat jak widać wiele nie nauczyły tego powszechnie szanowanego człowieka. Żeby nie było niedomówień, żeby nie pozostawić Wałęsie żadnego cienia złudzeń, jak zwykle pewny siebie Urban w kilka godzin po tym wezwaniu zdystansował się od wszelkich rozmów aktualnych i przyszłych z autorem apelu.

Jeżeli Stany Zjednoczone rzeczywiście zniosą sankcje i uruchomią kredyty, reżym będzie mógł pochwalić się autentycznym i chyba pierwszym zwycięstwem politycznym od dwóch lat. Tym bardziej będzie ono cenne, że zostało osiągnięte za darmo. Więzienia są pełne, stan wyjątkowy trwa, ludzie są nadal wyrzucani z pracy, stopień zniewolenia narodu wzrasta, „Solidarność” i jej przywódca są opluwani w sposób najbardziej monstrualny, a Zachód jeszcze za to wszystko zapłaci. No, takiego kasha to się komuniści nie spodziewali.

A opozycja? Sądzimy, że w imię zachowania mitycznej jedności położy po sobie uszy i to co się zdarzyło przyjmie z zażenowaniem milczeniem. Fakt, że apel ów zbiegł się z wezwaniem TKK do marszów protestacyjnych (zresztą w fatalnie wybranym terminie), będzie miało również wpływ na motywację do wyjścia na ulicę. Niestety, musimy stwierdzić, że nasze przewidywania odnośnie postawy politycznej przywódców związkowych i ich doradców sprawdzają się.

Dobre chęci nie wystarczą, trzeba jeszcze umieć myśleć w kategoriach opłacalności podejmowanych posunięć dla dobra sprawy, którą się reprezentuje. Każde słowo jest ważne, każdy moment źle wybrany na jego wypowiedzenie przynosi skutki czasami nie do odrobienia. Aby dać się zamknąć do więzień, pozwalać tłuc pałami na ulicy, trzeba wiedzieć po co, dla kogo i za co. Takim celem jest WOLNA i NIEPODLEGŁA POLSKA, a nie szukanie ugody z komunistami wtedy, kiedy oni czują się panami sytuacji. Na spektakularne z nimi kompromisy jeszcze za wcześnie. Oni, aby z nami ewentualnie rozmawiać, muszą nas się bać. Niestety, polityczne pomysły w rodzaju apelu o zniesienie sankcji komunistów nie przestraszą, co najwyżej skłonią ich do jeszcze bardziej

bezczelnych drwin. My zaś, jeśli nie możemy im zaszkodzić — to przynajmniej im nie pomagamy, bo szkodzimy wtedy tylko sobie.

Redakcja
«Niepodległość» nr 26, luty 1984, ss.1-3

Kryzys przywództwa

„Ale ja zawsze szedłem na zwycięstwo”
L.Wałęsa, 11 grudnia 1981 r.

Od początku wojny obserwujemy w opozycji polskiej kryzys przywództwa. Rozumie to już większość społeczeństwa, skoro w odpowiedzi na pytanie: „Kogo chciałbyś widzieć następcą Jaruzelskiego? — 53% odpowiada, że ktoś taki nie istnieje (ankieta „Paris Match” publikowana w „KOS”-ie). Nasi liderzy nie sprawdzają się coraz bardziej, wyraźnie bowiem nie dorośli do zadań, które postawiła przed nimi historia, a nowych przywódców nie widać.

Najbardziej znanym politykiem opozycyjnym jest Lech Wałęsa. Mimo uporczywych oświadczeń Urbana, mimo naszej krytyki, Lech Wałęsa pozostaje, dzięki środkom masowego przekazu, polską osobą publiczną nr. 1. Każdy wywiad z nim, nawet telefoniczny, natychmiast jest powielany w zachodnich radiostacjach i znany bardzo wielu ludziom w Polsce, a także zachodnim ośrodkom opiniotwórczym. Poglądy prasy podziemnej (w tym „N”) bardzo rzadko są tak szeroko propagowane. Osoba publiczna powinna pamiętać o wadze słowa, ba — nawet gestu. Należy także pamiętać, że często milczenie jest lepsze, zwłaszcza gdy nie ma się nic do powiedzenia. Wiemy wszyscy, że od 13 grudnia nie mamy pozytywnego programu działania. Lech Wałęsa zachowuje się tak, jakby o tym nie wiedział. Powoduje to katastrofalne skutki dla polskiej opozycji.

Pierwszym zarzutem, jaki stawiamy Lechowi Wałęsie, jest nieustanne „szarpanie” ludzi, zapowiadanie i wzywanie do akcji, mobilizacja, a następnie szybki odwrót, demobilizacja i pacyfikowanie nastrojów. Wałęsa uprawiając taką politykę „szarpie” wprawdzie również komunistów, ale znacznie bardziej męczy społeczeństwo polskie, powodując zniechęcenie, apatię, odwrót od opozycji i załamanie ducha oporu.

W rocznicę założenia WZZ na Śląsku Wałęsa zapowiedział swój przyjazd na zaproszenie Switonia. Oficjalnie poparł jego inicjatywę - zamówienie Mszy i manifestację — po czym Pan Mietek oświadczył, iż „samochód się zepsuł i Lech nie mógł jechać”, a wszyscy udawali, że jest to w pełni uzasadnione tłumaczenie, zapominając o pociągach, które jeszcze czasami w Polsce kursują. Podobnie Lech Wałęsa zachował się 1 maja 1983 roku: najpierw głośno zapewniał, że będzie z robotnikami, a następnie poszedł o godz. siódmej

rano na Mszę i... zamknął się w domu. Decyzję TKK o uczczeniu rocznicy Sierpnia L. Wałęsa uznał za zbyt słabą i zapowiedział swoje wystąpienie pod Pomnikiem Stoczniovców w dniu 22 sierpnia. Gdy zaś nadszedł czas, oświadczył, że rezygnuje z wystąpienia, gdyż w obecnej chwili groziłoby to mu aresztowaniem! W tym kraju wiele osób robi *rzeczy*, za które grozi znacznie więcej niż kilkudniowy areszt. Wyobraźmy sobie co by było, gdyby w 1916 roku Piłsudski oświadczył, że złoży przysięgę na wierność cesarzowi, bo nie chce iść do więzienia!

Wałęsa stale mobilizuje ludzi, stwarza atmosferę oczekiwania na hasło do walki i... wychodzi ze stoczni boczną furtką. Jeśli nie chce owego hasła rzucić, to po co mobilizuje ludzi? I dlaczego stale się wycofuje?

Wygłoszenie przemówienia pod Pomnikiem postawiłoby komunistów na z góry przegranej pozycji. Zarówno bowiem brak reakcji, jak i zatrzymanie Wałęsy byłoby dla nich porażką polityczną. Tylko rezygnacja Wałęsy z wystąpienia pozostawiała Czerwonego panem placu boju.

Jeśli komuniści mimo to atakują Wałęsę, to oczywiście nie ze względu na jego koncepcje polityczne, które są dla władz nad wyraz korzystne, ale dlatego, że w osobie Przewodniczącego chcą zniszczyć symbol niezależnego ruchu związkowego i mit „Solidarności”. Ów mit i symbol są bowiem w obecnej sytuacji jeszcze nadal niebezpieczne dla komunizmu. Czy wynika z tego, że mamy za wszelką cenę i w niezgodzie z prawdą podtrzymywać ów symbol i mit, tylko dlatego, że komuniści jeszcze się go boją?

Naszym zdaniem — nie! — gdyż na dłuższą metę nie stanowią one zagrożenia dla komunizmu i nie zniszczą go. Czerwoni uprawiają politykę przeczekiwania, gaszenia pożarów i łatania dziur, walcząc przede wszystkim z tym, co na dziś wydaje im się najniebezpieczniejsze, dając nam tym samym czas, który powinniśmy wykorzystać na tworzenie niezależnych programów politycznych — narzędzi likwidacji komunizmu i budowy niepodległego oraz demokratycznego państwa.

Naszym zdaniem autorytet bez koncepcji wcześniej czy później upadnie sam. Jeżeli jednak przedtem zrezygnujemy z tworzenia nowych autorytetów, opartych na rzeczywistym działaniu, a nie zaprzyszłych zasługach, symbole ustępując z placu boju pozostawią po sobie pustkę. Tej zaś przecież nie my chcemy, lecz komuniści.

Z odmiennego założenia wychodzi TKK, uznając za najważniejsze kryterium wysuwania haseł i celów walki ich zgodność z linią polityczną Wałęsy, aby przypadkiem nie popaść z nim w konflikt polityczny.

Jeszcze w oświadczeniu TKK z 22 kwietnia 1982 roku mogliśmy przeczytać: „Moralnym i statutowym obowiązkiem członków NSZZ 'Solidarność' jest bezkompromisowa walka o prawo do istnienia i działania Związku”. W oświadczeniu z 9 października, wydanym po delegalizacji „S”, TKK stwierdziła: „Aktami tymi Sejm pozbawił się jakiegokolwiek mandatu społecznego... NSZZ 'S' może być rozwiązany jedynie na mocy decyzji swoich członków”. Wprawdzie pojawia się pytanie, kiedy Sejm PRL nabył mandat społeczny, skoro nie został wyłoniony w wolnych wyborach, lecz w tzw.

głosowaniu, zbojkotowanym w 1980 roku przez wszystkie ugrupowania niezależne, od KSS KOR do KPN? Pomijając jednak to zagadnienie ustrojowe, stosunek do ustawy został wyrażony trafnie i jasno. Jeszcze 20 października 1982 r. członkowie TKK dobitnie stwierdzili: „Wykonując rozkaz delegalizacji 'S', Sejm dopuścił się bezprawia. Jest to akt nielegalny i nie przyjmujemy go do wiadomości. Nadal walczymy o nasze cele — o pełne prawa związkowe dla NSZZ 'S'...” I w tym momencie nastąpił przełom. W oświadczeniu z 22 listopada TKK ogłasza: „Tylko Lech Wałęsa określić może warunki, na jakich TKK - zgodnie z jego wnioskiem — podejmie decyzje o swoim rozwiązaniu”.

W wywiadzie z 1 grudnia 1982 roku Zb. Bujak powiedział: „Członkowie TKK zakładają, że swoją działalność na dotychczasowych zasadach utrzymają do chwili zwolnienia wszystkich skazanych. Do tego czasu nie przyjmujemy ujawniania się ani rozwiązania... Walka o nowelizację ustawy to z jednej strony bojkot oficjalnych i funkcjonowanie niezależnych struktur związkowych, z drugiej strony — walka na arenie międzynarodowej... stamtąd musi płynąć ostry nacisk na nowelizację”.

Okazało się więc, że ustawa, jako „akt nielegalny”, nie była przyjmowana do wiadomości, po miesiącu jednak przyjęto ją, żądając jedynie nowelizacji owego „bezprawia”.

W kilka miesięcy później - 26 maja 1983 r. - Zb. Bujak oświadczył w kolejnym wywiadzie, w odpowiedzi na pytanie dotyczące terminu ujawniania się: „Kiedy zezwolą na rejestrację innych związków zawodowych w zakładach. Pluralizm związkowy jest podstawowym celem 'S' nawet w podziemiu. Kiedy będzie możliwy, trzeba się zastanowić, czy nie czas, żeby zakończyć etap działalności podziemnej”. I żeby nie było żadnych wątpliwości — 14 lipca 1983 r. Bujak potwierdził swoje stanowisko. Na pytanie: „Czy... władze 'S' ujawnią się dopiero po ponownym zalegalizowaniu Związku?” - odpowiedział: „Wystarczy, by kontynuowanie działalności związkowej nie było karane więzieniem, co łączy się z ogłoszeniem pełnej amnestii dla więzionych i abolicji dla szykanowanych za działalność społeczno-polityczną. Dopóki to nie nastąpi, pozostaniemy w ukryciu... być może zaistnieją takie warunki, w których okaże się dla nas korzystne tworzenie od nowa naszych własnych związków zawodowych, nawet w oparciu o obowiązującą obecnie ustawę.” Półtora roku wcześniej, 25 lutego 1982 r., Zb. Bujak twierdził: „Proponowany przez rząd kształt związków zawodowych... (jest) nie do przyjęcia. Jedyne, jaka nam pozostaje, to walka o wznowienie działalności NSZZ 'Solidarność'”.

Bezprawie, nielegalny akt itp. okazały się do przyjęcia. Jest to zaprzeczenie podstawowego wymogu niezależnego ruchu związkowego, tj. jego niezależności od organizacji politycznych (PZPR — lokalnej sekcji KPZR). W listopadzie 1982 roku Temida OBA pisała: „O niezależności można byłoby mówić tylko wtedy, gdyby stworzono formalne, realne gwarancje nieingerencji organizacji politycznych. (...) Aktywność związku będzie przynosić jedynie marginalne efekty. (...) Związki nie mają według ustawy żadnych możliwości skutecznego kwestionowania decyzji administracji państwowej i gospodarczej”.

Pozostaje jeszcze wskazać autora „nowych” koncepcji. Kard. Glemp, w

wywiadzie udzielonym 26 marca 1983 r. „H Sabato” otwarcie powiedział: „... ustawa (delegalizująca „S” - red. „N”) przewiduje, że za dwa lata możliwe będą w obecnych związkach zmiany w kierunku pewnego pluralizmu. Jeśli w kraju utrzyma się pokój, jeśli uniknie się walk, istnieją możliwości odrodzenia związków pluralistycznych” (cyt. za „Ojczyzna”, katolickie pismo robotnicze).

Styczeń 1983 r. przyniósł deklarację „Solidarność Dziś”, która miała zapewne uspokoić grupy oporu w zakładach pracy i zamknąć usta krytykom TKK. *Znalazło* się w niej m. in. takie stwierdzenie: „By system władzy w Polsce zdolny był do ustępstw, ...konieczne są działania prowadzące do załamania obecnej dyktatury”. Kiedy jednak TKZ Stoczni oświadczył: „Wzywamy władze PRL do podjęcia w terminie do dnia 22 sierpnia 1983 r. negocjacji z wiarygodnym autorytetem społecznym, Lechem Wałęsą i jego doradcami”, TKK wydała 22 sierpnia komunikat, w którym czytaliśmy: „Popieramy inicjatywę TKZ Stoczni. Mimo wezwań i apeli... władze nie przystąpiły do rozmów”. Ale przecież 26 maja Zb. Bujak stwierdził: „Taka władza nie może być naszym partnerem”. Skąd więc ten żal do okupanta, że nie przystąpił do rozmów, skoro wcześniej jako cel określano „złamanie obecnej dyktatury”, a nie negocjacje! Otóż stąd, że Deklaracja („Solidarność Dziś”), podobnie jak inne bardziej sensowne oświadczenia, nie była pierwszym krokiem na drodze ewolucji samej TKK w pożądanym kierunku, lecz tylko i wyłącznie straszakiem na władze. A skoro te się nie przerażały i do Moskwy nie uciekały - ustępowała TKK.

Swoją drogą, po półtora roku wojny można by zorientować się, że czerwoni żadnych rozmów prowadzić nie będą, chyba że z PRON-em.

Podsumowując, oświadczenie TKK z 22 kwietnia w nowej wersji winno brzmieć - moralnym i statutowym obowiązkiem członków „S” jest walka o realizację nielegalnego aktu, którego uchwalenie było bezprawiem pozbawiającym Sejm mandatu społecznego; ustawy, zgodnie z którą związki nie mają żadnych możliwości skutecznego kwestionowania decyzji administracji państwowej i gospodarczej, ani realnych gwarancji nieingerencji organizacji politycznych.

Proszę wybaczyć demagogię i cynizm, ale czy za taką realizację prawa do zrzeszania się w związkach zawodowych zginęli obrońcy „Wujka”, Bogdan Włosik i tylu, tylu innych.

Niestety, sprawdziła się diagnoza, którą postawiliśmy w listopadzie 1982 r.: „... czerwoni mogą spać spokojnie. Podziemna 'S' opanowana przez proroków porozumienia z komunistami, niezdolna do całkowitego z nimi zerwania (zanegowania prawomocności socjalistycznego ustroju, konstytucji, prawodawstwa itp., jako nie pochodzących z woli narodu lecz ZSRS), teraz zostanie całkowicie obezwładniona przez siły ugodowe i ka-pitulanicke. „S” zabrnęła w ślepią uliczkę i nie stanie się niestety „ośrodkiem krystalizacji idei i postaw skierowanych przeciwko ideologii komunistycznej”. Ruchy, które będą dojrzewały pod względem programowym, czego tak boją się komuniści, działać będą zupełnie niezależnie od ideologicznie spacyfikowanej (po zwolnieniu Lecha) „S”.

Pozostaje jeszcze pytanie o przyczynę kapitulacji. Wybitny sowietolog francuski A.Besançon, zapytany o największy błąd „S”, odpowiedział: „Wydaje się, że zamierzając dokonać rewolucji nie mówiąc o tym, zamierzając zepchnąć państwo diamentu nie nazywając go po imieniu, nie wskazując nicości socjalizmu, podejmowano ryzyko wprowadzenia zamętu w umysły. Ryzyko dezorientacji mas, do których się odwoływano”. Ze strachu przed zakwestionowaniem komunizmu uprawomocniano go, traktowano sowiecką władzę jako partnera, jak normalną władzę, a nie jako całkowite zło i kłamstwo, obecny zaś ustrój w zasadzie jako coś dobrego, a nie jako najgorszy z systemów. W ten sposób współuczestniczono w kłamstwie. Przed 13 grudnia była to jednak tylko jedna tendencja w „S”. Po tej dacie stała się jedyną. Po 13 grudnia przywódcy „S” którzy ocaleli z pogromu doszli do wniosku, że kryterium wysuwanych żądań powinien być ich realizm. Realistyczne zaś jest tylko to, co mogą zaakceptować komuniści. Im więc niniejsze żądania, im bardziej minimalistyczne cele, tym bardziej realne. Komuniści takie rozumowanie wykorzystali i czekają, dozując represje oraz dając jasno do zrozumienia za każdym razem, że stanowisko TKK jest jeszcze nie dość realistyczne. Komuniści przekonali doradców i członków TKK oraz wielu, zbyt wielu Polaków, że ich władzy, raz ustanowionej, obalić się nie da. A skoro nie można jej obalić, pozostaje tylko wywierając naciski modyfikować ją i samemu dostosowywać się do komunizmu. I nasi przywódcy dostosowują się. Wysunięcie hasła obalenia ustroju komunistycznego i likwidacji sowieckiego poddaństwa początkowo byłoby równie nierealistyczne jak program porozumienia, ale stwarzałoby perspektywę na przyszłość, dokonując rewolucji w skomunizowanych umysłach Polaków. Jak powszechne jest owo skomunizowanie, tj. przekonanie o niemożności obalenia ustroju sowieckiego, świadczą audycje RWE.

Przykładem szkodliwej dla sprawy niepodległości propagandy politycznej mogą być tzw. dyskusje okrągłego stołu. 8 września 1983 roku, po zapewnieniach dyr. Najdera, że dyskutanci różnią się w swych poglądach, mogliśmy usłyszeć kilka „śmiałych” politycznie uwag: T.Nowakowski stwierdził odkrywczo: „porozumienie jest konieczne”, P.Jarecki ostro sprzeciwił się i stanowczo oświadczył: „trzeba znaleźć jakiś kompromis”, a W.Wróblewski dodał: „byłoby dobrze, gdybyśmy wybrali wariant apelowania do władz”. Cóż za rozbieżność poglądów! A jaki bogaty i różnorodny wachlarz postaw! A ile spornych kwestii: porozumienie, apelowanie, kompromis, a może samobatożenie?

Cóż zaś najbardziej cieszy panów Nowakowskiego i Najdera? Otóż to, że „krzykliwi” zwolennicy wysuwania hasła obalania komunizmu „to bardzo nieliczna grupa i pozbawiona wpływu na kształtowanie opinii publicznej” i że „teraz jakby przycichli”.

Nieładnie Panowie wmawiać społeczeństwu, które w 85% opowiada się przeciwko porozumieniu z komunistami, że jego poglądy reprezentują ludzie,

których koncepcje kompromisu popiera jedynie 5,5% (patrz ankieta „N” nr. 21/22). RWE powinna do owej krzykliwej grupki zaliczyć np. TKZ „S” Ursusa, gdyż w ulotce z 5 sierpnia 1983 r. czytamy: „nie uznajemy narzuconej nam władzy, a jej ideologię uważamy za wroga”, oraz — „Wspierać będziemy wszelkie ruchy sprzyjające wyzwoleniu Ojczyzny spod obcej dominacji”, a więc owe „krzykliwe grupki”. Podobnie RWE naraziłoby się „Słowo Podziemne” z dn. 19.08.1983 r., gdyby redaktorzy w Monachium je znali. Zacytujmy fragment: „Jeśli chcemy jako społeczeństwo uratować i odrodzić swe możliwości rozwoju kulturalnego i gospodarczego, musimy sobie powiedzieć jasno i wyraźnie, że ani związki zawodowe (z „Solidarnością” włącznie), ani Kościół nie mogą Polakom trwale zastąpić normalnych reprezentacji politycznych. Nadszedł dziś czas ich narodzin, czas powstawania konkretnych partii, programów i ruchów, tworzenia zarysów przyszłego ustawodawstwa oraz planów reform ustrojowych, gospodarczych i społecznych”.

„Solidarność” od dawna już należy do przeszłości jako skuteczne narzędzie walki z komunizmem, ale do przyszłości należy solidarność wszystkich niepodległościowych kierunków politycznych. I to jest — naszym zdaniem — poszukiwana przez wszystkich droga wyjścia z impasu.

Antoni Wichrzycki

«Niepodległość» nr 21-22, wrzesień-październik 1983, ss.3-4; nr 24, grudzień 1983, ss.1-3

Myśl polityczna zamiast terroru - w odpowiedzi na list

(...) Niewątpliwie terror rzeczywiście odcisnąłby silne piętno na świadomości zarówno komunistów, jak i całego społeczeństwa. Czy byłby to jednak proces pozytywny, a więc czy przemiany przybiorą naprawdę ten oczywisty dla autora listu kierunek — ośmielam się wątpić. Przykład wielu krajów wskazuje, że terroryzm wzbudza obawy w dużej części społeczeństwa, popychając ją w kierunku twardych rządów centralnych. Czy w Polsce taki wariant jest niemożliwy? Może jednak warto rozważyć taką ewentualność, zanim się wezwie do zbrojnego terroru? Nie tylko ta wątpliwość sprawia, że pismo nasze jest zdecydowanie przeciwne tego typu metodom walki. Żeby nie było nieporozumień, nasz sprzeciw nie wynika z pobudek moralnych — lecz z pragmatyzmu.

Argument pierwszy. Jak w starej anegdocie — po pierwsze nie ma armat. Polska jest pełna terrorystów-gawędziarzy, którzy podobnie jak nasz autor listu krzyczą: do komunistów trzeba strzelać! Co jakiś czas słychać także wieści: ktoś tam ukradł ciężarówkę karabinów, gdzieś tam rozbrojono posterunek; zawsze okazuje się to plotką. Chętnych do kibicowania terrorystom nie brakuje, gorzej jest jednak (chwała Bogu) z wykonawcami. Przykład Grodziska jest żalony.

Argument drugi. Terroryzm wymaga odpowiedniego przeszkolenia i wyposażenia technicznego. W krajach zachodnich, gdzie kontrola nad społeczeństwem jest znacznie mniejsza, a granice państw łatwe do przekraczania, nie ma z tym wielkiego problemu. Jednak i tam terroryzm często inspirowany jest przez obce państwa. Obozy terrorystów znajdują się w niektórych państwach arabskich, w Korei Północnej, a być może także w niektórych europejskich krajach komunistycznych. Państwo totalitarne dysponuje możliwościami kontroli bez porównania większymi od demokracji zachodnich. Jak na razie, w żadnym kraju totalitarnym nie rozwinęła się nigdy szersza działalność terrorystyczna. Walka przeciw Niemcom hitlerowskim nie może zostać uznana za precedens. Terror antyhitlerowski był przedłużeniem wojny toczonej przez Europę z Niemcami, dysponował też zapleczem w krajach wolnych. Podobne warunki w żadnym wypadku nie mogą się powtórzyć w Polsce A. D. 83. Mówiąc o terroryzmie z reguły ma się na myśli browning z 1905 roku. Współczesny terroryzm, by walczyć z państwem, wykorzystuje zdobycze techniczne absolutnie niedostępne w Polsce.

Argument trzeci. Historia zna bardzo niewiele przykładów sukcesu taktyki terroru indywidualnego. Metoda ta jest od 200 lat stosowana przez różne radykalne ruchy społeczne, lecz bardzo rzadko przynosi skutki zgodne z ich oczekiwaniami. Jednym z nielicznych pozytywnych przykładów jest uzyskanie niepodległości przez Algierię. Główną metodą Armii Wyzwolenia Narodowego były zamachy terrorystyczne. Po blisko 10 latach akcji Francuzi ustąpili i w Evian zawarli układy pokojowe, przyznając Algerii niezawisłość. Szczerze mówiąc, trudno byłoby znaleźć drugi przykład uwieńczenia terroryzmu podobnym sukcesem. Analizując go, łatwo możemy dostrzec różnice między tamtą sytuacją, a obecną w Polsce. Demokracja francuska nie była przygotowana do eskalacji działań skierowanych przeciwko algierskiemu terroryzmowi, co groziło jej przemianą w dyktaturę. Z drugiej strony utrata Algerii, aczkolwiek bolesna, nie oznaczała końca ani Francji, ani jej gaullistowskiego rządu. De Gaulle mógł zgodzić się na podpisanie układu pokojowego i przetrwać. Komuniści w Polsce grają o wszystko, ich determinacja będzie więc bez porównania większa. To nie terroryści wyzwolili Algier, ale Francuzi po prostu doszli do wniosku, że trwanie w Afryce Północnej za dużo ich kosztuje. Dla komunistów nie ma zbyt wysokiej ceny za sprawowaną władzę.

Argument czwarty. Terroryzm, ze względu na swą specyficzną organizację, łatwo ulega degeneracji. Nie może być kontrolowany przez reprezentatywne ciała społeczne, dysponuje środkami zabijania. Zagrożają mu więc — prowokacja władz i przemiana w bandytyzm.

Patologie te występowały nawet w czasie II wojny światowej. Później, w miarę uświadamiania sobie beznadziejności konspiracji zbrojnej i utraty bazy społecznej, zjawiska choroby w zbrojnym podziemiu stały się powszechne. UB penetrował oddziały leśne, te zaś często zbliżały się do pospolitego bandytyzmu. Podobnych przykładów ruch terrorystyczny zna wiele w swej historii.

Podsumowując nasze rozważania o terroryzmie, musimy powiedzieć: terroryzm jest mało skutecznym środkiem w walce o cele polityczne. Można dzięki niemu osiągnąć tylko cele cząstkowe (np. terroryzm palestyński sprawił, że tzw. kwestia palestyńska nie schodzi z łam gazet, jest też problemem międzynarodowym bez porównania większym od ilości Palestyńczyków), niezmiernie rzadko pozwala jednak zrealizować cele ostateczne, które terroryści sobie stawiają.

Prowadzenie skutecznej akcji wymaga supernowoczesnego sprzętu technicznego. Terroryzm boleśniej uderza w demokracje niż w kraje totalitarne. A ponadto, im mniej realne jest spełnienie celów stawianych przez ruch, tym mniejsza baza społeczna i większe zagrożenie patologiami.

Polsce potrzebna jest zamiast bezrozumnego czynu mądra myśl polityczna. Żaden ruch zbrojny jej nie zastąpi. Działanie bowiem musi zostać poprzedzone świadomą refleksją, programem, który wytyczy jego kierunek. Ten ostatni nie jest wcale tak oczywisty, jak myśli autor listu, a wraz z nim zapewne wielu innych naszych czytelników. Chwila obecna uniemożliwia przeprowadzenie zdecydowanych, widowiskowych akcji antyrządowych. Żadna grupa podziemna nie ma dość sił, by porwać robotników choćby do większego strajku, nie mówiąc już o wystąpieniach zbrojnych. Nie jest to jednak przygnębiające. Naprawdę groźna jest apatia ludzi i ich polityczna nieokreśloność. To właśnie nasze pismo pragnie zmieniać. Uważamy, że uznanie problemu niepodległości za centralne zagadnienie polityczne pozwoli zmienić świadomość i to w kierunku przez nas planowanym. Pragniemy, by dokonała się strukturalizacja polityczna, najpierw podziemia, a następnie głównych grup społecznych. Pragniemy, by rozwijała się niezależna od komunistów myśl polityczna. Dlatego wydajemy nasze pismo, dlatego działamy politycznie. Rozwój myśli politycznej nie może następować w cichych i bezpiecznych gabinetach naukowców, lecz jedynie w ruchu, w ścisłej łączności z praktyką, poprzez spory, które prowadzi ze sobą podziemie, poprzez błędy i klęski. Musi ona zaowocować, jak Sierpień był wynikiem niezależnych myśli i działań lat 70-tych. Jesteśmy bogatsi o doświadczenia tych lat: o Sierpień, Grudzień i 20 miesięcy po nim. Tego bagażu nie wolno nie doceniać. Nie wolno powracać do koncepcji, które już wielokrotnie poniosły klęskę. Najważniejsze zaś — trzeba być cierpliwym i rozumieć sens tego co się robi. Dla niecierpliwych polecam psychozabawę: czy Twoje poglądy polityczne, Twoja wiedza o historii najnowszej, Twoje rozumienie obecnego świata są takie same jak przed 5-ciu laty? Zastanów się, co się w nim zmieniło i jakie czynniki na to wpłynęły. Będziesz miał odpowiedź na pytanie, czy cała działalność niezależna od Czerwonego miała jakiś sens, czy nie.

Jeżeli uwierzymy, że niepodległa Polska jest realna, że jej dożyjemy, musimy myśleć o tym, jak ją urządzić. Musimy przy tym uwzględniać doświadczenia, także negatywne, których było zapewne więcej w historii ostatnich stu lat, aby anachroniczne spory nie naraziły nas na kolejne klęski i pośmiewisko Europy. Konieczne jest także przygotowanie kadr politycznych dla kraju. W 1918 roku kadry rekrutowały się spośród niezależnych polityków

działających w legalnych i demokratycznych parlamentach krajów zaborczych. Wiadomo, że próżni nigdy nie będzie. Nie wątpię, że w momencie odzyskania niepodległości wielu ludzi poczuje w sobie wolę Bożą męża stanu. Chodzi jednak o to, by nie byli to ludzie przypadkowi, by posiadali, poza nazwiskami i wyrokami przesiedzianymi w komunistycznych więzieniach, także programy polityczne, a społeczeństwo mogło identyfikować się z ich programami (1. mn.), nie zaś jedynie z symbolami noszonymi przez tych polityków. Do tego potrzebna jest także dzisiejsza działalność. Chodzi o rzecz znacznie ważniejszą niż ukatrupienie w bramie zomowca, chodzi o włączenie się Polaków do grona cywilizowanych państw.

Franciszek Sz.

«Niepodległość» nr 23, listopad 1983, ss.21-23

Fenomen

(...) Zanim dojdzie do jakiegokolwiek konfrontacji, muszą wcześniej powstać załączki władzy narodowej. Do tego potrzebny jest pluralizm polityczny, polegający na pluralizmie partii i programów politycznych. Aby powstały partie, konieczna jest dyskusja polityczna i spory ideowe o przyszłą Polskę. Wówczas Wacek i Franek odnajdą te idee i wartości (najprawdopodobniej każdy inne), dla których będą gotowi pójść do więzień i na barykady.

Zatem pierwszą i podstawową płaszczyzną konfrontacji z komunizmem jest walka o świadomość polityczną i odrodzenie życia politycznego. I w tym sensie jesteśmy zwolennikami natychmiastowej konfrontacji z komunizmem! My świadomości komunistycznej pozbyliśmy się już dawno. Otwarcie i jasno określamy więc nasz stosunek do okupanta i ideę, dla której z nim walczymy. Nie kryjemy się, że idzie nam o obalenie komunizmu, gdyż nie mamy mentalności chytrego niewolnika, który chce oszukać swego pana (może zawrzemy porozumienie lub rozejmik?) lub zmienić na lepszego (zwrócimy się bezpośrednio do Kremla), ale jesteśmy ludźmi wolnymi, którzy walczą o pozbycie się pana, i dlatego formułujemy nasze cele jasno i otwarcie.

Co się zaś tyczy manifestacji, to nawet gdyby w przyszłości miały spełnić swe zadanie szarpania władzy, musiałyby przekształcić się w rozruchy. Warunkiem jednak jest znów uzyskanie przez ich potencjalnych uczestników świadomości politycznej i odnalezienie idei, dla której gotowi są walczyć i ginąć. Idea - „żeby była Solidarność”, albo - „żeby nie było komunistów”, jest tylko mamiącym pozorem.

Antoni Wichrzyciel

«Niepodległość» nr 20, sierpień 1983, ss.6-7

Moje umiarkowane zdanie - odpowiedź na list

Po pierwsze, nie jest prawdą, że linię podziału na opozycję solidarnościową i niepodległościową wytycza odpowiedź na pytanie: „Bić się czy nie bić?”, ale jeżeli już w ogóle bić się (i ginać), to za co? Czy za prawo do noszenia znaczka, czy może za coś więcej? Linię podziału wytycza sformułowanie celu walki: jakakolwiek ugoda na jakichkolwiek warunkach, czy walka o niepodległą i demokratyczną Rzeczpospolitą Polską?

Po drugie, chcielibyśmy wiedzieć, jakie to sukcesy odniosła opozycja solidarnościowa? Że przetrwała - niepodległościowa również. Tylko że ta pierwsza w znacznie gorszej kondycji. Zarzut, iż opozycja niepodległościowa „wycofuje się jedynie z niesłusznych koncepcji dróg” prowadzących do niepodległości, jest po prostu nieprawdziwy. Chyba, że Autorka listu do redakcji ma na myśli naszą koncepcję przekształcenia podziemnej „S” w wielopartyjne porozumienie niepodległościowe. Tylko że myśmy się z niej nie wycofali. Koncepcja ta została w praktyce odrzucona (kompletnie zignorowana) przez orientację solidarnościową. Fakt zaś, że po dwóch latach opozycja solidarnościowa zrezygnowała z palenia świeczek i publicznego noszenia znaczków jako podstawowych form walki i zaczyna myśleć o prowadzeniu walki politycznej świadczy, iż opozycja niepodległościowa, zorganizowawszy wprawdzie mniej manifestacji i żadnej spółdzielni, wywarła istotny wpływ na rozwój niezależnej świadomości.

Po trzecie, nie jest prawdą, że opozycja niepodległościowa nie podejmuje działań. Wydawanie prasy, jej kolportaż, tworzenie siatki organizacyjnej itp. jest działaniem ważniejszym niż zbieranie składek lub zakładanie „tajnych” przedszkoli, co oczywiście nie oznacza, że to ostatnie jest niepotrzebne. Powszechny pogląd, jakoby wydawanie jakichkolwiek pism miało taką samą wartość w walce z czerwonymi jest mylny. Wartość zależy bowiem od zawartości owych pism, tj. od głoszonych przez nie poglądów, koncepcji, wartości. Czy Autorka uważa, że „Biuletyn Informacyjny Regionu Ziemi Łódzkiej”, przekonywujący w nr. 52 swoich czytelników, iż junta skompromitowała się, ponieważ nie zaprowadziła w Polsce prawdziwego socjalizmu, ma taką samą wartość dla rozwoju świadomości politycznej, jak np. „N”?

Znajdujemy się nadal na pierwszym etapie polityzacji społeczeństwa i zanim go nie zakończymy, tzn. zanim nie powstanie pluralistyczny system partii politycznych, by ludzie wiedzieli o co mają walczyć, działania nasze będą z konieczności ograniczały się do produkowania bibuły.

Po czwarte, do niepodległości z pewnością wiedzie wiele dróg, ale są takie, które prowadzą donikąd — ugodowcy i tzw. realiści (za cara zwano ich lojalistami) mogą być co najwyżej *poputczikami* — współtowarzyszami okupanta, nie oferują zaś innej, alternatywnej koncepcji zmierzającej ku wolnej Polsce.

Po piąte, uważamy, że zarzut tchórzostwa, czyli strachu przed wzięciem

na siebie odpowiedzialności za pewne decyzje lub strachu przed większym narażeniem się czerwonym, jest zasadny.

Po szóste, życie nie jest największą wartością. Gdyby nią było, Polacy nigdy nie broniliby się przed żadnym najazdem. Prymas wymyślił teorię życia jako najwyższej wartości, gdyż potrzebował jakiejś moralnej osłony i podbudowy dla swej polityki paktowania z Czerwonym (dawniej mawiano - diabłem). Tę teorię przejmują i żonglują nią ludzie słabi, ogłupieni bądź niemądrzy z natury. Nigdy nie byliśmy zwolennikami powstania już jutro. Stale podkreślamy jedynie, że jeżeli manifestacje mają mieć sens, to nie można przyjmować jako zasady rezygnacji z obrony własnej i innych. My potępiamy właśnie rezygnację z obrony — wychodzenie dupą do przodu — wynikające z przeświadczenia, że jeżeli damy się pobić, to będą bili mniej, niż gdybyśmy się bronili i stłukli ich. Czekają nas „nauka prowadzenia polityki w warunkach użycia siły” — jak pisał M.Po-leski. Zgadza się z nim i usiłujemy świadomościowo przygotować ludzi na tę naukę.

Po siódme, jak dotychczas praktyka wykazała, że to opozycja solidarnościowa buja głową w chmurach, żadna bowiem jej koncepcja nie sprawdziła się. Niepodległościowcy natomiast mozolnie lecz stale rozwijają życie polityczne. To jest obecnie nasze najważniejsze zadanie, gdyż inaczej wolnej Polski doczekają być może nie Polacy, lecz tylko polscy Sowieci.

Redakcja

«Niepodległość» nr 20, sierpień 1983, ss.25-26

Co robić?

Wiele osób przeżywa obecnie okres zagubienia i zwątpienia. Nie wie co robić, skoro wiele form działania, symbolicznych i pozorowanych (strajk 60 sekundowy, strajk tajny - żeby nikt nie wiedział, że strajkujemy itp.) uległo kompromitacji. Tym osobom chcemy zaproponować „coś do robienia” na obecne czasy. Uważamy po prostu, że owo „robienie” polega na dziś na myśleniu — dyskusowaniu — krytyce — pisaniu. Naszą propozycję spróbujemy wyjaśnić poniżej.

W 1956 roku hasłem opozycji była naprawa socjalizmu, który się „wypaczył” (te miliony pomordowanych), formą działania zaś — tworzenie rad robotniczych w zakładach pracy, walka grupy „prawdziwych” socjalistów, czyli reformatorów, o stanowiska wewnątrz partii, oraz podjęcie ograniczonej współpracy z systemem przez niezależnych katolików. Oczywiście znalazły się w szeregach opozycji grupy uważające, iż celem walki powinno być obalenie komunizmu. Ale miały one znaczenie marginalne i szybko zostały zakrzyczone. Powszechnie aprobowano wówczas represje wobec nie-komunistów. Większość opozycji walczyła o prawo do swobód dla grup opowiadających się w zasadzie za systemem, który jest z gruntu dobry. I co działo się dalej?

Otóż przez 14 lat (1956-1970) naprawiano socjalizm. W 1966 roku naczkę otrzymał Kościół, który ustami Prymasa Wyszyńskiego wezwał w 1957 roku do głosowania bez skreśleń, w 1968 roku — socjaliści czno-reformistyczna inteligencja, a w 1970 — robotnicy.

Z jakimi hasłami wystąpili robotnicy Wybrzeża w 1970 r., czego chcieli, do czego dążyli? Transparent wywieszony w Stoczni Warszawskiej głosił: „Nasz strajk jest strajkiem ekonomicznym, nie politycznym”. Po 14 latach więc podjęto te same hasła co w 1956 roku; znów chciano polepszać socjalizm i życie w socjalizmie. Przez 14 lat na płaszczyźnie politycznej społeczeństwo nie podjęło samodzielnych działań. Dlaczego? Dlatego, że przez te 14 lat marnowano czas na dyskusje: „Czy socjalizm jest reformo-walny, co w nim zreformować można, a co trzeba?”

Przez cały czas zatem elita — ta znacząca i słyszalna w kraju i zagranicą - przyjmowała za punkt wyjścia obecny ustrój. Mogła więc się poruszać tylko w jego ramach i spekulować na walkach wewnątrz-partyjnych.

Jeśli bunt robotniczy 1970 r. został politycznie obezwładniony, to dlatego, że ludzie atakujący czołgi i komitety nie wysuwali hasła walki z komunizmem. Tego zaś nie mogli uczynić, gdyż wcześniej — w ciągu owych 14 lat — nikt nie uświadomił takiego celu społeczeństwu, nikt o nim głośno nie dyskutował.

W 1970 r., podobnie jak w 1956, partia miała pełną kontrolę nad ruchem; co więcej, wiele osób nadających kierunek buntowi (w 1970) działało w porozumieniu z frakcjami partyjnymi. Nic dziwnego, że wobec ta-kiedy stanu umysłów i dzięki pieniądzom kapitalistów, Gierkowi udało się przekupić społeczeństwo. Po pięciu latach (1976 r.) przyszło jednak otrzeźwienie.

Porównajmy teraz, jak zmieniły się poglądy Polaków, a z nimi cele, do których dążyli w latach 1956-70 i 1976-80. O ile w pierwszym okresie nie nastąpiły praktycznie żadne zmiany, a triumf święcił zastój umysłowy, o tyle w ciągu czterech lat działalności jawnej opozycji dokonaliśmy ogromnego skoku. Jeśli w 1980 roku strajkująca Polska nie wysuwała już hasła naprawy partii komunistycznej, lecz tworzenia organizacji z samej definicji niezależnej od systemu (akurat pod firmą Wolnych Związków Zawodowych), i dopiero później, po wymuszeniu na komunistach ustępstw, dogadania się z nimi — to zawdzięczamy to intensywnemu myśleniu, dyskusowaniu i pisaniu w latach 1976-80. To co wówczas pisano zdecydowało o tym, o co w roku 1980 walczone.

Jednakże rozwój polityczny społeczeństwa nie skończył się na myśli (ugoda — kompromis) i formach organizacyjnych („Solidarność”) roku 1980; podobnie jak wcześniej nie zatrzymał się na zawsze na osiągnięciach roku 1956 (reformizm w partii i rady robotnicze). Na wydarzenia Października i Sierpnia należy patrzeć z perspektywy historycznej i traktować je jako pewien zamknięty już etap dojrzewania politycznego - zbierania doświadczeń w walce z komunizmem. Dla ludzi roku 1956 takim doświadczeniem były rady robotnicze.

Czy to oznacza, że mieliśmy już do końca komunizmu walczyć o ich utworzenie? Kiedy rady stały się nieskutecznym narzędziem walki z systemem,

zostały zapomniane i w roku 1980 nikt już do nich nie nawiązywał. Przypomnijmy, jak opornie szła sprawa samorządów wzorowanych przecież na radach. W 1980 r. stworzono o wiele lepszy instrument — „Solidarność”. Ale z czasem i on okazał się już nieskuteczny w walce o obalenie ustroju, choć może mu nadal szkodzić. Czy to znaczy, że mamy już raz na zawsze pozostać na etapie roku 1980 i zrezygnować z konstruowania kolejnego, a raczej kolejnych, jeszcze lepszych narzędzi zdolnych do likwidacji komunizmu? Oczywiście, że dla przeciętnego Polaka, który dzięki „Solidarności” poczuł się obywatelem, człowiekiem o takich samych prawach jak każdy inny, jednostką wartościową, organizacja ta stała się symbolem wszystkiego co najlepsze. Widzi on w „Solidarności” Polskę, a nie jedno z narzędzi walki o nią. Polityk jednak nie może tkwić w mitach, gdyż polem jego walki jest rzeczywistość — komunizm, nie zaś mitologia społeczna.

Równocześnie ze zmianami na płaszczyźnie organizacyjnej postępowała, choć powoli, ewolucja myśli politycznej. W latach 1956-70 chciano naprawić socjalizm. W 1980-81 r. chciano już go podkopać, ale niestety tylko częściowo, aby następnie z tak osłabionym zawrzeć ugodę. Czy znów mamy zatrzymać się w myśleniu i przez najbliższe sto lat pleść *koszałki-opałki* o dialogu i ugodzie? RWE może do woli apelować do komunistów, gdyż nadaje z Monachium, ale my mieszkamy w Polsce i następnych 40 lat przodującego ustroju ani chybi nie przetrzymamy. I oto dochodzimy do sedna sprawy. Nie wiemy, czy najbliższa konfrontacja z okupantem nastąpi w roku 1986 czy w 1996, ale o tym, jakie będą jej cele i formy organizacyjne, zadecydujemy teraz. Od tego, czy przełamiemy zastój umysłowy panujący w solidarnościowej bibule zależy, czy rok, powiedzmy, 1986 będzie powtórzeniem 1980, w takim sensie, w jakim 1970 był powtórzeniem 1956, czy też stanie się czymś nowym, podobnie jak nowym był Sierpień 1980.

W tym miejscu wydaje się niezbędne ponowne określenie naszego stosunku do dorobku myśli korowskiej i jej szczytowego osiągnięcia — koncepcji społeczeństwa podziemnego. Podkreślmy, że popieramy wszelkie działania samopomocowe (np. zbieranie składek i udzielanie zapomóg). Podstawą trwałości komunistycznej władzy jest bowiem niszczenie więzi społecznych, doprowadzenie do sytuacji, w której każdy boi się każdego (por. ZSRS), a więc przygotowanie zbiorowego oporu jest niemożliwe. Przykładowo, w Czechosłowacji prawie każdy słucha Głosu Ameryki, ale nikt nie przyzna się do tego przed znajomym lub sąsiadem, nie przekaże żadnej informacji, a co najwyżej zacytuje „Rude Pravo”. Przeciwnicy komunizmu którzy nie potrafią nawiązać ze sobą kontaktu nie są groźni dla systemu. Nie wynika z tego jednak, że odbudowanie więzi społecznych jest równoznaczne z obaleniem ustroju, jak wydaje się teoretykom grup towarzyskich i akcji samopomocy. Więż społeczna umożliwia budowę i funkcjonowanie kanałów informacyjnych i łączności wewnątrz społeczeństwa, ale to stworzy jedynie warunki, w których dopiero możliwe będzie podjęcie działalności politycznej. Wcześniej nie można jej prowadzić, gdyż trudno sobie wyobrazić obieg myśli wśród poddanych, którzy nie mają ze sobą żadnej łączności. Tylko działalność polityczna przygotowuje

świadczeniowe, a opozycyjna elita organizacyjnie, społeczeństwo do likwidacji obecnego ustroju.

W Polsce jednak, dzięki „Solidarności”, więzi społeczne zostały w dużej mierze odbudowane. Dlatego nieporozumieniem, wręcz poważnym błędem, jest:

1. Zatrzymanie się na etapie działań społecznych i traktowanie działalności społecznej jako najlepszego moralnie, politycznie i taktycznie sposobu walki z komunizmem, sposobu posiadającego wyższość nad działaniami politycznymi, w pełni zaspakajającego wszelkie potrzeby społeczeństwa i opozycji.

2. Świadome głoszenie hasła zastąpienia działań politycznych - społecznymi.

3. Traktowanie działań społecznych nie jako metody pomocnej przy tworzeniu więzi społecznych, lecz jako rzeczywistego i skutecznego sposobu rozwiązywania aktualnych problemów. Przykładowo, załatwienie prywatnych wczasów dla 200 rodzin robotniczych u 200 rodzin chłopskich służy nawiązaniu łączności, wymianie poglądów i doświadczeń, ale taka organizacja wczasów w komunizmie nie rozwiąże problemu wypoczynku rodzin robotniczych. Do tego potrzebna jest zmiana warunków ustrojowych — złamanie monopolu państwa, czyli likwidacja komunizmu.

Niestety, jak się wydaje, wyżej wzmiankowane błędy stanowią nieuleczalną chorobę opozycji solidarnościowej. Zmarnowała ona już dwa lata na odgrzewanie starych pomysłów, niektórzy cofnęli się nawet do lat swojej młodości — do roku 1956! Podkreślmy jeszcze raz: nie tędy droga! To, o czym będziemy myśleć, dyskutować, pisać w latach 1983-85, zadecyduje o tym, jak i o co będziemy walczyć w roku 1986.

Kolejny problem możemy sformułować następująco: O czym mamy myśleć? Z kim i jak dyskutować?

Myśleć powinniśmy o wolnej Polsce. Jest to większa wartość niż „Solidarność”, rady robotnicze, ustawy o samorządach, cenzurze czy szkolnictwie wyższym w brzmieniu przedgrudniowym. W sferze myślenia jest najwięcej do zrobienia, ponieważ przyszłe cele, rozwiązania polityczne, gospodarcze, społeczne, obraz przyszłych stosunków krajowych i międzynarodowych, o które warto walczyć, muszą najpierw powstać w umysłach, tj. muszą zostać uświadomione.

Na drwiny Rakowskiego o walce o Kijów należy odpowiedzieć zdobyciem Kijowa i zdruzgotaniem Moskwy - ale myślą, głową. Cóż zrobiła opozycja polska do tej pory, by uświadomić Polakom potrzebę sojuszu z Ukrainą, zapoznać z jej historią i problemami? Dosłownie nic. A co zrobiono, by uświadomić Polakom potrzebę i konieczność istnienia niepodległej Białorusi? A sprawy litewskie, czeskie, słowackie? Jak mamy tworzyć program rozkładu imperium sowieckiego, skoro w ogóle nie poruszamy tak istotnych, a przecież wstępnych kwestii, tylko skarżymy się, że czerwoni nie przestrzegają ustawy o cenzurze! A wystarczyłoby tylko trochę odwagi pisania na tematy, które inni boją się poruszać.

A cóż zrobiła opozycja polska, by uświadomić Polakom, jak powinny wyglądać stosunki gospodarcze, polityczne i społeczne w normalnej, tj. kapitalistycznej Polsce? Po cóż społeczeństwo polskie walczyć ma o wolną Polskę, skoro nie wie jaką ona będzie lub wyobraża sobie, iż będzie to dobry komunizm (Wałęsa zamiast komunistów); państwo, które rozwiąże wszystkie problemy: da, zapewni, zabezpieczy, uwolni, itp.

Z kim jednak o tym wszystkim dyskutować? Jedno jest pewne: kto chce wolnej Polski - nie dyskutuje z komunistami, gdyż na ten temat nie mają oni nic do powiedzenia. Czym zaś zajmuje się większość pism opozycyjnych? Przede wszystkim nieustannymi narzekaniami na wiarołomstwo (zlikwidowali „S”, a nie odwiesili, jak obiecali 13 grudnia, nie przestrzegają ustawy o cenzurze, samorządzie, itp.), złą wolę (nierealizowanie porozumień gdańskich, złą realizację ustawy o nowych związkach zawodowych), nieudolność (przede wszystkim gospodarczą), nieszczerłość (mówią o porozumieniu, a nie chcą się z nami porozumieć) itp., itd. I to się nazywa krytyką komunizmu.

O czym ma jednak dyskutować z czerwonymi ktoś, dla kogo komunizm jest jedynie eksponatem w Muzeum Zbrodni? Otóż niepodległościowiec będzie dyskutował tylko z innym niepodległościowcem; trudno przecież, żeby o model wolnej Polski kłócił się z jej wrogami. Nie będzie on też tracił czasu na ktytykę np. paragrafu 125 zarządzenia 594 władz okupacyjnych, skoro odrzuca cały system. Po prostu komunizm nie może być dla nas partnerem. Pozostają zatem spory i dyskusje we własnym gronie. Ale ci inni z opozycji demokratycznej, aby można było z nimi dyskutować, muszą mieć własne poglądy. Większość opozycji takich poglądów jednak nie posiada, gdyż jej celem nie jest wolna Polska, lecz jedynie Polska ugody z komunistami. Ta druga perspektywa zwalnia oczywiście z konieczności wypracowania sprecyzowanych idei odnoszących się do gospodarki czy polityki międzynarodowej.

Wielu stawia jednak pytanie: „Po co mamy się spierać między sobą, skoro komuniści nas atakują? Trzeba się jednoczyć, a nie dzielić!” Słusznie, ale zjednoczenie wcale nie oznacza poniesienia sporów czy dyskusji. Zjednoczeni musimy być wobec komunistów, tzn. np. nie wchodzić do PRON-ów, nie tworzyć nowych związków zawodowych w oparciu o ustawę z 8 października, nie występować w TV, nie wchodzić w żadne układy z okupantem. Gdyby natomiast owych sporów, dyskusji i krytyk wewnątrz opozycji nie było, społeczeństwo nie uzyskałoby nigdy świadomości politycznej. Przykładowo, cieszymy się z nagrody Nobla dla Lecha Wałęsy, uważamy to za duży sukces jego i Polski. Na Nobla L. Wałęsa zasłużył już dawno. Ale czy to znaczy, że mamy ukrywać różnice polityczne, które nas dzielą, przestać o nich głośno mówić i pisać, i zacząć je skrywać w naszym gronie? Ależ my z dyskusji o polityce żyjemy. Zaprzestanie sporów politycznych oznaczałoby zamknięcie jedyne w Polsce pisma tego typu i rezygnację z upolitycznienia opozycji demokratycznej. Od publikacji deklaracji pokojowych i list kolaborantów są

inne pisma, a każdy Czytelnik ma przecież prawo wyboru.

Poza tym, dlaczego właśnie my, w imię fałszywej jedności, mielibyśmy zamilknąć? Może ucichliby zwolennicy ugody i kompromisu? Przecież oni też — podobnie jak my — naruszają jedność.

Praktycznym skutkiem braku dyskusji politycznej wewnątrz opozycji jest niewyłonienie się politycznego kierownictwa podziemia (TKK nawet nie udaje, że nim jest). Musiałoby ono bowiem powstać w wyniku sojuszu różnych ugrupowań niepodległościowych. Aby te się w pełni ukształtowały, wcześniej musi rozwinąć się myśl polityczna. Do tego zaś potrzebne jest: myślenie — dyskusowanie, krytyka — pisanie. Wróciliśmy do punktu wyjścia.

A jak należy dyskutować i krytykować? Demokratów można poznać nie po tym, że nikogo nie krytykują, zwłaszcza zaś nie krytykują TKK i Wałęsy, lecz po tym, że czynią to, nawet ostro, ale wyłącznie na papierze. Mówiąc dosadniej, można (choć lepiej nie) nawet „opluwać”, byle jawnie, a nie za plecami; jeżeli jakieś koncepcje uważamy za głupie i/lub szkodliwe, wówczas piszemy, że są głupie i/lub szkodliwe — nie plotkujemy natomiast po zakładach pracy o ubeckich powiązaniach ich autorów. Dlatego też mamy prawo nazywać się demokratami, mimo że z większością opozycji nie zgadzamy się.

W konkluzji odpowiadamy na pytanie postawione w tytule artykułu: Myśleć o wolności, szukać idei (l.mn.) i wieść o nie spory.

Antoni Wichrzyciel

«Niepodległość» nr 24, grudzień 1983, ss.3-6

Syndrom związkowy

W polskiej prasie podziemnej trwa dyskusja. Jej uczestnicy, po przeprowadzeniu analizy bieżącej sytuacji politycznej, formułują strategię i taktykę podziemia na obecnym etapie walki z Czerwonym. Coraz więcej zwolenników wydaje się zdobywać koncepcja jego upolitycznienia, wysuwana od dawna przez środowisko „Niepodległości”. Co ciekawe, przeciwnicy tej koncepcji przestali ją wreszcie ignorować i podejmują z nami rzeczową dyskusję.

Ostatnio publicysta „Robotnika”¹ Paweł Witkowski w artykule „Syndrom Niepodległości” skrytykował totalnie nasz punkt widzenia. Uważa on, że proponujemy „alternatywny” w stosunku do dotychczasowego „sposób myślenia politycznego”. Polega on na „zdecydowanej negacji tego co było dotąd. Nie jest to negacja dorobku poszczególnych ugrupowań opozycyjnych. Nie jest to nawet negacja dorobku 'S'. Jest to negacja ca-

¹ Nienumerowany i niedatowany egzemplarz z przełomu listopada i grudnia lub z początku grudnia 1983 r. „Robotnika” - pisma członków MRK „S”

tej filozofii politycznej stworzonej przed Sierpniem i wcielanej w życie po Sierpniu". Prowadzi ona do odrzucenia działalności nastawionej „na budowę niezależnych od państwa struktur aktywności społecznej, traktowanych jako samoistna wartość, niepodporządkowana doraźnym praktycznym celom politycznym”. „Filozofia 'N' ” sprowadza się „do dwóch podstawowych założeń: po pierwsze do 'skoncentrowania się na walce politycznej', po drugie do 'podporządkowania zadaniom tej walki wszelkiej niezależnej działalności społecznej'."

Twierdzenia powyższe opierają się na nieporozumieniu. Rzeczywiście, uważamy za konieczne „skoncentrowanie się na walce politycznej”, dążymy do „podporządkowania zadaniom tej walki wszelkiej niezależnej działalności społecznej”. Do podporządkowania, ale nie do zaniechania. Nurt ten jest tak widoczny w naszej publicystyce, że np. zadaniem redaktora paryskiego „Biuletynu Informacyjnego 'S' ” Seweryna Blumsztajna, omawiającego na łamach „Głosu Ameryki” wnikliwie i rzetelnie 21/22 numer naszego pisma, „poza wysuwaniem postulatu zakładania partii politycznych propozycje 'Niepodległości' nie różnią się od zgłaszanych przez TKK”.

Seweryn Blumsztajn nie zauważa jednak, że między TKK i orientacją solidarnościową a „N” istnieje zasadnicza różnica. Wyraża się ona przede wszystkim nie w tym, co mamy do zaproponowania („zakładanie partii politycznych”), a w tym, czego my nie proponujemy. Otóż nie proponujemy walki z Czerwonym przy pomocy palenia świeczek, strajków sekundowych i, co najważniejsze, nie proponujemy porozumienia z komunistami. Proponujemy natomiast walkę polityczną, na pewno długą i trudną, ale niosącą w perspektywie nadzieję na niepodległą i demokratyczną Polskę.

Otóż właśnie koncepcję walki politycznej („Filozofia N”) uważa publicysta „Robotnika” za prostą, sam natomiast jest zdania, że „podstawowym celem wszelkiej działalności opozycyjnej i na dziś, i na jutro musi być, w wymiarze społecznym, walka o odbudowę społeczeństwa, jego świadomości i aktywności, materialnej i kulturowej. Jedyną prowadzącą do tego metoda to długofalowa walka o tworzenie, umacnianie i rozszerzanie niezależnych struktur społecznych”.

Walkę taką - dążenie do samoorganizacji społecznej - zdaniem Pawła Witkowskiego odrzucamy. Twierdzimy natomiast, że wyjściem z koncepcyjnego impasu podziemia byłaby „bezpośrednia walka polityczna otwierająca dalekosiężne perspektywy, dająca poczucie swoistej wyższości wobec „ciemnego i nieupolitycznionego tłumu”, pozwalająca uciec od dylematów nie zawsze przejrzystej rzeczywistości ku jasnym, ale z konieczności uproszczonym, rozwiązaniom”. Filozofia ta - twierdzi Paweł Witkowski - „jest prosta i wpaść na nią nietrudno”. Opozycja przedsięwzięta po prostu z niej zrezygnowała, bo unała ją za nieskuteczną: i politycznie, i społecznie. I za taką trzeba ją uznać w dalszym ciągu”.

Chciałoby się w tym miejscu przypomnieć Autorowi tych słów, że opozycja przedsięwzięta, w dużej części świadomie zrezygnowała z filozofii tworzenia niezależnego ruchu związkowego (jeden z liczących się

opozycjonistów miał zbyć propozycję organizowania Wolnych Związków Zawodowych (odpowiadając Kazimierzowi Switonowi: „Prędej mi kaktus na dłoni wyrośnie, Panie Kazimierzu”) tak skutecznie, że jeszcze w Stoczni inteligentni doradcy odradzali robotnikom trwanie przy tym postulatcie (patrz wspomnienia T.Kowalika w nr. 2 paryskich „Zeszytów Literackich”, przedruk krajowy „Oficyna Wydawnicza”: *Numer drugi*, 1983 r.)- Tymczasem, nieoczekiwanie dla wszystkich, postulat ten nie tylko okazał się realny, ale powstałe w wyniku jego realizacji niezależne struktury („Solidarność”) zdominowały działania Polaków na przeciąg co najmniej trzech lat. Zdominowały jednak tak skutecznie, że mimo dwu lat rozczarowań i ciągłych zawodów (ludzie nie chcą strajkować, demonstrować, plakatować; czerwoni nie chcą rozmawiać), opozycji pogrudniowej nie udało się uwolnić z SYNDROMU ZWIĄZKOWEGO, zafalszowującego rzeczywistość i ograniczającego refleksję polityczną. Dobrym przykładem ograniczeń wynikających z tego syndromu jest właśnie sposób rozumowania Pawła Witkowskiego.

Publicysta „Robotnika” nie zauważa, że postulat upolitycznienia podziemia nie jest sprzeczny z walką o „odbudowę społeczeństwa, jego świadomości i aktywności...” Ba! Naszym zdaniem, świadomość polityczna jest „odbudowanego społeczeństwa” niezbywalnym atrybutem. Natomiast podziemna działalność prowadzona w celu porozumienia z Czerwonym, rozmowy „jak Polak z Polakiem” czy, według dzisiejszych obyczajów, „jak doktor z doktorem” odbudowie społeczeństwa i jego świadomości nie służą.

Przekonanie, że „tworzenie, umacnianie i rozszerzanie niezależnych struktur społecznych” ma być celem działalności opozycyjnej anno 1984 świadczy o niewyciągnięciu wniosków z niedalekiej przecież przeszłości. Niezależne struktury - mówmy bez uników: przede wszystkim „S” - nie mogą istnieć w ustroju totalitarnym, w najlepszym wypadku są ledwo tolerowane i... likwidowane, kiedy tylko sytuacja na to pozwala.

Dlatego też uznaliśmy, że spośród dwóch aktualnie nierealnych opcji politycznych, tj. walki o ponowną legalizację „S” i walki o wolną Polskę, bardziej celowa będzie działalność polityczna, wpływająca na razie przynajmniej na świadomość społeczeństwa i skupiająca ludzi wokół tego drugiego wyboru. Na obecnym etapie walki z komunizmem naszym zadaniem jest zainspirowanie ogólnospołecznej dyskusji politycznej, która nauczy łaby nas myślenia w kategoriach przywrócenia niepodległego państwa polskiego, demokratycznego wybrania i sprawowania władzy i prowadzenia efektywnej liberalnej polityki ekonomicznej. Osiągnięcie takiego stanu świadomości przez społeczeństwo polskie uważamy za zasadniczy i wstępny warunek powodzenia przyszłej rewolucji polskiej. „Tworzenie, umacnianie i rozszerzanie niezależnych struktur społecznych” powinno być tylko środkiem wiodącym do celu, którym winna być niepodległa i demokratyczna Polska. Bez świadomości tego, nawet największe polskie ofiary złożone dla poszerzenia wolności czy odbudowy społeczeństwa w ramach systemu komunistycznego nie przybliżą owego, tak upragnionego, celu.

Droga do jego realizacji polega, między innymi, także na „tworzeniu, umacnianiu i rozszerzaniu” takich „niezależnych struktur społecznych”, jak partie polityczne.

Propozycje opozycji związkowej powinny natomiast być traktowane jako niezwykle ważny, ale tylko etap, ułatwiający nam zorganizowanie się w celu odzyskania niepodległości i wejścia w tę niepodległość z jako tako przygotowanym społeczeństwem. Dlatego też polityczne zanegowanie legalności komunistycznych rządów w Polsce stało się polityczną koniecznością. Od tego zadania opozycja powinna zacząć dopiero wszelkie rozważania nad strategią i taktyką walki. Naszym zdaniem polegać ona powinna na zakwestionowaniu prawomocności komunistycznej władzy w naszym kraju, poprzez utworzenie podziemnego systemu politycznego, zdolnego do przejęcia władzy w sprzyjających okolicznościach — choćby w drodze wolnych wyborów.

Im bardziej zaś świadome i zorganizowane (Paweł Witkowski powiedziałby: odbudowane) będzie społeczeństwo — choćby w Ruchu na rzecz Przywrócenia Demokracji - tym dla naszej sprawy lepiej. Idzie nam o to, by cel, dla którego osiągnięcia organizowałoby się społeczeństwo, był realnym, choć trudnym do urzeczywistnienia, a nie złudnym mirażem.

Arkady Akwedukt
«Niepodległość» nr 26, luty 1984, ss.4-6

Głos Pana

„Tygodnik Mazowsze” nr 71 z dnia 8 grudnia 1983 roku publikuje wywiad z szefem siatki informacji zakładowej „TM”. Możemy tam przeczytać: „Pyt.: Z tego co mówisz wynika, że działalność typowo związkowa ma bardzo ograniczony zakres. Odp.: Działacze 'S' interesują się przede wszystkim polityką, a nie sprawami związkowymi. Krzyczą, aby tworzyć partie. Wciąż ich pytam, dlaczego nie podejmują różnych konkretnych działań. Powinni rzucać ludziom hasła, że trzeba to i to napisać na murze, że trzeba walczyć np. o naprawienie wentylacji, o takie sprawy, które by chwyciły”. Pogląd szefa siatki informacyjnej wydaje się być prostym przedłużeniem poglądów szefów „Solidarności” z wyższego szczebla. Trochę wcześniej mogliśmy przeczytać wywiady z Wiktorem Kulerskim i Zbigniewem Bujakiem, członkami warszawskiego RKW:

„Red.: Jaki jest stosunek władz Zwią?ku i jaki jest Twój stosunek do różnorodnych inicjatyw politycznych w obrębie Związku lub niekiedy wykraczających poza jego struktury? Na ile te inicjatywy mogą pomóc w działalności na rzecz 'Solidarności' jako związku zawodowego?

Wiktor Kulerski: Każde ugrupowanie i każda struktura działająca na rzecz Rzeczypospolitej Samorządnej są pożyteczne i mogą odciążyć Związek wówczas, kiedy ich istnienie się nie kończy na pustostoiu.

Jeśli pytasz o ugrupowania polityczne, to pozwól, że zapytam, co one uczyniły do tej pory? Jakże przedstawiły programy, jakie sposoby wprowadzania ich w życie zaproponowały, jakie działania podjęły dla urzeczywistnienia swoich zamierzeń i co z tego wynika? Dopiero wówczas, kiedy otrzymam odpowiedź na te pytania - sam będę mógł odpowiedzieć na Twoje pytanie. Szydłami, deklaracjami i sloganami nic nie załatwimy. Potrzebna jest robota." („Wola" nr 37/39 z dnia 21.11.1983 r., pismo warszawskiego MKK).

„Red.: Wszystko to wskazuje na upolitycznienie 'Solidarności'. Czy wobec tego nie jest czas na tworzenie partii politycznych?

Zbigniew Bujak: Istniejąc i działając w obecnych warunkach w podziemiu, Związek jest o wiele bardziej utożsamiany z formą organizacji całego narodu niż to było przed stanem wojennym. Teraz jest czas jednolitego działania, jednolitych celów. To nie przypadek, że nie powstały żadne liczące się partie polityczne, najwyżej deklaracje programowe. Można sobie wyobrazić, że w przyszłości różne kierunki polityczne będą się ogniskować w różnych partiach. To będzie czas podziałów, bo przecież w Związku są rozmaite nurty". („TM" nr. 69 z dnia 24. 11.1983 r.).

Panowie Zb.Bujak i W. Kulerski, choć związkowcy, odróżniają się mocno od swoich kolegów w innych krajach, którzy wręcz zachęcają szeregowych członków do interesowania się polityką. Związki przecież na ogół związane są z określonymi partiami politycznymi. Najbardziej zapędził się Pan W.Kulerski - chyba że nie czyta w ogóle prasy podziemnej (poza „KOS-em" i „TM"), jako że nie zauważył chociażby silnego upolitycznienia się całego regionu dolnośląskiego „S". Wydawane przez ^koncern prasowy" „Solidarności" tego regionu („Solidarność Walcząca") publikacje są mocno upolitycznione. „Solidarność Walcząca" przedstawiła swój pierwszy program (raczej socjaldemokratyczny) ponad rok temu i rozwija go w dyskusji z czytelnikami i prasą podziemną (m. in. z naszym pismem), ma już także oddziały w innych miastach (Katowice, Częstochowa, Łódź) oraz zdobywa nowych zwolenników nie dzięki nazwiskom, lecz dzięki atrakcyjnemu programowi, o widocznej, lecz nie akcentowanej opozycji do TKK i dobrej organizacji. Dzięki ruchowi „SW", opierającej się na linii Frasyniuka, Dolny Śląsk jest najżywszym regionem ruchu związkowego. Pan W.Kulerski tego nie zauważa. Czyżby dlatego, że prowincja lepiej potrafi? Niech więc sam zostanie politykiem i pokaże, że potrafi lepiej.

Wypowiedź pana Zbigniewa Bujaka jest prostsza do zinterpretowania. Z zupełnie nieuzasadnionych powodów boi się on, że czas tworzenia się partii politycznych będzie okresem rozpadu „Solidarności". Jedność „S" była przecież zawsze pozorna. Ścierały się w niej różne poglądy i raczkujące ugrupowania (niektóre wręcz karykaturalne, jak tzw. „Prawdziwi Polacy"). „S" powinna po prostu być obecnie centralą związkową, jednoczącą wszystkich związkowców w Polsce niezależnie od ich poglądów politycznych; jednoczyłaby wszystkich,

którym tzw. Nowe Związki nie odpowiadają. „S” jest także kontynuacją woli 10 milionów swoich członków, którzy nigdy nie odmawiali jej legalności istnienia po 13 grudnia 1981 roku.

Tworząc nasz liberalno-demokratyczny program i grupując wokół niego naszych zwolenników, nie chcemy nikogo odciągać od „S” — związku zawodowego. Sami, zapytani o przynależność związkową, odpowiadamy: „Solidarność”. Pan Zb.Bujak twierdzi, że ponieważ na razie nie ma podziałów, to „S” jest utożsamiana z całym narodem. My nie mamy ambicji wypowiadania się w imieniu całego narodu — wypowiadamy się tylko w swoim. Uważamy poza tym, że pan Zb.Bujak, o ile chce się wypowiadać w imieniu całego narodu w sprawach czysto związkowych, to ma do tego oczywiste prawo. Niestety, granica między tym co jest czysto związkowe a resztą jest niewyraźna.

W wywiadzie udzielonym przez pana Zb.Bujaka wielokrotnie przewija się słowo „polityka”. Dyskutowane jest np., jak zachować się podczas nadchodzących wyborów do tzw. rad narodowych i sejmu. To przecież jest problem polityczny, a nie związkowy. Znamy z historii wiele przypadków jednostek głoszonych: „Ja wiem najlepiej o tym, co dla mojego narodu jest najkorzystniejsze”; tak mówi prawie każdy polityk, lecz tragedią jest, gdy uzurpuje on sobie prawo wypowiadania się w każdej kwestii w imieniu narodu, a najgorsze, jeśli w takim wypadku nie dopuszcza innych do głosu.

Wielokrotnie słyszeliśmy opinie, że ugrupowania polityczne (choć najczęściej — jako najgorszych — wymienia się „Niepodległość”) — to grupki zazdrośników i megalomanów, które chciałyby ustąpienia TKK i przejęcia władzy (!?) w podziemiu przez anonimowe koterie. Nic bardziej mylnego: „S” w Polsce istnieje i istnieć musi TKK, RKW, porozumienie międzyzakładowe, Tajne Komisje Zakładowe i nawet Biuro Zagraniczne „S”. Istnieć powinny także partie polityczne, a wszyscy razem dopiero możemy tworzyć swoimi programami politycznymi i robotą związkową opozycję wobec komunistów. Model współpracy opisujemy w artykule *Jedność w różnorodności*, proponując powołanie Ruchu na rzecz Przywrócenia Demokracji. Dopiero bowiem przywrócenie w Polsce Demokracji gwarantuje swobody polityczne i stwarza warunki związkowcom do polepszenia ich sytuacji materialnej. Ruchowi takiemu może przewodzić TKK, Przewodniczący „S” Lech Wałęsa, czy ktoś inny; rzecz w tym, abyśmy działali wspólnie, a nie uważali się za konkurencję. Środowisko „N” np. nie jest przecież organizacją związkową, a „S” nie twierdzi, że jest partią polityczną! Zresztą różne podziemne partie polityczne też powinny utworzyć w ramach Ruchu na rzecz Przywrócenia Demokracji porozumienia dotyczące sposobów walki z komunistami.

Wyrażanie się w imię całego narodu, bez prób zasięgnięcia jego opinii, jest drugą narodową wadą Polaków. W przypadku przywódców PZPR nazywało się to „odcięciem od mas”. Z przykrością stwierdzamy, że ostatnio, obok TKK, nagminnie praktykuje to pan Lech Wałęsa (lub raczej ci, którzy piszą jego przemówienia). Rażąco jest u pana Wałęsy to, że wielokrotnie podkreśla: „wszyscy jesteśmy za socjalizmem” i „nie chcemy obalać władzy” (wypowiedź w stoczni podczas spotkania z Rakowskim, przemówienia w Oslo,

liczne wywiady). Są to prawdopodobnie wybiegi taktyczne, lecz lepiej byłoby, jeśli nie dysponuje się uczciwymi wynikami badania opinii publicznej, zaczynać takie zdania od słowa „ja”.

Wróćmy jednak do wypowiedzi „szefa siatki informacji zakładowej „TM”. Jest on na pewno odpowiedzialny za informowanie „góry” o nastrojach związkowych „dołów”. Wie też pewnie, że po dwóch latach wojny, niewygodach konspiracji, ogólnym braku zainteresowania podziemną działalnością — Tajne Komisje Zakładowe (TKZ) to grupki znajomych, spotykających się od czasu do czasu. Możliwość działania czysto związkowego mają z dnia na dzień coraz mniejsze. Na ogół zajmują się dystrybucją bibuły, a na spotkaniach rozmawiają o polityce. Pojawia się Szef (siatki informacji zakładowej „TM”) i po wysłuchaniu opinii („krzyczą, że należy zakładać partie... ”), odpowiada: „trzeba to i to napisać na murze, trzeba walczyć o naprawienie wentylacji...” Zastanówmy się, czy to tylko naiwność, czy też arogancja typu: „do wideł...” Mamy nadzieję, że tylko to pierwsze, choć pewien nasz znajomy, działający w jednej TKZ, ocenił Szefa następująco: „Rozmawiał jak Pan z chłopem” (stąd tytuł artykułu). Szef pewnie wypisywał hasła: „Zima wasza — wiosna nasza”, „Uwolnić Lecha — wsadzić Wojciecha”, „Nowe związki na Powązki”, itp. Szef (pan) jest niezaprzeczalnie autorem nowej koncepcji dla „S” — podziemna „Niewidzialna Ręka”. Już więc niedługo, gdy wysiadzie wentylacja, popsuje się krzesło dyrektora czy w fabryce czołgów zabraknie jakiegoś elementu z kooperacji — wszystko zostanie szybciotko naprawione lub dostarczone oraz pojawi się znak „Niewidzialnej Ręki” i napis: „To my - Solidarność”. Będą to wszystko robili ludzie z TKZ, ryzykując za tak szlachetne działanie - wyrzuceniem z pracy czy też więzieniem!!! Nie krytykujemy Szefa za to, że proponuje działalność czysto związkową, a nie polityczną. Przeciwnie, niejednokrotnie wzywaliśmy działaczy „S” do jej aktywnego prowadzenia. Rozumiemy przez nią jednak przede wszystkim walkę ekonomiczną z komunistami, a nie malowanie haseł (nawet dowcipnych), ani inną działalność symboliczną. Żałosne jest to, że tacy jak Szef są ludźmi informującymi „góre” (RKW, TKK) o nastrojach „dołów”. Na podstawie takich informacji przywódcy „S” opowiadają (przy obcych), w imieniu „całego Narodu”, o miłości Polaków do socjalizmu itp. Chyba że licząc na oszukanie komunistów, świadomie fałszują rzeczywistość... O naiwni!

Józef Kisielewski

«Niepodległość» nr 26, luty 1984, ss.6-8

Związek, partia czy ruch społeczny?

Pismo nasze od początku jasno stawiało sprawę stosunku do „Solidarności” - jesteśmy poza jej strukturami, uznajemy zasługi Związku, lecz organizacyjnie i ideologicznie jesteśmy czymś zupełnie różnym. Mimo krytycznego stosunku do „S”, pozwalamy sobie czasami proponować nowe rozwiązania koncepcyjne, żywiąc nadzieję, że pomoże to działaczom podziemnym wypracować lepszą strategię i taktykę Związku.

„Solidarność” nigdy nie potrafiła określić swoich celów oraz charakteru działalności. Dotyczy to zarówno okresu sprzed, jak i po 13 grudnia. Abstrahujemy tu od przyczyn niemożności samookreślenia, która zaowocowała m. in. enigmatyczną definicją: „Solidarność to ruch społeczny”; stwierdzić natomiast trzeba, że było to szkodliwe dla skuteczności działania Związku. Po 13 grudnia poglądy działaczy „S” oscylowały wokół dwóch koncepcji: państwa podziemnego, a więc przejęcia przez struktury „S” funkcji *stricte* politycznych, i wolnego związku zawodowego, za jaki zresztą „Solidarność” uważana jest na Zachodzie (rzecz nie bez znaczenia). Te dwie koncepcje starał się, być może, „pogodzić” Kulerski, nadając nową etykietkę: „społeczeństwo podziemne”, swą precyzją dorównującą tej z napisem „ruch społeczny”.

Słabość organizacyjna podziemnych struktur „S” oraz brak konsekwencji i niechęć przywódców zdecydowały o klęsce koncepcji „państwa podziemnego”. Na wiosnę roku 1982 istniała, być może, szansa przekształcenia się rozproszonych organizacji „S” w agendy podziemnego państwa, a TKK w alternatywny wobec komunistów ośrodek władzy — dziś już jej nie ma. Zaniechanie prób tworzenia podziemnego państwa nie oznacza bynajmniej, że wśród działaczy „S” górę wzięła koncepcja związkowa. Kryzys nieokreśloności postępuje wraz z rozpadem podziemnych organizacji.

Rozróżnienie między tym co polityczne, a co nie, w systemie totalitarnym nie jest sprawą prostą. Niemniej musi ono poprzedzać proces tworzenia koncepcji. Dla komunisty znaczenie polityczne może mieć także Związek Hodowców Drobного Inwentarza, nie mówiąc już o milionowym związku zawodowym. Działacz polityczny czy związkowy musi jednak zdawać sobie sprawę z tej różnicy. Polega ona na odmiennym strategicznym celu działania. Dla niezależnych programów politycznych muszą stanowić go zmiany w strukturze władzy w Polsce. Ich kierunek jest oczywisty, natomiast rozmaite programy mogą uznawać różne minima zmian za wystarczające. *Minimum minimorum* odmiennych, nawet sprzecznych ze sobą programów jest jedno — uznanie przez oficjalną władzę prawa do istnienia niezależnej grupy wysuwającej dany program. Oczywiście nie można sprowadzić programu jedynie do tego postulatu.

Celem ruchu związkowego jest poprawa sytuacji materialnej grupy, której interesów ma on bronić. Zmiany polityczne nie są nigdy obojętne związkom zawodowym, lecz nie stanowią celu samego w sobie.

Zaniechanie przez przywództwo podziemne prac nad stworzeniem ruchu

politycznego o jasno sformułowanym celu strategicznym nie spowodowało ewolucji Związku w kierunku wolnego związku zawodowego. Podziemna „S” stara się łączyć funkcje związkowe i polityczne, nie formułując ani programu politycznego, ani związkowego. Nie wytycza więc społeczeństwu rozwiązań do których należy dążyć, nie wpływa też na świadomość polityczną swych sympatyków przez przedstawienie takich możliwych rozwiązań, a z drugiej strony nie broni interesów ekonomicznych swoich członków. Mit jedności i moralny przymus uznawania nadrzędności „S” utrudnia wykrystalizowanie niezależnych grup politycznych. Z drugiej strony, niewysuwanie przez przywództwo „S” ostrych żądań ekonomicznych uniemożliwia spontaniczny wybuch na wzór grudnia 70 r. Działacze podziemni zajęci są prawie wyłącznie dalszym losem Związku, nie pamiętając, iż nie może on być celem samym w sobie.

Robotnicy, idealizowani przez inteligencję, zwłaszcza posiadającą wpływ na ośrodki opiniotwórcze, kierują się przede wszystkim motywacją ekonomiczną. Nie podjęli bojkotu pracy zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego (*vide* górnicy), słaby oddźwięk znalazło też hasło zwolnionej pracy w sierpniu. Sam Lech Wałęsa zaznaczył, że zwolnienie tempa pracy nie musi objąć robotników akordowych, gdyż straciliby finansowo. Ten czynnik zaważył na niepowodzeniu akcji strajkowych po 13 grudnia (przedtem strajki nie rzutowały bezpośrednio na zarobki strajkujących). Strajki polityczne lub quasi-polityczne mogą w obecnej sytuacji mieć następujący charakter:

— strajk nieograniczony aż do obalenia systemu; byłby elementem powstania narodowego;

— strajk w celu wymuszenia rozmów z władzami; strajkujący i władze uznają siebie nawzajem i prowadzą pertraktacje;

— strajk ograniczony w czasie i mający charakter symboliczny; służy do zaakcentowania swego istnienia oraz protestu.

Wszystkie wyżej wymienione formy strajku podziemna „S” usiłowała wykorzystać po 13 grudnia i wszystkie próby zakończyły się niepowodzeniem. Również w najbliższym czasie nie można się spodziewać powodzenia podobnych akcji. Strajk jako element zrywu narodowego nie wydaje się aktualnie mpżliwy do wygrania. Waży tu zarówno sytuacja międzynarodowa, jak i słabość organizacyjna „S”. Hasło „Bój ostatni” nie znajdzie oddźwięku wśród robotników, którzy mieliby stanowić główną siłę strajkujących. Podobne zastrzeżenia dotyczą drugiej formy strajku. Władze jasno dają do zrozumienia, że nie ma mowy o powtórzeniu Sierpnia. Słabość „S” nie rokuje zresztą większych szans sukcesu. Znając te ograniczenia, działacze Związku forsują z reguły strajki pseudopolityczne - symboliczne. Również one znajdują niewielki oddźwięk w społeczeństwie. Przyczyny są dwie: cel strajku symbolicznego jest dla robotników niejasny (powszechne pytanie: co to da?), natomiast koszty, przede wszystkim zwolnienia z pracy — większe niż byliby skłonni płacić. Strajki symboliczne są obiektywnie szkodliwe także z innych powodów:

— nie wiążą się nigdy z prezentowaniem społeczeństwu jasnej wizji politycznej, lecz raczej są patrzyeniem wstecz;

— kierują uwagę na sprawy marginalne, np. pozwolą złożyć kwiaty pod pomnikiem, czy nie pozwolą?;

— odwracają tym samym uwagę od celów realnych — politycznych i ekonomicznych; stanowią wentyl bezpieczeństwa, przez który uchodzi ciśnienie spowodowane ciężkimi warunkami bytowymi, nie dając w zamian żadnych rozwiązań na płaszczyźnie politycznej.

„Solidarność” powinna zdecydowanie ewoluować w kierunku wolnego związku zawodowego. Działania związkowe muszą być jednak zdecydowane. Koncepcja podjęcia działalności socjalnej w zakładach pracy jest utopijna. Dla akcji socjalnej (wczasy, zasiłki itp.) potrzebne są fundusze, a z tymi jest krucho. Oczywiście pomoc dla uwieczonych, wyrzuconych z pracy czy najmniej zarabiających jest niezbędna. Nie to jednak może stanowić sedno programu związkowego. „S” nigdy nie przeliczy możliwości działań socjalnych ze strony agend rządowych. Jeżeli np. zasiłek statutowy ma stanowić czynnik podstawowy, decydujący o atrakcyjności podziemnej „S”, to rzecz jasna rządowy związek zawodowy może zaoferować zasiłek o wiele większy. W skali budżetu państwa będzie to i tak wydatek niewielki, w końcu to przecież ono drukuje pieniądze. Jeżeli pod tym względem „S” chce rywalizować z rządem, to platforma rywalizacji jest wyjątkowo źle wybrana. Działalność związkowa musi natomiast polegać na obronie stopy życiowej społeczeństwa, a przede wszystkim jej podstawowego składnika — płacy realnej. Rok ubiegły przyniósł jej spadek — według danych rządowych, a więc prawdopodobnie zafałszowanych, o 25%. Pierwsze półrocze jeszcze pogłębiło go o dalszy 1%. Pamiętać należy, że spadek ten dotyczy nie wszystkich pracowników. Grupy strategiczne robotników wielkoprzemysłowych potrafiły obronić swój stan posiadania, co oznacza, że płaca realna większości społeczeństwa spadła znacznie bardziej niż o 25% — rzecz w kraju cywilizowanym bez precedensu. Od nowego roku rząd zapowiada dalsze podwyżki cen, w stopniu jakoby mniejszym, lecz za to prawie bez rekompensat.

Jeżeli „S” nie chce stracić autorytetu, musi przeciwstawić się tej operacji. Strajk symboliczny z okazji jednej z licznych rocznic narodowych nie przyniesie żadnego sukcesu. Strajk ekonomiczny, czysto ekonomiczny, w obronie spauperyzowanych pracowników, mieć będzie znacznie większe szanse powodzenia, dzięki realnym i jasno określonym celom (odwołanie podwyżek lub pełna rekompensata, wyliczona przez wiarygodne ośrodki), bliskim każdemu pracującemu, także temu, który polityką niewiele interesuje się. Rząd, ustami swych propagandystów z ministrem Krasieńskim na czele, twierdzi, że dalsze podwyżki i obniżka płac realnych są nieuniknione, że wynika to z obiektywnej sytuacji gospodarczej. Przed 13 grudnia „Solidarność” pragnęła wziąć na siebie odpowiedzialność za losy gospodarki. Po tej dacie jesteśmy z tego zwolnieni. Rewindykacje związkowe nie muszą być samoograniczone przez kupowanie argumentów propagandy rządowej. Jeżeli komuniści chcą mieć monopol na władzę, muszą za to zapłacić. Nas ich wewnętrzne trudności nie interesują. Wolny związek zawodowy ma bronić interesów swych członków, a nie komunistów. Walka o podniesienie tragicznie niskiego poziomu

życia — to jeden z przykładów ewolucji „S” w kierunku wolnego związku zawodowego. O ile ona nastąpi, może mieć wiele pozytywnych następstw dla niezależnych ruchów:

1. Odmitologizowanie i odpolitycznienie Związku pozwoli znieść bariery hamujące rozwój pluralizmu politycznego niezależnych środowisk.

2. Zaktywizuje się działalność „S” na bazie realnych i krótkoterminowych celów. Rewindykacje wolnego związku zawodowego nie muszą sprowadzać się jedynie do spraw płacowych, mogą mieć różnych adresatów i dotyczyć problemów o różnym zasięgu.

3. Na skutek tego, że adresatami rewindykacji będą różne szczeble władz (centralne, terenowe, przedsiębiorstwa), Związek będzie wywierał niejednolite ciśnienie na strukturę władz, co prowadzić w niej może do pęknięć.

4. Zaktywizowany Związek, rzecz jasna, będzie naturalnym sojusznikiem niezależnych ruchów politycznych, nie ingerując zbyt silnie w kształt programów politycznych i nie ograniczając ich horyzontu myślowego mitem o świętej organizacji ruchu społecznego „Solidarność”.

5. W przyszłym niepodległym państwie istnienie wolnych związków zawodowych jest sprawą oczywistą. Powinny to być jednak związki pluralistyczne i oddzielone od spraw *stricte* politycznych. Do tego typu związków łatwiej będzie dojść przez Wolny Związek Zawodowy „Solidarność” niż przez Ruch Społeczny „Solidarność”.

Franciszek Sz.

«Niepodległość» nr 23, listopad 1983, ss.5-8

Jedność w różnorodności

Do poważnych przemyśleń skłonił nas znakomity artykuł z nr. 11 pisma „Wolna Trybuna” z dnia 2.XI.83 r., wydawanego przez „Międzyzakładowe Porozumienie Solidarności — UNIA” w Warszawie. W artykule redakcyjnym *Naszym zdaniem* „WT” zwraca uwagę na możliwość połączenia ruchów (organizacji) politycznych, społecznych i związkowych w coś na kształt „koalicyjnego systemu politycznego, choćby nawet jako tworzywa mądrej strategii politycznej, a nie wyniku rzeczywistego sojuszu”. „WT” wskazuje, że komórki „S” są dobrze umiejscowione w zakładach pracy i mają przygotowywać bazę (swoich członków) do działań politycznych, a także tylko one są zdolne do prowadzenia walki z Czerwonym na płaszczyźnie ekonomicznej.

Nie ma tu miejsca na przedrukowywanie wszystkich słusznych uwag „WT”, lecz rozmyślając nad jej propozycją stwierdziliśmy, że oprócz politycznego i związkowego istnieje jeszcze jeden człon opozycji w Polsce, który winien zostać składnikiem owego sojuszu. Są nim osoby działające jawnie, które wskutek posiadanego autorytetu, lub po prostu wieku, mogą krytycznie

wypowiadać się o poczynaniach czerwonych.

Zastanawiając się nad propozycjami „WT”, zwróciliśmy uwagę na sposoby walki stosowane przez opozycję w innych krajach rządzonych przez wojskowe dyktatury (Chile, Turcja, Pakistan) i proponujemy powstanie sojuszu pod nazwą: RUCH NA RZECZ PRZYWRÓCENIA DEMOKRACJI!

Członkami Ruchu mogą być organizacje niejawne, polityczne, społeczne i związkowe, oraz pojedyncze osoby o dużym autorytecie działające jawnie. Ruch nie jest organizacją, lecz luźnym sojuszem. Nazwa „Ruch” określa jasno cel jego działania. Jesteśmy przekonani, że w Ruchu mogłyby spotkać się prawie wszystkie odłamy opozycji polskiej. W przywróceniu demokracji organizacje związkowe widziałyby gwarancję poszanowania praw pracowniczych oraz niezbędny warunek polepszenia polskiej sytuacji ekonomicznej, zaś organizacje polityczne — warunek zrealizowania swego programu politycznego, społecznego i ekonomicznego. W nr. 64 „TM” Zbigniew Bujak stwierdził, że w chwili obecnej jest czas jedności i wszelkie podziały, także organizacyjne, osłabiają podziemie. Można się zgodzić się z tą tezą jedynie częściowo:

— Istniejące podziały ideowe i programowe są faktem obiektywnym. Wtłoczenie całego podziemia w ramy „S”, tak jak chce Bujak, jest już w tej chwili niemożliwe. Miesiące przedgrudniowe wykazały zresztą, że tego typu organizacja jest nieefektywna.

— Organizacyjnie nie ma możliwości stworzenia jednej, hierarchicznej i zdyscyplinowanej struktury — tak ogromnej, jaką była „S”. W podziemiu wiele grup, struktur, porozumień itd., które posługują się symbolami „S”, ze względu na słabość komunikacji stanowi zupełnie oddzielne organizacje.

— Od roku tworzą się załączki organizacji politycznych nie posługujących się symbolami „S”, nie nazywających siebie związkami zawodowymi, lecz wyraźnie zmierzających w kierunku partii politycznych. Jest to proces prawidłowy i obiecujący, nie ma więc powodu, aby te właśnie grupy (wywodzące się zresztą często z byłych działaczy „S”) wtłaczać na powrót do związku zawodowego.

— Istnieje potrzeba współdziałania ze sobą różnych organizacji i nurtów, po to, by swego ostrza nie kierowały przede wszystkim przeciw innym grupom opozycyjnym, lecz przeciwko wrogowi. Nazwa „Ruch na rzecz Przywrócenia Demokracji” stanowi sama w sobie semantyczny kompromis, oddając poglądy ugrupowań umiarkowanych, gdyż nie występuje tu słowo „niepodległość”.

Na tak pojętej platformie mieścić by się mogły organizacje używające nazwy „S” - struktura „S” jako taka (TKK, RKW, itd.), porozumienia międzyzakładowe, wybitni byli działacze. Spotkaliby się oni tam z organizacjami i działaczami niesolidarnościowymi. Jest przecież jasne, że łączy nas wspólny cel, a dzielą poglądy dotyczące sposobu dojścia do niego. Wydaje się nam, że podziemne organizacje wydające pisma zaznaczałyby w nagłówkach, że stanowią część Ruchu. Propozycje wspólnych akcji (np. reakcja na „wybory”) byłyby dyskutowane na łamach prasy podziemnej. Idealnym rozwiązaniem byłoby, gdyby rzecznikiem ruchu w kraju został ktoś działający

jawnie, nie narażony jednak na aresztowanie ze względu na swój autorytet lub wiek. Na zewnątrz kraju rzecznik Ruchu miałby prawo występować w imieniu społeczeństwa skupionego w Ruchu.

Rozumiemy, że powyższa propozycja spotkać się może z negatywnym przyjęciem, przede wszystkim u tych, którzy funkcje Ruchu przypisują jedynie „S” i w prezentowanej koncepcji widzieć mogą konkurencję lub wręcz dywersję dla struktur Związku. Platforma Ruchu w rzeczywistości nie stanowiłaby konkurencji, idzie bowiem o luźny sojusz, nie wykluczający zresztą jawnych sporów (byle merytorycznych), a nie o nową hierarchię. Mamy nadzieję, że propozycja ta zostanie rozważona przez wszystkie grupy opozycyjne do których dotrze. Przypominamy — cel jest wspólny.

Redakcja
«Niepodległość» nr 25, styczeń 1984, ss.8-9

EUROPA PRZYSZŁOŚCI

„Europa Wschodnia, by mogła przeciwsta-
wić się swoim sąsiadom, musi być inaczej
zorganizowana.”

Juliusz Mieroszewski

Polacy wobec kwestii niemieckiej

- I. Nie można odsuwać w nieskończoność wypracowania polskiej polityki:
- wschodniej — wobec Ukraińców, Białorusinów, Bałtów;
 - południowej — wobec Czechów, Słowaków, Węgrów, Rumunów i narodów bałkańskich;
 - niemieckiej — wobec narodu niemieckiego jako całości.

Nie możemy ustępować z obawy przed przeciwdziałaniem komunistycznej propagandy i polskich uprzedzeń narodowych. Nie możemy w kraju dłużej milczeć w sprawie kwestii narodowych Europy środkowo-wschodniej i południowej w obawie o utratę popularności wśród czytelników i spadek liczby naszych zwolenników. Nie podzielamy bowiem i nie podzielaliśmy nigdy naiwnej wiary, że ZSRS „odpuści” nam, jeśli my zapomnimy o naszych prawdziwych sąsiadach. Kierowanie się tym motywem uważaliśmy więc za głupotę i osłabianie własnej pozycji politycznej.

II. Nie sposób wywalczyć niepodległości dla Polski, jeżeli Polacy nie będą mieli własnej służby dyplomatycznej i własnej polityki zagranicznej. Przypomnijmy, że w okresie rozbiorowym taką rolę pełnił Hotel Lambert Czartoryskiego i dopiero po 1945 roku uznano, nie wiadomo dlaczego, że

reprezentację polskich interesów narodowych można powierzyć komunistom, a ściślej ZSRS.

III. Do realizacji punktu II należy naszym zdaniem dążyć w trzech etapach:

a. Rozpocząć dyskusję w pismach opozycyjnych nad kierunkiem polskiej polityki zagranicznej i wyborem rozwiązań najbardziej korzystnych dla Polski, a nie dla PRL. Poszczególne kierunki polityczne powinny opracować swe programy w tej kwestii, a obywatele zdobyć się na własne poglądy. Głównym przeciwnikiem będzie w tym czasie szowinistyczna, ogłupiająca propaganda komunistyczna i odziedziczone przez nas uprzedzenia oraz schematy narodowe. Jeżeli społeczeństwo im ulegnie, to dłużej będzie tkwiło w niewoli, a my wraz z nim;

b. Osiągnąć porozumienie głównych kierunków politycznych i wypracować wspólne stanowiska w omawianych kwestiach;

c. Rozpocząć akcję dyplomatyczną w myśl przyjętych wspólnie założeń.

O ile każda partia może oczywiście mieć własne kontakty, programy i porozumienia w tych sprawach, o tyle wspólne stanowisko odzwierciedlałoby poglądy i dążenia społeczeństwa jako całości.

IV. Wychodząc z owych założeń wstępnych rozpoczęliśmy dyskusję na temat polityki zagranicznej. Nie ukrywamy, że reprezentujemy stanowisko przychylnie Niemcom.

„W ciągu tysiącletniej historii wiele łączyło Polaków i Niemców, nie tylko wojny, ale przede wszystkim wzajemne wpływy kulturowe, współpraca itp. Wystarczy przypomnieć, ilu wybitnych Polaków pochodziło z rodzin niemieckich i ilu słynnych Niemców miało polskich przodków. Nie widzimy powodów, dla których nie mielibyśmy kontynuować tej właśnie tradycji, nie zapominając oczywiście o Oświęcimiu i Katyniu, o Majdanku i Workucie jako symbolach totalitaryzmu, który może zagrażać obu naszym narodom. Na marginesie dodajmy, że zrozumieli to Polacy i Niemcy ze-łani razem do Kazachstanu, prześladowani i wynaradawiani.¹

Uważamy, że Polacy i Niemcy powinni porozumieć się i współdziałać, gdyż nasze interesy narodowe (zjednoczenie, niepodległość) są zbieżne. Oba narody wojnę przegrały; Niemcy słusznie, gdyż razem z ZSRS winne były jej rozpętania i zbrodniom hitleryzmu, ale niesprawiedliwie zostały podzielone na dwa państwa, w tym jedno — NRD — włączono do obcego imperium; Polska natomiast przegrała wojnę i straciła niepodległość na skutek układu sił jaki zaistniał po rozbiciu Niemiec. Oba narody są zatem zainteresowane w obaleniu porządku pojałtańskiego, co jednak nie musi oznaczać, a naszym zdaniem oznaczać nie może, powrotu do sytuacji sprzed 1939 roku.

¹ M.Morfeusz, *Hamburg już nie głośuje na Breżniewa*, „Niepodległość” nr 7 1982 r., s. 20

Pomorze i Śląsk zostały Polsce przyznane nie dlatego, że na owych terenach tysiąc lat wcześniej mieszkali Słowianie (bo przecież nie Polacy), ale jako rekompensata za straty wojenne oraz równoważnik obszarów na wschodzie, sędowanych na rzecz jedyne go zwycięzcy - ZSRS. Nie ma zatem mowy o rezygnacji z granic na Odrze i Nysie Łużyckiej, choć nie oznacza to, iż nie mamy nic do zaoferowania. Nie uzyskamy trwałego uznania naszych granic (po zjednoczeniu Niemiec obecne układy będą wymagały ponownego podpisania), jeśli:

- będziemy czekać, nie prowadząc żadnej polityki niemieckiej,
- popadniemy w nieodwracalną zależność od ZSRS, który przy łada sposobności i tak zawrze porozumienie z Niemcami naszym kosztem,
- nie pójdziemy na żadne ustępstwa, stale podkreślając jedynie to, co nas dzieli,
- staniemy się dla Zachodu kłopotliwym rezerwatem XIX-wiecznych uprzedzeń w środku Europy końca XX wieku.

„Polska ma do wyboru dwa wyjścia:

— nawiązać współpracę polityczną i gospodarczą z Niemcami; za poparcie i pomoc w dziele zjednoczenia Niemiec oraz zgodę na pewne koncesje (np. powrót do Polski pewnej liczby Niemców i przyznanie im pełnych praw obowiązujących w państwie demokratycznym, choćby takich, jakie mają Polacy w RFN), zapewnić uznanie demokratycznego i niepodległego państwa polskiego w obecnych granicach... ALBO:

— uznać sowieckie poddaństwo, zrezygnować z wolności, niepodległości i dobrobytu oraz cały czas żyć w strachu, że ZSRS i tak za naszymi plecami porozumie się z Niemcami na własną rękę, czego koszty zapłaci oczywiście Polska. Trzeciego wyjścia nie ma. My opowiadamy się za pierwszym wyborem.²

Niemcy prędzej czy później i tak się zjednoczą. Mogą to uczynić w oparciu o Zachód, a więc wbrew ZSRS i kosztem jego interesów, co będzie dla nas korzystne, lub w oparciu o Wschód, tj. za pomocą i przyzwoleniem ZSRS, co przekreśliłoby ostatecznie możliwości odzyskania przez Polskę niepodległości i pociągnęłoby za sobą najprawdopodobniej nasze straty terytorialne.

Układy Breżniew-Brandt wytyczyły uznaną prawnie nową granicę ZSRS w Europie; część tego terytorium nosi nazwę PRL (Prywatne Ran-czo Leonida — jak kiedyś mawiano) i oczywiście w każdej chwili może stać się ofiarą jakiejś większej transakcji swego właściciela. Partnerem Rosji w nowym podziale Polski może być tylko proradziecka grupa polityków SPD (Brandt, Bahr, Wehner, Schmidt i in.), dążąca do jak najściślejszej współpracy z ZSRS i „wytargowania" tą drogą NRD. Politycy ci są największymi wrogami Polski w Niemczech. Opór jaki stawiamy komunistom

² Ibidem

spędza im sen z powiek, bowiem zmusza do zaostrzenia kursu wobec Rosji. Przypomnijmy, że Brandt nie chciał potępić zamachu stanu i zbrodni Jaruzelskiego. Już w czasie trwania stanu wojennego sztab planowania przy Urzędzie Kanclerskim w RFN opracował wytyczne dla rządu Schmidta, według których powinien on prowadzić politykę współpracy nie tylko gospodarczej, ale również *politycznej* z ZSRS, nawet jeśli oznaczałoby to ryzyko konfliktu z USA. Nic w tym dziwnego, skoro przyjaciel ZSRS w SPD Egon Bahr oświadczył, iż na przeszkodzie odprężeniu „stoją założenia i działania” USA. Okazuje się więc, że ludobójstwo w Afganistanie i mordy w Polsce pomagają odprężeniu, natomiast przeszkadza mu imperialista Reagan!

E.Bahr jest za „rozwijaniem wszechstronnych stosunków ze Związkiem Sowieckim” i za odchodzeniem od amerykańskiej „doktryny odstraszenia”.

SPD podoba się stan wojenny w Polsce; jeden z deputowanych tej Partii do Bundestagu, niejaki Polken, po wizycie w Polsce oświadczył, że władza komunistyczna realizuje „politykę dialogu i porozumienia”. Strach pomyśleć, co by się działo z Polską i Niemcami, gdyby SPD w dalszym ciągu pozostawała u władzy w Bonn. Przeciwną koncepcję niemieckiej polityki zagranicznej ma natomiast Chrześcijańska Demokracja. Helmut Kohl wypowiedział się bowiem za zacieśnianiem stosunków z USA. (...)

V. Wiele osób uważa, że teoria dwóch wrogów jest nadal aktualna. Spójrzmy jednak realnie. Polska padła ofiarą agresji dwu państw. Od tego czasu jedno z nich nie zmieniło się w sposób istotny, wymordowało ok. jednego miliona Polaków, stale nas gnębi w dziedzinie gospodarczej, politycznej i kulturalnej. Drugie państwo zaś przestało istnieć. Na jego gruzach powstała demokratyczna i mieszczańska RFN, uformowało się nowe społeczeństwo, które pragnie jedynie żyć w dobrobycie i spokoju. Tak dalece nawet, że jego część gotowa jest podporządkować się ZSRS (ruchy pacyfistyczne). Jeśli może ono nam zagrazać, to tylko przez swój wstręt do wojska. Oto paradoks: zanik z gruntu wrogię Polsce pruskiego military-zmu jest dla nas korzystny, ale powszechna wśród młodych Niemców niechęć do wojska, może tylko ułatwić ZSRS marsz na Zachód.

Często zapominamy, że przecież w Alzacji i Lotaryngii należącej do Francji aktualnie mieszkają również Niemcy. I co? Czy ktokolwiek w RFN żąda ich przyłączenia do Niemiec? Nie! Ale Niemcy we Francji korzystają ze wszystkich praw gospodarczych, politycznych i narodowych, mogą swobodnie przekraczać granice (w praktyce na Zachodzie granic nie ma) o każdej porze dnia i nocy. Niemcy i Francuzi mogą swobodnie osiedlać się we Francji i RFN. W okęgach granicznych często ludność pracuje w sąsiednim państwie i nikomu to nie przeszkadza. Zachowana jest także lojalność obywateli względem własnego państwa. Taki model stosunków powinien naszym zdaniem stać się wzorem dla Polaków i Niemców.

Komuniści muszą mieć wroga, by nienawiścią do niego integrować wokół siebie własnych niewolników. Im bardziej będziemy ulegali komunistycznemu patrzeniu na świat — przez pryzmat nienawiści — tym dłużej pozostaniemy niewolnikami Moskwy i Jaruzelskiego.

Trzeba przyznać, że jedyni agresywni i antypolscy Niemcy, jacy jeszcze pozostali na świecie, to enerdownscy komuniści — najlepsi uczniowie Stalina. Miejmy jednak nadzieję, że Kościół protestancki, który już wypowiedział się w obronie Polaków, będzie miał większy wpływ na Niemców z NRD niż politycy.

Realnie patrząc, przez kilka lat po zjednoczeniu Niemiec, nawet gdyby doszły wśród Niemców do głosu jakieś pretensje imperialistyczne, nie będą mieli oni czasu ani środków na ich realizację. Główną bowiem troską Niemców będzie zagospodarowanie zrujnowanego przez komunistów NRD — asymilacja jego mieszkańców, spragnionych zachodniego poziomu konsumpcji, lecz przyzwyczajonych do życia w socjalizmie.

Wśród Polaków pokutuje pogląd, iż słabe i rozbite Niemcy byłyby najlepszym sąsiadem Polski. Niemcy Zachodnie są obecnie jedyną poważną zaporą, stojącą na przeszkodzie opanowaniu Europy przez komunizm. W przyszłości zaś staną się najważniejszym państwem Europy, dlatego właśnie powinniśmy dojść z nimi do porozumienia i uregulować kwestie sporne oraz prowadzić odpowiednią politykę wschodnią, zanim do tego dojdzie. Dopóki Niemcy będą podzielone, dopóty Rosja będzie panowała nad Łabą i nad Wisłą. Jeśli chcemy wyrwać się z niewoli, musimy nie tylko walczyć o niepodległość Polski, ale także pomagać Niemcom w walce o zjednoczenie (a więc w walce przeciw Rosji) oraz innym narodom w ich zmaganiach z komunizmem. On jest bowiem największym naszym wrogiem, wobec którego wszelkie sprawy sporne powinny zejść na plan drugi. Jeśli się nie wyzwolimy spod władzy Sowietów, to nie będziemy mieli nawet okazji sprzeczać się z sąsiadami, a co najwyżej Moskwa wyśle naszych żołnierzy do Afganistanu, podobnie jak uczyniła to z posłusznymi enerdowncami i Bułgarami. Mówiąc wprost — zjednoczenie Niemiec wbrew Rosji jest dla Polski korzystniejsze niż ich rozbitcie, ponieważ odsuwa ZSRS od Europy. Konsekwencją zaś owego zjednoczenia będzie z czasem wzrost potęgi Niemiec, ale na granicy z Polską niepodległą, a nie sowiecką republiką.

VI. Po wyzwoleniu Europy Wschodniej ulegną zasadniczej zmianie stosunki z Zachodem oraz przeobrażą się nasze kontakty z sąsiadami. Jeżeli będziemy państwem demokratycznym, będziemy musieli uznać np. prawo wszystkich do wyboru miejsca zamieszkania, a oznacza to nie tylko wyjazdy Polaków do bogatej Ameryki i Niemiec, ale również przyjazdy do Polski gospodarzy z biedniejszych od nas państw. Takie procesy nie zaszkodziły Zachodowi, nie zaszkodzą również nam. Państwo w stu procentach jednolite narodowo jest szkodliwym mitem — efektem komunistycznej polityki izolacji. A dalej, jeżeli będziemy społeczeństwem demokratycznym, troszczącym się o przestrzeganie praw obywatelskich w stosunku do naszych rodaków zamieszkałych np. w Niemczech, na Litwie, Ukrainie itd., to będziemy musieli takie same prawa przyznać także naszym grupom mniejszościowym. I jeżeli w tej sytuacji zdarzy się, że do Polski będzie chciał przyjechać jakiś Niemiec i osiedlić się tu, nie będziemy mogli mu tego zabronić. Emigracja na większą skalę jest wątpliwa z powodu ruiny pozostawionej w Polsce przez komunistów.

Już obecnie w Niemczech mieszka na stałe ponad 300 tyś. Polaków, a w przyszłości liczba ta jeszcze wzrośnie i nikt nie ma zamiaru ich stamtąd wyganiać. Jeżeli na Zachodzie występują jakieś ograniczenia w tej dziedzinie, to tylko ze względów ekonomicznych. Wszyscy bowiem chętnie widzą emigrację ludzi bogatych, którzy będą inwestować (nowe miejsca pracy) i kupować, lub wysokokwalifikowanych. Po wyzwoleniu takie same procesy będą zachodziły w Polsce. Więcej, będzie nam wprost zależało na inwestycjach zagranicznych, a ze względów geograficznych będą to zapewne kapitały niemieckie i/lub międzynarodowe. Nowe inwestycje — to nowe miejsca pracy, zamówienia, nowoczesne rozwiązania techniczne; wreszcie o inwestycje zagraniczne zabiega cały świat, a nasza post-komunistyczna gospodarka nie ruszy bez nich z miejsca. Wypada raz jeszcze podkreślić, że nie widzimy nic złego i nienormalnego w ewentualnym osiedlaniu się Niemców (i przedstawicieli innych narodowości) w Polsce, o ile to nie będzie naruszało interesów obywateli polskich. Chętnie będziemy widzieli wszystkie inwestycje zagraniczne, pod warunkiem jedynie, iż część zysków zostanie powtórnie za-inwestowana w Polsce. Na tych też zasadach pragniemy uregulować stosunki polsko-niemieckie.

Mieszek Morfeusz

«Niepodległość» nr 10, październik 1982, ss. 16-17

Europa przyszłości

Polityka zagraniczna w polskiej działalności opozycyjnej nigdy nie zyskała sobie dużego uznania. Zasadniczym powodem takiego stanu rzeczy było zwrócenie się ku zagadnieniom walki bieżącej i wygrywaniu pojedynczych potyczek, np. z reżymowym prawodawstwem. Całościowo wizja charakteru przyszłej Polski została odłożona w bliżej nieokreśloną przyszłość. Jest jednak rzeczą oczywistą, iż niemożliwe staje się prowadzenie jakichkolwiek działań na płaszczyźnie politycznej bez szczegółowego sprecyzowania zagranicznego aspektu tej polityki. Dopiero wówczas można zaprezentować kompleksowy program rozwiązań politycznych i w zależności od niego poszukiwać zwolenników. Nasze ugrupowanie liberalno-demokratyczne stawia sobie za cel nadrzędny działalność na rzecz odzyskania przez Polskę niezawisłości politycznej. Bez tego nie może być nawet mowy o przestrzeganiu praw człowieka, wpływie obywatela na system rządzenia, samorządności i zamożności społeczeństwa. A jedyną drogą, która ten cel może przybliżyć, jest ukierunkowanie działań zmierzających do przekreślenia postanowień z Teheranu, Jałty i Poczdamu. Sprawie tej ma szansę dobrze przysłużyć się przewartościowanie świadomości samych Polaków, jak i sąsiadów oraz innych państw Wschodu i Zachodu. Aby to uczynić z pożytkiem dla samej niepodległości, należy zaprezentować polityczny program, który byłby możliwy do przyjęcia przez wszystkich zainteresowanych.

Jednym słowem, należy stworzyć model polityki zagranicznej państwa

polskiego, który obecnie propagowany łączyłby skutecznie nasze wysiłki podejmowane na rzecz wyzwolenia, a później, realizowany w wolnej Polsce, stanowiłby wspólną gwarancję niepowtórzenia się kolonialnej zależności. Sprawa jest ogromnej wagi, gdyż w narodzie polskim, podobnie jak w narodach ościennych, wiedza historyczna na wspólne tematy sprowadza się w wielu przypadkach do stereotypów mających swe źródło w wielowiekowych uprzedzeniach.

Tak więc istnieje wręcz konieczność prowadzenia polskiej polityki zagranicznej już teraz, w imię interesów narodu, któremu pozostało tylko jedno jedyne wyjście - wybitcie się na niepodległość. Aby to jednak nastąpiło, musi zostać spełniony warunek podstawowy — utworzenie politycznej reprezentacji narodu, złożonej ze wszystkich niepodległościowych ugrupowań politycznych, reprezentujących zróżnicowany wachlarz poglądów i postaw politycznych swoich sympatyków. Dopóki opozycja polska, tu w kraju, nie zda sobie z tego sprawy, będzie skazana na perspektywę celów doraźnych i operowanie kategoriami pobożnych życzeń. W naszym rozumieniu konieczne staje się utworzenie na Zachodzie Europy reprezentacji polskiego ruchu oporu: partii i ugrupowań politycznych. Nadaliśmy jej nazwę Polskiej Reprezentacji Narodowej — PRN. Głównym jej zadaniem byłoby, przynajmniej na pierwszym etapie, polityczne oddziaływanie na rządy i parlamenty Europy Zachodniej, poprzez prezentowanie prawdziwych interesów narodu polskiego, a przede wszystkim jego jedno-znaczenie negatywnego stosunku do postanowień jałtańskich. Wydaje się, że Polska Reprezentacja Narodowa, pełniąc rolę wyraziciela interesów narodu polskiego, ma pewne szanse uzyskania uznania rządów zachodnich, zwłaszcza teraz, kiedy zagrożenie sowieckie stało się realniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Bez względu na to jednak, jak potoczyłyby się polityczne losy PRN, jej utworzenie stanowiłoby duży krok naprzód, odzwierciedlający przemiany polityczne zachodzące w społeczeństwie polskim. Niewykluczone, że po pewnym czasie podobne reprezentacje polityczne zostałyby wyłonione także przez inne podbite kraje obozu. Ich ewentualne wspólne działanie byłoby ważnym krokiem w kierunku przyszłej współpracy wolnych już krajów Europy środkowej i wschodniej. Siłą rzeczy, przed powołaniem PRN należy w sposób możliwie precyzyjny uzgodnić polskie interesy polityczne, które określą zarysy polskiej niezależnej polityki zagranicznej.

Przedstawiając poniżej kilka uwag na ten temat zaznaczamy, że nie pretendujemy do roli jedyne go wyraziciela potrzeb narodu polskiego i reprezentujemy jedynie poglądy naszego liberalno-demokratycznego ugrupowania. Podobnie jak inne przemyślenia, również te poddajemy pod osąd naszych czytelników, licząc na rzetelną dyskusję z osobami stojącymi na prawo i lewo od nas.

Jesteśmy i pozostaniemy w sferze wpływów zarówno Wschodu jak i Zachodu, ponieważ nie zmienimy naszego położenia geograficznego, podobnie jak nie zmieniają go inne narody zamieszkujące Europę. W naszej części kontynentu od wieków najistotniejszym zagadnieniem było rozwiązywanie problemów

politycznych wynikających z niemiecko-rosyjskiego sąsiedztwa. Aby oddalić raz na zawsze zagrożenie naszej niezawisłości i wolności płynące od tych dwu sąsiadów, nasze ugrupowanie opowiada się za zagwarantowaniem podstawowej zasady równości niepodległego państwa polskiego ze wszystkimi innymi państwami, w tym również z najbliższymi sąsiadami. Zabezpieczenie interesów Polski nie może jednak ograniczać się tylko do umów i ustaleń międzynarodowych. Jak wiemy, są one bardzo nietrwałe, jeśli nie idą za nimi ustalenia politycznej praktyki. Rozumieli to dobrze Jagiellonowie, gdy zdali sobie sprawę, iż Rzeczpospolita może bronić się przed zakusami Krzyżaków i Habsburgów jedynie w koalicji z Wielkim Księstwem Litewskim. Tworzona przez dwa wieki Unia Polsko--Litewska zapewniła bezpieczeństwo i rozwój Rzeczypospolitej na długi okres czasu. Oczywiście, jeżeli podajemy ten przykład, to nie po to, by propagować np. program polonizacji innych narodów, a jedynie dlatego aby uzmysłowić czytelnikom, że Polska pozostawiona samotnie w centrum Europy zawsze będzie łakomym kąskiem dla znacznie potężniejszych sąsiadów. Dlatego też już dziś należy podjąć działania na rzecz sojuszu zniewolonych narodów Europy wschodniej i środkowej, przekształconego w przyszłości — po rozgromieniu imperializmu sowieckiego -w mniej lub bardziej luźną formę federacji czy konfederacji. Polska więc już teraz musi działać również na rzecz wyzwolenia Ukrainy, Białorusi, Litwy, Łotwy i Estonii, nie tylko w imię własnej wolności, ale i wolności ludów, z którymi w przyszłości powinno ją łączyć przymierze polityczne i gospodarcze.

W praktyce, oprócz wymienionych już państw, w składzie Wspólnoty Europy Środkowo-Wschodniej widzielibyśmy jeszcze Czecho-Słowację, Węgry, Rumunię i ewentualnie Jugosławię, Bułgarię oraz Albanie. Powołanie nowej Wspólnoty Europejskiej stworzyłoby — po Rosji i Unii Zachodnioeuropejskiej — trzecią siłę gospodarczą, polityczną i militarną broniącą wspólnie interesów tych narodów, ciężko doświadczonych w przeszłości, a poza tym stanowiącą w tym rejonie świata czynnik ładu, wolności i pokoju.

Państwa Europy Środkowej i Wschodniej zawarłyby ze sobą umowy tworzące unię gospodarczą i paszportową, zagwarantowałyby wolności polityczne i kulturalne dla mniejszości narodowych, stworzyłyby możliwości swobodnego osiedlania się w każdym państwie wybranym przez obywatela. Aby doszło do takiej współpracy, Polacy — najsilniejszy i praktycznie najliczniejszy naród w tym rejonie — nie mogą stanowić zagrożenia dla swych potencjalnych federacyjnych czy konfederacyjnych partnerów. Jak napisał jeden z naszych korespondentów w dyskusji nad założeniami programowymi, w naszej części Europy nie ma granic sprawiedliwych. Każde konkretne rozwiązanie krzywdzi którąś ze stron. Dlatego postulujemy uznanie przez Polaków obecnych granic, tj. pozostawienie przy niepodległej Litwie, niepodległej Białorusi i niepodległej Ukrainie byłych polskich kresów wschodnich, a w szczególności okolic Wilna i Lwowa, na zasadzie suwerennej polskiej decyzji, a nie w wyniku jałtańskiego dyktatu Wielkiej Trójki.

Zlikwidowałyby to zarzewie sporów między Polakami i ich wschodnimi sąsiadami oraz znacznie osłabiłyby — mamy nadzieję — ich obawy przed polską dominacją w postulowanej przez nas konfederacji.

Istotnym czynnikiem polskiej polityki zagranicznej powinno być wypracowanie stosunku do narodu rosyjskiego i przyszłego państwa rosyjskiego, powstałego na gruzach imperium rosyjskiego. Naszym zdaniem powinien on opierać się na zasadach równości, partnerstwa i wzajemnej nieingerencji w sprawy wewnętrzne. Interesy narodowe niepodległego państwa polskiego i wyzwolonego z jarzma komunizmu państwa rosyjskiego nie muszą być sprzeczne ani się wzajemnie wykluczać. Polska jednak powinna być orędownikiem ostatecznej likwidacji imperializmu rosyjskiego, ciężącego nad historią tego kraju co najmniej od czasów Piotra I. Uznajemy naród rosyjski za zniewolony przez komunistów i pozbawiony swych praw. Uważamy, że naród ten, jak każdy inny, ma również prawo do życia w wolności i swobodzie. Dlatego też postulujemy, aby polskie ugrupowania polityczne udzielały poparcia tym Rosjanom, którzy poświęcają swe działania na rzecz wyzwolenia narodu rosyjskiego spod władzy komunizmu i jego odrodzenia politycznego, społecznego i kulturalnego, którzy walczą z zakorzenionym w tym narodzie wielkorosyjskim szowinizmem i nacjonalizmem, stanowiącym pożywkę dla despotyzmu i imperializmu.

Z Rosją wolną i niepodległą, obejmującą *tylko* swoje etniczne terytoria (republiki azjatyckie i kaukaskie również muszą uzyskać niepodległość), Polska powinna utrzymywać przyjazne stosunki i prowadzić dwustronną działalność gospodarczą. Polacy na jej obszarach muszą posiadać prawo albo do powrotu do ojczyzny, albo do pełnej autonomii kulturalnej. Rozwiązanie problemu mniejszości narodowych w krajach Europy środkowej i wschodniej z pewnością ułatwiłoby podpisanie przez wszystkie zainteresowane strony konwencji o wspólnym obywatelstwie.

Jeżeli chodzi o drugiego sąsiada — Niemcy — stoimy na stanowisku nie-naruszalności polsko-niemieckiej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Jej prawna tymczasowość, podkreślana przez niektóre koła polityczne w RFN, winna zostać zatwierdzona przez przyszły traktat pokojowy lub inny międzynarodowy akt prawny. Granica na Odrze i Nysie stanowi przede wszystkim formę rekompensaty za straty materialne i terytorialne, jakie Polska poniosła w wyniku II wojny światowej. Zegara historii nie da się jednak cofnąć. Dlatego też, pamiętając o zbrodniach niemieckich, podobnie zresztą jak i o sowieckich, musimy zwrócić się ku przyszłości, proponując taki ład w Europie, który zabezpieczyłby Polskę i inne kraje przed wojną o zmianę granic. Należy jednak pamiętać, że w wolnych Niemczech urodziły się i wychowały już dwa pokolenia, które hitleryzmu nie widziały. Ogólnie społeczeństwo RFN jest nastawione przyjaźnie do Polski, a tzw. tendencje odwetowe stanowią margines polityczny sztucznie rozdmuchiwany przez propagandę PRL w celu poróżnienia Polaków i Niemców, aby odwrócić uwagę od głównego obecnie wroga Polski, którym jest Związek Sowiecki.

Zgodnie z zasadą samostanowienia, Niemcy mają prawo do życia w jedności — jak każdy naród. Opowiadamy się więc za zjednoczeniem Niemiec i utworzeniem wolnego, niezawisłego państwa niemieckiego. Ewolucja taka powinna sprzyjać dobrosąsiedzkim stosunkom naszych narodów. Oczywiście, należy wzajemnie zagwarantować prawa mniejszości narodowych w obu państwach.

I wreszcie, nie posiadając własnej państwowości, faktycznie okupowani, liczymy na zrozumienie i pomoc Europy Zachodniej i innych wolnych i demokratycznych państw świata. Nie chodzi nam o to, „że nie ma Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej”, bo polityka nigdy nie kieruje się sentymentami czy racjami moralnymi, lecz o zrozumienie podstawowej zasady, iż tylko osłabienie komunistycznego imperium ZSRS stanowi skuteczną ochronę niezależności politycznej Wolnego Świata. W Europie tylko wówczas zapanuje trwały pokój, gdy stanie się ona kontynentem demokratycznych państw i wolnych narodów, współpracujących ze sobą dla zapewnienia wolności i dobrobytu swoim obywatelom; kontynentem, na którym nie będzie miejsca dla anachronicznych rezerwatów „socjalistycznej demokracji”, „komunistycznego dobrobytu” i „ograniczonej suwerenności”.

Aby osiągnąć taki stan, trzeba jednak zrezygnować z polityki doraźnych korzyści (np. gaz syberyjski, handel z ZSRS) na rzecz działań perspektywicznych, ułatwiających społeczeństwom (narodom) Europy środkowej i wschodniej walkę o realizację zasad zapisanych w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela.

Wojtek Wojskowy

«Niepodległość» nr 26, luty 1984, ss. 10-12

Polska reprezentacja narodowa

Obecnie zagranicą całością propagandy na rzecz „S” kieruje Biuro Koordynacyjne „S” z siedzibą w Brukseli. Linia polityczna reprezentowana przez BK „S” jest nie tylko niezadowolająca, ale wręcz szkodliwa z punktu widzenia nurtu niepodległościowego naszej opozycji. Dzieje się tak z sześciu przyczyn:

1. BK „S” musi unikać wszelkiego bardziej konkretnego akcentowania swej tożsamości politycznej ze względu na instytucje dotujące Biuro, a są wśród nich związki zawodowe, partie polityczne i organizacje społeczne o orientacji politycznej od skrajnej lewicy do skrajnej prawicy. Na Zachodzie związki zawodowe związane są z różnymi partiami politycznymi i dlatego mają rozmaite orientacje. Gdyby BK „S” ogłosiło się centralą związków zawodowych o różnych orientacjach, wówczas mogłoby otrzymać pomoc od wszystkich. Skoro jednak jest przedstawicielstwem jednego związku, musi podkreślać swą

apolityczność. Czyniąc zaś to nie może z kolei występować w roli przedstawicielstwa narodowego, które ze swej istoty musi mieć charakter czysto polityczny. Tej wewnętrznej sprzeczności nie da się pogodzić.

Różne organizacje poprzez swe kontakty z TKK i BK „S” zmuszają je do podejmowania decyzji wykraczających jednak daleko poza ramy związkowe, często czysto politycznych, co znów stoi w sprzeczności z głoszoną apolitycznością oraz z brakiem upoważnienia od organizacji politycznych, które właśnie powstają w kraju.

2. BK „S”, jako prawny i uznany (m.in. przez Międzynarodową Organizację Pracy) przedstawiciel „Solidarności”, może realizować, niezależnie od swej woli, jedynie taką linię, jaką aktualnie akceptuje Tymczasowa Komisja Koordynacyjna w kraju, tzn. ugodową. Oficjalnie członkowie BK „S” muszą zapewniać cały świat tylko o tym, że celem walki prowadzonej w podziemiu jest porozumienie i kompromis z komunistami, legalna działalność związków zawodowych (niekoniecznie „Solidarności”) w zakresie wyznaczonym przez komunistów oraz pozostanie Polski w bloku sowieckim. Może być to zadowalające z punktu widzenia TKK, ale nie ze stanowiska obozu niepodległościowego.

3. BK „S” ze względu na oficjalne uznanie przez MOP może trzymać się wyłącznie płaszczyzny związkowej, co dla niepodległościowców jest niezadowalające, ale dla MOP-u stanowi jedyne dające się zaakceptować rozwiązanie, gdyż organizacja ta skupia przedstawicieli związków zawodowych, pracodawców i władz państwowych. BK „S”, uznane za przedstawicielstwo „Solidarności”, uważanej (zresztą całkowicie bezpodstawnie) za związek zawodowy i w takim charakterze występującej po Sierpniu, może poruszać się wyłącznie na tej płaszczyźnie, jeśli nie chce stracić poparcia MOP-u. Jednocześnie zaś Zachód uważa BK „S” nie za reprezentację związku zawodowego, lecz narodu, do czego oczywiście BK „S” nie ma żadnego prawa, gdyż zostało wyznaczone jedynie przez ugodową TKK, a nie przez wszystkie kierunki polityczne polskiej opozycji demokratycznej.

4. BK „S”, jako przedstawicielstwo związkowe, podlega takim samym ograniczeniom jak „S” w Polsce. Dopiero przekształcenie w sposób oficjalny „S” ze związku w organizację lub organizacje polityczne umożliwiłoby Biuru podjęcie działań na płaszczyźnie politycznej. To zaś jest niemożliwe, gdyż TKK nie chce i nie potrafi określić się jako organizacja polityczna.

5. Ludzie działający w Biurze wyjechali z Polski przed 13 grudnia i zatrzymali się w rozwoju świadomości politycznej na etapie działalności społecznej KOR i polityki porozumienia i kompromisów prowadzonej przez legalną „S” w okresie odnowy („rozmowy jak Polak z Polakiem”). Ludzie ci również prywatnie nadal pozostają zwolennikami polityki ugodowej.

6. Pozycja Biura zależna jest od utrzymania mitu „Solidarności” — 10 milionów ludzi działających na rozkaz TKK. Dlatego BK „S” nigdy nie uważa nurtu niepodległościowego, który krytykuje TKK za ugodowość. BK „S” musi głosić, że pozostaje reprezentantem jedynej siły sprzeciwu wobec komunizmu w Polsce. W przeciwnym razie utraci część dotacji. A trzeba pamiętać, że utrzymanie aparatu Biura jest niezmiernie kosztowne. Nie wynika to oczywiście ze złośliwości czy zachłanności pracowników Biura, ale z prostego faktu, że utrzymanie każdego oficjalnego przedstawicielstwa jest kosztowne. Pojawienie się natomiast jakiegokolwiek siły innej niż podziemna „S” będzie obniżało pozycję i prestiż BK „S”, gdyż utraci ono monopol, stanie się „jednym z”, a nie „jedynym”. Przykładowo, ktoś może zechcieć dać pieniądze na akcję niepodległościową, nie zaś na TKK, i już suma ta dotrze do rąk ludzi, których BK „S” nie uznało za godnych pomocy.

TKW i RKW Mazowska reprezentują linię ugodową, ale nie mają już monopolu na walkę z komunizmem, bowiem poza zwolennikami kompromisu w polskiej opozycji demokratycznej powoli i z mozołem wyodrębniają się grupy niepodległościowe; tworzą się zręby ruchu niepodległościowego w oparciu zarówno o struktury wyrosłe na bazie „S”, jak i obok niej. Zachód natomiast nic o tym nie wie. Nie wie, że polska opozycja jest zróżnicowana; nie wie, iż jej część toczy walkę już nie o porozumienie, lecz o niepodległość Polsk'i i likwidację imperium sowieckiego. Nie wiedząc zaś — nie może pomagać. Sytuacja ta wynika z monopolistycznej pozycji BK „S”-u i stosowania przezeń ostrej cenzury. Najważniejszy jest jednak fakt, że dla ruchu niepodległościowego nie pozostaje obojętnym, jakie poglądy i programy będą głoszone przez Polaków na Zachodzie.

Tego co napisaliśmy nie należy jednak interpretować jako przekreślenia sensu istnienia i działania Biura Koordynacyjnego „Solidarności”. Naszym celem nie jest bowiem krytyka BK „S”-u za to czym być nie może i nie będzie lecz wskazanie na konieczność uzupełnienia przedstawicielstwa zagranicznego „S” o instytucję, która działałaby wyłącznie na płaszczyźnie politycznej i byłaby reprezentantem systemu niepodległościowych partii politycznych w kraju. Nie podlegając ograniczeniom typu związkowego, prowadziłyby polską politykę zagraniczną, propagując cele polityczne nurtu niepodległościowego opozycji krajowej. Ruch niepodległościowy nie może bowiem zrezygnować z własnego przedstawicielstwa w imię utrzymania fikcyjnej jedności całej opozycji siłą utrzymywanej w związkowym kaftanie, gdyż oznaczałoby to rezygnację z prowadzenia propagandy niepodległościowej w wolnym świecie.

Nie mamy nic przeciwko temu, żeby związkowi ugodowcy, stanowiący przecież część — ale tylko część — „ruchu solidarnościowego”, mieli swe agendy na Zachodzie. Nie znaczy to jednak, że mamy zrezygnować z tworzenia własnego ośrodka. (...)

Czy Polska sama może być niepodległa?

Rozpatrzmy problem kierunków polityki zagranicznej, jakie należałoby obrać, aby zapewnić naszemu krajowi trwałą niepodległość.

Okres międzywojenny wykazał, że o ile w szczególnie sprzyjających okolicznościach (osłabienie Rosji) możemy odzyskać i utrzymać niepodległość (rok 1920 — bitwa warszawska), o tyle zagraża jej stale porozumienie Rosji z Zachodem (z Niemcami — Pakt Mołotow-Ribbentrop, układy Breżniew-Brandt, lub z USA i Europą Zachodnią — układy jałtańskie i poczdamskie). Aby do tego nie dopuścić, należy spełnić dwa warunki:

— doprowadzić do powstania nowych sił na wschód od Odry, które staną się w miejsce Rosji partnerem i przeciwwagą dla Europy oraz lepszym niż EWG sojusznikiem dla USA;

— doprowadzić do trwałego osłabienia państwowości rosyjskiej, aktualnie występującej w formie sowieckiej, poprzez utworzenie niepodległych państw narodowych na ziemiach zagarniętych przez Rosję lub ZSRS (a więc do zjednoczenia Niemiec).

Utworzenie niepodległego i trwale suwerennego państwa polskiego, związane jest zatem z przebudową stosunków geopolitycznych w Europie środkowo-wschodniej.

Rosja stanowiła zawsze i będzie stanowić nadal zagrożenie dla naszej państwowości, podczas gdy Niemcy w przyszłości mogą nam zagrażać tylko gospodarczo. Dlatego nasza współpraca z nimi powinna być oparta na własnej sile politycznej (jeszcze długo po wyzwoleniu będziemy ekonomicznymi bankrutami i w tej płaszczyźnie nie będziemy się liczyć) i poważnych sojuszach, przede wszystkim z USA. Aby jednak być w takim sojuszu partnerem wartym zachodu, musimy reprezentować sobą ową *znaczną* siłę polityczną, co stawia nas w punkcie wyjścia i zmusza do stworzenia przeciwwagi dla zjednoczonych Niemiec w oparciu o nową politykę wschodnią i południową.

Silnej politycznie Polski nie można sobie wyobrazić pod koniec XX wieku jako państwa-hegemonu, który prowadzi podporządkowane swej władzy mniejsze kraje, ale jako demokratyczne państwo, które samo rezygnuje z pewnych krótkofalowych czy wręcz złudnych korzyści na rzecz dalekowzroczej polityki porozumienia i sojuszu z państwami i narodami ościennymi, ciężącymi na równi z nami bardziej ku zachodniej kulturze niż wschodniemu knutowi. Siła polityczna Polski powinna wynikać z atrakcyjności współpracy z nią, gwarancji wzajemnego bezpieczeństwa i korzyści gospodarczych oraz kulturalnych.

Narody i państwa Europy środkowo-wschodniej i południowej żyły dotychczas w nieustannych sporach; uwikłane we wzajemną nienawiść, stały się polem manewrów, a następnie koloniami ZSRS. Kres tej sytuacji powinno położyć powstanie Konfederacji, tj. Związku Państw Europy Środkowej,

Wschodniej i Południowej. Przypomnijmy, że to właśnie Rosja uniemożliwiła utworzenie federacji polsko-czechosłowackiej (układ Benesz-Sikorski) i przeszkodziła próbie powołania federacji bałkańskiej (Jugosławia, Bułgaria, Albania). Tylko Konfederacja, w skład której weszłyby zachodnie kolonie ZSRS i kraje demokracji ludowej, mogłaby zapewnić trwałą niepodległość Polsce, zaś walka o powstanie tego Związku byłaby jednoznaczna z walką o wyzwolenie Europy spod sowieckiego jarzma. Nasza polityka zagraniczna powinna być zatem podporządkowana sprawie utworzenia w przyszłości owej Konfederacji. Zakłada to:

— konieczność natychmiastowego i jednoznacznego uznania przez opozycję demokratyczną, w imieniu narodu polskiego, prawa do samostanowienia, tj. utworzenia własnego niepodległego państwa, wszystkich narodów ujarzmionych przez ZSRS, a wcześniej przez Rosję, bez oglądania się na ewentualny gniew Breżniewa;

— konieczność natychmiastowego i jednoznacznego uznania obecnej granicy wschodniej i południowej Polski za ostateczną; pozostawienie Wilna Litwinom, a nie Litewskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej, Lwowa — Ukraińcom, nie zaś USRS, i terenów białoruskich — Białorusinom, lecz nie BSRS, i wreszcie Zaolzia — niepodległej i demokratycznej federacji czechosłowackiej.

„Niepodległość” ze swej strony udziela bezwarunkowego poparcia dla demokratycznych i niepodległych państw bałtyckich, Białorusi i Ukrainy, uznając obecną granicę polską za ich (tj. Litwy, Białorusi, Ukrainy) granicę zachodnią oraz uznając obecną granicę z Czechosłowacją, i wyraża swe poparcie dla wszystkich sił demokratycznych walczących o niepodległość tzw. krajów demokracji ludowej.

Uznanie obecnych granic w żadnym jednak wypadku nie oznacza porzucenia choćby jednego Polaka mieszkającego poza krajem. Uważamy bowiem, że znacznie ważniejsza od walki o rozszerzenie granic jest walka o prawo Polaków do polskości. Dlatego też będziemy z pełną determinacją walczyli o przyznanie wszystkim mniejszościom polskim praw obywatelskich (narodowych, politycznych i religijnych), uznając jednocześnie na zasadzie wzajemności takie same prawa wszystkich mniejszości narodowych zamieszkujących lub mogących jeszcze zamieszkać w naszym kraju. Przykładowo, oznacza to przyznanie Ukraińcom żyjącym w Polsce prawa powrotu w Bieszczady i prowadzenia własnej działalności gospodarczej, politycznej i narodowej, lub emigracji na Zachód bądź do niepodległej Ukrainy.

Należy też podkreślić, że w wypadku powstania Konfederacji będą miały miejsce znacznie ruchy migracyjne, którym nie będziemy przeciwdziałać. Będą one wynikały z uznania prawa do swobodnego wyboru miejsca zamieszkania oraz z przenoszenia do centrów przemysłowych robotników z terenów nieuprzemysłowionych, np. napływ Rumunów do Polski, Polaków do Czech itp. W tej sytuacji istnienie silnej kolonii polskiej we Lwowie, a ukraińskiej w Bieszczadach, Krakowie czy Warszawie i cieszących łać. Będą one wynikały z uznania prawa do swobodnego wyboru miejsca zamieszkania oraz z

przenoszenia się do centrów przemysłowych robotników z terenów nieuprzemysłowionych, np. napływ Rumunów do Polski, Polaków do Czech itp. W tej sytuacji istnienie silnej kolonii polskiej we Lwowie, a ukraińskiej w Bieszczadach, Krakowie czy Warszawie, cieszących się wszystkimi prawami, będzie zupełnie normalnym zjawiskiem, bardziej zbliżającym niż dzielącym nasze narody.

Początkiem przedstawionej tu perspektywy powinno być:

1. Nawiązanie współpracy przez polską opozycję niepodległościową z mniejszościami narodowymi mieszkającymi w Polsce, ugrupowaniami demokratycznymi w krajach ościennych oraz demokratycznymi organizacjami emigracyjnymi tych narodów.

2. Udzielanie pomocy słabszym organizacyjnie społeczeństwom i przeprowadzenie wspólnych akcji wewnątrz i poza obozem.

3. Tworzenie porozumień i zawieranie układów o charakterze perspektywicznym.

Jednocześnie musimy być przygotowani na to, że polska opozycja, jako najbardziej rozwinięta, może „uciekając do przodu” pozostawić daleko w tyle inne ugrupowania demokratyczne i dlatego wyizolować się. Należy także zdawać sobie sprawę, że w wypadku załamania się imperium sowieckiego trzeba będzie udzielić politycznej pomocy słabszym partnerom.

Mieszek Morfeusz

«Niepodległość» nr 8-9, sierpień-wrzesień 1982, ss.10-11

Niepodległość

Niepodległość jest dla nas nie tylko wartością samoistną, ale także warunkiem umożliwiającym stworzenie wolnościowego i demokratycznego ustroju Polski. Aby jednak owa wolna i demokratyczna Polska nie byłajedy-nie tworem tymczasowym między jedną niewolą a drugą, jej niepodległość musi posiadać trwałe oparcie w nowym układzie sił w Europie wschodniej, musi wynikać z nowych stosunków, nie zaś z chimerycznych traktatów, które silniejszy zawsze może złamać. I tu dochodzimy do sedna sprawy: interes Polski — niepodległość — jest całkowicie sprzeczny z interesem Rosji — panowaniem nad Europą wschodnią, co najmniej zaś nad ziemiemi byłej Rzeczypospolitej, umożliwiającymi dostęp do Europy. Taki jest interes każdego państwa istniejącego na równinach rosyjskich z centrum w Moskwie, bez względu na jego bardziej lub mniej niewolniczy charakter ustroju. Dlatego wszelkie próby „dogadania się”, pochodzące od A.Michnika lub od dostrzegającego gdzieś możliwą wspólnotę interesów Polski i Rosji S.Kisielewskiego, prowadzą do dobrowolnego przyjęcia wschodniego poddaństwa.

Fakt obecnego pozostawania w poddaństwie Kremla nie musi oznaczać, że gdy nadarzy się okazja zrzucenia niewoli, zamiast to uczynić, zaczniemy się targować o jej lepsze warunki. Ostateczne zrzucenie niewoli musi jednak

kosztować. Będą to ofiary czynione także z polskich uprzedzeń i marzeń o powrocie na dawne ziemie.

Walka między elitami w ZSRS (a dopiero na drugim planie rozruchy ludowe) może doprowadzić do czasowego osłabienia tego mocarstwa, a nawet wyodrębnienia zwalczających się ośrodków władzy komunistycznej, np. w Kijowie, Moskwie, Kazachstanie. W wypadku przegranej wojny proces taki nastąpiłby bardzo szybko. Przed Polakami stanie wówczas możliwość odzyskania niepodległości oraz wybór między polityką stawiającą sobie za cel uzyskanie statusu Finlandii a dążeniem do trwałej dezintegracji Rosji (poparcie dla ruchów odśrodkowych, nawet komunistycznych).

Jesteśmy zwolennikami drugiej koncepcji, gdyż interesuje nas tylko trwała niepodległość, tj. tworzenie takich warunków w Europie Wschodniej, w których Rosja nie będzie mogła realizować tutaj swych interesów i zwróci imperialne oraz państwowe dążenia na Wschód. Jakie są to warunki?

Likwidacja komunizmu w KDL-ach i dezintegracja ZSRS — usamodzielnienie się republik zachodnich (Litwa, Łotwa, Estonia, Białoruś, Ukraina) pozostających pod władzą komunistów lub nie. W naszym interesie leży powstanie tych państw, musimy im więc w pewnym momencie udzielić pomocy politycznej, jeśli okaże się ona potrzebna. W wypadku demoludów będzie to poparcie dla obalenia ustroju komunistycznego, jeśli zaś chodzi o republiki sowieckie - poparcie przede wszystkim dla tendencji odśrodkowych, nawet komunistycznych, a dopiero na drugim miejscu wpływanie na ich ewolucję w kierunku demokracji. Może to oznaczać np. sojusz z komunistyczną Ukrainą przeciw Rosji, w której komunistów zastępują już jacyś generałowie.

Wolna i trwale niepodległa Polska może powstać naszym zdaniem jedynie w wolnej od Rosji (a dopiero w drugim etapie od komunizmu) Europie wschodniej. Wspólna walka przeciw Rosji napotyka jednak na dwie przeszkody:

- skłócenie narodów Europy wschodniej na płaszczyźnie bardzo skomplikowanych stosunków narodowościowych, co umożliwia Rosji manipulowanie konfliktami,
- nieuregulowane i konfliktowe stosunki między Polakami i narodami ościennymi.

Jeżeli zatem udałoby się nam rozwiązać nasze spory z sąsiadami, moglibyśmy ku powszechnemu i własnemu pożytkowi pełnić funkcje rozjemcze w konfliktach między innymi narodami, np. Rumunami i Węgrami, Słowakami i Węgrami, Litwinami i Białorusinami itp.

Rosji damy radę tylko wówczas, gdy zjednoczymy wysiłki wszystkich naszych narodów. Jesteśmy zatem w realizacji owego dzieła tak samo zainteresowani, jak w przetrwaniu Polski. Nie ma bowiem wątpliwości, że dalsze trwanie komunizmu stwarza śmiertelne niebezpieczeństwo dla naszego bytu narodowego; grozi nam biologiczna, narodowa i moralna likwidacja.

A jak wyobrażamy sobie uregulowanie naszych konfliktów? Uważamy, że bezwzględnie i bezwarunkowo musimy uznać obecne granice za nienaruszalne (drobne wzajemne korekty na odcinku litewskim i słowackim nie

przeczą tej zasadzie), a tym samym raz na zawsze zrzec się praw do Wilna i Lwowa, pod warunkiem wszakże:

- że będą one należały do niepodległych państw Litwy i Ukrainy, a nie do jakiejś federacji rosyjskiej,

- że mniejszość polska zamieszkała na tych terenach uzyska wszystkie prawa obywatelskie (gospodarcze, polityczne, kulturalne, narodowe i religijne), co ze swej strony gwarantujemy wszystkim mniejszościom zamieszkałym i mogącym jeszcze osiedlić się w Polsce.

Stosunki z naszymi sąsiadami chcemy ułożyć na zupełnie odmiennych zasadach niż dotychczasowe. Prawo wyboru miejsca zamieszkania i swoboda poruszania się (praktycznie granice zostaną zniesione) oznaczają, że nie tylko Polacy będą mogli bez trudu opuszczać kraj; z pewnością uczynią to także inni w poszukiwaniu lepszych warunków życia. Do Polski także mogą napłynąć robotnicy z jeszcze biedniejszych regionów Europy wschodniej.

Praktyczna likwidacja granic i swoboda poruszania się będzie oznaczała, że Polacy chcący osiedlić się na stałe lub czasowo na przykład na Ukrainie, Białorusi bądź na Litwie, będą mogli to uczynić pod warunkiem przestrzegania tamtejszych praw i korzystając równocześnie z uprawnień przysługujących mniejszościom narodowym. W drodze osobnych rokowań międzypaństwowych powinno dojść do ustalenia zasady podwójnego obywatelstwa w omawianych przypadkach. Nie będzie więc rzadkością Polak w Wilnie lub Lwowie, ale w Wilnie należącym administracyjnie do niepodległej Republiki Litewskiej i Lwowie należącym do niepodległej Republiki Ukrainińskiej (naszym hasłem jest: ukraińsko-polski Lwów jednym z głównych miast niepodległej Ukrainy sprzymierzonej z niepodległą Polską).

Pamiętajmy cały czas, że w praktyce oznaczać to będzie wzrost liczby mniejszości narodowych w Polsce oraz rozszerzenie się zasięgu Polonii. W dalszej przyszłości należy zatem spodziewać się, że państwa naszego regionu przekształcą się w wielonarodowe z wyboru, a nawet może dojdzie w perspektywie dwu — trzech pokoleń do przeniesienia się poza granice historyczne większości danego narodu, choć z zachowaniem więzi narodowej: swoboda kontaktów, utrzymanie własnej kultury, języka itp.

Jeżeli zatem tworząc nowe warunki udałoby się nam oprzeć je na zasadach wzajemnej tolerancji i współpracy, nasz region mógłby w zupełnie naturalny sposób utworzyć konfederację (tj. związek suwerennych państw). Takie też są nasze dążenia.

Drogi Czytelniku, musisz zastanowić się i już dziś odpowiedzieć sobie na pytanie: czy chcesz Polski silnej duchem, promieniującej kulturą i wchłaniającej wszystko co najlepsze w jej otoczeniu, wolnej i cieszącej się dobrobytem, choć małej obszarem, czy też wolisz Polskę równie małą, bowiem nikt nam niczego odebrać i tak nie pozwoli, skłóconą z sąsiadami, izolowaną i zasklepioną w sobie. Myśmy już wybrali.

Na dziś proponujemy innym organizacjom opozycji demokratycznej utworzenie wspólnej komisji do spraw opracowania zadań i zasad polskiej polityki zagranicznej, następnie zaś działania w trzech kierunkach: rozpoczęcie

szerokiej akcji wydawniczej, nawiązanie współpracy z grupami opozycyjnymi w demoludach (dotychczas każde ugrupowanie czyniło to na własną rękę, teraz byłyby to nasza wspólna inicjatywa — już nie w imieniu tego czy innego środowiska, ale Polaków jako narodu) oraz utworzenie na emigracji przedstawicielstwa z zadaniem nawiązania oficjalnych stosunków z ugrupowaniami emigracyjnymi. Dotychczasowe akcje w rodzaju wspólnych narad lub konferencji naukowych nie miały takiego wydźwięku politycznego.

Mieszek Morfeusz

«Niepodległość» nr 11-12, listopad-grudzień 1982, ss.34-36

Rozwiązanie kwestii radzieckiej

Pisanie o przyszłym rozwiązaniu kwestii radzieckiej, tj. dezintegracji imperium sowieckiego, wiele osób uważa za czas stracony na snucie fantastycznych marzeń. Na problem ten należy jednak spojrzeć nie tyle pod kątem bliskości rozpadu, co wypracowania takiej linii politycznej, która pozostawałaby w zgodzie z długofalowym interesem Polski bez względu na czas, kiedy uda się ją urzeczywistnić.

Rosja stoi przed wyborem: wojna wewnętrzna lub zewnętrzna. O jakichkolwiek reformach nawet mowy być nie może, gdyż musiałyby one oznaczać ograniczenie komunistycznej władzy rękami samych komunistów. Wszystko co napisano na temat nieudanych reform w demoludach, odnosi się w jeszcze większym stopniu do ZSRS. Możliwe natomiast są zmiany częściowe, ruchy pozorowane itp. Zmian w strukturze władzy — np. zastąpienia partii przez wojsko i policję — nie zaliczamy do reform, gdyż nie powoduje to przekształcenia samej struktury i charakteru władzy z punktu widzenia poddanych imperium. Będzie to ta sama władza komunistyczna.

Aparat partyjny stracił zdolność wymuszania efektywności produkcji i nie jest już w stanie pełnić roli jej organizatora. Jedynymi sprawnymi instytucjami pozostały struktury policyjne i wojskowe. Będą zatem one zastępować partię. W tej sytuacji wojna zewnętrzna może okazać się najłatwiejszym sposobem umocnienia władzy wewnątrz państwa.

Najprostszym sposobem wyjścia z komunistycznego kryzysu jest podbój nowych obszarów. Mowa jednak nie o zwyczajnym podboju, który jest przejawem istnienia tego ustroju (np. Afganistan), ale o zagarnięciu Europy Zachodniej, co ułatwiłoby Sowiecom materialne przetrwanie i odsunięcie upadku imperium o dwa, trzy pokolenia. Wybuchu wojny z Zachodem nie należy traktować ani jako niemożliwego, ani jako końca świata. Owa możliwość istnieje, powinniśmy zatem przygotować się koncepcyjnie i programowo na taką ewentualność. Polska Reprezentacja Narodowa, negocjująca polski charakter PRL - państwowej formy sowieckiego i rosyjskiego panowania nad naszym krajem — w wypadku wybuchu konfliktu stałaby się dla państw

zachodnich rzeczywiŝtą alternatywą wobec sowieckiego rządu PRL.

Jeŝli ZSRS nie zdecyduje się w krótkim czasie na podbój Zachodu, póŝniej nie będzie juŝ w stanie tego dokonać (o wojnie z Chinami nie piszemy, gdyŝ jest ona jeszcze przez długi czas mało prawdopodobna). Nie oznacza to, ŝe taki rozwój sytuacji będzie dla Polski korzystny. Dojdzie bowiem do całkowitego zamknięcia się imperium z dwu przyczyn:

1. politycznej (dąŝenie ZSRS do utrzymania za wszelką cenę stanu posiadania i niechęć Zachodu do walki z Rosją, która nie będzie juŝ mu zagraŝać);
2. gospodarczej (całkowite zerwanie wszelkich więzi handlowych z powodu rewolucji elektronicznej na Zachodzie. Wschód nie będzie miał juŝ nic do zaoferowania, podobnie jak Kambodŝa, moŝe z wyjątkiem niektórych surowców i sztuki ludowej).

W tej sytuacji imperium sowieckie pogrąŝy się w nędzy (powszechny głód), szarpane będzie buntami i rozruchami, walkami wewnątrz klasy rządzącej: partia przeciw wojsku, a póŝniej poszczególne frakcje wojskowe przeciwko sobie, rozpad na prowincje i zmagania między poszczególnymi komunistycznymi generałami itd. Zawsze jednak władzy wystarczy sił, by zdusić lokalne bunty i rewolucje. Rosja, straciwszy nadzieję opanowania Zachodu i pozostając poza strefą jego zainteresowań (rewolucja elektroniczna spowoduje masowe bezrobocie i Europa będzie miała doŝyć własnych problemów), uzyska całkowicie wolną rękę w swych koloniach, być moŝe jedynie za cenę rezygnacji z NRD.

W tych warunkach takŝe moŝe pojawić się moŝliwość odzyskania niepodległości, ale będzie ona zaleŝała juŝ nie od międzynarodowego układu sił, lecz przede wszystkim od sytuacji w samym imperium. Różne pomysły obłaskawiania Rosji i pieniące się tu i ówdzie obrzydliwe rusofilstwo, propagujące teŝę, jakoby za cenę pewnych ustępstw moŝna było cokolwiek na stałe uzyskać od ZSRS, oraz niechęć do ponoszenia ofiar-mogą wówczas stanąć na przeszkodzie sprawie odzyskania niepodległości. Gdy zaŝ korzystny okres minie, ponownie pogrąŝymy się w niewoli tylko dlatego, ŝe na czele narodu stali ludzie „miłujący pokój”. Historia Polski pełna jest takich niewykorzystanych szans. Zacytujmy J.Łojka, który wspomina o jednej z nich:

„Odbudowanie Rzeczypospolitej zaleŝało wszelako nie od Napoleona, który mógł społeczeństwu polskiemu dać tylko szansę całkowitego zniweczenia skutków kolejnych trzech rozbiorów. Nie leŝało w jego mocy narzucenie Europie odbudowy wielkiej Polski, a pomoc w podobnej odbudowie zaleŝała od rozmiarów doraźnych korzyŝci militarnych i politycznych, jakie w ten sposób Francja mogłaby uzyskać. Odbudowa Rzeczypospolitej mogłaby być dziełem tylko samego społeczeństwa polskiego. Jest faktem, ŝe z szansy danej sobie w latach 1806-1812 społeczeństwo polskie skorzystało w niewielkim stopniu, opieszale i niechętnie.”

(J.Łojek, *Opinia publiczna a geneza Powstania Listopadowego*).

Z historii narodowej naleŝy czerpać doŝwiadczenia; mimo to nurt

rusofilski niczego się nie nauczył na błędach przeszłości. Jego rozumowanie oparte jest na podstawowym błędzie niedostrzegania, iż nasz interes i interes każdego narodu ujarzmionego przez Rosję jest z jej interesem sprzeczny. Stąd już prosty wniosek, że narody o wspólnym interesie (przynajmniej na płaszczyźnie walki o wolność) powinny zjednoczyć swe wysiłki. Naszą tezę formułujemy zatem następująco: przed Rosją nie daje się uciec, trzeba ją więc pokonać, ale jest to niewykonalne, dopóki Moskwa ma przeciwko sobie poszczególne narody, nie zaś ich polityczną koalicję.

Na odzyskanie niepodległości wpływać będą trzy czynniki:

1. Walka w Polsce i istnienie kierownictwa zdolnego i pragnącego wykorzystać sprzyjającą sytuację, dojrzałość społeczeństwa do odzyskania niepodległości, tzn. do takich zachowań, które pozwolą nam w chwili krytycznej skierować całą energię na zmagania z Moskwą, a nie np. z własnymi sąsiadami. Ponadto, pośrednio na sytuację panującą w całym imperium sowieckim i na międzynarodowy układ sił wpływa skala roboty niepodległościowej. Państwa Zachodnie muszą wiedzieć, czy będą mogły w swej grze politycznej z Rosją liczyć na nas.

2. Wspólna z narodami imperium walka Polaków o wolność przeciwko Rosji. Nie chodzi nam o eksport polskiej rewolucji, ale raczej o eksport nadziei, myśli i bodźca do działania.

3. Sytuacja międzynarodowa i działalność Polskiej Reprezentacji Narodowej na rzecz odzyskania niepodległości, a w sprzyjających warunkach także popierająca walkę innych narodów bloku.

Wniosek na dziś jest jeden: musimy zrobić wszystko, by nawiązać regularne i bliskie kontakty z naszymi potencjonalnymi sojusznikami w samym imperium i na emigracji oraz zastanowić się nad wspólnym działaniem. Polacy mają tu do odegrania ogromną rolę z racji swych doświadczeń. Powinniśmy z Polski uczynić najsłabsze ogniwo komunistycznego łańcucha, które wywoła rewolucję i pociągnie za sobą innych. Bez Polski nasi sąsiedzi nie dadzą sobie rady, ale bez nich my również nie odzyskamy naszego państwa.

Mieszek Morfeusz

«Niepodległość» nr 13-14, styczeń-luty 1983, ss.27-29

Polacy wobec kwestii wschodniej

Moiemy realizować tylko program wschodni, ponieważ programem wschodnim Polska stoi i upada.

Julian Mieroszewski

Ukazanie się w kraju wyboru artykułów J.Mieroszewskiego przeszło prawie niezauważalnie. Nic dziwnego, skoro krajowi publicyści zwykli egzaltować się traktatami o finlandyzacji, nie wykraczając ani myślą, ani duchem poza

programy nakreślone w pierwszym, dziecięcym okresie formowania się polskiej opozycji demokratycznej. U Mieroszewskiego natomiast na próżno szukać uczonych wywodów na temat ugody z Czerwonym, moskiewskim i własnym. Nie ma też nic o ruchach społecznych i działalności charytatywnej, ale jest za to dużo, prawie wyłącznie - o zgrozo - o polityce i likwidacji Związku Sowieckiego. Skoro zaś niżej podpisany także należy do nielicznego i wyklętego przez krajową opozycję grona likwidatorów, pozwolę sobie poglądy Mieroszewskiego zrelacjonować Czytelnikom i przedyskutować.

Zacznijmy od spojrzenia na stanowiska reprezentowane przez opozycję; możemy tu wyróżnić cztery odmienne postawy:

Grupa pierwsza, reprezentowana przez A.Michnika, S.Bratkowskiego, S.Kisielewskiego i J.Kuśmierka, sprowadza stosunki z Rosją Sowiecką do realizacji uchwał jałtańskich w korzystniejszej dla nas formie. A.Michnik pisze: „Każdy, kto pracuje nad zmianą 'niesprawiedliwych' układów jałtańskich, z głupoty bądź całkowitej nieodpowiedzialności, wystawia na szwank fundamentalne interesy narodu polskiego... nie walczymy bowiem o jakąś abstrakcyjną niepodległość, lecz o suwerenność w ramach bloku wschodniego". Rosjanie „pogodzą się z rządem, który nie odpowiada im w pełni, jeśli zapewni im spokój i panowanie militarne, nie pozwolą by na zapleczu ich wojsk panował bezład."

Widocznie fundamentalnym interesem narodu polskiego jest sojusz z Rosją Sowiecką! A.Michnik nie rozumie, że w ramach bloku wschodniego możemy tylko siedzieć, więcej, że on sam już siedzi właśnie „w ramach bloku".

A.Michnik jest opozycjonistą uznanym, jego poglądy są zatem niekwestionowane. Zaryzykuję jednak oskarżenie o prawicowość, nacjonalizm i ubecką inspirację twierdząc, iż osobiście uważam uznawanie traktatów jałtańskich za akt zdrady.

Oczywiście omawiana grupa nie jest jednorodna: znaleźli się w niej zwolennicy socjalizmu demokratycznego (Michnik), komunizmu demokratycznego (Kuśmierka) i kapitalizmu (S.Kisielewski). Są zwolennicy bezpośredniego układania się z Moskwą (Kisielewski), za pośrednictwem „naszych" czerwonych (Michnik), czy wręcz w porozumieniu z „naszymi liberałami" (Bratkowski). Ze stanowiskiem grupy pierwszej nie będziemy szerzej dyskutować, gdyż sprzeczne jest ono z przyjętym przez „N" systemem wartości. Ograniczona suwerenność w ramach bloku należy do pomysłów nierealistycznych i szkodliwych, natomiast stawianie takiego celu przed opozycją staje się przyczyną jej ideowej słabości, punktem wyjścia do błakania się po manowcach ugody. „Tylko reformy, nigdy rewolucja" — pisze A.Michnik, a skoro reformy, to walka o porozumienie, kompromis, ugodę.

Druga postawa, reprezentowana, najogólniej mówiąc, przez sygnatariuszy „Deklaracji Solidarności", wyraża poparcie dla ruchów wolnościowych w imperium i uznaje prawo narodów do samostanowienia. Jest to jednak nie tyle kierunek polityczny, co pewien trend ideowy, sposób myślenia, który widzi

odzyskanie przez Polskę niepodległości w ramach likwidacji obozu. Trudno jednak powiedzieć, czy jego zwolennicy przykładają większą wagę do ruchów niepodległościowych — walki z Rosją — czy do społecznych — walki z komunizmem. Jaki jest więc ich stosunek do poszczególnych grup opozycji rosyjskiej i, powiedzmy, ukraińskiej; czy w większym stopniu oczekują rozpadu ZSRS na niepodległe państwa, czy jego przekształcenia w federacyjne państwo demokratyczne? Z czego byłiby bardziej zadowoleni?

Trzeci punkt widzenia reprezentuje Mieroszewski, który uważa, że najważniejszym celem jest obalenie komunizmu (stalinizmu) w ZSRS i samej Rosji, gdyż stanowi to warunek odzyskania przez nas niepodległości. Mieroszewski dopuszcza jako korzystny dla Polski zarówno rozpad ZSRS na niepodległe państwa, jak i jego przekształcenie w demokratyczny związek państw. Jest on przeciwnikiem udzielania poparcia ruchom narodowościowym, gdyż obawia się, że walka przeciw Rosji spowoduje, iż sami Rosjanie nie porzucą komunizmu. Mieroszewski główny cel widzi w rewolucji społecznej, tj. obaleniu komunizmu zgodnie przez wszystkie narody imperium. Zadaniem Polaków byłoby rozpoczęcie rewolucji i przeniesienie jej idei do samej Rosji (etnicznej). Jest on więc zwolennikiem sojuszu polsko--rosyjskiego i np. polsko-ukraińskiego w walce z komunizmem, ale nie w zmaganiach o niepodległą Ukrainę lub Rosję etniczną; choć uznaje i popiera prawo Ukraińców do niepodległości, nie uważa tej płaszczyzny konfrontacji za główną. Niepodległość przyjdzie po obaleniu komunizmu, a nie na odwrót. Dalej to stanowisko zostanie przez nas szczegółowo przedyskutowane.

Do czwartej grupy należy „Niepodległość”, która uważa także, iż Polska odzyska niezależność w wyniku likwidacji imperium sowieckiego, stąd nakaz sojuszu ze wszystkimi przeciwnikami ZSRS. Oczywiście jesteśmy zwolennikami obalenia komunizmu w całym bloku, ale większą wagę przykładamy do rewolucji narodowych niż społecznych. Dlatego popieramy przede wszystkim dążenia niepodległościowe naszych sąsiadów. Nie jesteśmy zainteresowani w przekształceniu ZSRS w federację (należałoby raczej powiedzieć — konfederację) państw demokratycznych, ale w rozpadzie na całkowicie suwerenne państwa demokratyczne, z których część związałyby się z Polską na zasadach konfederacji (por. EWG).

Niesienie rewolucji antykomunistycznej, tj. wolnościowej, do Moskwy nas nie interesuje (choć do Kijowa - tak); trudno, Rosjanie będą musieli poradzić sobie sami. Możemy jednak z nimi współpracować, wszakże pod warunkiem, iż natychmiast i bezwarunkowo (żadnych przyszłych referendum) uznają prawo wszystkich narodów do samostanowienia, tj. niepodległego bytu państwowego w granicach etnicznych, bez względu na ilość napływowej ludności rosyjskiej.

Mieroszewski pisze, że „Polska nie może być prawdziwie niepodległa, jeżeli Rosja zachowa status imperialny w Europie”. Załóżmy więc, iż na wschodzie powstaje demokratyczne państwo rosyjskie, na razie na obszarze etnicznym; załóżmy nawet, że Rosjanie wyrzekli się sowiecko-carskiego szowinizmu, imperializmu i wszystkich zdobyczy terytorialnych minionych

czasów, tzn. że Rosja przestała być Rosją. Jak pisze Mieroszewski: „Ludzie, którzy mówią, że Rosja się nie zmieni... pragną *de facto* powiedzieć, że demokratyczna i antyimperialistyczna Rosja przestałaby być Rosją”. Stało się tak jednak dlatego, że „narody zwycięskie niemal nigdy nie zmieniają swych modeli historycznych. Matką 'wielkiej przemiany' bywa zwykle klęska. Klęska musiała(by) przekonać większość Rosjan, że model autokratycznej i imperialistycznej Rosji w jakimkolwiek wydaniu jest anachronizmem i dlatego nie funkcjonuje sprawnie. (...) ..w oparciu (bowiem) o historyczny model wielkorosyjskiego autokratycznego imperializmu nie można (było) przekształcić Rosji w nowoczesne, demokratyczne państwo... rewolucja w Rosji musiała(by) oznaczać nie tylko upadek systemu sowieckiego, lecz również upadek historycznego mitu, który zagradzają Rosji drogę do postępu wydatniej niż sowietyzm.”

Założmy więc, że jesteśmy już po „wielkiej przemianie”. Okupacja amerykańska i rewolucja socjalna (Mieroszewski pisze tylko o tej drugiej) zaszczepiły w Rosji demokrację. Dzięki niej państwo rosyjskie rozwija się bardzo pomyślnie i niezwykle szybko; na początek przede wszystkim gospodarczo. Cóż się dalej dzieje? Czy wyrzeka się ono przodującej roli w Europie wschodniej? Czy godzi się na zamknięcie sobie drogi do zachodniej Europy przez państwa bałtyckie, Białoruś, Ukrainę, no i Polskę? Czy nie zaczyna stanowić atrakcyjnego centrum przyciągania, początkowo gospodarczego i kulturalnego, dla dawnych kolonii? Naszym zdaniem - tak! Dawne kolonie, o ile w fazie wyzwania się od Rosji Sowieckiej nie zwiążą się z Polską, będą później skłaniały się ku Rosji, przynajmniej Białoruś i Ukraina. Zacznie się pokojowa ekspansja i koniec końców Polska skończy nie jak Francja u boku USA, ale jak Panama. Rosja musi to wszystko robić, przecież nie będzie masochistką, nie będzie ustępowała Polsce dlatego, że wiecznie będzie ją dręczyć sumienie. Rosja, nawet demokratyczna, czy może przede wszystkim demokratyczna, będzie dla nas zbyt potężna, choć w sposób inny od dotychczasowego, abyśmy mogli sobie pozwolić na bezpośrednie z nią sąsiedowanie. Dlatego nie możemy dopuścić, by w jakiegokolwiek formie powstała Federacja Rosyjska. To my musimy związać państwa pogranicza, Ukrainę, Białoruś, Litwę, z Polską. Oczywiście „związać” to nie znaczy podporządkować, ale sprzymierzyć się na równych warunkach. O sprzeczności interesów polsko-rosyjskich stanowi walka o przywództwo w Europie wschodniej i południowej, możliwość bowiem, że Rosjanie całkowicie i dobrowolnie wycofają się z Europy, a więc świadomie postanowią być narodem azjatyckim, należy między bajki włożyć.

A jak pisze sam Mieroszewski: „Rosja dominująca na tych obszarach jest rywalem nie do pokonania. Z rąk zwycięskiego rywala nie można oczekiwać niczego innego oprócz niewoli”. Ta dzisiejsza prawda nie straci na aktualności również w odniesieniu do Rosji demokratycznej. „Z punktu widzenia rosyjskiego wcielenie obszarów Ukrainy, Litwy i Białorusi do imperium rosyjskiego jest niezbędnym warunkiem umożliwiającym zredukowanie Polski do statusu satelickiego. W perspektywie Moskwy Polska musi być satelicka w

takiej czy innej formie. Historia uczy Rosjan, że Polska prawdziwie niepodległa zawsze sięgała po Wilno i Kijów i usiłowała ustalić swoją przewagę na obszarach ULB". I oto właśnie chodzi; przewaga owa nie dotyczy jednak samych ULB, ale wpływów rosyjskich na tamtejszym terenie (musimy być silniejsi nie od Ukraińców, lecz od Rosjan na Ukrainie).

W tym miejscu zwróćmy uwagę na wypowiedzi Mieroszewskiego w kwestii niemieckiej (a jest on, podobnie jak „N”, zwolennikiem Niemiec, lecz przeciwnikiem bliskiej z nimi współpracy): „Stanowimy... bramę wypadową tak Niemiec przeciwko Rosji, jak i Rosji przeciwko Niemcom... Stąd tendencja obu naszych sąsiadów albo do zagarnięcia całego polskiego przedpola — albo do jego podziału między oba zainteresowane mocarstwa. (...) Wroga można pobić albo się z nim porozumieć. Gdyby kiedyś doszło do porozumienia rosyjsko-niemieckiego, Polska straciłaby nie tylko Ziemie Zachodnie, lecz utraciłaby również możliwość rozwoju gospodarczego i politycznego. Natomiast Rosjanie, w porozumieniu z Niemcami, dominowałiby nad całym kontynentem Europy. (...) Piąty rozbiór Polski jest historycznie nieuchronny, jeżeli ów schemat nie zostanie przełamany. (...) Dążeniem polskiej polityki w jakimkolwiek wydaniu musi być stworzenie układu, który wyłączyłby porozumienie rosyjsko-niemieckie, czyniąc je zbędnym” (my powiedzielibyśmy - niemożliwym). Polska między dwiema potęgami gospodarczo-politycznymi — zjednoczonymi Niemcami i demokratyczną federacją rosyjską — byłaby czymś w rodzaju Lichtensteinu lub Luksemburga. W innym miejscu sam Mieroszewski stwierdza, że „Europa Wschodnia, by mogła przeciwstawić się swoim sąsiadom, musi być inaczej zorganizowana”. I właśnie dlatego myśl o możliwości powstania federacji rosyjskiej nie napawa nas optymizmem oraz każe szukać sojuszników przede wszystkim nie wśród Rosjan, chociaż przeciwko nim nie żywimy żadnych uprzedzeń.

Skoro zaś głównym celem staje się doprowadzenie do powstania niepodległych państw ULB, nie związanych w żaden sposób z demokratyczną Rosją, to musimy popierać przede wszystkim dążenia niepodległościowe u naszych sąsiadów i rozwój tamtejszej świadomości narodowej, przeciwstawiającej się szeroko rozumianej rosyjskości. Czy to znaczy, że odmawiamy wszelkiego dialogu z Rosjanami? Nie, pamiętajmy jednak, że okres formowania się narodu rosyjskiego i rosyjskiej świadomości narodowej przypadł na czasy Iwana Groźnego. Zjednoczenie narodu i ziem rosyjskich przypadło zatem na okres wyjątkowo okrutnej dyktatury i bezprawia. Inaczej było w Polsce, gdzie proces kształtowania się narodu odbywał się wraz z budową demokracji szlacheckiej, w Rosji zaś miał miejsce równocześnie z tworzeniem podstaw carskiego autokratyzmu. Stąd tak częste utożsamianie przez Rosjan wolności z anarchią i rozpadem państwa: wszak Iwan Groźny w walce z ową wolnością wznosił fundament państwowości rosyjskiej.

Rosyjscy demokraci-federaliści mogą być dla nas jedynie koniunkturalnym sojusznikiem w walce z ZSRS, ale prawdziwe partnerstwo łączyć nas będzie tylko z grupami bezwarunkowo uznającymi prawo wszystkich narodów do samostanowienia, natychmiastowego odłączenia się od jakiegokolwiek Rosji i

utworzenia własnego państwa. Wszelkie próby odsuwania tego faktu w przyszłość (np. po przeprowadzeniu referendum, do którego dojdzie po obaleniu komunizmu, jak chciał gen. Własow) mają dla nas charakter manipulacji. Nie uznajemy też przyznania autonomii narodowej za wystarczające ustępstwo.

W tym miejscu pojawia się jeszcze problem, co będzie bardziej skuteczne w walce z komunizmem: ruch narodowy, czy ogólnoradziecki ruch społeczny, łączący wszystkie narody, w tym Rosjan, w walce z ustrojem. Żądania wolności i demokracji z góry możemy pominąć, jako mało nośne w społeczeństwach, które nigdy ich nie znały, a więc również nie wiedzą, na czym takowe miałyby polegać. Mieroszewski pisze: „Pierwszeństwo musi być przyznane obaleniu stalinizmu. Celem naczelnym jest reforma ustroju. Rozwiązanie problemu narodowościowego jest jedną z pochodnych tego procesu (tj. 'przywrócenia znaczenia zapisom w konstytucji')- Stawiając sprawę w ten sposób możemy liczyć na pozyskanie postępowych kół rosyjskich, wykazując im, że istnieje ścisła współzależność pomiędzy naszymi celami”.

Po pierwsze, tzw. postępową inteligencją rosyjską jest warstwą nieliczną i nawet obecnie wykazuje tendencje nacjonalistyczne. W Radiu Swoboda mogłem ostatnio np. usłyszeć, że narody Kaukazu i Azji Środkowej po odpadnięciu od Rosji będą, zdaniem rosyjskiego demokrata, tęskniły za nią! W tym miejscu możemy tylko zapewnić, iż my „tęsknić” nie będziemy! Łatwo jednak przewidzieć, jakie tendencje zwyciężą w Rosji po obaleniu komunizmu.

Po drugie, jeśli główny nacisk położymy na sprawy społeczne i nie rozbudzimy w pełni świadomości narodowej Białorusinów i Ukraińców, mogą oni zadowolić się dość szeroką autonomią narodową przyznaną im w pierwszym momencie i pozostać w związku z Rosją. Operacja taka już raz udała się bolszewikom. A wówczas, jak pisał sam Mieroszewski: „gdy Ukraina będzie miała swój niezależny rząd, własne przedstawicielstwo dyplomatyczne zagranicą itp., nie można wykluczyć, że może nie zechce wystąpić ze zreformowanego *Commonwealth*”. Nam zaś zależy przecież na tym, by Ukrainie opłacało się sprzymierzyć z Polską, możemy zaś jej zaoferować tylko pomoc w walce o pełen rozwój świadomości narodowej.

Po trzecie, przyjęcie społecznej płaszczyzny konfrontacji otworzy pole do manipulacji na niespotykaną skalę nieświadomionymi politycznie masami. Jeśli w Polsce, w drugim roku wojny, w podziemiu nieustannie toczą się dyskusje na temat niezgodności realnego socjalizmu z prawdziwym, co ma stanowić koronny dowód tezy o konieczności obalenia ekipy Jaruzel-skiego, to łatwo sobie wyobrazić, co się będzie działo w ZSRS. Walka o tzw. prawdziwy socjalizm będzie służyła jedynie wyprowadzeniu całego ruchu na manowce i przetrwaniu komunizmu.

„Alternatywą rewolucji (socjalnej) są narodowe powstania. Wyobraźmy sobie szachownicę nacjonalistycznych państw, które prowadziłyby wojnę między sobą o Lwów czy Wilno, czy dziesiątki innych miast. Rosja, nawet uwikłana w konflikcie dalekowschodnim, miałaby jeszcze dość siły, by te

państwa wygrywać jedno przeciwko drugim (zgoda!), dążąc do całkowitej bałkanizacji Europy wschodniej. Moskwie przyświecałaby uzasadniona nadzieja, że gdy upora się z Chinami, opanuje z powrotem zwaśnioną Europę wschodnią. (...) Powstanie wymierzone byłoby przeciwko Rosji -rewolucja wymierzona byłaby nie przeciwko Rosji, lecz stalinizmowi. Inteligencja rosyjska i rewizjoniści rosyjscy poparliby rewolucję, lecz nie poparliby nacjonalistycznych (raczej niepodległościowych - „N”) powstań. Celem rewolucji byłoby objąć Związek Sowiecki i dopomóc postępowym kołom rosyjskiego społeczeństwa w nadaniu rosyjskiemu socjalizmowi ludzkiego oblicza. Przebudowa Związku Sowieckiego w *Commonwealth* niezależnych państw byłaby do osiągnięcia wyłącznie w konsekwencji rewolucji". Dla Polaków powstanie takiej wspólnoty stwarza jednak zagrożenie na przyszłość, po co więc jej sprzyjać.

Prawdą jest, że konsekwencją powstań narodowych będą wzajemne waśnie. Aby tego uniknąć, należy propagować ideę powrotu do ojczyzny. W ten sposób np. Ukraińcy i Białorusini, którzy obecnie przyczyniają się do rusyfikacji Łotwy i sami wynaradawiają się przy okazji, dobrowolnie powróciliby do swych państw na miejsce opuszczone przez Rosjan. Nie ulega bowiem wątpliwości, że rosyjska ludność napływowa będzie musiała opuścić tereny wyzwolone, mimo iż np. na Ukrainie stanowi ponad 20% mieszkańców. Przyjęcie koncepcji wspólnoty narodowej także łągodziłoby spory narodowościowe.

Spis ludności z 1979 r. wykazał, że 25% Białorusinów i 17% Ukraińców podaje za swój język ojczysty rosyjski. Oznacza to wzrost w porównaniu z rokiem 1959 odpowiednio o 10 i 5%. Wynaradawianie się, czy raczej uzyskiwanie rosyjskiej świadomości narodowej przez Białorusinów i Ukraińców jest dla Polaków zabójcze, gdyż oznacza po prostu wzrost liczby Rosjan i powiększanie się ich obszaru etnicznego. W naszym długofalowym interesie leży natomiast, by między Polską a Rosją istniały prężne kulturowo i liczne narody białoruski i ukraiński, najlepiej cieszące się również niepodległym bytem państwowym. Do tego potrzebne jest jednak uzyskanie przez te narody pełnej świadomości. Jeśli nawet prawdą byłoby złośliwe twierdzenie, że naród białoruski został stworzony sztucznie, to jest to w naszym najgłębszym interesie. Upraszczejac - gdyby Białorusinów nie było, Polacy powinni ich stworzyć. Chyba że ktoś chce mieć polską granicę za Grodnem, a za nią już tylko Rosję. Białoruska i ukraińska świadomość narodowa mogą rozwijać się w opozycji do polskości i rosyjskości. Oczywiście, zależy nam na tym drugim. Ale oznacza to, że Polacy nie mogą w żadnej mierze przejawiać tendencji asymilatorskich. Białorusini powinni czuć się związani z zachodnią kulturą i być przyjaźnie nastawieni do kultury polskiej, a wrogo do rosyjskiej, ale muszą pozostać Białorusinami.

Skoro zaś zależy nam na rozwoju świadomości narodowej na terenach wschodnich - nie w opozycji do polskości - to powinniśmy starać się o zachowanie tożsamości narodowej „naszych" Białorusinów i Ukraińców, którzy mogą w przyszłości odegrać znaczną rolę w budowie niepodległych państw na

wschodzie, oraz zrezygnować z Wilna, Grodna i Lwowa. „Terytorium tylko do pewnego stopnia stanowi element potęgi. W moim przekonaniu, gdyby Polacy w sprzyjających warunkach odebrali Litwinom Wilno, a Ukraińcom Lwów — poza tym a Polski wobec Rosji uległaby wybitnemu osłabieniu. Nie liczą się bowiem miasta, tylko liczą się narody. Nie chodzi o zdobycie Wilna i Lwowa, chodzi o zdobycie zaufania i przyjaźni Ukraińców, Litwinów i Białorusinów. W gruncie rzeczy w porównaniu z przeszłością jesteśmy w uprzywilejowanej sytuacji, ponieważ Ukraina, Litwa i Białoruś nienawidzą Rosji. Mądra polska polityka w chwili odpowiedniej koniunktury winna ów fakt wykorzystać. Jeżeli jednak wskoczmy w buty naszych przodków z XVII wieku — odzyskamy może Wilno i Lwów, lecz nie odbudujemy zdrowej proporcji pomiędzy Polską a Rosją. A w końcu tylko to się liczy, a niejedno miasto więcej, czy jedno miasto mniej. (...) Rosja nie uzna nas nigdy za równorzędnego partnera, dopóki nie uzna nas za rywala na wschodzie Europy. (...) ...o tym, czy będziemy czy nie będziemy równorzędnym partnerem Rosji — zadecydują nie Rosjanie, tylko Ukraińcy, Białorusini, Bałtowie. Jeżeli w korzystnej koniunkturze zdołamy przekonać te narody, że Polska ma im coś więcej do zaoferowania niż Moskwa, że nasza polityka nie ma nic wspólnego z imperializmem czy zaborem — wówczas niejako automatycznie odzyskamy naszą utraconą pozycję wobec Rosji”.

Idea państwa narodowego powstała w XIX wieku, w okresie formowania się nowoczesnej świadomości narodowej. Wówczas powstanie takiego państwa lub jego namiastki (por. znaczenie autonomii galicyjskiej dla Ukraińców) było warunkiem ukształtowania się każdego narodu. Obecnie jednak narody już istnieją. Możemy więc przyjąć inną koncepcję - uznać potrzebę istnienia zarówno każdej wspólnoty narodowej, jak i jej ojczystego niepodległego państwa. Nie oznacza to jednak, że każda wspólnota narodowa musi koniecznie żyć w ramach tylko jednego państwa. Współczesne ruchy migracyjne powodują, że coraz większa część różnych narodów zamieszkuje na stałe poza granicami ojczystego kraju. Procesy te będą się nasilać, możliwe zatem, że np. za dwa, trzy pokolenia większość Polaków będzie mieszkała poza Polską. Należy więc uznać prawo do samostanowienia na równi z prawem do swobodnego rozwoju narodowego bez względu na państwo osiedlenia. Ta zasada mogłaby stać się podstawą ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków nie tylko między Polakami i ich sąsiadami, ale na całym obszarze Europy wschodniej wyzwolonej od sowieckiego i rosyjskiego imperializmu. Państwem ojczystym i zarazem centrum kulturowym dla wszystkich Polaków byłaby Rzeczpospolita w obecnych granicach, z którą mieliby nieograniczone prawo kontaktowania się, a nawet udziału w podejmowaniu pewnych decyzji państwowych; z drugiej zaś strony w swych państwach osiedlenia (np. na Ukrainie, Białorusi, Litwie, we Francji itd.) cieszyliby się całkowitą swobodą rozwoju narodowego, politycznego i gospodarczego. Oczywiście z tych samych praw korzystałoby przedstawiciele innych wspólnot narodowych, mieszkający w Rzeczpospolitej. Tylko w wypadku przyjęcia tej koncepcji będziemy mogli uniknąć wzajemnych waśni, które będą starali się rozbudzać i wykorzystywać

Sowieci, oraz utworzyć wspólny front walki z rosyjskim imperializmem. Dopiero zaś to doświadczenie walki i współpracy może stworzyć silny fundament pod przyszłą Konfederację, która położy na zawsze zaporę przed Rosją, tj. utrwali niepodległość Polski.

Jakiegokolwiek zmiany graniczne stanowiłyby precedens i spowodowałyby lawinowe narastanie sporów na całym obszarze wyzwolonej Europy, to zaś dałoby Rosji czas potrzebny na odzyskanie sił.

Polska powinna zdobyć się na stworzenie wzorca walki z ZSRS, który mogłaby później wykorzystać opozycja w innych barakach obozu, ponieważ jako pierwsza weszła w fazę rozkładu komunizmu. Dotychczas jednak opozycja korowska kopiowała jedynie wzory rosyjskiego ruchu obrony praw człowieka i obywatela. Komuniści stworzyli natomiast skuteczny wzorzec walki z opozycją społeczną.

Porozumienie nie może być celem który mógłby znaleźć oddźwięk w KS-ach, gdyż w krajach tych ludność już dawno zawarła porozumienie — uległość w zamian za znośne warunki życia. Gdy zaś za dwa, trzy lata sąsiedzi przekonają się, że nowe porozumienie oznacza uległość w zamian za życie w umiarkowanej nędzy — cel taki byłby szkodliwy z naszego punktu widzenia, gdyż właśnie wówczas zmiany geopolityczne mogłyby stworzyć korzystne warunki dla odzyskania przez Polskę niepodległości. Hasło niepodległości wszystkich narodów imperium sowieckiego, mimo że obecnie może być odrzucone (zwłaszcza w KDL-ach), podobnie jak jest odrzucane przez ugodową większość opozycji solidarnościowej w Polsce, wytycza jednak perspektywy walki w przypadku przyjęcia go u nas i rozpropagowania w świecie; gdy społeczeństwa KS-ów dojrzeją do buntu, będą już miały gotowy nie tylko wzór ideowy, ale również organizacyjny. Wszelkie nadzieje na jakieś szczególne rozwiązanie problemów jednego z naszych narodów są złudne. „Ani my, ani Węgrzy czy Czechosłowacy nie możemy być niepodlegli, ponieważ przyznanie nam niepodległości doprowadziłoby do bankructwa obecną politykę narodowościową Moskwy wewnątrz Związku Sowieckiego. Moskwa nie widzi nas jako partnerów, lecz jako strażników sowieckiego „ładu narodów”. By pokój panował w Kijowie — pokój panować musi w Warszawie i Pradze. Czołgi na ulicach Pragi broniły sowieckiego Kijowa i sowieckiej polityki narodowościowej.(...) Związek Sowiecki nie może kupować lojalności czy przyjaźni narodów satelickich za cenę zagrożenia swego wewnętrznego bezpieczeństwa”. Tymczasem elity tych narodów uczą się od Polaków, np. opozycja węgierska jest idealną kopią ruchu korowskiego lat 76-80 i już dziś można powiedzieć, że nie będzie jej oszczędzone przechodzenie przez jałowe etapy opozycji społecznej zorientowanej na porozumienie i „wyrzekającej się” prowadzenia polityki. Polakom powinno zależeć, by ich przyjaciele nie powtarzali naszych błędów. Dlatego muszą oni dowiedzieć się, że oprócz ugodowców i kapitulantów istnieje opozycja niepodległościowa; nasi sąsiedzi nie mogą być informowani jednostronnie o sytuacji w Polsce, jak to ma dotychczas miejsce.

Komunistyczny system gospodarczy, niezależnie od kraju, wykazuje z zadziwiającą dokładnością te same objawy rozpadu. Nie ma wątpliwości, że musi on pociągnąć za sobą skutki polityczne podobne do polskich, choć oczywiście z pewnym opóźnieniem i lokalnymi odmianami. Składają się na to dwie przyczyny: odstrasżający przykład 13 grudnia i brak sensownych celów późniejszej konspiracji oraz warunki lokalne, np. w Rumunii niezwykle ostre represje, w ZSRS najniższy poziom świadomości i wymagań itd.(...)

Nauczona doświadczeniami polskich komunistów z „Solidarnością”, elita władzy w innych barakach może też nie próbować wykorzystywania ruchów społecznych we własnych rozgrywkach, co oznacza, że każdy bunt będzie krwawo tłumiony, a nie podsycany, jak podczas naszego Sierpnia.

Jak mogą zachować się różne kierunki polityczne w Polsce w wypadku osłabienia Rosji?

Grupa pierwsza natychmiast pośpieszy z propozycjami dogadania się, i tym razem zostanie przez Moskwę przyjęta, wykorzystana i na koniec — po minięciu kryzysu — porzucona. Narodowi będą oni wmawiali: „A widzicie, że bez ofiar można się z Rosją dogadać i to na zasadzie obopólnych korzyści”.

Grupa druga zbierze się, będzie dyskutowała trzy niedziele, uchwali stos deklaracji i rozejdzie się do domów, gdzie wraz z intelektualistami snuć będzie filozoficzne rozważania na temat moralności, konieczności i niemożności.

Zwolennicy teorii Mieroszewskiego narażą się wszystkim: ugodowcom polskim, niepodległościowcom z ZSRS i przeciwnikom Rosji w Polsce. Ich działania będą prowadziły w praktyce do przyznania prymatu stosunkom z rewolucyjną Rosją, kosztem ruchów niepodległościowych naszych sąsiadów.

Przedstawiciele naszego kierunku, dążący do udzielenia bezwzględnego poparcia ruchom niepodległościowym w ZSRS i do wykorzystania osłabienia Moskwy celem jej rozbicia, skończą szybko w... internatach. Ugodowy rząd, a taki kierunek ma obecnie największe poparcie, wytłumaczy, iż musiał zastosować wyjątkowe środki, by nie narażać Polski, ba, całego świata, na wplątanie w krwawe konflikty w ZSRR. A więc w interesie narodu, humanizmu, wolności i ludzkości musi...

Polska myśl polityczna od dawna dzieli się na zasadnicze dwa nurty: pierwszy widzi przyszłość Polski w ramach wolnej i demokratycznej Europy środkowo-wschodniej; drugi - Polskę łąszącą się do Rosji i z tej racji obdarzoną autonomią, w zamian za wierną służbę w interesach imperium. M.Mochnacki, jeden z radykalnych przywódców powstania listopadowego, pisał na temat Rosji w *Powstaniu Narodu Polskiego*:

Wcielona naszymi prowincjami w tę część świata, od której ją zawsze naród nasz oddzielał, zaczęła w jednym czasie swój wpływ wywierać na Wschód i Zachód, tam opanowanie Turcji europejskiej (tj. Bałkanów - „N”), tu całej po Odrę Słowiańszczyzny zamierzając.

Wszyscy zgadzają się na to, że od Polski całej i niepodległej zawisła przyszłość Słowiańszczyzny, los europejskiej cywilizacji, na koniec wolność środka i zachodu Europy, lecz o ile wiem, nikt jeszcze z precyzją nie powiedział, że od takiej

Polski zależą także interesy wschodniej Europy, interesy handlowe, materialne, połączone z wyższymi politycznymi i moralnymi.

Mochnacki tak określa przeciwników walki o niepodległość:

...pod wpływem wyobrażeń związku i pobratymstwa powstała dość rozgałęziona, po dziś dzień trwająca szkoła publicystów-odszczepieńców, którzy w tym co u Czartoryskiego' szczególny traf zrządził, a mus wymawia (zmusza), widzieli przykład i teorię, którzy teraz z teorii, z obioru (własnego wyboru) nie inną sobie Polskę wyobrażają, nie innej sobie Polski życzą, tylko z ramienia Moskwy, pod wspólnym z nią berłem, którzy na koniec zapamiętali myślą, że równie jak Czartoryski służbę moskiewską pogodzić zdołają z godnością własnego charakteru, z pewnymi nawet dla Polski korzyściami.

Minęło 150 lat i gatunek owych publicystów niestety nie wyginał, lecz zajął poczesne miejsce w naszej opozycji, tępiąc myśl niepodległą z gorliwością godną lepszej sprawy. Można im jedynie zadedykować słowa Mieroszewskiego: „Większość Polaków nie wierzy w ten system, nie wierzy, byśmy kiedykolwiek mogli zdobyć przewagę nad Rosją. **DZIECKIEM OWEJ NIEWIARY JEST MENTALNOŚĆ SATELICKA I SERWILIZM**”.

Mieszek Morfeusz

«Niepodległość» nr 18-19, czerwiec-lipiec 1983, ss.8-10; nr 20, sierpień 1983, ss.20-25

W WOLNEJ POLSCE

„Polacy są urodzonymi „wolnościowcami”. Można powiedzieć, że wolność jest naszym zawodem.(.-) Równocześnie, w większości, nie jesteśmy liberałami. Z tej przyczyny naszego umiłowania wolności nie można zidentyfikować z umiłowaniem demokracji. Polacy przez wolność rozumieją niepodległość i nic więcej.(...)

Musi się być liberałem, jeśli chce się być demokratą, ponieważ nie istnieje na świecie antyliberalna demokracja. Z chwilą kiedy demokracja przestaje być liberalna - przestaje równocześnie być demokracją.(...) Liberałem jest człowiek, który podpisuje się pod słowami Toynbee'ego, że nie ma jednej prawdy i nie ma wybranego narodu”.

Juliusz Mieroszewski

Dlaczego wolność?

Demokracja i wolność — to dwa filary, na których opiera się nowoczesne, cywilizowane społeczeństwo i państwo. Z tych dwu wartości demokracja

¹ Książę A.Czartoryski w latach 1804-1806, jako minister spraw zagranicznych Rosji, dążył do zjednoczenia wszystkich zaborów pod berłem cara jako kro la Polski. Po niepowodzeniu tych planów podał się do dymisji.

jest lepiej znana i wymieniana częściej w politycznych dążeniach Polaków. Prawdę mówiąc, często myli się oba pojęcia, względnie sprowadza do jednego. Przez demokrację powszechnie rozumie się system przedstawicielski wyłaniający w wyborach instytucje państwa. Jakość wyborów możemy określić dużą ilością przymiotników, choć ich znajomość nie jest potrzebna do intuicyjnego uchwycenia różnicy między demokratycznymi wyborami a farsą reżyserowaną przez rządy totalitarne. Jeżeli potrafimy już zapewnić funkcjonowanie demokracji, systemu przedstawicielskiego z autentycznymi wyborami, to czemu mamy jeszcze dodawać hasło wolności? Czyż nie wynika ona właśnie z demokracji?

System przedstawicielski wyłania się ze społeczeństwa, a więc państwo demokratyczne stanowi twór wywodzący się ze społeczeństwa i stale przezeń kontrolowany. Podobne rozumowanie zakorzenione jest w Polsce. Wywodzi się ono z rozważań osiemnastowiecznych filozofów, ze społecznych utopii, nieobce jest też marksizmowi. Ten ostatni wprawdzie ostro zwalcza koncepcje społeczeństwa obywatelskiego, ale stosuje zaprezentowane rozumowanie do partii, jako instytucji wyłonionej przez klasę robotniczą; partia jest demokratyczna, gdyż została wyłoniona przez klasę robotniczą = system przedstawicielski jest demokratyczny, ponieważ został wyłoniony przez społeczeństwo.

Wolność — jako zasada funkcjonowania społeczeństwa — oznacza swobodę działań, dopóki nie stanowią one zagrożenia dla innych lub nie są wyraźnie niedostosowane do potrzeb społecznych. W sposób prosty ujmowała to Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela, uchwalona we Francji w roku 1789 - jedynym ograniczeniem jednostki jest wolność innych.

Totalitarni propagandyści, uzasadniając brak wolności i demokracji we własnych państwach argumentują, iż prawdziwa wolność i demokracja nie istnieje, skoro zaś nie ma prawdziwej, to nie ma żadnej, nie istnieje więc różnica między demokracjami zachodnimi a totalitaryzmem. Odrzucając podobny sofizmat należy rzecz jasna zdawać sobie sprawę, że idealne modele społeczeństwa istnieją tylko w teorii. Pisząc o demokracji i wolności rozumować będziemy na płaszczyźnie wartości filozofii społecznej, nie zaś konkretów.

Czy wolność zdefiniowana przez nas poprzednio da się zredukować do demokracji, a więc, innymi słowy, czy wynika z demokracji? Wbrew poprzedniemu rozumowaniu, odpowiedź jest negatywna. Powodów jest kilka; omówmy dwa najważniejsze.

Spółeczeństwo nie zawsze dąży do wolności; wypadkowa indywidualnych wyborów nie zawsze daje mądre decyzje, nie gwarantuje wartości wolnościowych. Mówiąc konkretniej, większość społeczeństwa może być i często jest nietolerancyjna (ja bym tych... do kamieniołomów i niech tam...), zwalczająca silnie, także przy użyciu przymusu, poglądy, obyczaje, religie, rasy, narody, grupy etniczne, które uznaje za sobie wrogie lub po prostu inne i przez tę inność niezrozumiałe. Mechanizm totalitarystycznych tendencji społeczeństwa opisał E.Fromm w „Ucieczce od wolności”. Demokracja, jako

wybór większości, oznaczać więc może nietolerancję dla mniejszości, mimo że nie zagraża ona ani prawom, ani istnieniu większości. Spójrzmy obiektywnie na nas samych — Polaków. Ileż nonsensów, nieuzasadnionych strachów, niechęci do innych tkwi w naszym społeczeństwie: antysemityzm (niech siedzą! przecież to Żydzi), nietolerancja dla innych ras i narodów (wszyscy sąsiedzi), niechęć do jednostek wybijających się, czyli tradycyjna polska bezinteresowna zawiść (jak musi kombinować, żeby się tak urządzić), niechęć do ludności wiejskiej (za dobrze tym chłopom, samochodów im się zachciewa) itd. Ta ostatnia ujawniła się silnie w ostatnich latach; prawdopodobne jest, że referendum na temat dostaw obowiązkowych przyniosłoby sukces zwolennikom tej feudalnej formy stosunków wieś — miasto (że też nikt nie wymyślił dostaw obowiązkowych miasta dla wsi, np. gwoździ, tekstyliów itp.). Czy więc demokracja zapewni zawsze wolność? Oczywiście, że lepsza jest dominacja większości nad mniejszością niż na odwrót, lecz dla zniewolonej jednostki nie musi mieć to aż takiego znaczenia, czy uciskana jest z woli większości czy mniejszości. Ograniczenie praw pozostaje faktem.

Postęp społeczny, techniczny, naukowy, ekonomiczny dokonuje się przez jednostki, przeciwstawiające się tradycyjnym poglądom uznawanym przez większość. Gdyby o innowacjach społecznych decydować w demokratycznym głosowaniu, zapewne mieszkalibyśmy wciąż na drzewach.

Argumenty powyższe mogą napędzać wiatr w żagle totalitarystów. W końcu to w ich arsenale propagandowym leżą poglądy, iż większość jest głupia i niedojrzała politycznie, musi więc być rządzona przez elitę. Nie w tym kierunku idzie jednak nasze rozumowanie. Tendencjom antywolnościowym, reprezentowanym przez rządzącą większość lub mniejszość, należy przeciwstawić wolność jako zasadę pierwszą przed poglądami i wyborami społecznymi. Wolność czynienia wszystkiego, co nie zagraża wolności innych, musi być zasadą wyższą niż wybór większości społeczeństwa. Większość nie może więc dyskryminować mniejszości lub jednostek za ich inność. Jednostka ma prawo prowadzić każdą działalność na płaszczyźnie politycznej, społecznej, filozoficznej, gospodarczej, dopóki nie zagraża ona wolności lub istnieniu innych.

Przejdźmy do argumentu drugiego. Demokracja jest tylko formą, w ramach której dokonuje się właściwe rządzenie. To ostatnie jest grą strategiczną różnych grup nacisku, nie zaś wypadkową wyborów indywidualnych. Poprzednio już wykazaliśmy niemożność realizowania wolności tylko w oparciu o demokrację, teraz przyjdzie nam jeszcze krytyczniej spojrzeć na tę ostatnią. Znowu narażamy się na zarzut, iż sięgamy do propagandowego arsenału wrogów demokracji. Aby odeprzeć go zaznaczamy, że nie jest nam obojętne, czy istnieje demokracja oparta na wolnych wyborach, choćby niedoskonała, czy też nie ma jej w ogóle. Nie należy jednak fetyszyzować demokracji. Możliwe jest jej doskonalenie; są w końcu różne systemy władzy demokratycznej, w ostateczności jednak właściwe rządy sprawują struktury nieformalne. Zewnętrzny, opisany prawem system demokratyczny wpływa w istotnym stopniu na treść rządzenia, lecz prawdziwa władza określona jest przez układ sił

w grze strategicznej prowadzonej przez grupy nacisku. Doskonałym tego przykładem jest system demokracji amerykańskiej.

Większość funkcji publicznych, zarówno centralnych jak i lokalnych, podlega tam wyborom demokratycznym. Istnieje wyraźnie zarysowany podział władz według reguły Monteskiusza, lecz system ten nie przewiduje instytucji bossa. W rzeczywistości boss, lokalny przywódca, sprawuje nieformalną i niekontrolowaną władzę. Jest on w stanie kontrolować wszystkie jej obszary, a także tzw. czwartą władzę - lokalną prasę. Na szczeblu centralnym istnieje od wielu lat tendencja do zastępowania rządu, którego członkowie są zatwierdzani i kontrolowani przez Kongres, prywatnym sztabem Prezydenta, tj. doradcami dobieranymi przez niego, nad którymi nikt nie sprawuje kontroli.

Podkreślmy raz jeszcze, że wszystko to nie oznacza, abyśmy stawiali znak równości między demokracją i jej brakiem. Należy jedynie podejść realnie do sprawy i nie wymagać od niej tego, czego dać nie może. Właśnie dlatego filozofia demokracji musi zostać wzmocniona przez filozofię wolności. Nie można pozwolić, aby państwo, nawet demokratyczne, ingerowało zanadto w życie jednostek. Zasada autonomii jednostki, jej wolności, musi stanowić tamę wobec zakusów totalitarnych każdego państwa.

Tendencje totalitarne państwa, nawet głoszącego w słowach wolność, przejawiają się w hasle francuskich jakobinów: „Nie ma wolności dla wrogów wolności”. Przeciwstawić się temu trzeba za pośrednictwem innego hasła z tej samej epoki: „Wolność jest naturalnym dobrem każdego człowieka!”

Franciszek Sz.

«Niepodległość» nr 20, sierpień 1983, ss. 12-14

Liberalizm - polityczna myśl wolności

Motywnym napisania poniższego artykułu stały się sugestie podnoszone przede wszystkim w listach naszych Czytelników, domagających się sprecyzowania zasad filozoficzno-politycznych, z których nasze ugrupowanie czerpie inspiracje do rozważań na temat liberalnego modelu przyszłego państwa polskiego. Dalszym motywem skłaniającym nas do zajęcia się tym tematem była wstępna ocena wyników ankiety „N”, sugerująca, że nasi Czytelnicy i respondenci niezbyt wyraźnie potrafią rozróżnić założenia ideologiczne głównych nurtów politycznych. Problem ten wyraźnie uwidocznił się przy dokonywaniu wyborów między zaproponowanymi w ankiecie partiami politycznymi. Badanym osobom było bardzo trudno jednoznacznie opowiedzieć się za programem Polskiej Partii Narodowo--Demokratycznej, Chrześcijańsko-Demokratycznej lub Chłopskiej, gdyż nie są im znane, jak sami przyznają, ich programy i założenia ideologiczne.

Od 20 lat istnienia komunistycznej PRL nikt w naszym kraju nie usiłował nawet prowadzić pracy politycznej z prawdziwego zdarzenia. Może przez krótki okres robiła to PSL Stanisława Mikołajczyka, lecz była to działalność nastawiona raczej na przetrwanie, niż na integrację swoich członków na bazie oryginalnego programu politycznego.

PZPR nigdy nawet nie usiłowała prowadzić działalności politycznej, ani w aspekcie polityki wewnętrznej, ani tym bardziej zagranicznej. Była to i jest nadal polityka ukierunkowana, w mniejszym lub większym stopniu, na odwzorowanie nastrojów politycznych panujących w Moskwie. Rola PZPR sprowadza się więc do przyjęcia funkcji lennika, wypełniającego zadanie administrowania krajem zamieszkałym przez Polaków. Podobną funkcję w przeszłości spełniali np. namiestnicy Imperatorskiej Mości rezydujący w Warszawie. Aby podejmować jakąkolwiek działalność polityczną, należy posiadać minimum ograniczonej autonomii organizacyjnej i intelektualne możliwości prowadzenia tego typu działań. Jednego i drugiego brakuje PZPR-owcom. Nie wypełniły tej luki politycznej także ugrupowania opozycyjne powstałe w latach 70-tych. KOR, KPN, a później „S” w swoich założeniach uznały działalność polityczną za mało istotną, a wręcz szkodliwą dla interesów Polski i Polaków. Tak więc jako społeczeństwo musimy się uczyć działalności politycznej nieomal od punktu zerowego. Dlatego też trudno się dziwić, że zakres wiedzy dotyczącej ideologicznych podstaw ruchów politycznych jest, np. u ankietowanych, więcej niż skromny.

Obecnie chcemy wypełnić istniejącą lukę, nie tylko poprzez zaprezentowanie podstaw ideologicznych liberalno-demokratycznej myśli politycznej, ale także zastanawiając się, jakie są jej podobieństwa i różnice w stosunku do innych nurtów politycznych dominujących we współczesnym świecie (wolnym). O komunistach nie będziemy wspominać, gdyż naszym zdaniem nawet zachodnie partie marskistowskie, oficjalnie odcinające się od mafii kremlońskiej, nie rozwijają oryginalnej myśli politycznej, pozostając w gorsecie sztywnej ideologii, która nie pozwala im wychodzić poza znane wszystkim frazesy i ogólniki. Głoszone przez nich poglądy o demokratycznym komunizmie (dojście do władzy metodą wyborów parlamentarnych) należy traktować z dużą dozą sceptycyzmu, ze względu na prawdopodobieństwo odejścia od zasad wolności po uzyskaniu większości parlamentarnej. Na szczęście w żadnym kraju zachodnim czerwoni nie zdołali przekonać wyborców o atrakcyjności swego programu na tyle, by samodzielnie zasiąść w gabinetach ministerialnych. Sądzimy, że przykład koalicji socjalistyczno-komunistycznej we Francji wyleczy na wiele lat z lewicowej infekcji nie tylko samych obywateli francuskich, ale także potencjalnych zwolenników w innych państwach Europy.

Głosząc od ponad dwu lat liberalno-demokratyczną myśl polityczną, nie bez powodu ugrupowanie nasze nazwaliśmy liberalno-demokratycznym — przedkładając słowo „liberalizm” nad pojęcie „demokracja”. I nie jest to zwykła gra słów, polegająca na ich dowolnym przestawieniu.

Liberalizm jako doktryna polityczno-społeczna ma długą historię,

sięgającą początków świadomego organizowania się ludzi w społeczności o charakterze politycznym. W aspekcie myśli ekonomicznej rozkwit liberalizmu przypada na XVIII i XIX wiek, jako przeciwwaga feudalizmu i absolutyzmu.

Najogólniej liberalizm można określić jako ideologię wolności, wywodzącą swe zasadnicze przesłanki z natury człowieka, który rodzi się wolny i jako taki przeznaczony jest do wolności. Dlatego też ograbianie go z naturalnej wolności bycia człowiekiem wolnym poprzez organizowanie niewolniczego systemu politycznego stanowi gwałt zadany naturze ludzkiej i wolnościowej koncepcji życia. Historia myśli liberalnej ma swoich głośnych teoretyków. Do najbardziej znanych, których wielkość mierzona jest wkładem wniesionym do światowej myśli liberalnej, należą: Monteskiusz, David Hume, Adam Smith, Adam Ferguson, Alexis de Tocqueville, Benja-min Constant, Friedrich von Hayek, Milton Friedman. Dwaj ostatni są myślicielami żyjącymi współcześnie.

Postaramy się teraz odpowiedzieć na pytanie, dlaczego liberalizm powinien być bliski wszystkim, którzy uznają zasadę wolności człowieka za najważniejszą wartość.

Polacy, podobnie zresztą jak inne narody środkowo-wschodniej Europy, od wielu dziesiątków lat zmuszeni są do życia w systemie polityczno-politycznym, który swoją koncepcję ustroju oparł nie na prawie jednostki do wolności, ale wybrał drogę rozwijania niewolnictwa państwowego. W proces ten wprzęgnięto wszelkie dostępne środki, jakimi dysponować może aparat państwowy. Aby utrzymać niewolniczy monopol w rządzeniu społeczeństwem, posłużono się w dziedzinie gospodarczej totalnym planowaniem działalności wytwórczej i rozciągnięciem kompetencji państwa na wszystkie dziedziny życia społecznego. Podstawą i warunkiem trwania komunistycznego niewolnictwa jest upaństwowienie środków produkcji i utworzenie monopolu w sferze pracy ludzkiej. Już w 1937 r. Trocki pisał: „W kraju gdzie państwo jest jedynym pracodawcą, opozycja wobec niesprawiedliwych struktur jego władzy oznacza dla opozycjonisty powolną śmierć głodową”. I dalej mówi: „Stara zasada, kto nie pracuje ten nie je, została zastąpiona przez nową - kto nie jest posłuszny ten nie je”. Nic więc dziwnego, że liberałowie, uznając za podstawową zasadę wolność jednostki w systemie gospodarowania, twierdzą, iż najpełniej zasada ta może zostać zrealizowana poprzez wprowadzenie mechanizmów rynkowych jako jedynych regulatorów życia ekonomicznego. Mechanizm rynkowy w praktyce sprowadza się do dogrywania i uzgadniania interesów prywatnych, co pozwala w miarę bezkonfliktowo łączyć indywidualną jednostkową wolność z potrzebami innych ludzi i grup społecznych.

Wolnościowy system ekonomiczny odgrywa w liberalnej doktrynie politycznej podwójną rolę. Z jednej strony, jak twierdzi George Gilder, kapitalizm i wolna konkurencja dlatego odnoszą sukcesy, że jego prawa pozostają w całkowitej zgodzie z prawami umysłu i są oparte na wierze w pomyślność pracy ludzkiej oraz ekspansji i konkurencji. Z drugiej zaś strony - jak dodaje Milton Friedman - wolność prowadzenia działalności gospodarczej jest niezbywalnym składnikiem wolności szeroko rozumianej i wstępem do formowania się zasad wolności politycznej. Prywatna własność środków produkcji ma w rozumieniu

zwolenników liberalizmu zapewniać nie tylko możliwość wyboru płaszczyzny, w ramach której w sposób nieskrępowany można realizować własne potrzeby życiowe, lecz przede wszystkim ma zabezpieczać jednostkę przed ingerencją politycznej władzy państwa. Tak więc możliwość prowadzenia, w ramach wcześniej uzgodnionego prawa, wolnej gry rynkowej można uznać nie tylko za samoistną działalność gospodarczą, ale także za środek gwarantujący zabezpieczenie naczelnej wartości życia społecznego — wolności obywatelskiej.

Prywatne posiadanie środków produkcji pozwala jednostce zawierać umowy o pracę z wieloma pracodawcami, uwalniając ją tym samym od jednego - państwowego, który preferuje zazwyczaj w dziedzinie gospodarczej ideologię grupy rządzącej, np. komunistyczną. Wolny rynek w żaden sposób nie eliminuje potrzeby istnienia silnego rządu i sprawnej administracji państwowej. Liberałowie zawsze podkreślają, że rząd jest niezbędny zarówno do określania zasad konkurencji rynkowej (sfera praw gospodarczych), jak też jako rozjemca interpretujący te zasady i gwarantujący ich przestrzeganie. Najważniejszą jego funkcją musi być obrona wolności przed wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym oraz zabezpieczenie prawa i porządku zgodnie z powszechnie akceptowanymi normami. Poza tym rząd powinien umożliwiać jednostkom wspólną z nim realizację zadań, które albo są za drogie, albo za trudne, aby wykonać je indywidualnie.

Istnienie jednak silnego, dobrze zorganizowanego rynku eliminuje bezpośrednio wpływy rządu na jego funkcjonowanie. Mając na uwadze wolność obywatelską, której jednym z gwarantów jest wolność gospodarowania, liberałowie kategorycznie odrzucają jakąkolwiek formę monopolizacji władzy w państwie. Musi bowiem ona zawsze skończyć się stosowaniem przemocy wobec osób przeciwnych oficjalnie wyznawanej ideologii. Monopolizacja władzy w państwie stoi też w całkowitej sprzeczności z przestrzeganiem zasady wolności człowieka, pojmowanej jako określona kondycja społeczna, w której przymus stosowany przez jedne jednostki wobec drugich jest maksymalnie ograniczony. Wolność — jak twierdzi Hayek - to niezawisłość od arbitralnych poczynań innych ludzi. Wolność jednostkowa ma znaczenie nie tylko dla jednostki, ale jest ona koniecznym warunkiem rozwoju myśli i postępu - szerzej, cywilizacji ludzkiej. Hayek w *Constitution of Liberty* pisze: „Społeczeństwo ludzi wolnych dlatego jest twórcze, że ułatwia różne zastosowania wiedzy, których nie zdołałby zaplanować nawet najmądrzejszy planista". Dlatego też, kontynuuje autor, społeczeństwa pozbawione swobody i wolności obywatelskiej zmuszone są w sposób nieudolny czerpać z dorobku społeczeństw wolnych. Same zaś siłą rzeczy muszą w tych dziedzinach przeżywać regres. Dobitnym tego przykładem są państwa komunistyczne, które wprowadzając monopol gospodarki, ideologii i informacji zaprzepaściły raz na zawsze szansę własnego rozwoju.

Tak rozumianą wolność - powtórzmy —jako maksimum swobody osobistej według zasady: co nie jest dokładnie zakazane jest dozwolone (nie zaś jak w komunizmie: co nie jest dokładnie dozwolone jest zakazane) — liberałowie odróżniają od wolności politycznej. Prywatna własność środków produkcji jest wprawdzie niezbywalnym warunkiem istnienia swobód politycznych, ale nie jedynym. Wystarczy przywołać w pamięci kraje o systemie gospodarki wolnorynkowej, rządzone jednak przez prawicowe dyktatury (Chile, do niedawna Argentyna, Pakistan, Iran, Turcja). Tak więc wolność obywatelską, oprócz respektowania przez państwo systemu opartego na wolnej konkurencji, musi firmować wolnościowy system wyłaniania władzy politycznej, tj. wolne wybory do ciał ustawodawczych. Wolność wyboru odpowiedniego rządu, pluralizm doktryn politycznych, rozbudowana działalność partii politycznych o konkurencyjnych programach są następnym, po wolnym gospodarowaniu, warunkiem realizacji wolności człowieka. Według liberałów są one warunkiem koniecznym, ale nie dostatecznym. Wprawdzie nie ma na świecie krajów, które portafilyby zapewnić wolność obywatelską bez wolnościowej ordynacji wyłaniania władzy politycznej, ale były takie rządy, które wybrane większością głosów, zaprowadziły system totalitarny. Przypomnijmy Rzeszę Niemiecką: w 1933 roku partia Hitlera uzyskała przecież poparcie większości wyborców. W kraju tym przeprowadzono wolne wybory, kwitła prywatna gospodarka, a zamiast wolności zrodziła się skrajna nietolerancja, szowinizm, imperializm i zbrodnia. Tak więc zasada większości politycznej, niezbędnej do sprawowania władzy, jest warunkiem koniecznym, ale znów nie dostatecznym dla wolnościowej filozofii rządzenia społeczeństwem.

Państwo, w którym chciałby mieszkać wyznawca doktryny liberalizmu, poza zagwarantowaniem obywatelom nieskrępowanej działalności gospodarczej, poza wyrażeniem zgody na decentralizację władzy, zarówno na szczeblach centralnych jak i lokalnych, poza niekwestionowaniem większościowej formuły sprawowania władzy politycznej, musi kierować się we wszystkich swoich poczynaniach regułą indywidualnej wolności. Jest to zasada niezbywalna, która nie przestrzegana, nawet przez najbardziej demokratycznie wybrany rząd, czyni życie społeczne ponizającym koszmarem niewoli, przymusu i zakłamania. Zasady tej nie wolno naruszać w żadnym przypadku, gdyż grozi to zachwianiem całego systemu wolnościowego.

Jeżeli słowo „demokracja” odpowiada na pytanie, kto aktualnie sprawuje władzę, a słowo „liberalizm” wytycza jej granice, jeżeli demokracja oznacza większościowy charakter sprawowania rządów, liberalizm zaś filozofię wolności człowieka, to wyznawcy myśli liberalnej postawią zawsze na pierwszym miejscu racje osobistej wolności obywatela, nawet przed racjami rozgniewanej większości. Oczywiście takie zdystansowanie obu pojęć jest zabiegiem czysto teoretycznym, gdyż demokratycznie wybrany rząd, kierujący się w praktyce racjami demokracji, potrafi w sposób zadowalający godzić respektowanie woli większości z wolnościowymi racjami opozycyjnej mniejszości (często 48% obywateli). Powyższe rozróżnienie czynimy, aby w skrajny sposób pokazać, że liberalizm zawsze postawi przed jakimikolwiek

innymi zasadę wolności człowieka.

(...) Różnice w politycznej myśli liberałów i socjaldemokratów są bardzo wyraźne. Spory między nimi koncentrują się przede wszystkim na zakresie ingerencji państwa w życie społeczne i osobiste obywateli. Konserwatyści natomiast w wielu miejscach identyfikują się z programem liberalnym. Najmocniej konserwatystów i liberałów łączy przekonanie o konieczności istnienia i rozwijania gospodarki na zasadach rynkowych, opartych na nieskrępowanej inicjatywie jednostek. Pierwsi nie traktują jednak tej konieczności ekonomicznej jako zapory wyhamowującej zachłanność władzy państwowej, lecz jako wynik naturalnych praw jednostki, usankcjonowanych tradycją, religią i obyczajem. Naczelnymi zasadami kulturowanymi przez filozofię konserwatyzmu jest religia, autorytet, tradycja, moralność i etyka. Zwłaszcza autorytet stanowi wartość, do której konserwatyści odwołują się w chwilach kryzysu własnej tożsamości. Owa wiara w zbawczą moc autorytetu powoduje, że chcą oni widzieć na czele państwa silną władzę, legitymującą się poparciem społecznym wyborców wyznających tradycyjny system wartości społecznych i osobistych. Dlatego też ta orientacja polityczna przejawia większą nieufność wobec nowości niż ktokolwiek inny, bojąc się często nawet spokojnych i ewolucyjnych zmian systemowych. Konserwatyści upatrują w nich bowiem niebezpieczeństwo dezorganizacji formuł sprawowania władzy i narodowej tradycji. Dlatego też w momentach rozchwiania nastrojów społecznych (np. buntów studenckie) rząd konserwatywny nie waha się skorzystać ze swych kompetencji dla ochrony spokoju i starych wartości konserwatywnych.

Konserwatystów w sumie bardziej interesuje kto rządzi, a nie jakie prerogatywy władzy winny być kontrolowane — rząd ludzi mądrych, ekspertów z szerokimi kompetencjami, niezwykle ich satysfakcjonuje.

Zarówno konserwatyści jak i liberałowie wyprowadzają koncepcję wolności człowieka bezpośrednio z jego natury. Każdy człowiek rodzi się wolnym i dlatego powinien zostać obdarowany wolnością również w życiu społecznym. Dla liberałów jest to sprawą bezdyskusyjną, konserwatyści zaś, nie negując zasady wolności w życiu społecznym, chcieliby jednak skorelować ją z systemem wyznawanych przez siebie tradycyjnych wartości. Dlatego też, podczas gdy liberałowie głoszą całkowitą tolerancję wobec przekonań innych ludzi, konserwatyści chętnie, jeżeli byłoby to możliwe, narzucaliby swój system wartości ludziom inaczej myślącym. W dużej mierze pozostaje to jednak w sferze pobożnych życzeń, gdyż przed inwazją ideologii konserwatywnej broni społeczeństwo zarówno system prawny, prywatna własność środków produkcji, jak też powszechnie akceptowany i respektowany parlamentarny system sprawowania władzy politycznej.

Konserwatyzm — wbrew temu, co niektórzy o nim sądzą — nie jest w żadnej mierze reakcjonizmem, czyli, jak to bywa w komunizmie — obroną *status quo* za wszelką cenę. Konserwatysta, wyznawca i głosiciel tradycyjnych wartości organizujących życie społeczne w ładzie i porządku, wprowadzić trudno się adaptuje, nigdy jednak — nawet w chwilach największego zagrożenia — nie

sięgnie po broń totalizacji. Liberał, szanując tradycyjne wartości narodowe i państwowe zaczerpnięte z konserwatywnej myśli politycznej, będzie chciał je połączyć najlepiej jak potrafi z zasadami wolności dla wszystkich ludzi, tak aby historyczna tradycja mogła dobrze współgrać z radykalną inicjatywą. Obydwa nurty są przeciwne nadmiernej opiekuńczej roli państwa, wychodząc z założenia, że grozi ona nadmierną socjalizacją obywateli, osłabiając społeczną aktywność jednostek i nie ułatwiając przy tym żadnych istotnych ludzkich problemów. Oczywiście liberałowie znacznie dalej niż konserwatyści zamierzają ograniczyć interwencyjne prerogatywy władzy.

Podstawowa różnica między konserwatystą a liberałem polega jednak na odmiennym rozumieniu relacji jednostka — państwo. Dla liberała społeczeństwo jest zbiorem jednostek, natomiast dla konserwatysty pierwotne jest społeczeństwo, które kształtuje jednostkę; podlega ono historii, a jego więzi uświęcone są przez istotę transcendentną. Dla liberała liczy się jednostka i jej egoistyczny interes. Z tej sumy egoizmów rodzi się społeczeństwo. Według konserwatysty społeczeństwo trwa dzięki imponderabiliom, zaś religia jest jego podstawowym spoiwem. W ciągu wieku XIX opozycja liberalizm — konserwatyzm uległa złagodzeniu, aż do zupełnego zlania się tych dwu kierunków, czego politycznym przejawem było np. zmniejszenie się wpływów partii liberalnej w Wielkiej Brytanii, gdyż jej wyborcy przeszli do partii konserwatywnej.

Nasze ugrupowanie, które określa siebie jako liberalno-demokratyczne, uznając w praktyce liberalną myśl polityczną za najlepiej przemawiającą do wolnego człowieka, zamierza także korzystać z dorobku myśli konserwatywnej, przede wszystkim zaś z tych wartości, przy pomocy których konserwatysta i liberał mogą zaproponować nowoczesny i stabilny system rządzenia, oparty przy tym na poszanowaniu wolności każdego człowieka.

Wacław Wojenny

«Niepodległość» nr 31-32, lipiec-sierpień 1984, ss.10-13

Liberalne państwo

W publicystyce politycznej wiele zrozumiałego zaciętrzewienia budzi spojrzenie na rolę państwa, a raczej na wyznaczenie jego miejsca w całokształcie stosunków między instytucją a obywatelem.

Mówiąc o państwie mam na myśli rolę instytucji politycznych i struktur administracyjnych, które będzie można powołać po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. (...)

Najważniejszym celem jest — według nas — nie tylko niezawisłość państwowa, ale przede wszystkim maksimum wolności obywatelskiej we własnych strukturach politycznych. Nie ukierunkujemy działań, nie umotywuujemy ludzi do maksymalnego wysiłku, jeżeli nie wskażemy celu walki i nie zidentyfikujemy naszych sympatyków z programem walki. Czyli inaczej —

jeśli nie uznają oni ustroju przez nas proponowanego za własny, godny walki, oporu i wyrzeczeń.

Naszym zdaniem społeczeństwo jest tworem kompromisów zawartych między obywatelami, natomiast państwo, jako forma organizacji zbiorowego życia społeczności, jest sędzią i strażnikiem umów prywatnych, choćby nawet poprzez stanowienie praw wynikających z tego grupowego kompromisu.

Państwo powinno zatem pełnić rolę służebną wobec społeczeństwa i stać na stanowisku weryfikowania owego z reguły chwiejnego kompromisu. Dlaczego system organizacji państwa powinien stać na straży prywatnych umów obywateli, a nie samodzielnie kształtować ich warunki? Przyczyna tego stanu *rzeczy* jest prosta. W praktyce państwo to nie tylko przedstawicielski system władzy politycznej, ale także ludzie tworzący aparat urzędniczy, z zasady bardzo ściśle związany z obowiązującą wykładnią posunięć administracyjnych i gospodarczych. Kadra ta tworzy system własnych interesów wewnątrzgrupowych, które zazwyczaj identyfikuje z potrzebami państwa. Zagrożenie tej grupy, ustalającej arbitralnie warunki i zasady wszelkich umów zbiorowych i prywatnych, niechybnie może wywołać użycie całej potęgi państwa dla ochrony pozycji jego funkcjonariuszy. Klasycznym przykładem było wprowadzenie stanu wojennego w Polsce w imię zduszenia „S” — organizacji, która chciała samodzielnie, bez kurateli biurokracji politycznej i administracyjnej, ustalać reguły działalności społecznej i prywatnej.

Stąd płynie wniosek: państwo nie powinno w żadnym wypadku prowadzić samodzielnie działalności społecznej, gospodarczej, kulturalnej i informacyjnej. Zmonopolizowanie aktywności, np. gospodarczej, wyłącznie w jego rękach, tj. w gestii biurokracji partyjnej i państwowej (PRL), powoduje, że każda społeczna próba zrealizowania nawet najbardziej sensownych reform ekonomicznych jest poczytywana za zamach na „konstytucyjne”, z łaski Sowietów funkcjonujące władze. Podstawą takiego rozumowania jest irracjonalne i nieustannie propagowane przekonanie, iż państwo potrafi lepiej i sprawniej rozwiązywać wszelkie problemy, z pominięciem samych zainteresowanych, oraz że człowiek sprawujący władzę musi być *de facto* mądrzejszy od pozostałych. Jesteśmy przekonani, że nie może być demokracji i wolności bez respektowania autentycznej autonomii jednostek i grup społecznych. Jej podstawą jest prawne i ustrojowe zagwarantowanie m.in. nieskrępowanej inicjatywy gospodarczej wszystkich obywateli, czyli inaczej — własności prywatnej. Bez sensu jest podejmowanie dyskusji nad naprawianiem etatystycznego systemu politycznego i społecznego, należy natomiast kierować uwagę na stworzenie modelu państwa, które w minimalnym stopniu uzależni obywatela od siebie.

Dlatego też zgoła irracjonalnym pomysłem jest rzucanie haseł (ostatnio na szczęście rzadziej) motywujących społeczeństwo do wykonywania pracy, która uzależnia nas ekonomicznie, a tym samym politycznie, od państwa-pracodawcy. Piszemy: irracjonalnym, gdyż zdajemy sobie sprawę, że istnienie organizacji gospodarczych takich jak spółdzielnie, prywatne warsztaty itp.

podyktowane zostało aktualną dobrą wolą państwa, które w każdej chwili, bez podania wiążących powodów, może swą decyzję cofnąć. Poza tym samodzielna, szcątkowa inicjatywa gospodarcza w ustroju totalitarnym uzależniona jest od państwowej energii, państwowych dostaw surowców, państwowego rynku zbytu. Nie jesteśmy przeciwnikami takiej formy działalności, w sumie prowadzącej do minimalnego uniezależnienia się człowieka od wszechwładzy komunistycznego państwa, lecz przeciwni jesteśmy określaniu tej drogi jako ważnej formy walki z reżymem. Polska lat 80-tych to nie Wielkopolska końca lat 90-tych ub. wieku, kiedy rząd pruski, tłumiąc inicjatywy niepodległościowe, dopuszczał funkcjonowanie polskich instytucji gospodarczych.

Dlatego też „najdłuższa wojna nowoczesnej Europy” na tych terenach koncentrowała się na usankcjonowanym prawnie przez pruskie ustawodawstwo wyścigu ekonomicznym między dwiema narodowościami. Nasza najdłuższa wojna z komunizmem to nie walka o gospodarczą autonomię w jego ramach, gdyż ta skazana jest na przegraną, lecz walka o system gospodarczy, w którym działalność ekonomiczna będzie celem samym w sobie, nie zaś środkiem obrony przed totalitarną kontrolą.

Zdrowa, tj. niezależna i oparta na zasadach rynkowych gospodarka narodowa ma charakter prywatny ze wszystkimi tego konsekwencjami (wolna konkurencja, kontrolowane bezrobocie itp.) Zasada pełnego zatrudnienia, której rzecznikiem były także zespoły „Sieci”, stanowi próbę pogodzenia dogmatyzmu ekonomii komunistycznej i reformatorskiego myślenia. Dodajmy: takiego myślenia, które zadowoliliby zarówno autorów projektu, jak też ewentualnych jego wykonawców. Samorządna Rzeczypospolita, tj. republika oparta na wyłącznie samorządowym systemie kierowania gospodarką (nie mówimy tutaj o samorządowym systemie administrowania krajem, z którym w większości się zgadzamy), jest nową utopią, eksperymentem tym groźniejszym, że jego negatywne skutki już odczuło na swojej skórze kilka państw europejskich.

I niech nikt nam nie zarzuca, że jesteśmy zwolennikami słabego państwa, w którym silne struktury prywatno-społeczne dominować będą nad słabnącą ciągle władzą państwową. Jest to bowiem rozumowanie wzięte żywcem z komunistycznego słownika, gdzie z góry, na mocy dogmatu, założono nienaruszalność przywileju rządzenia. Ograniczając do niezbędnego minimum ingerencję władzy państwowej w prywatne interesy obywateli, nie pozostawiamy jej wyłącznie roli stróża nocnego, który ma jedynie czuwać nad bezpieczeństwem rządzących. Państwo musi pozostawić uregulowaną prawnie swobodę inicjatywy osobistej i społecznej, a wkraczać z interwencją tylko wówczas, gdy obywatel przekroczy ustalone wcześniej obowiązujące normy prawne. Dalej, państwo musi być inicjatorem rozmaitej działalności (np. tworzenia nowych miejsc pracy, synchronizacji różnorodnych działań gospodarczych, inicjatyw w dziedzinie prawnej, socjalnej itp.), a nie bezpośrednim ich wykonawcą i nadzorcą. Winno ono także wkraczać z pomocą w takich przypadkach, gdy inicjatywa jednostek lub grup nie wystarcza, aby zapoczątkować i zrealizować powszechnie potrzebne działanie (np. z braku

wystarczających funduszy na utworzenie przedsiębiorstwa), a także w celu utorowania drogi na rynki zagraniczne, zwalczania patologii społecznej, zasilania funduszy charytatywnych czy udzielania pomocy najuboższym. Państwo powinno również wytyczać perspektywy rozwojowe społeczeństwa, np. inicjować rozwój myśli nauko-wo-technicznej (potrzeba dużych funduszy, niepewność zysku), kształtować politykę demograficzną itp.

Stoimy zatem na stanowisku społeczeństwa obywatelskiego, którego trwałość może jedynie zapewnić reprezentowanie interesów większości obywateli, przy założeniu, że opozycyjna mniejszość będzie korzystała ze wszystkich wolności, przede wszystkim zaś z wolności przejścia władzy na drodze parlamentarnej. Państwo ingerujące bez potrzeby, wyłącznie dla udokumentowania swojej władzy i siły, jest państwem terrorystycznym, co jest tym groźniejsze, że robi to bezkarnie, niszcząc po drodze wszystko, co pozbawione jest jego łaskawego stempelka. Dlatego też w naszych rozważaniach bierzemy pod uwagę budowanie w przyszłości przede wszystkim własnego państwa o ustroju liberalnym, tj. o ściśle zakreślonych i tylko niezbędnych kompetencjach do ingerowania w życie obywatela.

Wacław Wojenny
«Niepodległość» nr 26, luty 1984, ss.18-20

Jaka niepodległość?

Tworząc dwa lata temu nasze pismo, nazwaliśmy je „Niepodległość”. Nie widzieliśmy wtedy potrzeby bliższego precyzowania tego hasła, doceniając przede wszystkim jego znaczenie symboliczne. Najwyższy jednak czas, by dziś, gdy tempo bieżących wydarzeń politycznych osłabło, cofnąć się nieco i zdefiniować obszar zakreślony słowem „niepodległość”. By to uczynić, musimy prześledzić relacje zachodzące między trzema wartościami: narodem, państwem i wolnością.

Najbardziej ogólnie, niepodległość jest prawem narodu do tworzenia własnego państwa i życia w wolności. Trzy wspomniane wartości (sprawę rozważamy na płaszczyźnie ideologicznej i nie interesuje nas na razie status prawny tych kategorii) nie muszą wpływać w jednakowym stopniu na treść niepodległości, a ich wzajemne relacje stanowią podstawę różnego typu ideologii.

1. *Niepodległość Narodu.* Tego typu ideologia (nacjonalizm) uznaje naród za wartość najwyższą. Nie jest on jednak pojmowany jako zbiór jednostek, a interes narodu nie stanowi wypadkowej interesów indywidualnych. Przeciwnie, naród jest bytem realnym, żywym, samodzielnym organizmem, któremu muszą być podporządkowane interesy indywidualne.

Zasady nacjonalizmu polskiego zostały wyłożone 80 lat temu przez Romana

Dmowskiego w znanej pracy *Myśli nowoczesnego Polaka*. Jeżeli powołujemy się na tak zamierzchły dokument, czynimy to dlatego, że odegrał on doniosłą rolę w kształtowaniu polskiej myśli narodowej i od chwili jego napisania żaden wybitniejszy ideolog nacjonalizmu nie przeformułował problemów stawianych przez Dmowskiego. Dotyczy to również lat ostatnich. Ruchy społeczne i polityczne powstałe w Polsce pod koniec lat 70-tych i po Sierpniu miały w dużej mierze podłoże nacjonalistyczne, posługiwały się symboliką narodową. Dodać tu wszakże należy, że Dmowski chciał wyprowadzić swą nacjonalistyczną ideologię z zasad racjonalnych, podczas gdy nacjonalizm większości Polaków (co było widoczne w „Solidarności”) jest irracjonalny, podświadomy. Pozwala im to łączyć nacjonalizm z uznawaniem innych wartości, pozostających *de facto* w sprzeczności z nim.

Dmowski pisał: „Jestem nim (Polakiem) nie tylko dlatego, że mówię po polsku, że inni mówiący tym samym językiem są mi duchowo bliżsi i rozumiali, że pewne moje osobiste sprawy łączą mnie bliżej z nimi niż z obcymi, ale także dlatego, że obok sfery życia osobistego, indywidualnego, znam zbiorowe życie narodu, którego jestem częścią, że obok swoich spraw i interesów osobistych, znam sprawy narodowe, interesy Polski, jako całości, interesy najwyższe, dla których należy poświęcać to, czego dla osobistych spraw poświęcać nie wolno”. (*Myśli nowoczesnego Polaka*, wyd. 1933, s. 2). „Jestem Polakiem - więc mam obowiązki polskie. Są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka” (tamże, s. 4). „Z tego samego źródła rodzą się obowiązki względem innych narodów, względem ludzkości. Jak wobec dzisiejszej Polski człowiek poczuwa się do obowiązków w imieniu swoim, jak wobec dawniejszej i przyszłej — w imieniu swego pokolenia, tak wobec ludzkości — w imieniu swego narodu” (tamże, s. 6).

Zauważmy, że większość Polaków na pewno by się zgodziła ze sformułowaniami zawartymi w powyższych cytatach, co rzecz jasna nie znaczy, że zgodnie z nimi postępuje. Nie stają też one w sprzeczności z propagandą rządową; mogłyby stanowić godną ozdobę szkolnych akademii, pod warunkiem wszakże, że nie zostałyby podpisane.

Z nadrzędności narodu wynika oczywiście postulat utworzenia państwa narodowego: niepodległość = państwo narodowe. Skoro naród jest zjawiskiem nieredukowalnym do jednostki i jego prawa mają pierwszeństwo wobec praw pojedynczego członka narodu, to również państwo, które jest formą istnienia narodu, stanowi wartość cenniejszą niż jednostka ludzka. Państwo narodowe nie jest więc państwem obywatelskim, nie ma spełniać funkcji służebnych wobec obywateli, lecz wobec narodu. Dla tej formacji myślowej nie ma zatem znaczenia, czy państwo będzie demokratyczne, sprawiedliwe, czy będzie realizowało prawa człowieka, umożliwiało jego rozwój. Nie one są bowiem ważne lecz prawa narodu. Dmowski oburza się na tych, którzy uważają inaczej: „Ileż razy zdarza mi się słyszeć zdania w rodzaju: 'Wolę, żebyśmy nie odzyskali niepodległości, niż żebyśmy byli zmuszeni wytworzyć wstrętne instytucje państwowe i prowadzić nikczemną politykę z krzywdą innych” (tamże, s. 24).

Prawa obywatelskie nie tylko przestają odgrywać ważną rolę, ale stają się wręcz zbędne, przeszkadzają w realizacji celu głównego — afirmacji narodu: „Przedmiotem tego patriotyzmu, albo ściślej mówiąc nacjonalizmu, nie jest pewien zbiór swobód, który dawniej ojczyznę nazywano, ale sam naród jako żywy organizm społeczny, mający swą, na podstawie rasowej i historycznej, rozwiniętą odrębność duchową, swą kulturę, swe potrzeby i interesy” (tamże, s. 151). „Jednostka tu nie występuje jako walcząca o wolność jedynie — głównym jej celem jest rozszerzenie zakresu narodowego życia, pomnożenie materialnego i duchowego dobra narodu, zdobycie dla tej całości społecznej, do której należy, możliwie wysokiego stanowiska w szeregu ludów” (tamże, s. 151). Nacjonalizm, wywyższając własny naród, sprzeciwia się jednocześnie realizacji praw innych nacji. „I sprzedajemy humanitarnie Polskę w dalszym ciągu. Wzorem w tym względzie jest nasza polityka ruska w Galicji. Czy można znaleźć lepszy przykład wspaniałomyślności w polityce, jak kiedy rada powiatowa, złożona w znacznej większości z Polaków, jednogłośnie uchwala potrzebę założenia gimnazjum ruskiego w mieście” (tamże, s. 92).

40 lat rządów komunistycznych w Polsce paradoksalnie umocniło tendencje nacjonalistyczne. Miało to dwa źródła. Z jednej strony w opozycji społeczeństwa wobec dominacji innych nacji nad Polską, przede wszystkim Żydów (wewnątrz Polski) i Rosjan (na zewnątrz). Z drugiej strony oficjalna propaganda starała się wykorzystać wartości narodowe dla własnych celów. Podkreślano wyjątkowe korzyści płynące rzekomo z faktu jednolitości narodowej PRL-u. Przecistawiano to narodowej mozaice II Rzeczypospolitej, będącej jakoby główną przyczyną słabości państwa polskiego.¹ Nie bez znaczenia dla umocnienia w Polsce nacjonalizmu było utrzymanie antyniemieckich fobii. Zauważyć należy, że komunizm jedynie w swym dziewiczym okresie (przed rokiem 1917) był ruchem internacjonalistycznym, ponadnarodowym, odrzucającym wartości narodowe. Róża Luksemburg używała wobec socjalistów z PPS wyjątkowo obraźliwej inwektywy: „patrioci”, ci zaś, zamiast „kupić” ten epitet, tłumaczyli się często, że wcale patriotami nie są. Już jednak po zdobyciu władzy w Rosji komuniści śmiało korzystali z propagandowego arsenału nacjonalizmu, by wzmocnić coraz bardziej wyblakły etos komunizmu, zwłaszcza po wyeliminowaniu Trockiego-Żyda, mającego horyzonty zdecydowanie ponadnarodowe.

Ta dziwna zbieżność tradycyjnego nacjonalizmu z komunizmem

¹ W liście przysłanym do nas w ramach dyskusji nad „założeńiami programowymi” „Czytelnicy” piszą: „Nie wiemy jaki procent obecnie stanowią w Polsce mniejszości narodowe, aby na ten temat się wypowiedzieć. Należy jednak pamiętać, że przed wojną były „kulą u nogi” w Polsce i w związku z tym nie pisalibyśmy o „nieskrepowanych warunkach rozwoju narodowego i politycznego”.

dowodzi niejednoznaczności wartości narodowych. W organizacji „Grunwald” spotykali się przedwojenni antysemici, jak Studentowicz (zdaje się, że już nie należy) oraz komuniści zbliżeni wręcz do tzw. twardogłowych, jak Poręba czy Filipowski. Ten ostatni w telewizyjnej wypowiedzi twierdził, iż nie istnieje na świecie inna kultura poza narodową - niemalże dosłowny cytat z Dmowskiego. Enigmatyczność wartości narodowych wynika z tego, że nie można jasno określić, co jest dobre dla narodu jako samodzielnego bytu. Jego interes jest pojęciem, które znaczy bardzo niewiele. Ten brak precyzji pozostawia szerokie pole demagogii - zjawisku opisanemu przez Ericha Fromma czy Karla Mannheima. Rządzący, nie mogąc zaoferować swym poddanym wartości realnych, przede wszystkim materialnych - wysokiej stopy życiowej - dają im jako rekompensatę wartości symboliczne: dumę z potęgi narodu czy państwa, przekonanie o swej wyższości wynikającej z przynależności do grupy — narodu.

Nie trzeba nikomu przypominać, że Rzeczpospolita Polska rozwijała się przez setki lat jako państwo wielonarodowe. Historię Polski tworzyło wiele narodów, nie zaś jeden (np. miasta w średniowieczu były niemal całkowicie niemieckie). Nowoczesny naród i nacjonalizm wytworzył się dopiero wraz z rozwojem kapitalizmu w Polsce na przełomie XIX i XX wieku. Fala nacjonalizmów, która pojawiła się wówczas w Europie środkowej i wschodniej, doprowadziła po rozpadzie systemu wiedeńskiego do powstania licznych państw narodowych. Czy to niepodległość była tak istotną wartością? Czy w każdym przypadku? Zobaczmy to na przykładzie Litwy.

Nacjonalizm litewski skierowany był przeciw Polakom, zaś w mniejszej mierze przeciwko Rosji, władającej Wilnem od końca XVIII wieku. W momencie wybuchu I wojny światowej Niemcy, którzy wyparli z Litwy Rosjan, postanowili utworzyć tam samodzielne królestwo. Rozważano kandydaturę Wilhelma Ulricha Wirtemberskiego, który miał przybrać litewskie imię Mendoga II. Ostatecznie utworzono republikę, rządzoną w sposób dyktatorski przez Smetonę, a później Waldemara. Klęska Niemiec sprawiła, że ta „niepodległa” Litwa nie była w pełnym znaczeniu kolonią niemiecką; czy jednak mogła zaspokoić potrzeby swych obywateli? Piłsudski proponował Litwie w 1919 r. Wilno, w zamian za stworzenie systemu kantonalnego (kanton kowieński, wileński i białoruski), co stanowiłoby rzecz jasna przygotowanie do federacji z Polską. Litwini (nie obywatele, lecz rządząca elita) woleli państwo narodowe. Walcząc przez 20 międzywojennych lat z rzekomym zagrożeniem polskim, rychło popadli w stokroć gorszą niewolę, niszczącą nie tylko byt państwowy, ale także najbardziej elementarne prawa obywatelskie.

Współcześnie w większości krajów III świata ambicje narodowe są reprezentowane przez wąskie elity ludzi wykształconych. Przemawiają one w imieniu rzekomego narodu, tworzą struktury państwowe. Uzyskanie niepodległości przez te kraje (zwłaszcza afrykańskie) rzadko poprawiło sytuację ludności. W wielu przypadkach można mówić o regresie zarówno w poziomie życia (permanentna bieda i głód w krajach Sahelu), jak też w stosunkach politycznych (krwawa dyktatura Bokassy czy Amina).

2. *Niepodległość państwowa*. Ideologia ta uznaje państwo za wartość naczelną, niezależnie od jego charakteru. Wiązać się to może, choć nie musi, z afirmacją narodu. Od poprzedniej ideologii różni się tym, że państwo w hierarchii wartości znajduje się ponad narodem. Wynikać to może z:

A. Nieistnienia nowoczesnego narodu, który byłby podatny na narodowe symbole; w fazie przednarodowej więź psychiczna odczuwana przez ludzi ma wymiar lokalny, można mówić o patriotyzmie kaszubskim, śląskim czy gaskońskim, nie zaś o polskim czy francuskim.

B. Wielonarodowości państwowej. W przypadku ZSRS, Czechosłowacji czy Jugosławii oficjalna propaganda nie zawsze może lansować jawnie nacjonalizm narodu dominującego (Rosjan, Czechów, Serbów) bez wzbudzenia nacjonalizmów narodów zdominowanych.

C. Obawy przed nacjonalizmem w krajach *de iure* niepodległych, lecz *de facto* niesuwerennych, np. w Polsce.

Chronologicznie relacje między państwem i narodem mogą być dwie: istnienie narodu jest decydującym czynnikiem utworzenia państwa narodowego, bądź też istnienie państwa stanowi czynnik narodotwórczy. W tej chwili te subtelności nas nie interesują, zajmijmy się natomiast stosunkiem komunistów do państwa. Stanowisko klasyków jest znane. Engels dał najbardziej klasyczną jego wykładnię w *Anty-Duhringu*: w socjalizmie „zamiast rządzenia osobami występuje zarządzanie rzeczami i kierownictwo procesami produkcji. Państwo nie zostaje zniesione, lecz obumiera” (wyd. z 1943 r., s. 276). Stosunek Lenina-praktyka do państwa był już inny. Poświęcił on całą pracę „Państwo i rewolucja” (nie dokończoną zresztą, a szkoda, bo ostatni rozdział miał traktować o doświadczeniach rewolucji rosyjskiej) na udowodnienie, że myśli Marksa i Engelsa w kwestii państwa są zawsze żywe, lecz jego obumieranie dotyczy jedynie burżuazyjnej formy państwa: „My zaś pójdziemy na rozłam z oportunistami i cały uświadomiony proletariat będzie po naszej stronie w walce nie o „przesunięcie stosunku sił”, ale o obalenie burżuazji, o zburzenie burżuazyjnego parlamentaryzmu, o republikę demokratyczną typu Komuny, albo Republikę Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, o rewolucyjną dyktaturę proletariatu” (Dzieła, t. 25, s. 528). Istnieje więc „demokratyczna Republika Rad” i jak na razie, niestety, nie chce obumierać.

Podobnie jak nacjonalizm, ideologia państwowa została zaadoptowana przez propagandę komunistyczną, szczególnie w Polsce. Ideologia marksistowska od dawna nie ma siły nośnej, stąd wzbogacanie jej przez kwiatki z zupełnie innego ogródka. Ciekawostką jest, że w PRL ideolodzy (propagandyści) dzielą się na wzbogacających komunizm nacjonalizmem (począwszy od natolińczyków, moczarowców, a skończywszy na Grunwaldzie i „Rzeczpospolitej”) oraz preferujących eksponowanie państwowości (obecnie: „Polityka”, „Tu i Teraz”, „Przegląd Tygodniowy”). Podobnie zresztą jak w nacjonalizmie, komuniści wspomagani są przez przedwojennych pravicowców (Hrabyk!). Tok rozumowania ideologów typu Rakowskiego, Koźniewskiego, Toeplitza jest następujący: Polacy walczyli od końca XVIII wieku o niepodległe państwo polskie. Państwo to przestało istnieć, tj. Polacy utracili niepodległość,

ponieważ było ono słabe. Cały etos XIX-wiecznych walk narodowyzwoleńczych to dążenie do własnego państwa polskiego. Państwo stanowi wartość najwyższą, mającą sakrę trzech powstań. Musi ono być silne: im silniejsze — tym pełniejsza niepodległość. Siła państwa jest zaś tu utożsamiana oczywiście z represyjnością, natomiast demokracja z anarchią. Teraz wystarczy już tylko udowodnić, że PRL jest owym silnym państwem polskim, czyli marzeniem powstańców z 1830 i 1863 r., by teodycea komunizmu była pełna. Na czym ma jednak polegać ta polskość PRL-u? Na języku polskim jako urzędowym, biało-czerwonych symbolach, orle, rogatywkach? Jasne, że lepsze to niż los Litwinów, lecz dla nas to jednak trochę za mało. O dziwo, zarówno „nacionalistom” jak i „państwowcom”, afirmującym wartości narodowe lub państwowe, nie przeszkadza podległość w stosunku do obcej nacji i obcego państwa. Jeżeli polemizujemy z tego typu „myślicielami”, to nie dlatego, byśmy się obawiali ich ideologii. Jest ona tak samo martwa, jak „czysty” internacjonalistyczny marksizm. Niewielu osobom odpowiada „nacionalizm” Poręby czy „ideologia państwowa” Koźniewskiego. Idzie jednak o to, by w środowiskach niezależnych unikać manowców podobnych ideologii.

Z omawianych przez nas kategorii najbardziej określony w prawie międzynarodowym status ma właśnie państwo. Niepodległość w sensie jurystycznym oznacza państwo. Być może jest to jedyne wyjście, na pewno najprostsze, lecz niesie w sobie wiele sprzeczności. Państwa są równouprawnione (np. w ONZ), jednakowo więc się traktuje Francję lub USA oraz Rwandę czy Mongolię. Ludobójcza klika Pol-Pota traktowana jest (przynajmniej *de iure*) równie poważnie, jak najbardziej demokratycznie wybrany rząd. W oparciu o państwowo-prawną interpretację niepodległości istnieją liczne państewka marionetkowe. Pierwszy kraj satelicki ZSRS — Mongolia — został uznany w kwietniu 1941 r. przez Japonię, w zamian za analogiczny krok Związku Sowieckiego w stosunku do równie marionetkowego kraju Mandżukuo (Mandżuria japońska). Dziś Mandżukuo zostało przez wszystkich zapomniane, co najwyżej służy jako symbol państwa marionetkowego. Mongolia i jej europejskie odpowiedniki cieszą się natomiast niesłabnącym prestiżem międzynarodowym. Do jakich absurdów może doprowadzić formalno-prawne traktowanie państw, wskazuje następujący przykład: 1 maja 1945 r. prezydent Irlandii (neutralnej w czasie wojny) wysłał depezę kondolencyjną do nowego prezydenta III Rzeszy, Dónitza, z powodu śmierci Hitlera. Następnego dnia Rzesza już nie istniała, nawet formalnie, lecz dla nadawcy nie miało to widocznie większego znaczenia.

3. *Niepodległość obywatelska.* Omówienie tej interpretacji niepodległości zaczniemy od cytatu: „...w 50-lecie odzyskania niepodległości zrobiono w gronie swoich przyjaciół małe zebranie i kazano mnie na ten temat mówić, i wtedy wspomniałem o jubileuszu Limanowskiego. Wyraziłem refleksję: życzenie wolnej Warszawy spełniło się, ale jeśli chodzi o wolność, to Limanowski mógł się przekonać, że w roku 1910 było we Lwowie więcej wolności niż w Warszawie 1930 r. Chociaż Lwów był stolicą zaboru i nie było niepodległości, ale była wolność w tym znaczeniu, w jakim w roku 1930 jej nie

było. Ta wolność roku 1910 to były prawa obywatelskie, które sobie w monarchii austro-węgierskiej „ale raczej w Przedlitawii, czyli Austrii (bo na Węgrzech było mniej wolności) wywalczone" (Henryk Wereszycki, *Życzymy Ci Towarzyszu Limanowski wolnej Warszawy*, Znak nr 325, 1981).

A więc kolejny paradoks pojęcia niepodległości. Można być obywatelem niepodległego kraju, czuć się członkiem narodu tworzącego niepodległe państwo i w dodatku korzystać z wolności obywatelskich demokratycznego państwa: wówczas sytuacja jest idealna. Cóż jednak, gdy ma się do wyboru własne narodowe państwo represyjne lub państwo, które nie jest podporządkowane wartościom narodowym, co więcej, nie realizuje aspiracji narodów zamieszkałych w nim do tworzenia własnych państw narodowych, lecz gwarantuje wolności obywatelskie. W tych wolnościach zawarte jest również prawo mniejszości etnicznych i narodowych do rozwoju swej kultury, języka, oświaty. Oznaczają one także swobodę emigracji i nieskrępowanego podróżowania. Czy to jest mało? Dla nas wystarczy. Jeżeli ktoś chce więcej, odsyłam go do Konstytucji ZSRS, która gwarantuje narodom i republikom szerokie wolności, aż do samostanowienia i oderwania się od reszty Związku.

Jesteśmy wychowani w etosie walk narodowo-wyzwoleńczych. Zarówno pokolenie przedwojenne, jak i ludzie młodszy wyrastali, kształcili się i wychowywali w mitologii państwa polskiego — narodowego i niepodległego. Również dziś państwo takie wydaje się celem najważniejszym. Podkreślmy jednak mocno: nie może to być cel sam w sobie. Jednostka powinna mieć zagwarantowane wszystkie wolności, łącznie z rozwojem kultury narodowej czy etnicznej. Te prawa są czymś konkretnym, czymś niezbędnym dla rozwoju człowieka, który nie chce uciekać od wolności. Są one zgodne z naszym rozumieniem wolności jako swobody czynienia wszystkiego, co nie zagraża innym jednostkom. Tworzenie własnego państwa jest jedynie środkiem do realizacji celu wyższego — wolności. W obecnej sytuacji Polski walka o niepodległość jest celem oczywistym. PRL jest tylko formą zarządzania ziemią polską w interesie i za pełnomocnictwami sowieckimi.

Nie chodzi nam tylko o państwo polskie, idzie o coś więcej. O państwo, które będzie gwarantowało wolności obywatelskie, w tym również prawa rozwoju naszej kultury narodowej. Dyskusowanie na temat, czy obecna junta jest polska, czy nie, nie ma sensu. Dla nas sprawą ważniejszą niż narodowe pochodzenie tego czy innego członka ekipy jest fakt nierealizowania przez te władze wolności obywatelskich. Wiemy, że główną przeszkodą w tym jest dominacja wschodniego imperium. Stąd niepodległość traktujemy jako instrument służący realizacji celu nadrzędnego - stworzeniu państwa obywatelskiego, gwarantującego wolności niezależnie od składu etnicznego i narodowego takiego państwa.

Od końca II wojny światowej na świecie pojawiło się kilkadziesiąt państw, których istnienia przedtem nawet nie podejrzewano. Rzecz jasna nie można porównywać tych „narodów" do Polski. Nie przemawia tu przez nas egoizm, lecz obiektywna ocena sytuacji narodu historycznego — Polaków i pseudonarodu „czadyjskiego" czy „botswańskiego". Lewicowa myśl polityczna

zwykła uznawać utworzenie samodzielnych państw za fakt bezwarunkowo pozytywny, niezależnie od formy ich rządów. Ponieważ nie przyznajemy się do lewicowości, nie czujemy się też zobowiązani zgadzać się z powyższym poglądem. Znacznie bardziej podoba się nam w tej kwestii zdanie Jeana Revela: „Prawa etniczne (lub 'narodowe'), pod warunkiem, że są zgodne z prawami człowieka, muszą być zagwarantowane lub respektowane z tego samego tytułu, co prawa jednostki. Ale podobnie jak wolność jednostki nie polega na tym, że każdy buduje sobie forcik lub urządza arsenał, również prawa etniczne nie muszą koniecznie i zawsze oznaczać tworzenia nowych, suwerennych i uzbrojonych państw. Ta oczywista naiwność w sposobie pojmowania autonomii kulturalnej może tylko przysporzyć naszej biednej planecie anarchii i udostępnić środki niszczenia małym, lokalnym alfonsom politycznym, chętnym do opanowania młodych lub nieco starszych państw dla zaspokojenia swych skłonności do dyktatury.” (Jean Francois Revel, *La Tentation totalitaire*, Paris 1978,8.17).

Przyszły świat, o ile będzie istniał, musi być znacznie bardziej zintegrowany niż obecny. Szczerze mówiąc, nie mielibyśmy nic przeciwko stopniowemu obumieraniu państw. To jedna z niewielu tez klasyków marksizmu, której z ochotą przyklaskujemy. Oczywiście jest to utopia. Wydaje się nam jednak znacznie bliższa i sympatyczniejsza od różnego rodzaju utopii „platońskich”, opisujących precyzyjnie funkcjonowanie państwa i społeczeństwa powszechnej szczęśliwości.

W dzisiejszych czasach państwo jest niezbędne dla ochrony wolności jednostek. Jest ona bowiem zagrożona nie tylko przez instytucje państwowe, lecz także przez działanie różnych grup interesu. Państwo wobec nich musi występować jako arbiter. Ma pilnować, by konkurencja obywateli i grup interesu nie doprowadziła do zniszczenia samej siebie, by w społeczeństwie nie przeważała „ucieczka od wolności” i „pociąg do totalitaryzmu”. W końcu ma strzec społeczeństwo przed wrogiem zewnętrznym. W dobrze urządzonym państwie liberalnym musi być więc zachowana delikatna równowaga między siłą instytucji, niezbędną dla ochrony wolności obywatelskich, a skłonnością tych instytucji do rozrastania się i kontrolowania coraz większych obszarów życia społecznego, która to tendencja wynika z mechanizmów autonomicznego funkcjonowania biurokracji. Nie ma i nie może być stałej recepty na osiągnięcie owej równowagi, o czym świadczą okresowe wstrząsy w demokracjach zachodnich, na pozór doskonale rządzonych. Niewątpliwie kluczowe znaczenie ma tu polityczna kultura obywateli.

Krytycy naszej koncepcji wolności argumentują, iż nadmierna swoboda prowadzi do anarchii, a żeby jej zapobiec, niezbędne jest silne państwo, które reprezentuje interesy zbiorowości, a więc nadrzędne wobec jednostki. Pojęcie „silnej władzy” jest tak samo dwuznaczne, jak wiele omawianych powyżej kategorii. Przez władzę rozumie się zarówno przymus, jak też szerzej —

determinowanie zachowań. W pierwszym ujęciu silna władza to władza represyjna, słabo kontrolowana, lub —jak pisał Ossowski - „władza nieuwarunkowanej przemocy”. W drugim - silna władza (lub szerzej - silne państwo) to taka, która potrafi stworzyć warunki dla racjonalnych, funkcjonalnych zachowań obywateli. Państwo silne musi posiadać autorytet wynikający nie ze strachu, lecz z poparcia udzielanego mu przez obywateli świadomych także słabości demokracji, ale przede wszystkim nieodzowność demokratycznych instytucji i reguł gry w praworządnym państwie.

Franciszek Sz.

«Niepodległość» nr 27, marzec 1984, ss.1-5

Ustrój wolnej Polski

1. Kilka słów wstępu

Niektórzy Czytelnicy zarzucają nam, że uprawiamy za dużo futurologii politycznej. Mianem tym określają nasze rozważania dotyczące kształtu Polski o jaką chcemy walczyć. Wielokrotnie już tłumaczyliśmy, iż organizując naszych zwolenników w coś, co eufemistycznie nazywamy „środowiskiem 'N'”. musimy im wyjaśniać nie tylko dlaczego? i jak?, ale też o co mamy walczyć. Jak wynika z przeglądania kierowanych do nas listów, wielu innych Czytelników interesują zagadnienia ustrojowe; proponują oni różne rozwiązania, ba - nawet projekty Ustawy Zasadniczej (Konstytucji). Problem ten pojawia się także na łamach niektórych pism opozycyjnych i przez to umożliwia opinii publicznej ocenę grupy wydającej dane pismo. Trzeba powiedzieć, że Czytelnicy prasy podziemnej są obecnie bardzo upolitycznieni i chyba po raz pierwszy oceniają pismo czy grupę opozycyjną na podstawie własnej opinii o prezentowanych artykułach, nie zaś w oparciu o przeszłe zasługi autorów.

W „Założeniach Programowych” przedstawiamy naszą wizję ustroju przyszłej Polski. Opieramy ją zarówno na doświadczeniach 20-lecia, jak i na znajomości ustrojów państw demokratycznych współczesnego świata. Chcemy naszą wizję rozwijać przez dyskusję z naszymi zwolennikami oraz grupami o innym podłożu ideowym: narodowym, socjaldemokratycznym, chrześcijańsko-demokratycznym itp.

2. Trójpodział władzy

Według klasycznych zasad konstytucjonalizmu zachodnio-europejskiego, sformułowanego w XVII i XVIII wieku przez J.Locke'a, Ch.L.Montes-quiieu, J.S.Milla, władza w państwie dobrze rządzonym powinna składać się z trzech członów: ustawodawczego (np. Parlamentu), wykonawczego (Prezydenta, Rządu) i sędziowskiego. Te trzy człony winny być równoprawne, niezależne od siebie, ale za to wzajemnie kontrolujące się i uzupełniające. Zasada zasada, lecz

konsekwentnie trójpodział władzy występuje jedynie w USA, jako że kraj ten posiada konstytucję uchwaloną 200 lat temu. W USA władza wykonawcza należy do Prezydenta wybieranego w powszechnym głosowaniu i do mianowanego przez niego gabinetu. Władzę ustawodawczą sprawuje Izba Reprezentantów i Senat, kontrolujące Prezydenta głównie przez uchwalanie budżetu. W wyjątkowych wypadkach Prezydent może zostać pociągnięty do odpowiedzialności politycznej przez Senat i zmuszony do ustąpienia. Władza sądownicza jest niezależna od władzy ustawodawczej i wykonawczej. System polityczny USA różni się jeszcze od systemów innych państw tym, że obywatele posiadają możliwość wywarcia bezpośredniego wpływu na bieżącą politykę rządu poprzez liczne w tym kraju tzw. lobbies (grupy nacisku), reprezentujące różnorakie grupy interesu, np. przemysłowe, etniczne, lokalne itp. Wynikiem działania grup nacisku jest meandrowanie polityki Stanów Zjednoczonych, tzn. częsta zmiana jej kierunków i priorytetów. Na krótką metę jest to dla obserwatora z zewnątrz objawem słabości tej wielkiej demokracji, jest niezrozumiałe, lecz długofalowo zapewnia najlepszy sposób realizowania celów sprzecznych grup interesu, czyli społeczeństwa.

Jesteśmy więc zwolennikami wolnościowego modelu demokracji amerykańskiej oraz Konstytucji USA. Wiemy jednak, że model ustrojowy USA trwa już 200 lat i że Amerykanów cechuje wyjątkowe wycucie praworządności i wolności osobistej. Ale jeszcze 50 lat temu, gdy obowiązywała ta sama konstytucja, pełnia władzy spoczywała w rękach niewielkiej grupy wpływowych obywateli. W tym samym modelu ustroju, w zależności od stopnia upolitycznienia obywateli, może rządzić oligarchia lub panować pełna demokracja. Klasyczny zatem system trójpodziału władzy nie zapewnia automatycznie sprawiedliwych i dobrych rządów - te bowiem zależą od tradycji danego narodu oraz od stopnia współuczestniczenia obywateli w demokratycznym sprawowaniu władzy. Warto przypomnieć w tym miejscu los państw, w których wprowadzono ustrój wzorowany na Konstytucji USA, np. Filipin czy Liberii. Po pewnym okresie rządów oligarchii, na fali powszechnego niezadowolenia, nastąpiły zamachy stanu i wprowadzenie dyktatury jednostki.

3. Kryzysy konstytucyjne

Projektując system polityczny, stawiamy przed nim następujące zadania:

- umożliwienie jak najpełniejszej reprezentacji społeczeństwa we współdecydowaniu (jak najpełniejsza demokracja);
- stworzenie warunków dla podejmowania optymalnych decyzji przez organy polityczne;
- stabilizacja systemu politycznego.

Te trzy cele nie muszą być ze sobą sprzeczne, rzadko kiedy są jednak identyczne. Musimy więc uznać, że nie ma idealnego systemu politycznego. Zastosowanie nawet najlepszych zasad ustrojowych, jak widzimy, nie daje zawsze pełni demokracji i może prowadzić do dominacji władzy wykonawczej nad ustawodawczą. Bywają jednak wypadki, gdy przy zachowaniu równowagi

między tymi dziedzinami władzy (np. prezydentem i parlamentem) dochodzi do wzajemnego blokowania, zahamowania funkcji rządu — i do kryzysu zwanego konstytucyjnym, ponieważ wynika z konsekwentnego stosowania zasad Ustawy Zasadniczej. Najłatwiej jest wytłumaczyć jego istotę na przykładzie francuskiego modelu ustrojowego, zwłaszcza że już niedługo możemy stać się jego świadkami. Wyobraźmy sobie, że za czasów lewicowego prezydenta, wybranego przez cały naród w głosowaniu powszechnym na 7-letnią kadencję, zostanie wybrany prawicowy parlament, jako skutek negatywnej reakcji społeczeństwa na lewicowy kurs poprzedniego rządu. Konstytucja nie przewiduje w takim wypadku ustąpienia prezydenta. Trudno będzie sobie wyobrazić nagłą falę powszechnej zgody i harmonii, na której lewicowy prezydent mianuje prawicowy rząd, który będzie prowadził politykę sprzeczną z dotychczasową linią głowy państwa! Niemożliwe wydaje się także uzyskanie zgody prawicowego parlamentu na kontynuowanie lewicowej polityki przez prezydenta. Francja będzie miała kryzys, który mógłby zostać zlikwidowany przez nowe wybory prezydenckie. Sęk jednak w tym, że jak wynika z historii, prezydent wybrany w głosowaniu powszechnym, czyli przez cały naród i odpowiedzialny przed nim, lekce sobie waży posłów, pojedynczo reprezentujących tylko jeden okręg wyborczy. W takiej to sytuacji pojawiają się na ogół głosy o wadach, gadulstwie i warcholstwie posłów (słynna „sejmokracja”), Prezydent zaś wspomina czasem o odpowiedzialności przed Bogiem, Narodem i Historią, mało kto natomiast zwraca uwagę na fakt, iż to naród wybrał opozycyjny Parlament na skutek rozczarowania się polityką prowadzoną przez prezydenta. Nie łudźmy się, że w naszych, polskich warunkach prezydent wybrany w głosowaniu powszechnym będzie liczył się choć trochę z parlamentem. W końcu nie tak dawno ktoś mówił: „Niech Komisja Krajowa postanawia sobie co chce, ja mam za sobą stocznię”.

Wejście jakiegoś państwa w taki kryzys konstytucyjny jest na ogół nieprzyjemne dla dalszych losów demokracji w nim. Polska po zamachu majowym (1926), aż do uchwalenia nowej, autorytarnej Konstytucji (tzw. kwietniowa w 1935 r.), przeżywała taki kryzys. Pamiętając o tym, doszliśmy do wniosku zastanawiając się nad kształtem ustroju przyszłej Polski, że rozdzielenie władzy wykonawczej od ustawodawczej i przyjęcie zasady wyboru Prezydenta w głosowaniu powszechnym niesie ze sobą zarzewie kryzysów konstytucyjnych, paraliżujących funkcjonowanie państwa. Jesteśmy więc za przyjęciem takiego modelu ustroju, w którym władzę wykonawczą sprawowałby rząd wyłoniony przez większość parlamentarną i odpowiedzialny przed tym parlamentem (Sejmem).

Tutaj należy zwrócić uwagę, że do niedawna sami byliśmy zwolennikami oddzielenia władzy wykonawczej od ustawodawczej, wyboru Prezydenta przez cały naród w powszechnym głosowaniu i powierzenia mu steru rządu. Po szeregu dyskusji, sporów i przemyśleń w naszym środowisku zmieniliśmy jednak zdanie. Głosując na prezydenta w wyborach powszechnych wybiera się bardziej człowieka niż program. Przy tym, im mniejsza kultura polityczna

wyborców, tym bardziej stwierdzenie to jest prawdziwe. Najnowsza historia Polski wskazuje, że jesteśmy bardzo podatni na osobowości, popadamy w euforię, by później obudzić się z ręką w nocniku (przykładem - Gomułka w 1956 r.). Głosowanie na partie, a więc parlamentarne, pozwoli znacznie bardziej wyeksponować program polityczny, a nie osoby, wpłynie zatem dodatnio na wyrobienie polityczne społeczeństwa. Uważamy, że dzisiejszemu stanowi świadomości politycznej Polaków, gdzie mało kto rozumie, na czym w praktyce polega demokracja, natomiast wszyscy chcą bardzo silnej władzy centralnej, lecz za to dokładnie kontrolowanej, odpowiadałby bardziej system silnych rządów parlamentarnych i zbliżenie władzy wykonawczej do ustawodawczej. Z tego powodu wielokrotnie w niniejszym artykule powołujemy się na tekst Konstytucji Marcowej, której treść jest może mało znana, lecz funkcjonuje w świadomości wielu jako niezwykle demokratyczna i sprawiedliwa.

4. Prezydent

Nasz projekt nie odbiega w kwestii urzędu prezydenta od założeń Konstytucji Marcowej. Obie izby parlamentu łączyłyby się w Zgromadzenie Narodowe i wybierały prezydenta, który byłby głową państwa i tytularnym zwierzchnikiem władzy wykonawczej. Jego decyzje mogłyby być wyłącznie pisemne i dla uzyskania ważności wymagałyby podpisu (kontrasygnaty) premiera lub odpowiedniego ministra. Uważamy, że wiele czynności nowoczesnego państwa wymaga zachowania urzędu głowy państwa, zdarza się także niekiedy (np. we Włoszech), że nawet ograniczony w swych kompetencjach Prezydent może dzięki swemu prestiżowi zapobiec wielu kryzysom. Zainteresowanych szczegółami naszej propozycji odsyłamy do tekstu Konstytucji Marcowej. Nie gwarantowała ona jednak stabilnej większości w parlamencie i to było jej podstawową wadą. Dlatego też proponujemy modyfikację zawartej w niej ordynacji wyborczej.

5. Silny parlament - 4- czy 5-przymiotnikowe wybory?

Wielu naszych Czytelników zwróciło uwagę na tę słabość czytając nasze „Założenia Programowe” i otrzymaliśmy dużo listów pouczających nas o zgubie, do jakiej prowadzi „sejmokracja”. Widać, że antydemokratyczne uwagi Piłsudskiego sprzed sześćdziesięciu lat są ciągle żywe, nawet u najmłodszych. Być może dochodzi tu jeszcze oddziaływanie propagandy komunistycznej, opluskwiającej tzw. „demokrację zachodnią”. My też doskonale zdajemy sobie sprawę ze słabości klasycznej demokracji parlamentarnej, np. w takich krajach jak Włochy, Belgia, Holandia czy Dania. Uważamy jednak, że silna władza wykonawcza nie jest dla Polaków odpowiednim lekarstwem na słabości demokracji.

Słabość rządów parlamentarnych w Polsce do maja 1926 roku oraz np. we współczesnych Włoszech wynika z faktu niewytworzenia się w procesie

historycznym dwóch silnych ugrupowań politycznych, mogących zmieniać się (według życzeń wyborców, wyrażonych w głosowaniu) w tworzeniu większości parlamentarnej. Jeśli takich dominujących ugrupowań brak, w parlamencie reprezentowane są liczne średnie i małe partie, zawierające nietrwale sojusze. Rezultatem takiego stanu rzeczy są ciągle upadki gabinetów i brak silnej władzy, czyli klasyczna „sejmokracja” (według Piłsudskiego). We Włoszech nie ma to specjalnie znaczenia, gdyż nastąpiło duże przyzwyczajenie się społeczeństwa do takiego stanu rzeczy i gospodarka, życie społeczne biegnie spokojnie, nikt też praktycznie nie zauważa braku sprawnego rządu. We Włoszech jednak nikt nie woła: „Czy wreszcie ktoś weźmie to wszystko za pysk?!” Istnieje zaś uzasadniona obawa, że w analogicznej sytuacji w Polsce długo bez zamachu stanu by się nie obyło. Jak zatem osiągnąć silne rządy parlamentarne bez tradycji systemu dwupartyjnego?

Wiadomo, że mnogość partii w parlamencie wynika z zastosowania zasady pięcioprzymiotnikowych wyborów, czyli, według brzmienia Konstytucji Marcowej, wybrania posłów w „głosowaniu powszechnym, tajnym, bezpośrednim, równym i stosunkowym” (tj. proporcjonalnym). Dzięki piątemu przymiotnikowi skład parlamentu dokładnie odzwierciedla wyborcze sympatie występujące w społeczeństwie. Jest to zasada sprawiedliwa, lecz nie we wszystkich ustrojach stosowana. Istnieje wiele państw, np. Anglia, Francja, RFN, gdzie stosuje się starodawną zasadę, w myśl której tworzy się okręgi wyborcze wybierające tylko jednego posła do parlamentu. Głosuje się więc na osobę, nie zaś na listę partii, poseł reprezentuje jednak tylko większość wyborców, mniejszość natomiast nie posiada swego przedstawiciela. System ten ma dwie zalety. Po pierwsze, faworyzuje większość i eliminuje drobne ugrupowania. Umożliwia więc osiągnięcie przez najpopularniejszą partię większości parlamentarnej i utworzenie przez nią stabilnego rządu. Po drugie, wyborcy z danego okręgu mają świadomość, że reprezentuje ich konkretna osoba, a nie lista. System okręgów jednomandatowych został jednak w wielu państwach uznany za niesprawiedliwy, ponieważ mniejszość w danym okręgu nie ma w ogóle swego przedstawiciela. Stąd też w XIX wieku powstał, jako sprawiedliwszy, projekt wyborów proporcjonalnych. System taki wprowadziła Konstytucja Marcowa i niestety stosowanie tej zasady przywiodło do bałaganu i „sejmokracji”, krytykowanej przez Piłsudskiego. Nasze ugrupowanie, przyjmując wiele zasad Konstytucji Marcowej, optuje jednak za regułą wyborów czteroprzymiotnikowych (okręgi jedno-mandatowe), jako umożliwiającą powstanie sprawnej większości parlamentarnej.

Istnieje jednak kilka typów wyborów w okręgach jednomandatowych. Najbardziej skrajny („antydemokratyczny”) jest model brytyjski, gdzie posłem zostaje kandydat, który w danym okręgu zebrał więcej głosów niż konkurenci. Teoretycznie rzecz biorąc, przy sześciu kandydatach, z których pięciu otrzymało po 16% głosów (razem 80%), a szósty — 20%, posłem zostaje ostatni, mimo że aż 80% wyborców wołało innych. Można sobie wyobrazić sfrustrowanie opozycji, bowiem w skrajnym przypadku popularność danej partii

może mieć niewiele wspólnego z ilością zdobytych przez nią mandatów poselskich. Bardziej „sprawiedliwy” wydaje się system francuski, gdzie aby zostać wybranym, należy uzyskać ponad 50% ważnych głosów w danym okręgu. Jeśli z grupy kandydatów żaden nie otrzyma tej liczby głosów, urządza się drugą turę głosowania i dopuszcza do niej dwóch kandydatów z pierwszej tury, którzy zdobyli najwięcej głosów. Poseł z danego okręgu reprezentuje więc formalnie ponad połowę wyborców. Jest to zatem system znacznie sprawiedliwszy od brytyjskiego, a poza tym zachęca partie polityczne do tworzenia sojuszy, na ogół trwałych w czasie trwania kadencji parlamentu.

W RFN natomiast wyborca dysponuje dwoma głosami. Pierwszy oddaje na listę nazwisk odpowiadającej mu partii politycznej. Jeśli uzyska ona ponad 5% głosów w skali kraju, to otrzymuje prawo do proporcjonalnej reprezentacji w Bundestagu. Drugi głos wyborca oddaje na jednego z kilku wymienionych z nazwiska kandydatów. W ten sposób zostaje według normalnych reguł większościowych wybrany poseł reprezentujący dany okręg wyborczy, niezależnie od swojej przynależności partyjnej.

W naszych Założeniach proponowaliśmy wybór między systemem niemieckim i francuskim, lecz wydaje się nam, że ten pierwszy nie jest konsekwentny, jako że stanowi mieszanekę systemu jednomandatowego i proporcjonalnego. Natomiast drugi byłby chyba najłatwiejszy do zaakceptowania przez Polaków, chociażby z powodu powszechnego stosowania klauzuli 50% uzyskanych głosów w wyborach do różnych ogniw „Solidarności”.

6. Władza wykonawcza

Wydaje się nam, że przeprowadzenie w Polsce wyborów według modelu większościowego pozwoliłoby na wyłonienie rządu przez większość parlamentarną. Proponujemy także przyjęcie zasady, aby premier i jego ministrowie byli obowiązkowo posłami. Zmusi to ich do dbania o swoją popularność wśród wyborców i ułatwi zabieranie głosu w Sejmie na równych prawach z posłami. Jesteśmy generalnie przeciwni powoływaniu tzw. „rządu fachowców”. Trudno jest przecież z góry określić, kto jest, a kto nie jest fachowcem. Rządzić powinni politycy, a ich instynktowi politycznemu należy pozostawić wybór odpowiednich doradców spośród potencjalnych fachowców.

Skupienie pełnej władzy wykonawczej i ustawodawczej w parlamencie niesie ze sobą pewne niebezpieczeństwo. Łatwo bowiem wyobrazić sobie sytuację, w której rządząca partia, korzystając z przewagi w parlamencie, przeprowadza szereg ustaw zmieniających konstytucję, dopisuje antydemokratyczne poprawki, np. hamujące opozycję. Przedstawiliśmy już naszą propozycję „federalizacji” Polski, jako lekarstwa zapobiegającego szybkiemu wprowadzeniu zmian w konstytucji przez parlamentarną większość. Ma ona dla nas także inny wymiar, już zresztą sygnalizowany — powinna zapobiegać

rozwojowi opozycji pozaparlamentarnej i zapewniać mniejszości możliwość przedstawienia swoich poglądów w każdej kwestii.

7. Opozycja pozaparlamentarna

Plagą współczesnych demokracji są grupki demonstrantów, zwłaszcza młodych, które w mniej lub bardziej gwałtowny sposób zaburzają ruch na ulicach, wokół baz wojskowych, gmachów publicznych itp. Są to czasem nawet zgromadzenia liczące dziesiątki tysięcy ludzi demonstrujących pod jakimś hasłem. Jego realizację chcą osiągnąć nie przez wpływ na skład parlamentu (czyli wybory), lecz przez bezpośredni nacisk na posłów i opinię publiczną, wywierany spoza parlamentu. W skrajnym przypadku demonstracje mają na celu ustąpienie rządu i oddanie władzy przywódcom ruchów organizujących demonstrację — wiele takich ruchów znała Europa lat międzywojennych (np. francuski *Action Francaise*). Odpryskami ruchów opozycji pozaparlamentarnej są grupy uprawiające terroryzm przeciwko społeczeństwu, np. Frakcja Armii Czerwonej w RFN (Grupa Baader--Meinhof).

Zjawiska opozycji pozaparlamentarnej nie należy bagatelizować, ponieważ nie znika ona, lecz tylko zmieniane są hasła, pod którymi młodzi ludzie zbierają się, by protestować. Raz bywa to hasło ochrony środowiska, wielorybów, czasem sprzeciw wobec projektu budowy drogi, lotniska czy elektrowni atomowej. Ostatnio niezwykle nośne jest hasło: „Precz z Pershingami i cruise”. Pamiętamy także demonstracje przeciwników wojny w Wietnamie, Korei, czy też popierające Palestyńczyków. Fakt demonstrowania pod hasłami rzuconymi przez lewicę czy wręcz komunistów nie wystarcza jednak, aby tę całą sprawę uznać za knowania szpiegów i agentów sowieckich i zbagatelizować. Nie sądźmy, że z prostej prawdy o antykomuniźmie polskiej młodzieży wynika pewnik, że w wolnej Polsce nie będzie zwolenników takich demonstracji.

Wspólną cechą większości ruchów opozycji pozaparlamentarnej jest wysuwanie w danym momencie jednego hasła, stąd w terminologii angielskiej spotyka się określenie „single issue movement” (ruch jednego hasła). Hasło takie jednak na krótko jest w stanie zmobilizować tysiące. Należy pamiętać, że np. w RFN gigantyczna minifestacja z udziałem miliona osób jest może i wydarzeniem pierwszorzędnej wagi, lecz nawet jeden milion głosów oddanych na listę wyborczą ruchu przeciwników rakiet nie zapewni mu ani jednego miejsca w parlamencie (Bundestagu), jest to bowiem mniej niż pięcioprocentowa bariera. Opozycja pozaparlamentarna zdaje sobie z tego doskonale sprawę i dlatego poprzez demonstracje stara się maksymalnie zakłócić funkcjonowanie państwa.

Biorąc to wszystko pod uwagę, jest więc niesłychanie ważne, aby potencjalnym zwolennikom ruchów pozaparlamentarnych (zwłaszcza przy przyjęciu zasady czteroprzymiotnikowych wyborów!) umożliwić udział w demokratycznie wybranych zgromadzeniach i zapewnić platformę dla normalnego głoszenia swoich poglądów. Proponujemy zatem, aby Polska była

krajem federalnym, to znaczy podzielonym na prowincje (ziemie, województwa, regiony?) i aby Zgromadzenia Prowincjonalne wybierane były na zasadach wyborów pięcioprzymiotnikowych (proporcjonalnych), żeby nawet drobne ugrupowania (lokalne, lub „ruchy jednego hasła”) miały tam swoich przedstawicieli. W gestii takich zgromadzeń byłyby tylko sprawy lokalne, aby nie hamowały one sprawnego rządzenia państwem. Zgromadzenia Prowincjonalne (Sejmiki Ziem) byłyby szkołą przyszłych polityków działających na szerszą skalę (posłów do Parlamentu) i umożliwiałyby realizację lokalnej samorządności.

W żadnym wypadku nie proponujemy rozbicia dzielnicowego w Polsce! Dążymy jedynie, aby sposób wybierania przez wyborców swoich przedstawicieli był inny w przypadku Parlamentu (Sejmu) niż w wypadku Zgromadzeń Prowincjonalnych (Ziemstw, Sejmików).

8. Izba wyższa parlamentu

Konieczność zapewnienia mniejszym ugrupowaniom miejsca na wyrażanie publicznie swej opinii motywuje nasz plan powołania wyższej izby parlamentu (Senatu, Izby Ziem). Jej skład byłby proporcjonalnym odbiciem składów sumy Zgromadzeń Prowincjonalnych, czyli byłby proporcjonalny do popularności poszczególnych ugrupowań politycznych. Izba Ziem dyskutowałaby projekty ustaw parlamentu, nie mogłaby ich jednak długo blokować, gdyż uniemożliwiłoby to sprawne rządzenie krajem przez większość parlamentarną. Pozwoliłoby to jednak na przedstawienie opinii publicznej poglądów nawet drobnych ugrupowań opozycyjnych i być może minimalizowałoby organizowanie licznej i głośniejszej opozycji pozaparlamentarnej.

9. Zmiany konstytucji

Prawdziwym nieszczęściem dla społeczeństw demokratycznych jest oczywiście zamach stanu i wprowadzenie w jego wyniku nowego ustroju politycznego, na ogół dalekiego od demokracji. Skutecznej obrony przed zamachem stanu nie ma, komplikuje go tylko trwałość instytucji demokratycznych i wysoka świadomość polityczna obywateli. Tragedią jest jednak powierzenie przez społeczeństwo w demokratycznych wyborach rządów partii głoszącej jawnie niedemokratyczny program, lub też przegłosowanie w referendum zmian w Konstytucji, ograniczających wolność i swobody obywatelskie. Takie przypadki miały miejsce w historii wielu państw, tłumaczą się one ogólną podatnością ludzi na hasła populistyczne i demagogiczne. Pozytywne jest tylko to, że takie „oczarowanie” społeczeństwa nie trwa długo.

Uważamy za niezbędne, aby do Konstytucji wbudować hamulce przeciwno tego typu szaleństwu. Proponujemy więc, aby nie wolno było wprowadzać do jej tekstu zmian, a jedynie dopisywać poprawki. Powinny one być wpierw zatwierdzone przez np. 4/5 Zgromadzeń Prowincjonalnych i Izbę

Ziem; ponieważ na skutek odmiennego systemu wyborczego powinny mieć one inny skład niż Parlament, można się spodziewać, iż będą stanowiły skuteczną zapórę przed wprowadzeniem poprawek ograniczających swobody obywatelskie. Proponujemy także, aby w sprawach ustrojowych ustawy przechodziły dopiero po osiągnięciu w głosowaniu większości kwalifikowanej, np. 3/5 głosów w obecności 2/3 posłów.

10. Wolność i demokracja

Proponowany przez nas kształt ustroju wolnej Polski jest więc demokratyczny — chcemy sprawnych rządów większości. Jako ugrupowanie li-beralno-demokratyczne jesteśmy jednak także za uznaniem zasady wolności, a więc podstawowych praw człowieka, w tym prawa do opozycji. Stąd zatem nasze obawy przed powierzeniem silnej, niekontrolowanej władzy komuś, kto w danym momencie byłby nawet przez wszystkich uznany za najlepszego z Polaków. Takie przygody różnych narodów z władzą autorytarną nie kończyły się na ogół dla nikogo dobrze!

Polecamy nasze przemyślenia wszystkim zwolennikom i przeciwnikom wprowadzenia w Polsce silnej władzy typu prezydenckiego. Zapraszamy do dyskusji zarówno naszych Czytelników, jak też pisma opozycyjne.

Józef Kisielewski

«Niepodległość» nr 26, luty 1984, ss. 13-18

Praca nad programem

(...) Przedstawmy naszą drogę. Od dwóch lat wydajemy pismo, które ma określony i, mamy nadzieję, zwarty obraz ideowy. Środowisko zgrupowane wokół pisma miało więc dość czasu, aby poprzez liczne dyskusje ideowe określić swój program, konfrontując go na razie z odzewem Czytelników na najrozmaitsze problemy poruszane w „N”.

Publiczna (poprawniej: quasi-publiczna) dyskusja umożliwi nam opublikowanie poprawionej wersji *Założeń*, precyzyjniej wyrażającej nasze przemyślenia. Dopiero na takiej bazie spróbujemy skupić szersze kręgi naszych zwolenników i upowszechnić naszą ideologię. (...)

Co robić, aby współuczestniczyć w działaniu tego środowiska? Jeśli uznaje się nasze ramowe zasady za zbliżone do swoich poglądów, należy je propagować we własnym środowisku i na razie pojedynczo lub zbiorowo korespondować z pismem. „Niepodległość”, jeśli ktoś uznają za swoją, można wspierać:

1. programowo - przez korespondentów,
2. propagandowo - szerząc myśl liberalno-demokratyczną w swoim środowisku,
3. finansowo - przez wpłaty na Fundusz pisma.

W niektórych wypowiedziach na temat naszych założeń programowych znajdujemy zamiast dyskusji — wydziwianie. A to, że „obmyślamy nazwy dla przyszłego ciała, będącego platformą porozumienia” (ruchów politycznych - „N”), „budujemy dach bez fundamentów”, „nie odkrywamy swoich korzeni ideowych”. Takie uwagi są w pewnym sensie nie na temat, bo przecież program partii politycznej musi być na dziś i na jutro. Musimy więc w programie przedstawić naszym potencjalnym zwolennikom, dlaczego, jak i o co chcemy walczyć. Nazwy ciał konstytucyjnych nie mają żadnego znaczenia, chodzi tylko o ich miejsce w konstrukcji ustroju politycznego. Trzeba jednak je nazwać — myślimy przecież przy pomocy słów. O ile to możliwe, staramy się sięgnąć do tradycyjnych nazw, używanych w naszej przeszłości, a jeśli ich brak — tworzymy nowe w sposób możliwie najprostszy, np. Podziemne Porozumienie Polityczne. Rzekoma przed-wczesność konstruowania dachu (ideologii) przed kształtowaniem fundamentów (świadomości politycznej mas) jest, delikatnie mówiąc, nieporozumieniem. Czyżbyśmy mieli gromadzić naszych zwolenników wokół haseł demagogicznych lub populistycznych typu „Chcemy, aby wszystkim prawdziwym Polakom było dobrze i aby Polska była krajem prawdziwie chrześcijańskim?” Są to przecież hasła, pod które można podciągnąć dowolną treść. My chcemy kształtować świadomość polityczną naszych Czytelników przez wywołanie odczucia zgody lub sprzeciwu.

Jest więc absolutnie konieczne, aby dyskutować nad kształtem wizji wolnej Polski, i nie jest to wcale przedwczesne, ani tym bardziej humorystyczne. Trzeba przecież widzieć, do czego dążymy, a nie tylko, że trzeba dążyć. Wydaje nam się także, że ważniejsze jest kształtowanie współczesnej polskiej myśli politycznej, a nie tylko rozpamiętywanie osiągnięć np. przedwojennej PPS. Czasy mamy przecież zupełnie inne.

Jak trudno jest pisać program pokazuje nam reakcja Czytelników na ten punkt naszych założeń, w którym postulujemy, aby przyszłe państwo polskie miało strukturę federalną. Jedni Czytelnicy pouczają nas o błędzie Krzywoustego, inni widzą u nas zapatrzenie się w system Niemiec Zachodnich (tradycje Landów, których u nas w czasach ostatnich nie było), a jeszcze inni (co nas dziwi!) widzą u nas fascynację Regionami „Solidarności”.

Otóż po pierwsze chcemy, aby w wolnej Polsce był prawdziwy samorząd terytorialny i aby szereg spraw lokalnych znalazło się w gestii lokalnych parlamentów (Sejmików?) i ich organów wykonawczych. Proponując także silne rządy parlamentarne, eliminując z ogólnokrajowego parlamentu mniejsze ugrupowania, zdajemy sobie sprawę, że istnieje w ten sposób niebezpieczeństwo organizowania przez małe grupy opozycji pozaparlamentarnej. Chcemy, aby wszystkie grupy polityczne były reprezentowane przede wszystkim w Zgromadzeniach Prowincjonalnych i Drugiej Izbie Parlamentu (Senacie? Izbie Ziem?) na zasadach proporcjonalności.

Po drugie, federalizm może skutecznie bronić demokracji przed nagłymi i nie do końca przemyślanymi jej modyfikacjami. (...)

Uważamy, że na skutek słabego doświadczenia współczesnych Polaków oraz destrukcyjnej propagandy komunistycznej, dla bardzo wielu ustrój

demokracji parlamentarnej jawi się jako synonim anarchii, bałaganu, chaosu i niestabilności. Prawie nikt nie zauważa, że przy wszystkich jego wadach nikt nie wynalazł sprawniejszego i łatwiejszego do modyfikacji. Możemy sobie zatem łatwo wyobrazić, że w wolnej Polsce na skutek początkowych niepowodzeń demokracji lub też, co gorzej, fascynacji jakąś jednostką, byłaby prawie powszechna zgoda (wyrażona w referendum) na wprowadzenie rządów silnej ręki przez Prezydenta (Naczelnika, Przewodniczącego) odpowiedzialnego przed Bogiem i Historią. Przykładów takich zauroczeń historia, nawet lat najnowszych, dostarcza wielu (także w Europie!). Wniosek z owych przygód historycznych płynie taki, że po początkowych sukcesach dyktatura szybko się degeneruje (często gubiąc wielu obywateli), a szansa na demokratyczne jej usunięcie jest znikoma.

Powszechna zgoda na wprowadzenie rządów silnej ręki to niestety wjazd w ślepią uliczkę, która zwykle kończy się źle: chaosem ekonomicznym, wojną czy też rewolucją. Aby temu zapobiec, należałoby tak ułożyć projekt Konstytucji i tak ją „uświęcić”, aby jej zmiany polegały tylko na dopisywaniu poprawek i to wymagających wielu dyskusji oraz pokonania przeszkód formalnych.

Jak już się pewnie Państwo domyślają, nasza propozycja „sfederalizowania” Polski nie wynika wcale z zapatrzenia się na Krzywoustego czy też Regiony „Solidarności”. Propozycja ta wynika z przemyśleń nad stabilnością rządów parlamentarnych i pojawiającą się chęcią obywateli do wprowadzenia rządów silnej ręki. Chcemy, aby rząd wyłoniony przez parlament był silny i aby Zgromadzenia Prowincjonalne, oprócz zajmowania się sprawami lokalnymi, blokowały poczynania większości w kwestii poprawek do Konstytucji.

Inspirująca była dla nas rola Kongresów Stanowych w USA, które skutecznie blokują możliwość dokonywania szybkich zmian w Konstytucji USA, nawet jeśli chwilowo większość jest za ich wprowadzeniem. Głównie Kongresom Stanowym, których większość musi ratyfikować każdą poprawkę w nieprzekraczalnym terminie, Amerykanie zawdzięczają, że w ciągu 200 letniej historii ich Konstytucji dopisano do niej tak niewiele poprawek, a nic nie trzeba było usuwać.

Kończąc dygresję, trzeba zaznaczyć, że długie dyskutowanie propozycji zmian Konstytucji w Zgromadzeniach Prowincjonalnych dawałoby szansę na „ostygnięcie” nastrojów.

Tak jest już w Polsce, że więcej uwagi zwraca się na formę, niż na treść. Ostatnio np. mogliśmy przeczytać o sobie, że nasze *Założenia Programowe* opatrzyliśmy nieuprzejmym i aroganckim komentarzem. Chodzi zapewne tutaj o nasz postulat, aby Czytelnicy, jeśli ich uwagi wynikają z przyjęcia innych założeń ideowych niż liberalno-demokratyczne, kierowali je nie do nas, lecz do odpowiednich pism, np. socjaldemokratycznych, narodowych, ludowych czy chrześcijańsko-demokratycznych.

Droży polemisci! Taki komentarz miał pewien ukryty cel. Jak na razie oprócz „N” pism o zdecydowanym obliczu ideowym nie ma! Chcielibyśmy, aby

nasi potencjalni zwolennicy mogli skonfrontować nasz program z programami innych współczesnych ugrupowań polskich, a dopiero wtedy dokonali ideowego wyboru. Dlatego pragnęlibyśmy, aby świadomi zwolennicy odmiennych ideologii (ludowej, socjaldemokratycznej, narodowej czy chrześcijańskodemokratycznej) doprowadzili do tego, aby organizowały się odpowiednie ugrupowania, aby tworzyły się programy. Czekamy...

O naszym programie mogliśmy także przeczytać: „Konsekwentne pomijanie w *Założeniach* tak znaczących sił społeczno-politycznych, jak Kościół i 'Solidarność' ". Jest to znów nieporozumienie. Nie czujemy się przecież uprawnieni do określania roli Kościoła i „S” w liberalnym państwie. Instytucje te będą się cieszyć pełną swobodą działania (wynika to przecież jednoznacznie z wolnościowego charakteru naszych *Założeń*) społecznego, politycznego, gospodarczego i religijnego, a ich rola będzie rezultatem ich rzeczywistego wpływu na obywateli.

Jeszcze raz chcemy przypomnieć, że nie tworzymy programu uniwersalnego (jak „Program Rzeczypospolitej Samorządnej” I KZD „S”). Chcemy posiadać spójny program liberalno-demokratyczny, ponieważ ten kierunek wybraliśmy świadomie, nie zaś z przypadku!

Józef Kisielewski

«Niepodległość» nr 25, styczeń 1984, ss.23-26

Drodzy Czytelnicy,

Napisałiście do nas wiele listów. Bardzo Wam za nie dziękujemy. Szeroki odzew na naszą propozycję programową, kontrastujący z rozpowszechnionymi w części podziemnej prasy, przycinkami na temat „futorologii politycznej”, utwierdza nas w przekonaniu o celowości i zapotrzebowaniu na taką działalność. Cieszy nas również i to, że wiele naszych propozycji zaakceptowaliście jako oczywiste. Zakres tematyczny, jak i temperament dyskusji, są dla nas dowodem szybkiego dojrzewania politycznego polskiego społeczeństwa.

Podstawowa nasza teza — odrzucenie porozumienia z Czerwonymi (naszym zdaniem nierealnego) i skoncentrowanie się na budowie systemu podziemnych partii politycznych, mogących w dalszej perspektywie conajmniej zakwestionować legalność komunistycznej władzy w Polsce, a w sprzyjających warunkach doprowadzić nawet do odzyskania niepodległości — została powszechnie zaakceptowana.

Jednakże już sposób realizacji proponowanej przez nas strategii budzi poważne wątpliwości. Dotyczy to zwłaszcza naszego krytycznego podejścia do działań podziemnej „Solidarności”. Podejście to wynika z faktu, że konsekwentnie odzeganą się od polityki „S” (choćby deklaracjami TKK) jednocześnie cały czas politykę uprawia. Uprawiając zaś ją, uważa się za uprawnioną do przemawiania w imieniu całego społeczeństwa.

Powołując się na mandat wynikający z pierwszych po wojnie wolnych

wyborów, zapewnia na przykład (ustami Lecha Wałęsy), że wszyscy chcemy socjalizmu.

Otóż my nie chcemy. Uznajemy mandat przywódców „S” w zakresie działalności związkowej. Natomiast politycznie narodu polskiego dziś nikt nie reprezentuje. Nikt też nie ma prawa przemawiać w jego imieniu!

Nie możemy więc zgodzić się, że TKK przemawia w imieniu wszystkich podmiotów (politycznych, związkowych, społecznych) istniejących w polskiej opozycji. Nie możemy zgodzić się na praktykowany przez przywódców Podziemia (a raczej przez wąskie grono doradców TKK i Lecha Wałęsy) monopol polityczny i ideologiczny, oparty na anachronicznym odczytaniu rzeczywistości i na pozornym pragmatyzmie tzw. porozumienia narodowego. Mówiliśmy już i mówimy o tym głośno.

Strategii Podziemia: różnorodności w jedności — różnorodności celów strategicznych (od finlandyzycji czy też jałtyzacji poczynając, do pełnej niepodległości), jedności taktyki (porozumienia, no niech będzie - rozejmu z Czerwonymi), przeciwstawiamy inną: jedności w różnorodności (to nie tylko gra słów), tj. szerokiego porozumienia opozycyjnych ugrupowań w formie Ruchu na Rzecz Przywrócenia Demokracji; jedności celu strategicznego, jakim powinno być uświadomienie społeczeństwu konieczności walki o wolną i demokratyczną Polskę - w różnorodności taktyki działania, czyli wyboru metod realizacji celu, wyboru dokonywanego autonomicznie przez każdego uczestnika proponowanego przez nas porozumienia.

„Solidarność” to najbardziej znacząca siła w postulowanym porozumieniu, siła decydująca bo bez jej zgody Ruch nie powstanie. Powinna ona jednak, wchodząc do Ruchu, przeorientować się w związek zawodowy. Obrona interesów pracowniczych, zwłaszcza ekonomicznych, szarpanie komunistów strajkami, działalność samokształceniową — są niezwykle ważnym elementem oporu, dezorganizującym pracę administracji gospo-dardziej i politycznej. Problemy polityczne powinny stanowić domenę organizacji do tego powołanych (partii). Oba człony takiego porozumienia (związkowy i polityczny) są niezbędne i wzajemnie się uzupełniające. Działacze polityczni bowiem nie zorganizują strajku w zakładzie pracy, robotniczy przywódcy związkowi nie dostarczą niezbędnych do kontynuowania oporu motywacji politycznych. Muszą to zrobić organizacje utworzone na odmiennych zasadach (związkowa — wspólne miejsce pracy, polityczna — wspólne poglądy), ale złożone częściowo z tych samych ludzi i połączone wspólnym celem walki: o wolną i demokratyczną Polskę.

Aby przyspieszyć tę walkę, Czytelnicy domagają się efektywnych i efektownych recept na jej prowadzenie. Stąd wołanie o „psoty cielesne”, o „jakieś lanie”, i zarazem protekcyjnalne traktowanie „kilku osób posiadających najprymitywniejszy sprzęt poligraficzny”. Tymczasem grupy takich osób muszą stać się ośrodkami krystalizacji współczesnych polskich ugrupowań politycznych, formułując i propagując niezależną myśl polityczną. Bez tego

damy się nabrać na kolejne porozumienie (po prostu nie będzie alternatywy) lub uwierzmy w męża opatrnościowego z jedynie słusznym programem dla wszystkich Polaków (a kto nie uwierzy — zły Polak).

Dlatego preferujemy działalność polityczną, na razie przede wszystkim w sferze świadomości, niewiele miejsca — zarówno w naszej publicystyce, jak i w *Założeniach* — poświęcając walce bieżącej.

Uważamy, że powinna ona być prowadzona jako swego rodzaju „wojna szarpana”, której uczestnicy sami wykazują niezbędną inwencję i inicjatywę, co najwyżej dbając o minimalizowanie strat (przede wszystkim ludzkich), realizm celów, współmierność stosowanych środków do uzyskiwanych efektów. Trudno jednak, żeby np. świdnickie spacerki telewizyjne znajdowały się w programie ugrupowania politycznego. Można jednak w nim zapisać zasady ogólne. Warto może zwrócić uwagę na konieczność niedopuszczania do tzw. samoobsługi systemu totalitarnego, czyli wypełniania oczekiwań władzy pod presją potencjalnie możliwych represji (trzeba siedzieć cicho — bo nas rozwiążą, trzeba wybrać ich kandydata — bo i tak go nam mianują).

Jednocześnie wskazane jest odrzucenie pozytywistycznych ciągot (tak charakterystycznych dla inteligenckiej opinii opozycyjnej). Jedynym sensownym działaniem gż/asż-pozytywistycznym dziś jest przygotowanie kompleksowych programów rozwiązań na jutro. Nasi Czytelnicy zwracali nam uwagę na niedoprecyzowanie wielu punktów naszych *Założeń* (organizacja sądownictwa, regulamin parlamentu). Uczyniliśmy to świadomie. Po pierwsze: na spory o sprawy mniej istotne (choćby o zasady wyłączeń z ogólnej zasady zaskarżalności decyzji władz) nie mamy dziś czasu, po drugie: jest to domena specjalistów. To oni powinni (dziś właśnie jest na to pora) opracować szczegółowo tego typu zagadnienia. Teraz np. można by zaproponować i przedyskutować chociażby sposoby zorganizowania opieki społecznej. Sposoby, nie sposób — chodzi bowiem o przedstawienie punktu widzenia na ten problem socjalisty, ludowca, cha-ka czy liberała. Doświadczenie opozycji przedsierniowej, która nie przygotowała właśnie takich programów, powinno być przestrogą.

Dziś, na przykład, ogromna większość publicystów podziemnych powołuje się na społeczną naukę Kościoła. Co to mianowicie znaczy? Jak przekłada się ona na polskie warunki? Jakie byłyby jej konsekwencje w gospodarce polskiej? — Nic nie słyhać.

Jednakże najważniejsze jest, naszym zdaniem, wyraźne sprecyzowanie zasad i przekonań ideowych oraz dyskusja nad nimi.

W pierwszej wersji *Założeń Programowych* najbardziej chyba kontrowersyjne okazały się nasze propozycje rozwiązań ustrojowych wolnej Polski. Sprzeciwy (chyba w wyniku nieporozumienia) wzbudził nasz postulat federalizacji Polski. Być może, gdybyśmy napisali o daleko posuniętym systemie samorządów terytorialnych (w końcu, tak naprawdę, do tego sprowadza się nasz postulat), nie wzbudziłoby to tylu protestów.

Jednakże najbardziej dyskutowano sposoby powoływania i uprawnień władzy wykonawczej. Znaczna część Czytelników wyraźnie obawiała się

„sejmokracji” i słabej, niestabilnej władzy wykonawczej. Stąd postulaty silnych prerogatyw dla prezydenta. Nasze poglądy na wzajemne powiązania władzy wykonawczej i ustawodawczej oraz propozycje zabezpieczeń przed „sejmokracją” zawarliśmy w artykule, opublikowanym w nr 26 „N”. Niestety nie znamy jeszcze reakcji Czytelników.

Dyskusję, mniejszą niż się spodziewaliśmy, wywołała także „kwestia wschodnia”. Pisaliśmy już o niej wielokrotnie, choćby w nr. 26 „N”, i będziemy jeszcze pisać. Rozwiązanie jej uważamy bowiem za kluczowe dla utrzymania niepodległości przez państwo polskie. Z przyjemnością musimy stwierdzić, że program rewindykacyjny formułowany był tylko w nielicznych listach i zdecydowanie nieśmiało. Znacznie częściej uzyskiwaliśmy całkowite lub częściowe poparcie. Czytelnicy podrzucali nam także kilka zgrabnych sformułowań, z których nieraz skorzystamy. Pojawił się, formułowany niekiedy kategorycznie, program federacyjny — szczególnie z Europą wschodnią, choć dali też znać o sobie zwolennicy silnych więzów z Czechosłowacją.

Co ciekawsze, nie pojawiły się głosy wskazujące na niebezpieczeństwo niemieckie, mimo zdecydowanego opowiedzenia się przez nas za zjednoczeniem Niemiec.

Ogólnie można więc powiedzieć, że *Założenia Programowe*, opublikowane w „N” pół roku temu, spełniły swoje zadanie i były naprawdę *elementem porządkującym dyskusję*. Rezultatem jej jest nasza nowa wersja *Założeń*, publikowana poniżej. Tym razem mamy ambicję rozszerzyć dyskusję na wszystkich, zarówno czynnie uczestniczących w działalności opozycyjnej jak i na co aktywniejszych „obserwatorów”.

Nowa forma naszych *Założeń* wynika z sugestii niektórych Czytelników, którzy zwrócili nam uwagę na fakt, że tylko niektóre punkty *Założeń*, dotyczące projektowanych przez nas w Wolnej Polsce stosunków gospodarczych i społecznych, mają piętno filozofii (doktryny, ideologu) liberalno-demokratycznej. Większość natomiast jest tak sformułowana, lub dotyczy takiej problematyki i tak jest ujęta, że mogłaby być zaakceptowana przez zwolenników innej opcji politycznych, a nawet przez podziemnego działacza **NSZZ** „Solidarność”, który nie interesuje się w ogóle ustrojem przyszłej, wolnej od komunistów Polski, a takie działania uważa za szkodliwą, lub chociażby za niepotrzebną „futurologię polityczną”. Socjalista byłby np. zainteresowany dyskusją nad problemem konstytucji wolnej Polski, związkowiec natomiast chciałby uczestniczyć, nawet z politycznymi „futorologami”, w ekonomicznej walce z komunistami na terenie zakładu pracy.

W celu ułatwienia (tzn. lepszego uporządkowania) dyskusji podzieliliśmy *Założenia* na 4 części, przyjmując, że niektórzy Czytelnicy i dyskutanci będą zainteresowani tylko ich fragmentem (fragmentami).

Część pierwsza, *Jedność w różnorodności*, jest sprecyzowaniem naszej formuły wspólnego frontu polskiej opozycji, zjednoczonej w RUCHU NA RZECZ PRZYWRÓCENIA DEMOKRACJI. Ta część *Założeń* jest adresowana do wszystkich, którzy rozumieją konieczność ewolucyjnego bądź rewolucyjnego obalenia (zmiany) ustroju komunistycznego w Polsce. Wydaje

nam się, że ta propozycja mogłaby stanowić podstawę do dyskusji także dla tych, którzy nie są osobiście zainteresowani działaniami politycznymi, choć widzą sens takich działań prowadzonych przez innych.

Część druga — *Polska jutra* — to nasza propozycja do dyskusji nad kształtem przyszłej Polski wśród zwolenników różnych kierunków politycznych. Jeżeli bowiem uważamy za celowe organizowanie PODZIEMNEGO POROZUMIENIA POLITYCZNEGO, którego zadaniem w przyszłości, po obaleniu ustroju komunistycznego w Polsce, będzie wyłonienie Rządu Narodowego, to już obecnie powinniśmy *zacząć* dyskusję nad czymś, co można określić jako zręby KONSTYTUCJI. Jest zupełnie zrozumiałe, że z rozstrzygnięciami szczegółowymi, a być może z określeniem pewnych ogólnych zasad, trzeba będzie poczekać do czasu wybrania pierwszego wolnego SEJMU KONSTYTUCYJNEGO. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, aby dość pojemne łamy podziemnej prasy i część naszego intelektu poświęcić już teraz na taką dyskusję. Komuniści zniszczyli bowiem w polskim społeczeństwie, oprócz bardzo ważnego elementu stabilności społecznej, jakim jest poczucie prawa — także wyobrażenie na temat kształtu demokratycznej władzy w państwie.

Część trzecia to *Założenia Programu Partii Liberalno-Demokratycznej „Niepodległość”*. Przedstawiamy tutaj ideologiczne podstawy doktryny naszego ugrupowania. Na podstawie *Założeń* chcemy rozwijać dyskusję zarówno z ich przeciwnikami, jak i zwolennikami. Rezultatem jej będzie (mamy nadzieję, że jeszcze w 1984 roku) sprecyzowanie już *nie Założeń*, a po prostu *Programu*, który umożliwi nam organizowanie naszych świadomych zwolenników w partię polityczną.

Część czwarta — *Aneks* — opisuje nasz pogląd na przejście od systemu gospodarczego realnego socjalizmu (źródła naszego zacofania i ubóstwa) do gospodarki liberalnej. Problem tego „przejścia”, czy „czasu zero”, interesuje bardzo wielu naszych Czytelników, niezależnie od ich sympatii politycznych. Podkreślamy: *nie jest to program REFORMY gospodarki przy zachowaniu politycznej władzy komunistów!!!*

Zapraszamy więc wszystkich, także tych, którzy wypowiedzieli swoje uwagi o pierwszej wersji „ZP”, do dyskusji na łamach podziemnej prasy lub w listach kierowanych do „Niepodległości” przez kolportaż.

Redakcja «Niepodległości»

Założenia programowe

I JEDNOŚĆ W RÓŻNORODNOŚCI

Propozycja platformy współpracy opozycji polskiej

Przyjmujemy za punkt wyjścia, że w cywilizowanych państwach pod koniec XX w. nie powinna występować instytucja „pojednania” narodu z władzą — a porozumienie dotyczyć może jedynie terminu przekazania przez dyktatorów władzy legalnie wybranemu rządowi.

1. Niepodległe państwo polskie nie istnieje. PRL jest jedynie formą administrowania ziemią polskimi przez ZSRS oraz zespołem instytucji powołanych w celu eksploatacji polityczno-

- ekonomicznej i zsowietyzowania społeczeństwa polskiego.
2. Wywalczenie niepodległości stać się musi naszym najważniejszym celem, warunkującym suwerenność, stworzenie ustroju demokratycznego zapewniającego wolność, poszanowanie godności ludzkiej i dobrobyt. System komunistyczny jest bowiem niereformowalny i tylko dążenie do jego obalenia może motywować ludzi do działań niezależnych.
 3. Niezależne grupy związkowe (NSZZ „Solidarność”), oświatowe, zawodowe i polityczne uznające za wspólny cel osiągnięcie przez Polskę niepodległości i demokracji powinny złączyć się w luźny sojusz o nazwie: Ruch na rzecz Przywrócenia Demokracji (RNRPD).
 4. Ogromna rola przypadnie tworzącym się podziemnym partiom politycznym. Od nich bowiem zależy, czy uda się stworzyć zręby demokratycznego społeczeństwa, wszechstronnie wykształconego politycznie - z którego to społeczeństwa wyłonią się jego nowi przedstawiciele i przywódcy, a nasienie przyszli politycy i sprawni administratorzy kraju. Dopiero takie społeczeństwo będzie fundamentem przyszłej demokracji polskiej.
 5. Ugrupowania polityczne powinny powołać w ramach RNRPD Podziemne Porozumienie Polityczne (PPP), a w razie potrzeby — regionalne porozumienia polityczne.
 6. PPP reprezentowałoby w kraju i za granicą polskie ugrupowania polityczne.
 7. W celu zespolenia działań Kraju, Emigracji i Polonii, PPP spróbuje łączyć je w oparciu o symbol państwowości polskiej — Rząd Polski w Londynie. O ile udałoby się stworzyć na tej bazie Komitet Wolnej Polski (lub Polską Reprezentację Narodową), to byłaby szansa, aby po raz pierwszy od 1945 roku głos Polski był brany pod uwagę przez rządy i organizacje międzynarodowe.
 8. Wyzwolenie Polski zależy od zmian w całym bloku sowieckim, a więc od wspólnego wystąpienia narodów ujarzmionych przeciw komunizmowi i imperializmowi sowieckiemu. Dlatego też Polacy powinni wspomagać formowanie się opozycji demokratycznej w innych krajach obozu.
 9. W momencie załamania się komunizmu PPP wyłoni Rząd Tymczasowy, którego celem będzie przejście władzy i rozpisanie wolnych i demokratycznych wyborów do Konstytuanty.
 10. Czeką nas długa walka z systemem. Dlatego też najważniejszym zadaniem organizacji skupionych w RNRPD powinno być - niezależnie od różnic w częściowych celach i taktyce - osłabianie i izolacja władzy komunistycznej. Należy zatem stale kwestionować legalność władzy, demaskować jej uzurpatorski charakter, brak moralnego i legalnego tytułu do rządzenia. Walczyć należy z biernym poddawaniem się wpływom fasadowych organizacji politycznych, społecznych i związkowych, z bezwolnym uczestnictwem w aktach manifestujących uległość wobec władzy. Istotą tej walki powinno być przeciwstawienie się tzw. „samoobsłudze” systemu, polegającej na tym, że prawie każdy obywatel, będąc jego ofiarą — mimo to swoim działaniem wzmacnia system.
 11. Hasło „spokoju społecznego” służy komunistom wyłącznie do utrwalania istniejącego systemu, a z nim upadku gospodarczego i społecznego. Dlatego oprócz działań w sferze świadomości, należy:
 - a) organizować stały nacisk w postaci strajków ekonomicznych, w celu przeciwstawienia się przerzucaniu na społeczeństwo kosztów nieefektywności systemu,
 - b) organizować 'strajki' polityczne, demonstracje i rozruchy, o ile będzie można zapewnić poparcie znacznej części społeczeństwa,
 - c) ignorować wezwania do wyteźonej pracy, gdyż od kilkudziesięciu lat nasze wysiłki są marnowane i służą przede wszystkim imperialnym celom ZSRS,
 - d) stosować nacisk na popleczników władzy w formie zaakceptowanej w danym środowisku. Należy doprowadzić do sytuacji, gdzie nikt kto uczestniczy w represjach przeciw społeczeństwu nie będzie pewny swej anonimowości ani bezkarności.
 12. Nie możemy liczyć, że Kościół Katolicki wywalczy za nas prawa polityczne i obywatelskie. Jest on naszym sojusznikiem w tej walce, lecz jednocześnie niezależne społeczeństwo jest i jego „przedmurzem”, gdyż dopiero zupełne spacyfikowanie społeczeństwa pozwoliłoby komunistom na zlikwidowanie niezależności Kościoła. Należy pamiętać, że Kościołowi zawdzięczamy to, że społeczeństwo polskie nie zostało całkowicie zsowietyzowane. Dowodem na to było szybkie odbudowanie się więzi międzyludzkich podczas 16 miesięcy istnienia NSZZ „Solidarność” i

wspaniała samopomoc w pierwszych miesiącach stanu wojennego. Wspierajmy więc katolickie akcje odrodzenia moralnego i samopomocy tak, aby nikt kogo dotknęła zemsta władzy nie czuł się pozbawiony opieki.

II POLSKA JUTRA

Propozycja programu Podziemnego Porozumienia Politycznego

A. ZASADY USTROJU PAŃSTWA

Polska powinna być krajem nowoczesnej, sprawnej demokracji o ustroju opartym na zmodyfikowanych zasadach Konstytucji Marcowej z 1921 r.

1. Najwyższą władzę ustawodawczą sprawuje dwuizbowy Parlament.
2. Posłowie Izby Niższej (Sejmu) są wybierani w okręgach jednomandatowych na zasadach większościowych, co ułatwia powstanie większości parlamentarnej.
3. Izba Wyższa Parlamentu - Senat (Izba Ziem) jest wybierana spośród członków zgromadzeń prowincjonalnych na zasadach proporcjonalności. Może ona skierować do ponownego rozpatrzenia w Izbie Niższej wszelkie ustawy w ściśle określonym czasie od ich uchwalenia. Jest ona dodatkowym głosem opinii publicznej, lecz nie ogranicza sprawności rządu.
4. Najwyższą władzę wykonawczą sprawuje Prezydent poprzez Premiera, którego (tekst oryginału nieczytelny) większość parlamentarna.
5. Prezydent wybierany jest na wspólnym posiedzeniu obu Izb Parlamentu. Reprezentuje on Państwo Polskie, mianuje sędziów Sądu Najwyższego, rozwiązuje Parlament na wniosek Premiera oraz rozpisuje wybory. Wszelkie jego dekrety wymagają podpisu (kontrasygnaty) Premiera lub odpowiedniego ministra.
6. Premier i ministrowie muszą być posłami, aby byli politycznie odpowiedzialni osobiście przed wyborcami. Doradców i ekspertów wybierają według własnego uznania.
7. Jednostki regionalne - województwa (ziemie) posiadają własne zgromadzenia prowincjonalne (Sejmiki lub Ziemstwa), wybierane na zasadach wyborów proporcjonalnych (pięcioprzymiotnikowych). Do ich kompetencji należą wszelkie sprawy lokalne, oprócz zastrzeżonych dla władz centralnych (obronność, policja kryminalna, polityka zagraniczna i monetarna).
8. Sądownictwo funkcjonuje niezależnie od władz państwowych, a jego wewnętrzna struktura oparta jest o zasady samorządności.
9. Wojsko i policja są apolityczne. Wojskowi i policjanci nie mogą należeć do żadnej partii politycznej.
10. Zakres podstawowych praw jednostki gwarantowanych przez Konstytucję, takich jak: swobody polityczne, wolność, własność, nietykalność osobista, równość wobec prawa, wolność słowa, zrzeszania się i informacji może być modyfikowany jedynie po zastosowaniu długiej procedury i przegłosowaniu w obu Izbach Parlamentu i większości Zgromadzeń Prowincjonalnych.
11. Mniejszości narodowe w Polsce mają konstytucyjnie zagwarantowane swobody nieskrępowanego narodowego, politycznego, religijnego i kulturalnego rozwoju.

B. ZASADY POLITYKI ZAGRANICZNEJ

1. Traktaty Ribbentrop-Mołotow oraz porozumienia Wielkiej Trójki w Teheranie, Jałcie i Poczdamie były zawarte bez udziału Polski. Dlatego uznajemy je za nieobowiązujące i będziemy dążyć do ich przekreślenia w postanowieniach dotyczących Polski.
2. Z uwagi na sytuację ukształtowaną po drugiej wojnie światowej należy:

- a) zawrzeć traktat pokojowy ze zjednoczonym i niepodległym państwem niemieckim, sankcjonujący polsko-niemiecką granicę na Odrze i Nysie.
 - b) zawrzeć umowy z niepodległymi państwami: Ukrainą, Białorusią i Litwą, *zrzekając się* na ich rzecz byłych polskich ziem wschodnich, wzajemnie gwarantując pełne prawa mniejszościom.
 - c) uznać obecny kształt granicy polsko-czechosłowackiej za ostateczny i podpisać umowy wzajemnie gwarantujące pełne prawa mniejszościom.
 - d) uznać konieczność powrotu napływowej ludności rosyjskiej z terenów Ukrainy, Białorusi, Litwy i Łotwy oraz Estonii a także Okręgu Królewieckiego do jej własnej ojczyzny.
 - e) Okręg Królewiecki nie może stanowić enklawy niemieckiej lub rosyjskiej i jego przyszłość powinna być przedmiotem rokowań rządów niepodległej Polski i Litwy.
3. Polska wspólnota narodowa nie musi żyć w jednym państwie, ale powinna mieć zagwarantowane podstawowe prawa obywatelskie i możliwość nieskrępowanego rozwoju narodowego i utrzymywania kontaktów ze starą ojczyzną.
 4. Za naszych partnerów i sprzymierzeńców uznajemy tych Rosjan, którzy *bezwarunkowo* uznają prawo wszystkich narodów imperium sowieckiego do samostanowienia i niepodległości.
 5. Dla zapewnienia stabilizacji w Europie za pożądane uważamy utworzenie na terytorium Europy środkowej i wschodniej organizmu równouprawnionych państw typu zachodnioeuropejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

III PROGRAM PARTII LIBERALNO-DEMOKRATYCZNEJ „NIEPODLEGŁOŚĆ”

A. ZAŁOŻENIA OGÓLNE

1. Wolność jest najwyższym dobrem człowieka, warunkującym możliwość korzystania z innych dóbr. Wolność wiąże się nierozdzielnie z odpowiedzialnością. Tylko człowiek wolny może brać na siebie odpowiedzialność bycia obywatelem.
2. Systemy polityczne, także te oparte na uznaniu wolności człowieka za wartość nadrzędną, nie mogą być budowane w próżni społecznej. Wszelkie utopie wysnute z głów ideologów, choćby najszlachetniejszych, okazywały się zawsze przedwczesne i nieskuteczne, a jeśli je społeczeństwu wbrew jego woli narzucano, przynosiły mu nieszczęście. Toteż system polityczny musi brać pod uwagę tradycje i kulturę specyficzne dla każdego narodu. Zainstalowanie w Polsce utopii komunistycznej było przyczyną głębokiego kryzysu tradycyjnych form więzi społecznych. Odbudowa tych więzi, opartych na tradycyjnych instytucjach społecznych zakorzenionych w kulturze europejskiej, stanie się warunkiem prawidłowego funkcjonowania społeczeństwa.
3. Wszyscy ludzie są równi wobec prawa. Ze stwierdzenia tego nie może wynikać równość materialna. Ta ostatnia jest niebezpieczną utopią, której realizacja musi doprowadzić do dyktatury jednostek. Tylko bowiem państwo sprawujące dyktaturę, może zapewnić zrównanie materialne obywateli. Zrównanie to odbywa się za cenę łamania wolności, nędzy wynikłej z niskiej efektywności i wtórnych nierówności, spowodowanych różnym dostępem do przywilejów.
4. Każda władza skłonna jest posuwać się tak daleko, aż napotka granicę. Toteż system polityczny opierać się musi na zasadzie równowagi. Równowaga ta musi przejawiać się w ramach struktur władzy, nie zaś w postaci przetargów między rządzonymi a rządzącymi. Przetargi te, które przybierają postać umów społecznych, były formą kontroli władzy absolutnej w epoce feudalizmu i przejściowym stadium między absolutyzmem i demokracją. W Europie u schyłku XX w. uznać je należy za anachronizm.
5. Nawet najsprawniejsza demokracja może stanowić zagrożenie dla wolności człowieka, poprzez nadmierną centralizację i biurokracizm. Niebezpieczeństwo to występuje zwłaszcza wtedy, gdy społeczeństwo jest politycznie bierne. Demokratyczna forma rządów musi istnieć w świadomości politycznej i prawnej społeczeństwa. Tworzy ona tę świadomość, ale się też z niej wywodzi. Dla przeciwdziałania niebezpieczeństwom biurokratyzacji władzy niezbędne są:
 - a/ możliwie duża decentralizacja poprzez tworzenie samorządów lokalnych,
 - b/ istnienie elit intelektualnych, zawodowych, politycznych i związkowych,
 - c/ podnoszenie wartości moralnych, które muszą wybijać się ponad politykę.

B. PAŃSTWO A SPOŁECZEŃSTWO GOSPODARUJĄCE

1. Podstawowym zadaniem państwa w gospodarce jest zapewnienie prawnych ram funkcjonowania mechanizmów rynkowych w warunkach wolnej konkurencji.
2. Państwo może i powinno funkcjonować w gospodarce jedynie w następujących dziedzinach:
 - a) infrastruktura gospodarcza,
 - b) działania, których rozmiary przekraczają możliwość współzawodnictwa (komunikacja, energetyka, produkcja zbrojeniowa).
 - c) działania, które muszą być prowadzone centralnie, jak polityka monetarna, prognozy dotyczące „wyzwań rozwojowych”, działania wynikające z tych „wyzwań”, problemy demograficzne, włączenie się do współpracy międzynarodowej itp.
3. Niedopuszczalne są działania ze strony państwa, polegające na:
 - a/ nacjonalizacji, jako trwałej tendencji gospodarczej,
 - b/ trwałej pomocy finansowej ze strony państwa dla przedsiębiorstw słabszych,
 - c/ ustalaniu cen przez państwo,
 - d/ prawnej monopolizacji jakiegokolwiek dziedziny ze strony państwa, z wyjątkiem niezbędnych przypadków (np. obrony, przestrzeganie prawa itp.).
4. Z uwagi na wyjątkowe znaczenie rolnictwa dla dobrobytu i niezawisłości społeczeństwa, a także na jego względne zacofanie, dopuszcza się możliwość szczególnej opieki państwa nad tym działem gospodarki.
5. Państwo dba o to, by żadna grupa interesu nie zdobyła nadmiernej przewagi w społeczeństwie, pozwalającej dyktować warunki monopolistyczne i zagrażającej istnieniu wolnej konkurencji. Dotyczy to zarówno organizacji przemysłowych, jak i związkowych. Państwo winno dbać o równowagę między światem pracy i kapitału. Niedopuszczalne jest tworzenie monopoli związkowych polegających na:
 - a/ przymusie należenia do związku zawodowego,
 - b/ specjalnych przywilejach dla członków związków zawodowych,
 - c/ przymusie zrzeszania w centrali związkowej. Państwo wprowadza ustawy antytrustowe i dba o ich surowe przestrzeganie.
6. Opieka społeczna nie może stanowić trwałego instrumentu redystrybucji dochodu narodowego przez państwo. Państwo gwarantuje świadczenia społeczne (emerytury, renty, ochronę zdrowia) na minimalnym poziomie. Wyższy poziom zagwarantowany być powinien w ramach dobrowolnych umów obywateli z towarzystwami ubezpieczeniowymi. Pomoc dla ludności znajdującej się w nędzy jest obowiązkiem państwa, ale także zadaniem dla niepaństwowych fundacji charytatywnych.
7. Państwo zobowiązane jest szczególną opieką otoczyć oświatę, naukę i kulturę, w celu nadrobienia zaległości cywilizacyjnych. Państwo nie może mieć jednak monopoli w tych dziedzinach.

C. SPOŁECZEŃSTWO LIBERALNE

1. Najwłaściwszym sposobem eliminowania społecznego niedostatku jest rozwój gospodarczy całego społeczeństwa. Zapewniony on może być tylko w warunkach gospodarki liberalnej. Wszelkie działania redystrybucyjne w celu zagwarantowania rzekomej sprawiedliwości społecznej i równości pogarszają efektywność gospodarowania. Prowadzą do kolektywizmu,

który jest przyczyną stagnacji i tym większej niesprawiedliwości, stanowiąc zarazem pożywkę dla tendencji totalitarnych.

2. Podstawą gospodarki liberalnej jest prywatne przedsiębiorstwo konkurujące na rynku.
3. Społeczeństwo nie jest tylko zbiorem jednostek o identycznych celach, lecz dzieli się na grupy o różnych, często sprzecznych interesach. Obywatele mają prawo zrzeszać się w organizacjach politycznych, związkowych i społecznych dla walki o swe interesy grupowe. Jedynym ograniczeniem funkcjonowania tych organizacji jest akceptacja zasad prawnych.
4. Prawidłowe funkcjonowanie społeczeństwa wymaga pluralizmu w dziedzinie środków masowej komunikacji - prasy, radia, telewizji. Z uwagi na szczególne znaczenie telewizji, w cywilizacji współczesnej niezbędne jest zagwarantowanie dostępu do niej różnorodnym siłom społecznym.

Aneks

IV OD KOMUNIZMU DO GOSPODARKI LIBERALNEJ

Gospodarka w okresie przejściowym

Celem zmian ekonomicznych w momencie uzyskania niepodległości nie może być reformowanie dotychczasowych mechanizmów gospodarki. Odrzucamy koncepcje kierowania gospodarką przez państwo: jedynie rynek i jego podstawa w postaci własności wyłącznej środków produkcji może być właściwym regulatorem życia ekonomicznego i zapewnić w dłuższym okresie czasu stały rozwój, postęp techniczny i dobrobyt. Zmiany w gospodarce muszą mieć więc charakter rewolucyjny, ich celem będzie budowa nowego, liberalnego systemu ekonomiczno-politycznego.

1. Anulowane zostaną wszystkie akty prawne dotyczące gospodarki, w szczególności:
 - działalności statutowej przedsiębiorstw,
 - struktury organizacyjnej,
 - przepisów podatkowych,
 - ustalania cen,
 - zasad rozdziału czynników produkcji,
 - ograniczeń w funkcjonowaniu gospodarki prywatnej, w tym górnej granicy zatrudnienia.
2. Ustala się wymienialność złotówki na inne waluty. W celu zapewnienia stabilności kursu zaciągnięty zostaje kredyt z Banku Światowego. Polska zostaje członkiem Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Kurs złotówki musi zapewnić opłacalność eksportu. Jednocześnie niski kurs będzie atrakcyjny dla kapitału zagranicznego (w momencie początkowym średnia płaca będzie około 20 razy niższa od zachodniej, zaś wydajność 2-5 razy niższa). Eksport polskich wyrobów oraz import kapitału muszą doprowadzić do uzyskania nadwyżki bilansu płatniczego, pozwalającej na spłatę zadłużenia przejętego w spadku po PRL.
3. Z powodu prawdopodobnego braku nabywców, przedsiębiorstwa poza rolnictwem (z wyjątkiem wymienionych w osobnej liście) zostają przekazane na własność załogom w nich zatrudnionym, reprezentowanym przez Rady Pracownicze lub Walne Zgromadzenia Pracowników. Rada nominuje Dyrekcję i Zarząd przedsiębiorstwa według swego uznania. Dedykuje też o wielkości i systemie wynagrodzenia i podziale nadwyżki. Pracownik jest współwłaścicielem środków produkcji z racji swego stosunku pracy. Nie oznacza to jednak własności wyłącznej i pełnej. Nie może on części majątku jemu przynależnej zbywać lub w inny sposób dowolnie nią dysponować. Własność pełna przynależy jedynie wszystkim pracownikom, reprezentowanym przez Radę lub Walne Zgromadzenie. Rada może powziąć decyzję o odsprzedaniu części majątku, bądź przez fizyczne pozbycie się jej, bądź przez wypuszczenie akcji i dopuszczenie do współdziałania innych

osób prawnych lub fizycznych. Państwo nie gwarantuje przedsiębiorstwom społecznym specjalnych przywilejów. W wypadku bankructwa przedsiębiorstwa te mogą być przejmowane przez inne sektory.

4. Przedsiębiorstwa nie przejęte przez załogi bądź bankrutujące zostaną przejęte przez państwo (o ile nie wnoszą roszczeń inni wierzyciele). W miarę możliwości są uruchamiane przez zarząd komisaryczny lub odsprzedane innym właścicielom. To samo dotyczy nieukończonych inwestycji. Mogą być one odsprzedane (również kapitałowi zagranicznemu) na dogodnych warunkach. Zostaje sporządzona lista przedsiębiorstw o znaczeniu strategicznym (np. PKP), które pozostają własnością państwa. Państwo może dopuścić do współudziału w tych przedsiębiorstwach inne osoby prawne lub fizyczne. Państwowa własność przedsiębiorstw nie może oznaczać państwowego monopolu na pewne dziedziny życia społeczno--gospodarczego.
5. Państwo prowadzi politykę popierania małej i średniej własności prywatnej. W tym celu zostają wystawione na sprzedaż maszyny, urządzenia i środki transportu niemożliwe do zagospodarowywania przez sektor państwowy i społeczny. Sprzedaż odbywać się będzie na dogodnych warunkach kredytowych. Administracja państwowa (terenowa) nie może odmówić rejestracji jakiegokolwiek przedsiębiorstwa, którego działalność nie stoi w sprzeczności z prawem. Rozważyć należy stosowanie preferencyjnych stawek podatkowych dla tego sektora. Celem preferowania drobnego kapitału będzie demonopolizacja gospodarki, przemiana struktury oraz stworzenie silnej warstwy drobnych posiadaczy - z reguły stabilizującej społeczeństwo. Popieranie drobnej, prywatnej inicjatywy będzie najwłaściwszym działaniem, mającym na celu przeciwstawienie się bezrobociu.
6. Dopuszcza się istnienie banków o różnej własności. Państwo popierać będzie powstawanie banków prywatnych i społecznych, zwłaszcza tych, których działalność finansować będzie drobna i średnią gospodarkę. Reaktywowane zostają mechanizmy finansowe, jak dyskonto weksli, emisja czeków i innych papierów wartościowych. Powstaje rynek papierów wartościowych, w tym również akcji przedsiębiorstw. NBP zostaje podzielony na kilka banków o różnej formie własności (z dopuszczeniem mieszanej) nawzajem konkurujących ze sobą. Jeden z nich pełnić będzie funkcję Banku Centralnego i Emisyjnego.
7. Zniesiony zostaje państwowy monopol handlu zagranicznego. Państwo reguluje funkcjonowanie handlu i bilans handlowy przez ustalenie kursu waluty oraz cła.
8. Dopuszczone zostaje istnienie i funkcjonowanie kapitału zagranicznego, pod warunkiem stosowania się do obowiązujących przepisów prawnych oraz reinwestowania w Polsce 50% zysków.
9. Wprowadza się jednolite przepisy podatkowe dla całej gospodarki, opodatkowując:
 - a) dochody netto — podatek progresywny, nie wyższy jednak niż 50% dochodu netto. Podatek dotyczy wszystkich dochodów, niezależnie od miejsca ich powstania (zyski, płace, honoraria, dywidendy itp.),
 - b) nieruchomości,
 - c) grunta w rolnictwie; celem podatku gruntowego będzie między innymi likwidacja gospodarstw słabych i zaniedbanych,
 - d) sprzedaż — podatki pośrednie (obrotowe). Dotyczyć one będą przede wszystkim alkoholu, papierosów, dóbr i usług luksusowych. Wysokość i zakres podatków pośrednich zależeć będzie od potrzeb fiskalnych państwa oraz polityki kształtowania popytu,
 - e) płace pracowników - opłata na ubezpieczenia społeczne (dzisiejsza składka ZUS). W późniejszym czasie opłata ta może ulec zniesieniu na rzecz innej formy.
10. Państwo gwarantuje świadczenia społeczne na poziomie wynikającym z wielkości swoich dochodów budżetowych (podatków itp.). Gwarantuje emerytury na poziomie co najmniej równym (co do siły nabywczej) tym z końca okresu komunistycznego. Jednocześnie popiera się

powstawanie towarzystw reasekuracyjnych, celem zapewnienia świadczeń emerytalnych, zdrowotnych itp. na wyższym poziomie.

11. Ziemia będąca własnością PGR-ów zostaje odsprzedana właścicielom indywidualnym lub osobom prawnym. Dopuszcza się możliwość powstawania społecznych przedsiębiorstw na warunkach analogicznych jak w przemyśle.
12. Znosi się ograniczenia w wolnym handlu produktami rolnictwa. Zlikwidowany zostaje monopol skupu. Rozwiązane zostają centrale przedsiębiorstw zajmujących się obsługą rolnictwa. Na ich miejsce tworzy się społeczne i prywatne przedsiębiorstwa o zasięgu lokalnym.
13. Reorganizuje się przedsiębiorstwa handlu wewnętrznego. Tworzy się zdecentralizowane przedsiębiorstwa prywatne lub społeczne. Zlikwidowana zostaje reglamentacja i centralne rozdzielnictwo. Dystrybucja wszelkich towarów, w tym również materiałów i dóbr inwestycyjnych, odbywa się poprzez rynek. Zniesione zostają wszelkie ograniczenia cenowe.
14. Tworzy się scentralizowany fundusz, kierowany przez państwo przy współudziale w radzie nadzorczej możliwie szerokiej reprezentacji społeczeństwa, mający na celu zagwarantowanie minimum socjalnego wszystkim obywatelom, w szczególności grupom potencjalnie najsłabszym. Fundusz finansowany będzie przez budżet państwa, prywatne fundacje, darowizny, zagraniczne kredyty i pomoc.

«Niepodległość» nr 28, kwiecień 1984

Spis treści

Słowo wstępne	5
ZMIERZCH KOMUNIZMU	
Zmierzch komunizmu	9
Reforma Wschodu - złudzenia Zachodu	16
Czy komunizm jest poznawalny?	25
31 lat po Stalinie	27
Komunizm - elementy teorii	36
Działania symboliczne a polityczne	39
WYBIĆ SIĘ NA NIEPODLEGŁOŚĆ	
Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość?	44
Czy „Solidarność” była zbyt radykalna?	51
Uwagi o systemie politycznym	54
Założenia ogólne strajku generalnego	56
Bunt czy rewolucja	61
„Solidarność” a opozycja demokratyczna	63
Przed zimą	70
Czy koniec podziemia?	76
Po kapitulacji podziemnej „Solidarności”	84
Pozytywizm w totalitaryzmie?	89
Styczeń i co dalej?	94
10 prawd oczywistych... nie dla każdego	96
Chorzy na komunizm	103
Bez niedomówień	106
Przesilenie majowe	109
M.Poleskiego myśli o programie i organizacji	110
Krajobraz polityczny '83	114
Ursus... i co dalej?	125
Gra Watykan-Moskwa	127

Antypolskie sankcje Reagana?	134
Kryzys przywództwa	136
Myśl polityczna zamiast terroru	141
Fenomen	144
Moje umiarkowane zdanie	145
Co robić?	146
Syndrom związkowy	151
Głos Pana	154
Związek, partia czy ruch społeczny?	158
Jedność w różnorodności	161

EUROPA PRZYSZŁOŚCI

Polacy wobec kwestii niemieckiej	163
Europa przyszłości	168
Polska reprezentacja narodowa	172
Czy Polska sama może być niepodległa?	175
Niepodległość	177
Rozwiązanie kwestii radzieckiej	180
Polacy wobec kwestii wschodniej	182

W WOLNEJ POLSCE

Dlaczego wolność?	192
Liberalizm - polityczna myśl wolności	195
Liberalne państwo	201
Jaka niepodległość?	204
Ustrój wolnej Polski	212
Praca nad programem	220

<i>Drodzy Czytelnicy</i>	223
--------------------------	-----

Założenia programowe	227
Aneks	232

KOMUNIKAT

1. W dniu 11 listopada 1984 roku została utworzona w Warszawie Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość”.
2. LDP „Niepodległość” nie stanowi kontynuacji żadnej polskiej partii politycznej, nie wywodzi się także z jakiegokolwiek grupy politycznej sprzed 13 grudnia 1981 roku. Tworzyć będzie własny kierunek polityczny korzystając z dorobku różnych nurtów opozycji w Polsce, a także współczesnej myśli neokonserwatywnej.
3. Bieżącym zadaniem LDP „Niepodległość” jest rozbudzanie świadomości politycznej społeczeństwa polskiego. Bierność polityczna oraz mit porozumienia z rządem pacyfikuje nastroje, ułatwiając komunistom sprawowanie władzy oraz eksploatację kraju w interesie ZSRR.
4. W swym programie LDP „Niepodległość” kładzie nacisk na:
 - odzyskanie niepodległości jako zasadniczego celu działań politycznych
 - konieczność organizacji społeczeństwa i gospodarki w oparciu o praktykę współczesnego demokratycznego kapitalizmu, to jest: respektowanie zasady wolności, ograniczenie roli państwa, decentralizację i gospodarkę wolnorynkową
 - współpracę zniewolonych przez ZSRR narodów Europy Środkowej w dążeniu do osiągnięcia niepodległości, wolności i demokracji, przewyciężaniu wzajemnych wrogości, uprzedzeń i tendencji szowinistycznych.
5. Organem LDP „Niepodległość” jest wydawany od stycznia 1982 roku miesięcznik «Niepodległość». Na jego łamach są rozwijane i wyjaśniane podstawowe zagadnienia programowe.

Liberalno-Demokratyczna Partia «Niepodległość»